

LIZZIE SHANE

♥
ZAKOCHAJ SIĘ
W ŚWIĘTA!

Na *Święta*

PRZYTUŁ
PSA



FCBIS

LIZZIE SHANE

Na Święta
PRZYTUL
PSA

PRZEŁOŻYŁ
MACIEJ SZYMAŃSKI



DOM WYDAWNICZY REBIS



ROZDZIAŁ 1



Pine Hollow w stanie Vermont jawiło się mieszkańcom niczym „Mary Poppins wśród miasteczek” – pod każdym względem praktycznie doskonałe. I wszyscy byli tym zachwyceni, może poza członkami rady miejskiej odpowiedzialnymi za to, by owa doskonałość trwała. Po dwóch latach wsłuchiwania się we wszelkie możliwe sugestie współobywateli Ben West nabrał przekonania, że już wystarczająco odpokutował zbrodnie popełnione w poprzednim życiu.

A w Boże Narodzenie... W Boże Narodzenie było najgorzej.

Co roku miasteczko ogarniał świąteczny szal, a telefon Bena niemal eksplodował od niekończących się życzeń nadgorliwych mieszkańców. Więcej lampek na drzewach. Nowa girlanda dla biblioteki. Więcej poduszek do kostiumu Świętego Mikołaja, bo etatowy odtwórca tej roli zaczął latem biegać maratony i zgubił pięćdziesiąt funtów.

Na wszystko to potrzebne były pieniądze z lokalnego budżetu, a każdy wydatek zatwierdzała rada miejska. Ben zaś miał wątpliwy zaszczyt być członkiem owego szacownego ciała, do którego często należał decydujący głos.

Mógł mówić o szczęściu, gdy udało mu się pokonać trasę z domu do szkoły Astrid i nie zostać kilkakrotnie zatrzymanym radosnymi słowy: „O, Ben! Miałem nadzieję, że na ciebie wpadnę!”. Jego komórka w zasadzie nie przestawała wibrować.

I właśnie jak na zawołanie z jego kieszeni dobiegło słynne „tu-du tu-du” tematu muzycznego ze *Szczęk*. Kolejny e-mail w skrzynce rady miejskiej. Ben zignorował powiadomienie i paroma krokami przemierzył kuchnię w stronę ekspresu do kawy marki Keurig. Załatwianie miejskich spraw bez porannej dawki kofeiny nie było dobrym pomysłem. Lecz może tym razem nie chodziło o kolejną sprawę służbową? Może zdarzył się bożonarodzeniowy cud i ktoś zaproponował rozwiązanie, zamiast podrzucić kolejny problem?

Złowrogie tony ze *Szczęk* rozbrzmiały ponownie, gdy włożył kapsułkę i wcisnął guzik, by poczekać, aż maszyna ocknie się z jękiem i zacznie sączyć ambrosję wprost do jego kubka. Nic się jednak nie wydarzyło. Ben pochylił się nad panelem ekspresu, podświetlonym jak zawsze. Maszyna wyglądała normalnie, ale gdy ponownie wcisnął klawisz, nie zareagowała.

Stała tak sobie, jak gdyby w drwiącym milczeniu, a on uświadomił sobie nagle, że to kolejny paragraf 22: potrzebuje kofeiny, żeby rozgryźć, co się stało maszynie, która miała go uraczyć kofeiną.

– Dzień dobry, wujku Benie!

Wymamrotał w odpowiedzi niezbyt zrozumiałe powitanie, kątem oka rejestrując, jak jego siostrzenica wpada do kuchni w wesołych podskokach.

Astrid, najwyraźniej nieświadoma kawowego kryzysu, otworzyła kredens.

– Doradź mi: babeczki, brownie czy pierniczki?

Ben odwrócił głowę tylko na tyle, by móc dojrzeć, jak sięga do szafki po chrupki. Astrid była jednym z tych przerażających stworzeń zwanych rannymi ptaszkami, ale zazwyczaj nie jadła słodczy na śniadanie.

– A może nic z tego? Za wcześnie na cukier.

– Mówię o kermaszu ciast – wyjaśniła Astrid, stawiając na blacie wyspy pudełko płatków kukurydzianych. – O bożonarodzeniowym festynie. Każdy musi coś przynieść.

– Racja. Festyn. – Ben znowu pochylił się nad ekspresem. Wtyczka w gniazdku. Woda w dzbanku. Może trzeba wyłączyć i włączyć, tak jak resetuje się router? To powinno pomóc, prawda?

– To już niedługo? – spytał w roztrągnięciu.

– W następną niedzielę. – Dziewczynka wyjęła z lodówki mleko i borówki. – Dzisiaj trzeba

oddać zgłoszenia, a kruche ciasteczka odpadły, bo w tym roku chce je upiec Merritt Miller. Jej ciocia prowadzi piekarnię, więc pewnie będą najlepsze na świecie i reszta wypadnie przy nich żałośnie. – Wsypała do miski płatki, wlała mleko, dorzuciła garść borówek i zastygła z łyżką w pół drogi. – Widziałeś kiedyś te jej ciasteczka? No niesamowite. I dlatego dla nas zostają babeczki, brownie, pierniczki albo sama nie wiem co.

Ben otworzył usta, ale nie znalazł w porę odpowiedzi; jego pozbawiony kofeiny umysł był wyzuty z wszelkiego natchnienia. Babeczki, brownie, pierniczki...

– Eee...

Gdyby dwa lata wcześniej ktoś mu powiedział, że pewnego dnia kwestia wypieków na świąteczny festyn będzie dlań niczym zagadka Sfinksa, pewnie śmiałyby się przez okrągły tydzień, ale... Wiele się zmieniło w ciągu tych dwóch lat. Jego nieznośnie doskonała i superambitna siostra oraz jej nieprawdopodobnie porządny mąż odeszli, Astrid zaś została pod jego opieką. Od dłuższego czasu należał do facebookowej grupy rodziców z jej klasy, którą w duchu nazywał kursem pasywno-agresywnego gnębienia mamusiek dla zaawansowanych. Tyle że dyżurną mamuszką do gnębienia był on sam.

Babeczki, brownie, pierniczki – cokolwiek wybierze, będzie musiał przygotować się do obrony swego stanowiska za pomocą przekonujących faktów z dziedziny dietetyki dziecięcej; w przeciwnym razie grupa rozszarpie go na strzępy. Czy wypiek będzie bezglutenowy? Czy nie zostanie przygotowany na blacie, który w ostatnim dwudziestolecu miał bodaj przelotny kontakt z choćby jednym orzechem? Ile gramów cukru będzie zawierał? Ile węglowodanów? A czy aby na pewno znajdą się w nim jajka od przeszczęśliwych kurek z organicznej hodowli, które na oczy nie widziały klatek i wiodą błogi żywot na wyższym poziomie niż on sam? No i czy przodkom krowy, która dała mleko użyte do tego wypieku, aby na pewno nigdy nie podawano antybiotyków?

Naprawdę starał się być odpowiedzialnym opiekunem. Chciał, żeby Astrid była zdrowa i szczęśliwa, a to oznaczało, że musiał się przejmować wieloma zaskakującymi sprawami. Czasem jednak miał wrażenie, że nigdy nie wygra z zastępami życzliwców wiecznie gotowych powiedzieć mu, co znowu zrobił nie tak – bo zawsze robił coś nie tak.

Babeczki, brownie czy pierniczki?

Potrzebował kawy, żeby podjąć decyzję.

Odkąd podjął się opieki nad Astrid, każdy wybór był istotny, ale tym razem przeczuwał nieuchronną porażkę. Dlaczego właściwie ciągle urządzano te kiermasze ciast, skoro połowa rodziców uważała, że cukier i mąka to trucizna? Niekiedy miał ochotę włożyć koszulkę z napisem PIŁEM SYROP GLUKOZOWO-FRUKTOZOWY I ŻYJĘ, ale nie był pewien, czy wyszedłby cało z takiej demonstracji. Rola rodzica zdecydowanie nie jest dla mięczaków, pomyślał.

– Może po prostu brownie – przemówiła Astrid do jego pleców.

Wciąż sterczał przed bezużytecznym ekspresem, lecz choć w głosie siostrzenicy nie wyczuł żalu, jej „po prostu” trochę go zabolalo.

Katie nigdy niczego nie robiła „po prostu”. Była Supermamą i Królową Kiermaszy Ciast, ale także mistrzynią ciętego dowcipu, nigdy niebiorącą samej siebie nazbyt serio. Była mamą, o jakiej marzy każdy dzieciak. Mamą, pod której skrzydłami Astrid powinna dorastać, lecz niestety nie było jej to pisane. Jednakże wujek, który zdecydowanie nie był światowej sławy cukiernikiem, nie zamierzał sprawić jej zawodu.

– O nie, stać nas na coś ciekawszego – odpowiedział stanowczo, siląc się na entuzjizm, jakby cały jego układ nerwowy nie domagał się kawy. – Może pierniczki?

Nigdy w życiu nie piekł pierniczków.

Boże, żeby tylko nie było to trudne.

– Naprawdę?

Nuta niedowierzania w głosie Astrid zdwoiła jego determinację.

– Jasne. Cóż w tym skomplikowanego?

Dziewczynka skrzywiła się lekko.

– Chyba lepiej brownie.

– Sugerujesz, że nie umiem upiec pierniczków? – Całkiem możliwe, że nie umiem, dodał w duchu.

– No jakby.

Ben parsknął śmiechem, rozbawiony jej szczerością.

– A jednak upieczemy pierniczki.

Jego telefon znowu rozbrzmiał muzyką ze *Szczęk*. Ben oparł się pokusie i nie sięgnął do kieszeni, za to spojrzął na zegar w mikrofalówce. Cholera.

– Będziesz zaraz gotowa? Jesteśmy spóźnieni.

Znowu.

Astrid była już ubrana, za to on – jeśli miał na czas odstawić ją do szkoły – musiał pilnie poszukać dostatecznie czystej koszuli, w której mógł się pokazać w pracy. Pralka strajkowała od dwóch tygodni i pomału kończyły mu się opcje. Święto Dziękczynienia namieszało w kalendarzach fachowców i jedyny wolny termin zaproponowany przez serwisanta kolidował z wywiadówką u Astrid. W oczekiwaniu na kolejny musieli pracować w zlewku.

Jeszcze jedna z wielu spraw, z którymi nie do końca sobie radził. A teraz wypadało dopisać do listy naprawę ekspresu.

Jakże pięknie byłoby mieć czas na wszystko. Coraz słabiej pamiętał, jakie to uczucie.

Dziewczynka ześliznęła się ze stołka, by zanieść miskę do zlewu.

– Brownie też jest pyszne...

– Miej choć trochę wiary w starszych.

– Wiarę to ja mam, tylko pamiętam, co było w zeszłym roku.

Ben zdążył otworzyć usta, gotów zdusić w zarodku jej – całkiem uzasadnione – obawy, ale w riposie przeszkodził mu kolejny sygnał telefonu. Wyjął komórkę z kieszeni, na wyświetlaczu widniało słowo „Szfowa”. Ocalony przez dzwonek, pomyślał.

– Cześć, Delia. Nie mogę długo gadać, muszę zawieźć Astrid do szkoły.

– Odebrałaś maile? – Głos pani burmistrz jak zawsze ranił bębenki; w poprzednim życiu Delia Winter musiała być megafonem. Z podobną konsekwencją funkcjonowała zawsze w tym samym trybie: w trybie wielkiego zniecierpliwienia. Jej pytanie tłumaczyło poranny koncert muzyki ze *Szczęk*. Zapewne wysyłała wiadomości co pięć sekund i jak zwykle nie mogła się doczekać odpowiedzi. Tak czy inaczej, kochała Pine Hollow i żaden z mieszkańców nie uczynił dla swego miasta więcej dobrego niż ona. Tym razem Delia nie nadała mu nawet czasu na odpowiedź. – Bo zdaje mi się, że znalazłam sposób na dopięcie budżetu.

– To świetnie.

– Schronisko dla psów! – zagrzmiała szfowa.

Ben skrzywił się odruchowo, ale na szczęście Astrid nic nie usłyszała zza kuchennej wyspy, przy której pakowała drugie śniadanie. Od miesięcy – a konkretnie od swych dziesiątych urodzin – regularnie przypominała mu o tym, jak bardzo chciałyby mieć psa, Ben zaś równie regularnie odmawiał. Doszło już do tego, że nawet najbardziej przypadkowa wzmianka o psie stawała się zarzewiem kolejnej niemającej końca dyskusji.

– Chwileczkę, Delio – odezwał się, po czym bezgłośnie rzucił: „Pięć minut!” w stronę Astrid i wymknął się z kuchni, jakby ktoś go ścigał. Zaklął pod nosem, gdy zahaczył palcem u nogi o listwę na skraju drugiego schodka. Jeszcze jedna niezalutwana sprawa w tym starym, skrzypiącym domu.

Delia jak zawsze odczekała równo sekundę, zanim przystąpiła do natarcia.

– Schronisko od wieków jest dotowane z budżetu uznaniowego burmistrza. Wystarczy przenieść te środki na inny cel. Sama nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam.

– Ale czy ono na tym nie ucierpi? – spytał Ben, zniżając głos na tyle, by nie usłyszała go Astrid. Sam nigdy tam nie był, ale miał wrażenie, że schronisko mieści się na posesji na samym krańcu miasta i należy do miłego starszego małżeństwa.

– Ogłosimy, że z końcem roku wstrzymujemy dotację, więc muszą znaleźć dla swoich psów

nowe domy. Rita i Hal mają swoje lata, ściągnęli tu wnuczkę do pomocy. Czuję, że z ulgą wróciłyby do swojego życia w dużym mieście. A plotka głosi, że Hal i Rita chętnie przeniesliby się na osiedle emerytów, ale nie mogą, bo muszą się opiekować psami. Innymi słowy, wszyscy będą zadowoleni.

Ben włożył pierwszą koszulę, która pomyślnie przeszła test węchowy. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w tym idealnym rozwiązaniu Delii jest jakiś słaby punkt, ale nie umiał go zidentyfikować.

– Gdzieś musimy znaleźć pieniądze na naprawę dachu świetlicy, a takie cięcie będzie najmniej dotkliwe dla całej społeczności – dudnił w aparacie głos szefowej. – Przecież nie obetniemy funduszy szkołom albo straży pożarnej. A gdy ostatnio próbowaliśmy zaoszczędzić na iluminacji miejskiej choinki, omal nie doszło do zamieszek. Wybór jest oczywisty.

– Taa... – Ben już wiedział, że tego dnia jego skarpetki nie będą jednakowe, ale czy ktoś ogląda bliźniemu skarpetki?

– Zatem mam twój głos? Bo jeśli tak, to jeszcze dziś po południu możemy przyklepać budżet, zawiadomić schronisko i w spokoju zacząć ferie świąteczne.

Nie bardzo wiedział, co robi, gdy zgłosił się na ochotnika, by dokończyć kadencję szwagra w radzie miejskiej. Myślał tylko o tym, że obowiązki Paula i Katie są teraz jego obowiązkami; że podtrzymanie ciągłości we wszystkim, w czym się da, będzie dobre dla Astrid. Z błędu wyprowadziły go ostatnie dwa lata poświęcone na dyskusje o budżetach i zagospodarowaniu przestrzennym. Dawno już nie słyszał równie kuszących słów jak „ferie świąteczne”.

Kochał Pine Hollow, a szansa na to, że choć jeden z miejskich problemów znajdzie nadszpiekanie łatwe rozwiązanie, wydała mu się darem niebios.

– Jasne. – Wsunął stopy w buty i sięgnął po torbę z laptopem. – To brzmi sensownie – dodał, puszczając się biegiem ku schodom. Tym razem ominął luźną listwę. – Muszę lecieć, Delia.

– Zobaczymy się później. I dzięki, Ben!

Astrid czekała u podnóża schodów, w długiej, puchowej kurtce i z plecakiem na ramionach. Spoglądając na nią, poczuł po raz kolejny, jak beznadziejnym jest zastępcą jej rodziców.

– Gotowa? – spytał, choć nie miał co do tego wątpliwości.

Zdjął z haczyka kurtkę i zerknął na zabytkowy zegar w przedpokoju. Przy odrobinie szczęścia mogli jeszcze zdążyć, a wtedy zajrzałyby do Cup na filiżankę kawy przed pracą. Otworzył drzwi, by wypuścić dziewczynkę. Miał wrażenie, że uchylił się przed kulą – a może nawet przed salwą plutonu egzekucyjnego – ale tylko do chwili, w której dołączył do siostrzenicy za progiem domu. Wtedy bowiem, niewinnie przechylając główkę, spytała:

– O co chodzi z tym schroniskiem dla psów?



Sześć przecnic dzielących dom Katie i Paula od szkoły przecinało samo serce Pine Hollow, a Astrid, niemal zawsze gdy je mijali, miała w zwyczaju wygłaszać tę samą tyradę: przecież nie ma żadnego powodu, by szóstoklasiści mieli prawo samodzielnie maszerować na lekcje, podczas gdy piątoklasiści – niemal ich rówieśnicy – musieli być dowożeni na miejsce jak jacyś smarkacze! Niewykluczone, że miała przed sobą karierę polityczną, a także sporo racji – tak przynajmniej wynikało z podcastów dla rodziców, których Ben ostatnio słuchał, poświęconych zachęcaniu dzieci do niezależności i autonomii – ale polityka szkoły pozostała niezmienną.

Tego ranka został jednak poczęstowany inną z kolekcji ulubionych śpiewek siostrzenicy: „O niezliczonych dowodach świadczących o tym, że Astrid K. Williams jest wystarczająco odpowiedzialna, by dostać psa”. Na szczęście mała najwyraźniej nie usłyszała o planach obciążenia funduszy dla schroniska; gdyby było inaczej, w jej wystąpieniu na pewno pojawiłby się nowy wątek.

Kofeinowy ból głowy odezwał się mniej więcej w połowie drogi między Bluebell Inn a piekarnią Magdy. Gdy przejeżdżali przez ostatnie przejście dla pieszych przed szkołą, Ben modlił się już tylko o cierpliwość i liczył kroki do Cup. Potrzebował espresso, i to jeszcze przed pracą.

– A gdybym udowodniła, że jestem wystarczająco odpowiedzialna, żeby zajmować się psem?
– pertraktowała Astrid, niezrażona niezliczonymi próbami zakończenia rozmowy podejmowanymi przez Bena.

Miał ochotę odpowiedzieć, że interesują go wyłącznie psy przeszkolone w przynoszeniu kawy, ale obawiał się, że mała potraktuje to jako zachętę.

– Astrid, naprawdę doceniam twoją wytrwałość, ale już o tym rozmawialiśmy: nie mamy nawet podwórka.

Gdy po wypadku przeprowadził się do wymagającego remontu domu Katie i Paula, miał szczerzy zamiar wykonać ich ambitny dwuletni plan: dokończyć renowację i sprzedać nieruchomość, by poszukać czegoś przestronniejszego, z większą działką. Nie przewidział tylko, że opuści go narzeczona i zostanie sam z masą roboty. I może jeszcze tego, że zastąpienie Paula w radzie miejskiej oraz przejęcie obowiązków Katie w Radzie Rodziców pochłoną cały jego czas, co do sekundy. Za każdym razem, gdy Astrid prosiła o psa, przypominał sobie o tym, że już dawno mieli zamieszkać w dużym domu z ogrodem.

– Będę go wyprowadzać – powiedziała. – I karmić. A ty nie będziesz musiał nic robić. Proszę. Mógłby być malutki. Nawet byś go nie zauważył.

– Chyba że zacząłby szczekać. I jeszcze wtedy, gdy płaciłbym rachunki u weterynarza.

– Nauczyłabym go nie czekać. I sama zapłacę za wszystkie zastrzyki i inne takie. Oszczędzałam kieszonkowe.

Rzeczywiście oszczędzała, odkąd tylko zaczął dawać jej pieniądze, więc doskonale wiedział, jak niewiele tego było, ale podziwiał jej determinację.

– Nie będziemy mieli psa – powtórzył milionowy raz w ciągu ostatnich czterech miesięcy.

Astrid, która nie wiedziała, co to kapitulacja, uśmiechnęła się anielsko.

– Opieka nad pieskiem mogłaby mnie wiele nauczyć...

– A jeszcze więcej się nauczysz, przychodząc punktualnie do klasy. – Ben otoczył siostrzenicę ramieniem, uściśnął serdecznie i popchnął leciutko w stronę szkoły. – Idź już. Sio. Baw się dobrze. I ucz.

Dziewczynka przewróciła oczami i w tej samej chwili dostrzegła swoją najlepszą koleżankę, Kimber. Plecak podskakiwał rytmicznie na jej ramionach, gdy biegła ku niej.

– Wolniej, Astrid – powiedziała Elinor, szkolna bibliotekarka, która tego dnia nadzorowała przybywanie dzieci. Nigdy nie podnosiła głosu, a one i tak jej słuchały.

– Przepraszam, ciociu E.! – Astrid posłusznie zwołniała i podążyła ku Kimber energicznym marszem.

Elinor Rodriguez była najlepszą przyjaciółką Katie i niemal członkiem jej rodziny.

– Ben! – Uniosła rękę, by zwrócić jego uwagę, zanim oddalił się w stronę Cup. – Nie uciekaj. Musimy chwilę porozmawiać.

Kusiło go, żeby udać, że nie słyszy, ale się opanował. Elinor była jedną z mądrzejszych osób, jakie dane mu było poznać, ale jej laserowa przenikliwość zawsze budziła w nim lekką trwogę i nigdy nie wiedział, czego się spodziewać po jej zaskakujących zmianach tematu. Nadążenie za nią bez kofeiny w organizmie wydawało mu się niemożliwe.

Idąc ku niemu, poprawiła okulary na nosie.

– Co nowego? – spytał.

– Będziesz potrzebny w czasie festynu bożonarodzeniowego. – Mówiła do Bena, ale nie spuszczała oczu z dzieciaków spieszących do szkoły. – Wyrzuć tę śnieżkę, Jeremia!

– Sądziłem, że skoro dzieci są już statecznymi piątklasistami, same będą pilnować straganów. – Miał wrażenie, że trafił do jakiejś bezkofeinowej dystopii, w której nic nie ma sensu. Niewykluczone, że podczas ostatniego zebrania Rady Rodziców zajmował się głównie przeglądaniem poczty w telefonie, ale doskonale pamiętał, że mówiono o powierzeniu dzieciom odpowiedzialności.

– Będą, ale dorośli muszą dopilnować pewnych spraw, choćby wydawania reszty oraz tego, żeby nie wszystkie ciasta zostały cichaczem pożarte przez sprzedawców.

Ben omal nie jęknął w głos. Powinien to przewidzieć. Obowiązki dzieci zawsze były obowiązkami rodziców. Jeszcze jeden problem na głowie.

– Wystarczy, jeśli zapiszesz się na jeden trzygodzinny dyżur, żeby Astrid mogła wziąć udział w festynie...

– Trzygodzinny?

Nie wspominając o czasie, który tracą na pieczenie pierników i pakowanie ich w małe, śliczne pudełeczka. O zakupach, o wożeniu Astrid w tę i z powrotem... Nikt nigdy nie wspominał o tych sprawach, gdy proponował: „Zorganizujemy dobroczynny festyn bożonarodzeniowy. Będzie dobra zabawa”.

– Jeśli naprawdę nie chcesz, mogę cię zastąpić – zaoferowała się Elinor, ale Ben odruchowo pokręcił głową.

– Nie, zajmę się tym. – Nie chciał nigdy usłyszeć, że uchyla się od obowiązków. – Gdzie mam się wpisać?

Elinor wydobyła tablet z przestronnej kieszeni płaszcza.

– W dowolnym pustym polu.

Ben przejrzał pospiesznie wolne godziny, szukając takiej, w którą mógłby się wstrzelić w grudniową niedzielę. Jak co roku miasto ogarniał świąteczny szal, a to oznaczało dlań milion spraw do załatwienia. Co gorsza czuł, że musi ogarnąć je wszystkie co do jednej – dla Astrid.

Już w weekend Święta Dziękczynienia zajął się bożonarodzeniowymi ozdobami przed domem – bo Katie zawsze robiła to wcześniej niż inni, a on nie chciał zawieść Astrid – ale zakupy wciąż miał przed sobą. I pakowanie prezentów. I wypychanie Mikołajowej skarpety. A teraz jeszcze pieczenie pierniczek oraz naprawę cholernej pralki i ekspresu. A przecież trzeba też posprzątać w pokoju gościnnym, bo za trzy tygodnie mają przyjechać rodzice. Nie chciał także usłyszeć od nich, że nie dokończył rozrębanej roboty wokół domu.

Potrzebował klona.

– Tak z ciekawości: próbujesz wystraszyć dzieciaki?

– Co? – Uniósł głowę znad tabletu i poniewczasie uświadomił sobie, że Elinor właśnie naśladuje jego posępną minę. – Uroczo.

– Jako twoja przyjaciółka chyba powinnam cię ostrzec. Ludzie zaczynają gadać. – Zmarszczyła nos, aż zsunęły się jej okulary. – Możliwe, że słyszałam nawet imię Ebenezer.

– Żaden ze mnie Scrooge – warknął nieco ostrzej, niż zamierzał. – Po prostu żyję w stresie. Mam kupę spraw do załatwienia. – I nie piłem dziś kawy, dorzucił w myślach.

– Stres szkodzi mózgowi – skomentowała beztrosko Elinor. – Niedawno czytałam artykuł o tym, że zmusza umysł do przejścia w tryb reakcji, odcinając te jego części, które odpowiadają za kreatywność i rozwiązywanie problemów. Czy wiesz, że wystawienie mózgu przez dłuższy czas na działanie hormonów stresu może zmodyfikować jego biochemię i wywołać u człowieka depresję? Fascynujące, nieprawdaż?

Coś pięknego. Świetlana przyszłość przede mną.

– Owszem, fascynujące. I jakże pomocne. Dziękuję.

Elinor wzruszyła ramionami.

– Tak tylko mówię. Znajdź sobie sposób na odstresowanie.

– Już lecę. Zaraz po Bożym Narodzeniu. – Wstukał swoje nazwisko w losowo wybrane wolne pole i zwrócił tablet Elinor. Będzie jak zawsze, pomyślał. Coś się wykombinuje, żeby się udało.

Dzwonek już dawno wybrzmiał i wszystkie dzieci zniknęły za drzwiami szkoły.

– Kaye Berry zawsze twierdziła, że nieźle z ciebie ciacho, a teraz jest rozwódką, więc...

– Nie – wpadł jej w słowo Ben, zanim nabrała rozpędu. – Nie będę się umawiał z żadną z mam z klasy Astrid. Muszę najpierw zrobić to, co mam do zrobienia, zanim zajmę się czymś... albo kimś innym.

I naprawdę nie czuł się na siłach, żeby wziąć na siebie kolejny obowiązek. Żadnych psów. Żadnych randek. Żadnych przedświątecznych wariactw wymagających wysiłku. Najważniejsza była

Astrid. Musiał znaleźć sposób na to, żeby zapewnić jej takie życie, jakie powinna mieć – z dużym ogrodem i psem w planach – i nie mógł teraz skupiać się na niczym innym. Był to winien Katie i Paulowi. Musiał jeszcze tylko poszukać odpowiedzi na jedno pytanie: jak tego dokonać?

ROZDZIAŁ 2



No, dalej, Bażant. Spójrz na mnie. Śmiało, maleńki.

Ally Gilmore, fotografka z branży modowej, kuciała właśnie przed najobficiej się śliniącym buldogiem świata, z aparatem w jednej ręce i piszczącą gumową zabawką w drugiej.

Nigdy nie miała oporów przed przyjęciem choćby najmniej wygodnej pozycji, byle tylko uzyskać pożądane ujęcie, ale zazwyczaj miała do czynienia z modelkami o kanciastych ciałach i ustach złożonych w ciup, a żadna z nich nie miała ani pofałdowanej skóry, ani białej sierści.

Z drugiej strony założenia były takie same: sprzedać produkt. Niech obiekt na zdjęciu wydaje się jak najbardziej ponętny. Nawet jeśli jest niemożliwie zaślinionym czworonogiem z najdłuższym stażem w schronisku dla zwierząt „Kosmaci Przyjaciele”. Biedaczysko trafił tam trzy lata wcześniej jako bezpieczny pies i do tej pory nie znalazł nowego domu, choć dziadkowie Ally robili wszystko, by objawić światu jego niebanalną urodę.

Owszem, miał wystającą żuchwę, jego oczy były różnej wielkości i ślinił się rzeświście, gdy był pobudzony... albo głodny... albo gdy spał... albo w dowolnym momencie, ale przecież zasługiwał na miłość tak samo jak wszyscy jego kosmaci przyjaciele. Ally zaś się uparła, że na stronę internetową trafi doskonały portret Bażanta, a to sprawi, że ktoś wreszcie go pokocha.

Jeśli Bażant w końcu przestanie lizać obiektyw.

– Daj już spokój, skarbie. Współpracuj trochę. Potem mi podziękujesz.

Jej bernardyn, Colby – najbardziej leniwy zwierzak na całej planecie, gotów przespać okrągłą dobę, gdyby nie to, że przegapiłby pory posiłków – nagle uniósł łeb i spojrzał w stronę klatek. Ułamek sekundy później chór psich głosów poniósł się echem pod łukowatym sklepieniem budynku.

– Bunia? – zawołała Ally, przekrzykując szczekanie.

Było zdecydowanie za wcześnie na klientów poszukujących zwierzaka. Zwłaszcza że było ich tak niewiele, odkąd trzy tygodnie temu Ally przybyła do Pine Hollow. Dziadkowie mówili jej, że to taka pora roku, że wszyscy myślą tylko o Święcie Dziękczynienia i Bożym Narodzeniu, ale ona podejrzewała, że przestarzała strona internetowa też nie jest bez znaczenia. I dlatego właśnie teraz, pierwszego grudnia, wstała ciemnym rankiem specjalnie po to, by zmierzyć się z tym problemem.

– Co tam, dziewczyno? – odrzyknęła babcia.

Szczekanie nie milkło.

– Tu jestem! – powiedziała Ally, w ostatniej chwili cofając aparat przed mokrym jęzorem Bażanta.

– Co robisz? – spytała babcia, wyłaniając się zza ściany. Niosła pudło zdecydowanie zbyt ciężkie dla starszej pani, która niespełna dwa miesiące wcześniej zerwała więzadła w stawie barkowym.

– Zdjęcia na stronę internetową. – Ally wybiegła z klatki Bażanta i odłożyła aparat, by odebrać od babci wielki karton psich przysmaków Milk-Bone. – Co ty wyrabiasz? I gdzie twój temblak?

– Och, już nie jest mi potrzebny. Przecież miał być tylko na pierwsze parę tygodni.

– Przykucnęła, żeby podrapać za uszami Colby’ego, nim przywita się z Bażantem.

Rita Gilmore miała zaledwie pięć stóp wzrostu, co czyniło ją o dwa cale niższą od Ally, ale ktoś zwracałby na to uwagę? Burzę siwych, niesfornie kręconych włosów ukryła tego dnia pod jaskrawoczerwoną czapką z włóczki, lecz mimo to emanowała z niej swoista dzikość – Bunia była jak zwierzę urodzone na swobodzie, które nigdy nie dało się poskromić. I może była to cecha godna pochwały, ale nie wtedy, gdy manifestowała się oślim uporem grożącym permanentnym uszkodzeniem stawu barkowego.

– Lekarze mówili, że kontuzja może się odnowić...

Babcia zbyła obawy Ally lekceważącym machnięciem ręki.

– Lekarze muszą tak gadać, żebym nie mogła ich pozwać, jeśli znowu coś mi się stanie i uznam, że to ich wina. Ale nic mi nie jest, więc daj spokój.

Ally musiała sięgać coraz głębiej w pokłady cierpliwości. Odkąd przyjechała do Pine Hollow, słyszała ten refren nieustannie. Nic mi nie jest. Daj spokój. Nie pomagaj. Nie rób i nie mów niczego, co sugerowałoby, że jestem zbyt stara, by żyć samodzielnie.

A przecież była. Zwichnęła staw i zerwała więzadła, nie wykonując żadnych ciężkich prac – po prostu wyprowadzała psa. Owszem, był to Maximus, niezbyt czystej krwi wilczarz irlandzki wielkości kuca, nie do końca świadomy własnej siły, ale jednak... Bunia nie mogła już udawać, że dwoje ludzi po osiemdziesiątce może bez niczyjej pomocy unieść brzemień prowadzenia schroniska dla psów. Ally miała powody, by obawiać się o dziadków.

Jednym z nich było to, że przez parę tygodni nawet się nie przyznali, że Bunia miała wypadek. Nie chcieli jej niepokoić. Nie chcieli wyrwać jej siłą z życia, które wiodła w Nowym Jorku, tylko po to, żeby im pomogła. Dziadek pracował ponad siły, byle tylko nie dopuścić, by babcia przedwcześnie zrzuciła temblak, co zresztą chciała zrobić, gdy tylko wróciła od chirurga. Kiedy Ally przybyła do Pine Hollow z weekendową wizytą i ujrzała, co się dzieje, zrobiła to, co uznała za konieczne: rzuciła wszystko i została na dłużej.

Tak się złożyło, że umowa najmu nowojorskiego mieszkania właśnie dobiegała końca, a od dawna planowana sesja fotograficzna w terenie została odwołana – Ally zaczynała już czuć niepokój. Nie po raz pierwszy się zastanawiała, czy naprawdę chce zostać w Nowym Jorku. Kontuzja Buni była jak grom z jasnego nieba, jak drogowskaz objawiony jej przez opatrność: jest potrzebna w Pine Hollow. Oto miała okazję spędzić Święta z jedyną rodziną, która jej pozostała, raz jeszcze wchłonąć wprost nierealny bożonarodzeniowy klimat małego miasteczka i przemyśleć, czego rzeczywiście pragnie – a przy okazji pomóc w prowadzeniu schroniska.

Tyle że jej dziadkowie mieli moralne opory przed przyjęciem takiego wsparcia.

Bunia zmarszczyła brwi, widząc aparat leżący na ławce przy klatce Bażanta.

– Nie musisz tego robić, moja droga.

– Ale chcę. – Ally postawiła karton przy wejściu do magazynu i odwróciła się do babci.

– Wiem, że nie chcecie nowej strony internetowej, bo tę, którą macie, ktoś wam podarował, ale to było dziesięć lat temu. I zaufaj mi: bardzo wielu ludzi szuka dziś zwierzaków właśnie w sieci. Chcą oglądać zdjęcia i czytać uroczne opisy.

– Ludzie nie zakochują się w fotografiach. Mam rację, Bażant? Pewnie, że mam.

– Moja praca polega w gruncie rzeczy na sprawianiu, by zachwycali się tym, co zobaczą na zdjęciach – odparowała Ally, sięgając po aparat. – Lecz nawet jeśli masz rację, jeśli ludzie nie adoptują zwierząt, bazując na tym, co widzieli w Internecie, to dobre fotki mogą ich przynajmniej przyciągnąć do drzwi naszego schroniska. A może i krótkie, zabawne filmiki? Możemy założyć konta na Twitterze i Instagramie. Niech ludzie zobaczą, jakie psy tu mamy. Może właśnie w tej chwili na Petfinderze ktoś szuka buldoga albo wilczarza? Trzeba pokazać, co mamy, a do tego jest niezbędna o dziesięć lat świeższa strona internetowa.

– Wszystkie te sieciowe banialuki są zbyt zawile dla twojego dziadka i dla mnie. Wiem, że chcesz pomóc, ale do tej pory nasze metody sprawdzały się znakomicie. W swoim czasie każdy z tych futrzaków znajdzie sobie nowy dom.

– A co by nam szkodziło, gdyby dzięki nowocześniejszej stronie internetowej znalazły go szybciej?

– Nie poradzimy sobie z obsługą. A ty powinnaś przede wszystkim cieszyć się świątecznym urlopem. – Bunia zdrową ręką chwyciła Ally pod ramię, by pohołować ją w stronę wyjścia. Colby westchnął ciężko, podniósł się bez entuzjazmu i podreptał za nimi. – Czy nie wspominałaś, że chętnie połączyłabyś po mieście i zrobiła parę zdjęć rynku, zanim ludzie zdeptają świeży śnieg?

– Wspominałam – przyznała Ally – ale i na to znajdę czas. Naprawdę chętnie wam pomogę, nie

tylko ze stroną internetową. Chcę się przydać.

– I przydajesz się, kochanie. – Bunia poklepała ją czule po ramieniu. – Zresztą właśnie dlatego tu przyszedłam: chciałam cię prosić, żebyś dziś po południu popilnowała interesu.

Ally czuła, że babcia na poczekaniu wymyśliła to życzenie, by ją udobruchać, ale nie zamierzała robić z tego afery. Skoro pojawiła się szansa na to, by w spokoju przygotować trochę zdjęć do nowej strony internetowej, należało ją wykorzystać.

– Oczywiście. Wybieracie się dokądś?

– Twój dziadek chce wziąć udział w turnieju pokerowym na osiedlu. Ale długo nie zabawimy, tam nic nigdy nie trwa do późna.

Osiedle emerytów Summerland, położone na skraju miasteczka, na pierwszy rzut oka bardziej przypominało ekskluzywny country club niż instytucję opiekuńczą dla seniorów. Prócz pola golfowego i basenów znajdowały się tam jednak także domy oferujące stałą lub okresową opiekę pielęgniarstwa dla pensjonariuszy, którzy jej potrzebowali – lub mieli potrzebować za kilka lat.

Bunia zawsze głośno deklarowała, że prędzej padnie trupem, niż przekroczy próg jakiegoś domu opieki. Jeżeli miała kiedyś opuścić swoje cztery kąty, to tylko nogami do przodu. W ostatnich latach jednak tak wielu pokerowych kumpi dziadka przeniosło się do Summerland, że spędzał tam niemal tyle samo czasu co w domu. Było tam naprawdę pięknie, ale Ally cieszyła się w duchu, że dziadkowie nie wykazują chęci zamieszkania na osiedlu. Swobody miała dość na co dzień, a tylko u nich czuła się jak w domu.

Zdjęła kurtkę z kołka przy drzwiach frontowych i opatuliła się nią szczelnie. Przytrzymała drzwi dla Buni i Colby'ego, a potem razem ruszyli w stronę domu, z chrzęstem znacząc ślady w śniegu okrywającym żwirowy podjazd.

Przestronny biały dom tonął w bożonarodzeniowych ozdobach – rzędy migających lampek okalały ganek, girlandy zdobiły tralki balustrady, a nad drzwiami wisiał piękny wieniec – ale Bunia uważała, że należałoby jeszcze przystroić stodołę. Jak zawsze rzuciła się w wir świątecznych przygotowań zaraz po Święcie Dziękczynienia, a Ally i dziadek mogli co najwyżej próbować dotrzymać jej kroku i pilnować, by nie nadwężała kontuzjowanego ramienia. Rita Gilmore po prostu uwielbiała tę porę roku, a tym razem wykazała się jeszcze większym fanatyzmem niż zazwyczaj. A może tak się tylko wydawało, bo po raz pierwszy od dawna Ally mogła na własne oczy oglądać ją w akcji?

I na to jednak nie zamierzała się skarżyć. Zastryk świątecznej atmosfery miał na nią zbawienny wpływ. Zbyt wiele lat minęło, odkąd po raz ostatni czuła ten niepowtarzalny klimat ciepła i spokoju. Uwielbiała Boże Narodzenie w Nowym Jorku, powódź świateł i gorączkę zakupów, ale ilekroć wracała na Święta do Pine Hollow, do dziadków, czuła to samo pozytywne skupienie, które pokochała już w dzieciństwie. To miejsce zawsze było dla niej magiczne; nigdy nie wyzbyła się tego przekonania.

– No idź, porób sobie te zdjęcia – zachęciła ją Bunia. – Wyjdź z domu, zabaw się trochę w mieście. Nie mamy z dziadkiem monopolu na twoją obecność.

Ally delikatnie uściśnęła ramię babci.

– Lubię, kiedy macie na mnie monopol.

Gdy przyjechała do Vermontu, chciała jedynie nacieszyć się bliskością rodziny i popracować trochę przy psach. W ostatnich latach pracowała jako wolny strzelec i często podróżowała, bo tego wymagał od niej zawód, który wybrała. To oznaczało, że miała sporo czasu dla siebie, i w końcu dopadło ją poczucie osamotnienia. Brakowało jej kogoś, z kim mogłaby dzielić codzienność.

Bunia miała jednak rację: jeśli Ally chciała w pełni doświadczyć świątecznej atmosfery w Pine Hollow, nie mogła od rana do nocy kręcić się po schronisku. Czuła, że wypad do miasta dobrze jej zrobi.

Kwadrans później szła już długim podjazdem, w szaliku owiniętym wokół szyi i z aparatem fotograficznym w dłoni.

Pine Hollow stanowiło kanwę wszystkich jej wyobrażeń o miasteczku idealnym. Każdy kwartał

domów zdawał się ucieleśniać wizję z kolejnej bożonarodzeniowej pocztówki. Po jednej stronie miała kryte mostki nad rzeką i krętą drogę do ośrodka narciarskiego. Z drugiej – urokliwy rynek z altaną w narożniku. Wszystko to przyprószył świeży śnieg, nie pierwszy i nie ostatni tej spokojnej zimy.

Trzymając aparat oburącz, ruszyła spacerowym krokiem w stronę rynku, filtrując rzeczywistość szkłem obiektywu. Zabytkowy ratusz. Uroczy mały zajazd. Nieliczni przechodnie zajęci codziennymi sprawami mijali ją od czasu do czasu, nie zakłócając niesamowitego spokoju tego grudniowego poranka. Powietrze, czyste i rześkie, przyjemnie chłodziło płuca.

W pamięci Ally kołatały się słowa świątecznych piosenek. Mimowolnie zaczęła nucić dawne melodie, niespiesznie maszerując ku sercu miasteczka. Im bliżej była rynku, tym wyraźniej słyszała rozkazujące głosy, aż wreszcie, gdy wychynęła zza węgła ostatniego budynku, zobaczyła, co się dzieje na placu.

Kilka osób pomagało przy rozładunku ogromnej choinki, na której już za tydzień miała się pojawić świąteczna iluminacja. Ally zbliżyła się nieco, szukając lepszego kadru – i właśnie wtedy jak na zawołanie zza rogu wyjechały sanie zaprzężone w konie. Czy mogła marzyć o bardziej świątecznej scenie?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha i cofnęła nieco, by uwiecznić też i sanie. Nie miała przy sobie obiektywu szerokokątnego, ale gdyby odsunęła się jeszcze na kilka kroków...

Wesołe dzwonki rozbrzmiały tuż nad jej głową. Skupiona bez reszty na wizjerze aparatu cofnęła się odruchowo jeszcze bardziej...

I zderzyła z czymś twardym.

– A żeby cię... – Ceglany mur za jej plecami nie dokończył przekleństwa, a zawstydzona Ally obróciła się na pięcie, opuszczając aparat.

– Przepraszam! Nie chciałam... – Słowa uwięzły jej w krtani, gdy spojrzała wyżej.

I wyżej.

I wyżej, ponad szerokimi ramionami i ciemną zmierzwioną brodą. Tam, gdzie jaśniały przenikliwe oczy, błękitne jak zimowe niebo. Tym, co podeszło jej do gardła, blokując wszelkie słowa, musiało być jej serce. Odruchowo zacisnęła mocniej palce na obudowie aparatu, gdy uświadomiła sobie, że Rosły, Ciemnowłosy i Zmierzwiony spogląda na nią z góry dość gniewnym wzrokiem.

I ocieka.

W dłoni ścisnął zgnieciony jednorazowy kubek po kawie, która w większości właśnie wsiąkała w jego koszulę pod rozpiętą kurtką.

– Oj! – jęknęła Ally. – Pańska koszula...

ROZDZIAŁ 3



Zdecydowanie nie był to najłatwiejszy dzień w życiu Bena.

Kolejka w Cup nie miała końca, więc podjął szybką decyzję o zaspokojeniu kofeinowego głodu w piekarni Magdy. W skroniach czuł już dotkliwe pulsowanie, a jego cierpliwość się wyczerpywała – zapewne właśnie dlatego Gayle Danvers, szefowa miejskiego Komitetu do spraw Szopki Świątecznej, wybrała właśnie tę chwilę, by wystąpić przed nim z piętnastominutową tyradą: teatr, w którym miało się odbyć przedstawienie, rozpaczliwie potrzebował nowej kurtyny, więc może udałoby się znaleźć na nią pieniądze w miejskim budżecie?

Odmówił. Jego praca bardzo często polegała właśnie na tym: na odmawianiu. Ktoś musiał być realistą. Ktoś musiał liczyć się z kosztami.

Nie na taką odpowiedź liczyła jednak Gayle. Ben nie mógł się oprzeć wrażeniu, że według mieszkańców miasta wystarczy nękać go wystarczająco długo, by osiągnąć dowolny cel, a że niekiedy opierał się skutecznie ich życzeniom, coraz więcej ludzi miało o nim jak najgorsze zdanie. Jego życie było jednym wielkim sprawianiem bliźnim zawodu.

Gayle nie miała jednak prawa oskarżać go o próbę zrujnowania wszystkim Bożego Narodzenia, zwłaszcza w chwili gdy marzył o jednym, skromnym kubku kawy, bez której jego głowa w każdej chwili mogła eksplodować.

Kiedy więc Magda wreszcie go obsłużyła, praktycznie wybiegł na ulicę ze swym łupem.

Owszem, może poruszał się odrobinę zbyt szybko, ale przecież musiał uciec, zanim ktoś inny przysię się do niego, żeby zażądać pieniędzy z miejskiej kasy. To nie jego wina, że tej turystce zachciało się chodzić tyłem! Wpadła wprost na niego, zanim zrobił unik, żeby ocalić swoją kawę.

Nie zdołał wziąć nawet łyka, a już gorąca zawartość tekturowego kubka spływała mu po piersi. Zdążył tylko odciągnąć bawełnianą tkaninę od skóry, unikając poparzeń drugiego stopnia, za to teraz chłodne zimowe powietrze w szybkim tempie zmieniało jego ostatnią półczystą koszulę w lepką, zdecydowanie nieprzyjemną w dotyku szmatę.

A wszystko przez tę cholerną turystkę zajętą gapieniem się Bóg wie na co.

Była niewysoka, ale kok z czarnych, kręconych włosów dodawał jej co najmniej dwa cale wzrostu. Mimo mikrej postury staranowała go z impetem dorodnego futbolisty. I jak typowa turystka ścisnęła w rękę wielki aparat fotograficzny. Jakby Pine Hollow było Krainą Bożego Narodzenia w jakimś lunaparku, pomyślał Ben. Przyjechała sobie tu dla rozrywki.

– Bardzo przepraszam – odezwała się znowu nieznajoma. Miała jedną z tych uroczych, krągłych buź, które zdają się wołać: „Halo, tu miła dziewczyna!”, choć akurat w tej chwili nieco przesadnie wykrzywioną grymasem żalu i współczucia. – Nie patrzyłam za siebie i...

– Zauważyłem – warknął w odpowiedzi Ben, wciąż trzymając dwoma palcami przemoczoną koszulę.

– Chciałam sfotografować choinkę, a z za rogu akurat wyjechały sanie – tłumaczyła niezrażona, wskazując kciukiem na plac. – Tak mi przykro. Zapłacę za czyszczenie.

Ben starannie unikał ubrań, które wymagały czyszczenia chemicznego, ale jej słowa przypomniały mu, że jego pralka ogłosiła strajk. Prawo Murphy’ego, pomyślał ze złością.

– Ależ nie, wszystko gra.

Wcale nie grało.

– To może przynajmniej odkupię panu kawę...

– Nie mam czasu na kolejną kawę – wpadł jej w słowo. Ostre słowa przychodziły mu tym łatwiej, że w jego skroniach wciąż w najlepsze pulsował kofeinowy ból. – Już jestem spóźniony do

pracy, a teraz jeszcze muszę jechać do domu, żeby się przebrać. A wszystko dlatego, że jakiejś turystce się wydaje, że moje miasto to świąteczna dekoracja ustawiona dla jej widzimisię. Wie pani, że tu mieszkają ludzie? Nie jesteśmy tłem dla fotografii.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Przecież nie mówiłam, że...

– Może następnym razem będzie pani bardziej uważna, zamiast tkwić w błogim przekonaniu, że cały świat kręci się wokół pani i jej aparatu.

Współczująca mina „miłej dziewczyny” rozplynęła się w mgnieniu oka, a w ciemnobrązowych oczach błysnęły ogniki.

– Próbuje pana przeprosić za ten wypadek. Przecież nie wpadłam na pana celowo.

– Co za ulga. Gdyby celowo oblewała pani przechodniów kawą, mielibyśmy znacznie poważniejszy problem. – Doskonale wiedział, że zachowuje się jak palant, ale jakoś nie mógł powstrzymać potoku słów napędzanych frustracją narastającą od samego rana, w rytmie wybijanym gdzieś w jego mózgu przez małego kawowego dobosza.

– Przepraszam – powtórzyła dziewczyna z naciskiem, prostując się odruchowo. – Ma pan jakiś problem?

Drzwi piekarni znowu się otworzyły przy wotrze wesołych dzwonek.

Problemem Bena była zepsuta pralka. I nieczynny ekspres. Remontowe plany, które się nie ziściły. Niekończące się wyzwania związane ze stanowiskiem Paula w radzie miejskiej i obowiązkami Katie w Radzie Rodziców. Poczucie winy, które go gryzło, bo nie umiał nawet postarać się o ogród i psa, o którym marzyła Astrid. Uczucie, że rozczarowuje wszystkich i zostaje w tyle, coraz dalej.

To był jego problem.

A teraz jeszcze wyładowywał frustrację na obcej kobiecie, przypadkiem spotkanej na miejskim rynku. Brawo, West, pomyślał. Wzorzec jak się patrzy. Jego stary kumpel, Wyrzut Sumienia, ocknął się z drzemki.

– Niech pani po prostu uważa – wymamrotał ponuro. – To nie Kraina Świąt.

Ominął Ally i w tej samej chwili pochwycił spojrzenie Gayle Danvers, która stała przed drzwiami piekarni, obserwując go w milczeniu.

Tylko tego brakowało.

Teraz całe miasteczko dowie się o jego zachowaniu. Ben kontra turystka. Idealny początek świątecznego sezonu.

Czuł, że płoną mu policzki, gdy kłaniał się sztywno swej publiczności.

– Pani Danvers – bąknął, ruszając w stronę domu Katie i Paula, by poszukać suchego ubrania. Wiadomość dnia, pomyślał: jestem przegryw, kropka.



– Nie przejmuj się nim.

Ally oderwała wzrok od odchodzącego Rosłego, Ciemnowłosego i Wrednego, by spojrzeć na starszą kobietę pod piekarnią.

– To nasz miejscowy Scrooge – wyjaśniła Gayle. – W każdym miasteczku musi się trafić ktoś taki, czyż nie?

Ally uśmiechnęła się niepewnie.

– Pewnie tak.

Czuła, że sama nie jest bez winy. Rzeczywiście nie uważała, skupiona bez reszty na tym, co widziała przez obiektyw – tylko dlatego wpadła na tego mężczyznę. On zaś był osłem, skoro nie chciał przyjąć przeprosin i potraktował ją tak, jakby zrobiła to celowo. Jednakże faktycznie, choć przypadkowo, oblała go kawą.

– Naprawdę nie martw się – dorzuciła kobieta, podchodząc bliżej, by poklepać ją po ramieniu.

– Jesteś wnuczką Rity i Hala, prawda? I fotografką? – Ruchem głowy wskazała aparat w rękach Ally.

– No... tak. To ja.

Gayle się rozpromieniła.

– Pewnie mnie nie pamiętasz, ale znałam cię, gdy byłaś taka mała – wyjaśniła, kładąc dłoń na wysokości pasa. – Przyjeżdżałaś tu z rodzicami. Gayle Danvers. Mieszkam przy tej samej ulicy co twoi dziadkowie.

– Ach... tak, oczywiście. Pani Danvers. Miło panią znowu spotkać.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że robisz coś naprawdę pięknego, odkładając na później własne życie, żeby pomóc dziadkom. Ilu ludzi byłoby stać na takie poświęcenie?

– Jakie tam poświęcenie...

– Owszem, poświęcenie – powtórzyła Gayle tak stanowczo, że Ally skrzywiła się w duchu.

– I nie daj sobie wmówić, że jest inaczej. Dobra z ciebie dziewczyna, Ally Gilmore – dodała, raz jeszcze klepiąc ją poufale po ramieniu. – I niech Ebenezer West jak najszybciej uleci z twojej pamięci.

Skrepowana i milcząca Ally z krzywym uśmiechem na ustach odprowadziła wzrokiem panią Danvers. Nie, zdecydowanie nie przyjechała do Pine Hollow dlatego, że jest święta. Przyjechała, ponieważ tego potrzebowała.

Choinka stała już dumnie na rynku, górując nad altaną. Ally pamiętała, że ma przy sobie aparat, ale czar fotografowania miasteczka podczas porannego spaceru jakby przysł. Pstryknęła tylko jeszcze jedno zdjęcie placu i sań – głównie po to, żeby zrobić na złość wrednemu miłośnikowi kawy – a potem wcisnęła aparat pod kurtkę i ruszyła w drogę powrotną.

Zerwał się zimny wiatr i odruchowo pochyliła głowę. Maszerując, daremnie próbowała wyrzucić z pamięci incydent z miejscową wersją Ebenezera Scrooge'a. Tak świetnie się czuła, zanim na niego wpadła! To fakt, może i miała przed oczami wyimaginowaną wersję tego miasteczka – ową nieostrą wizję szczęśliwości rodem z filmów w świątecznym klimacie – ale czy to aż taka zbrodnia? Owszem, mogła bardziej uważać, ale czy to usprawiedliwiało tak nieuprzejmą reakcję?

W owym ułamku sekundy, zanim objawił swą osobowość, nieznajomy wydał jej się nawet atrakcyjny. Sześć stóp wzrostu, ciemne włosy, imponująco szerokie bary, do tego błękitne oczy... Z tą zmierzwioną brodą przypominał raczej seksownego drwala niż siwowłosego skąpca z opowiadania Dickensa, ale skoro naturą bliższy był Scrooge'owi, nie zasługiwał nawet na cal przestrzeni w jej umyśle.

Naturalnie wciąż o nim myślała po południu, gdy dziadkowie wybrali się na pokera do Summerland, a ona zamknęła się w gabinecie, by popracować nad nową stroną internetową. Próbowała się skupić, ale nie mogła zapomnieć niefortunnego spotkania w rynku.

Colby leżał na jednym z obszarpanych psich posłań porozkładanych w kątach biura i pochrapywał z cicha. Większość jego pobratymców w schronisku także drzemała, więc szczekanie nie zakłócało koncertu Trans-Siberian Orchestra sączącego się z głośnika starego radia. Ally straciła poczucie czasu, zajęta ładowaniem nowych zdjęć i uaktualnianiem opisów. Minęły może minuty, a może godziny, nim Colby uniósł łeb i szczeknął cicho, spoglądając ku otwartym drzwiom.

Ally przekrzywiła głowę, by wyrzeć z pokoju, i w tej samej chwili skrzypnęły frontowe drzwi schroniska.

– Halo? – zawołał niepewny głos.

Odpowiedział mu chór psów zbudzonych niespodziewaną wizytą.

Klient.

Ally ożywiła się w jednej chwili.

– Już idę! – odkrzyknęła, wychodząc zza biurka. Nawet Colby podniósł się niechętnie i poczłapał za nią. – Niebawem, Colb. Żywa dusza.

Otworzyła drzwi biura na oścież, uśmiechając się przyjaźnie – i dzielnie utrzymała ów uśmiech, gdy zobaczyła, kto stoi u wejścia do schroniska.

Dwie dziewczynki rozglądały się z wahaniem, zaciskając dłonie na szelkach swych plecaków. Ally zbyt rzadko miała do czynienia z dziećmi, by od razu odgadnąć ich wiek, ale obstawiała, że nie od

wczoraj chodzą do podstawówki. Były wystarczająco duże, by same chodzić po mieście, a jednocześnie na tyle młode, że nie doszedł w nich jeszcze do głosu trudny charakter nastolatek.

Niestety były też zdecydowanie zbyt młode na to, by bez zgody rodziców adoptować psa.

ROZDZIAŁ 4



Dzień dobry. – Ally powitała dziewczęta, zerkając przy tym na drzwi w nadziei, że ich rodzice jednak się pojawią. Z radia płynęły teraz tony bluesowej wersji *White Christmas*. – W czym mogę wam pomóc?

Koleżanki zbliżyły się do siebie o pół kroku, jakby wzajemną bliskością chciały dodać sobie odwagi. Jedna była nieco wyższa i szczuplejsza, z burzą rudych loków; druga raczej drobna, nosiła okulary, a jej buzię okalały czarne warkoczki.

Colby dotarł do celu z maksymalną prędkością – był mniej więcej w połowie tak szybki jak przeciętny żółw – a dziewczynki natychmiast wbiły w niego przejęte spojrzenia. Wydawały się jednak bardziej zafascynowane niż wystraszone obecnością wielkiego psa.

– Nie gryzie – zapewniła je Ally. – Ale nie jest przeznaczony do adopcji. Wabi się Colby.

– Cześć, Colby – zaćwierkały dziewczęta zgodnym chórem, wyciągając ku niemu dłonie w ciepłych rękawiczkach.

Colby obwąchał je bez entuzjazmu, a następnie, uznawszy najwyraźniej, że marsz na dystansie dziesięciu stóp to wystarczająca dawka ćwiczeń aerobowych na jeden dzień, westchnął dramatycznie i opadł na posadzkę, na powrót przyjmując kształt rozlanego pagórka w kolorze bernardyna.

– Nie czujcie się obrażone tym brakiem gościnności. Jedyną rzeczą, którą Colby ceni wyżej niż sen, jest jedzenie. Przyszłyście z rodzicami?

Dziewczęta wymieniły niespokojne spojrzenia. W milczącym porozumieniu wyprostowały się i zadarły podbródki, jakby sposobiły się do walnej bitwy.

– Jestem Astrid – powiedziała wyższa – a to Kimber.

Ally skinęła głową.

– Ally. Miło mi was poznać.

Niższa z warkoczycami, Kimber, wzięła głęboki wdech i oznajmiła:

– Szukamy pracy.

Ally zatrzepotała powiekami, ale udało się jej nie parsknąć śmiechem. W głosie Kimber pobrzmiwała zaskakująca stanowczość. Sprawa musiała być poważna. Nawet jeśli mówiła o niej niepozorna ośmiolatka.

– Prawo chyba nie pozwala zatrudniać dzieci.

– Nie chodzi o prawdziwą pracę – sprecyzowała dziewczynka.

– Chcemy pomagać – dorzuciła rudowłosa Astrid, może mniej stanowczo, ale z taką samą powagą. – Wyprowadzać psy, karmić je...

– Albo kąpać, albo uczyć sztuczek...

– Zrobimy wszystko, co pani każe – zakończyła Astrid. – Wszystko.

Na zewnątrz zapaliła się latarnia. Ally pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Pozwólcie, że zgadnę: rodzice nie pozwalają wam mieć psa, póki nie udowodnicie, że jesteście wystarczająco odpowiedzialne, żeby się nim zajmować, więc przyszłyście tutaj, żeby im to wykazać?

Za szklami okularów oczy Kimber stały się jeszcze większe.

– Skąd pani wie?

Ally uśmiechnęła się szerzej.

– Sama to przerabiałam. Gdy byłam w waszym wieku, tak strasznie chciałam mieć pieska, że aż brakło mi tchu. O niczym innym nie mogłam myśleć.

Astrid z zapalem pokiwała głową, robiąc przy tym mały krok naprzód.

– No właśnie, ja też się tak czuję! Prosimy. Będziemy ciężko pracować.

Ally kusiło, żeby po prostu się zgodzić – między innymi dlatego, że dziewczęta tak bardzo przypominały ją samą sprzed lat, ale także dlatego, że po prostu łaknęła towarzystwa. To jednak nie oznaczało, że mogła tak po prostu zatrudnić dwoje dzieci.

– Wasi rodzice wiedzą, że tu jesteście?

– No pewnie. – Spojrzenie Astrid umknęło gdzieś w bok.

A więc nie mają pojęcia. No to pięknie.

Co zatem mogła uczynić w tej sytuacji? Donieść rodzicom na dziewczęta tylko dlatego, że nie spytały o pozwolenie? Czy coś by się stało, gdyby pozwoliła im czasem wyprowadzić psy? Na początek może Freda i Ginger. Leciwe prawie jamniki były na smyczy istnymi aniołami; nie sprawiłyby dziewczynkom najmniejszego problemu. A gdyby dobrze poszło, Astrid i Kimber mogłyby czasem porzucać piłkę z Harry na tylnym wybiegu – suczka owczarka australijskiego nie miała w sobie ani krzty agresji, ale musiała się wybiegać.

To wszystko wydawało się całkiem nieszkodliwe, ale gdyby któraś z dziewcząt choćby zdarła sobie skórę na kolanie, podczas gdy rodzice nic by nie wiedzieli o ich nowym zajęciu...

– Przykro mi, ale... – zaczęła Ally.

Żwir na podjeździe zachrzącił pod kołami samochodu i z klatek znowu dobiegło chóralne szczekanie.

– Ale my naprawdę potrafimy obchodzić się z psami – odezwała się błagalnym tonem Astrid.

Zaraz potem zza drzwi dobiegło wołanie i Ally odetchnęła z ulgą; chwilowo nie musiała łamać dziewczętom serc.

– Hop-hop!

Nawet Colby nie mógł zignorować znajomego głosu i uniósł łeb, nasłuchując. Ally pomyślała, że Bunia na pewno będzie wiedziała, czy przyjęcie młodych wolontariuszek to rozsądny krok.

– To moja babcia – powiedziała. – Zapytajmy ją o zdanie. – Wyminęła dziewczynki. Rita właśnie otwierała tylną klapę swego zabytkowego subaru. – Cześć, Buniu.

– Cześć, skarbie – odpowiedziała babcia, nie unosząc głowy znad otwartego bagażnika hatchbacka.

Znów powiał zimny wiatr i Ally, która wybiegła z biura w samym swetrze, odruchowo objęła się ramionami. Astrid i Kimber wyszły na zewnątrz i przystanęły u drzwi dawnej stodoły. Czekały cierpliwie na okazję, by jeszcze coś ugrać w swojej sprawie.

Ally podeszła do samochodu, szukając wzrokiem szofera.

– Gdzie zgubiłaś dziadka?

– Hmm? – Babcia spojrzała na nią przelotnie. – Och, przecież go znasz. Został, żeby posprzątać po turnieju.

Ally zmarszczyła brwi, patrząc na wóz zaparkowany ukosem pośrodku podjazdu.

– I sama wróciłaś do domu?

– Zadzwoiła Selina z Franklin – powiedziała babcia, jakby to miało wystarczyć za odpowiedź. Wciąż pochylona nad bagażnikiem zamruczała coś niezrozumiale, a z wnętrza odpowiedziało jej ciche skomlenie. – Spójrz na tę małą. Porzucili ją. Biegała tam całkiem sama, bo rodzina się wyprowadziła i tak po prostu ją zostawiła. Wyobrażasz sobie coś takiego?

– Buniu – jęknęła Ally, na chwilę ignorując kolejnego psa. – Powiedz, że nie pojechałaś sama aż do Franklin i z powrotem. Przecież wiesz, że nie powinnaś prowadzić. – Stare subaru miało ręczną skrzynię biegów, a babcia miała oszczędzać prawe ramię. – Trzeba było zadzwonić po mnie – ciągnęła. W gruncie rzeczy jednak nie była zdziwiona, że wystarczyła wiadomość o psie w potrzebie, by skłonić babcie do pięćdziesięciomilowej wycieczki. Nikt inny nie miał tak wielkiego serca. Nikt też nie był równie impulsywny.

– A po co? Przejechałam się kawalek, nic mi nie jest. Widzisz? – Bunia żwawo pomachała jej prawą ręką, przy okazji zerkając za plecy wnuczki.

– Cześć, Astrid. Cześć, Kimber.

– Dzień dobry, pani Gilmore – odpowiedziały chórem.

A zatem się znają. Jasne, że tak, pomyślała Ally. Tutaj wszyscy się znają. Wszyscy oprócz mnie, jedyne go głosu rozsądku w tym domu wariatów.

– Jeśli uraz się odnowi, możesz stracić władzę w ramieniu – przypomniała Bunia.

Jej słowa nie zrobiły najmniejszego wrażenia na starszej pani zainteresowanej wyłącznie przenośną klatką, którą miała w bagażniku.

– Na całe szczęście się nie odnowił – odrzekła pogodnie. – Poza tym to był nagły wypadek. Spójrz tylko na ten pyszczek. – Istotnie, uroczy. Psina była zapewne półkrwi spanielem; miała długie, jedwabiste uszy i wielkie, smutne ślepie. – Tak sobie pomyślałam, że moglibyśmy ją nazwać Dolce. Prawda, że elegancka?

Ally nie dała się zbić z tropu.

– A dziadek w ogóle wie, że zabrałaś samochód?

– Oj, wiesz, jaki on jest, gdy już zacznie grać. Wróć tam, zanim się zorientuje, że gdzieś znikłam.

O nie.

– Nie ma mowy, żebyś jechała sama. Odbiorę dziadka, a następnym razem zadzwonisz po mnie. Jestem tu właśnie po to, żeby pomagać w takich sytuacjach.

– Dobrze już, dobrze. – Bunia przewróciła oczami. – Następnym razem zadzwonię. Ale powiedz, czy nie jest słodka?

Ally westchnęła ciężko.

– No jest – przyznała. Chwilowo musiała się poddać, ale zastanawiała się, jaką minę zrobił dziadek, jeśli choć na chwilę oderwał się od gry i zauważył, że Bunia wsiąkła. To on w tym małżeństwie zawsze był głosem rozsądku. I tylko on potrafił skłonić Ritę Gilmore do zrobienia czegoś, na co nie miała ochoty.

– Jeb będzie musiał sprawdzić, czy jest zdrowa i ma komplet szczepień. Nie jestem też pewna, czy została wysterylizowana, ale gdy i tym się zajmiemy, będzie gotowa. – Znajdziemy jej nowy, porządny dom. Prawda, słodziaku?

– Nie mamy dla niej miejsca. – W ostatnich tygodniach przyjmowali więcej psów, niż oddawali. Ścisłe mówiąc, od przyjazdu Ally nie pojawił się jeszcze nikt gotów adoptować czworonoga.

– Na razie więc będziemy ją trzymać w biurze – odrzekła Bunia, jak zwykle machając ręką. – Ale coś czuję, że długo u nas nie zabawi. Ktoś ją weźmie, i to już wkrótce. – To powiedziawszy, posłała promienny uśmiech za plecy Ally. – Moje małe, szukacie może pieska?

Dziewczęta spojrzały po sobie.

– Na razie chcemy tylko pomagać – odpowiedziała Astrid.

– Cóż za piękny pomysł! Jesteście urocze. To może na początek pomożecie mi zapoznać Dolce z naszym biurem?

Ally pomyślała, że powierzenie dwóm małym dziewczynkom nieznanego psa, który potencjalnie może nawet być zarażony wścieklizną, to najkrótsza droga do tego, by spotkać się w sądzie z ich rodzicami. Musiała działać szybko, a na początek nie pozwolić, by Bunia spróbowała dźwignąć ciężką klatkę.

– Ja się zajmę Dolce – powiedziała – a ty pokaż dziewczynkom, gdzie wiszą smycze. Niech zabiorą Freda i Ginger na spacer.

– Świetny pomysł. Pokochacie je – stwierdziła Bunia, biorąc dziewczęta pod ramiona i prowadząc je ku klatkom.

Ally została sama z nieśmiałą spanielką.

Przykucnęła obok bagażnika, by przynajmniej posturą nie potęgować lęku psiny, która przyglądała się jej nieufnie.

– Cześć, piękna. – Wyciągnęła rękę, by Dolce mogła poczuć między prętami zapach jej palców. – Już dobrze. Jesteś bezpieczna. – W tym momencie z kieszeni, w której trzymała telefon, dobiegł sygnał nadchodzącej wiadomości i spanielka rzuciła się w tył, chowając pyszczek w kącie klatki. – No

już, już. Może właśnie ktoś się do nas zgłosił? Może ktoś szuka takiej ślicznotki jak ty?

Formularz aplikacyjny na stronie internetowej działał ledwie od paru godzin, więc może w jej słowach było zbyt wiele optymizmu, ale któż jej zabroni mieć nadzieję? A może było to pierwsze z wielu zgłoszeń?

Otworzyła wiadomość i przekonała się, że jest inaczej.

„Z żalem informujemy... problemy budżetowe... zakończyć finansowanie... z pierwszym stycznia...” Przebiegała wzrokiem po tych kilku zdaniach, próbując wyłuskać sens, ale nie chciała wierzyć w to, co czytała.

Miasto nie mogło przecież tak po prostu obciąć dotacji na schronisko dla psów, które działało tu od dziesięcioleci. Niemal odkąd sięgała pamięcią.

– Co tam, moja droga? – Głos Buni dobiegał jakby z gęstej mgły. Ally wpatrywała się w wiadomość, jakby liczyła, że zmieni jej sens, jeśli przeczyta ją dostatecznie wiele razy. – Wszystko w porządku? Bo błada jesteś jak płótno.

Ally wreszcie uniosła głowę znad telefonu. Gdy wypowiedziała słowa na głos, wiadomość stała się faktem:

– Zamykają schronisko.

ROZDZIAŁ 5



Kto robi coś takiego? Kto obcina wydatki na schronisko dla zwierząt tuż przed Bożym Narodzeniem?

Ally przechadzała się nerwowo w tę i z powrotem w ciasnocie pomieszczenia biurowego, podczas gdy jej babcia, siedząca po turecku na podłodze, nęciła Dolce psią przekąską o smaku cheddara, próbując wywabić ją z klatki. Gdy razem dźwigały ją z samochodu, Ally zdążyła otrząsnąć się z szoku – pozostały po nim jedynie frustracja i oburzenie.

– Jestem pewna, że to pomyłka – odpowiedziała Bunia kojącym tonem, by nie spłoszyć i tak wystraszonej Dolce. – Miasto nigdy by się do tego nie posunęło.

Schronisko miało pewne przychody z darowizn i opłat za adopcje, ale to wpływy z kasy miasta utrzymywały je na powierzchni. Ally nie była świadoma, jak wysokie są koszty jego utrzymania, dopóki sama nie zajrzała do ksiąg. Karma, usługi weterynarza, posłania i zabawki dla psów – tego rodzaju wydatków oczywiście się spodziewała. Nie miała jednak pojęcia, ile kosztuje gaz potrzebny do ogrzania całej stodoły, jej ubezpieczenie i remonty. Dziadkowie otworzyli schronisko, gdy przeszli na emeryturę. Przez dwadzieścia lat wydawało się, że jego prowadzenie to nic trudnego – choć wcale nie byli rekinami biznesu – i oto teraz, trzy tygodnie po przyjeździe wnuczki, domek z kart właśnie zaczynał się rozpadać.

– Na pewno nie o to im chodziło – ciągnęła babcia. – To jakieś nieporozumienie. Kto nadał wiadomość?

Ally przewinęła do samej stopki wiadomość, którą czytała tyle razy w ciągu ostatnich piętnastu minut. „Z poważaniem, Benjamin West, Rada Miejska Pine Hollow”.

– Benjamin West.

– Hmm... – Zmarszczki na czole Buni pogłębiły się na krótką chwilę.

– Jak mam rozumieć to „hmm”? Kim jest ten West?

– Dwa lata temu zajęł miejsce Paula Williama w radzie i... no cóż...

Ally jęknęła cicho.

– Nie mów mi. To pewnie typ gotów zrobić coś takiego: zamknąć dobroczynną organizację na krótko przed Bożym Narodzeniem.

– Ależ skąd. To prawda, że bywa nieprzyjemny, ale przecież każdemu się to zdarza. Swego czasu plotkowano o jego narzeczonej, ale fakty są takie, że jest wspaniałym wujkiem, i jestem pewna, że nie stara się tak po prostu wykończyć naszego schroniska...

Ally nie potrzebowała lepszego potwierdzenia własnych domysłów. Jej babcia była gotowa kłaniać się w pas i wyśpiewywać peany o każdym, kogo spotkała na swej drodze, ale nietrudno było wyczytać prawdę między wierszami. „Nieprzyjemny” radny musiał być ostatnim draniem; wydanie przedświątecznego nakazu eksmisji dla zgrai nieszczęsnych psiaków było na to dowodem.

Ally wcisnęła telefon do kieszeni.

– Idę tam.

– Tam, czyli dokąd? – spytała babcia, spoglądając na nią spod zmarszczonych brwi.

– Do ratusza. – Ally zerwała płaszcz z haczyka i zarzuciła na szyję szalik. – Zostawię dziadkowi samochód i pójdę się bić.

Wiedziała, że dziadkowie bez namysłu sięgną do portfela, by z własnych oszczędności sfinansować dalszą egzystencję schroniska, ale nie mogła na to pozwolić: potrzebowali tych pieniędzy, żeby się utrzymać. Nie zamierzała dopuścić, by jakiś upojony władzą biurokrata odebrał im to, na co ciężko pracowali.

– Sama mogę odebrać dziadka...

– Buniu.

– Dobrze już, dobrze. Zostanę, żeby popilnować Dolce. I Astrid. I Kimber – dodała, w zamyśleniu spoglądając z ukosa na dziewczynki. – Choć może nie byłoby źle, gdybyś zabrała ze sobą Astrid. Ben West jest jej wujkiem. Może jej argumenty trafią do niego, gdy twoje zawiodą.

Ally była w zasadzie pewna, że Astrid nie pochwaliła się rodzicom, iż zamierza być wolontariuszką w schronisku. Benjamin West zaś był bez wątpienia kapusiem, który bez namysłu ją wyda.

Pokręciła głową.

– To moja walka i nie zamierzam wysługiwać się dziećmi. Powiem temu Benjaminowi Westowi, co o nim myślę. To schronisko nie przestanie istnieć, a ten nieprzyjemny... – Urwała, nie mogąc znaleźć epitetu, od którego babci nie zwiędłyby uszy. – Wszystko jedno. Nawet się nie zorientuje, z której strony dostał.



– Normalnie padł.

Ben bezgłośnie policzył do dziesięciu, żeby nie stracić cierpliwości do Lindy Hilson, która dramatycznym gestem rozłożyła ręce nad ciemnym ekranem monitora. Od sześciu lat był jednoosobowym wydziałem informatyki w urzędzie miasta i każdego dnia od nowa napełniało go zdumieniem to, na ile sposobów można popsuć doskonale sprawny sprzęt elektroniczny.

– Idź i zrób sobie kawy, a ja zobaczę, co się da zrobić – zaproponował.

– Dziękuję – uradowała się Linda, a potem wreszcie zostawiła go w spokoju.

Przykucnął, żeby sprawdzić kable i wtyczki. Biurko tonęło w świątecznych ozdobach, ale jakoś zdołał się dokopać do listwy zasilającej. Nawet ona była opleciona barwną girlandą – wokół włącznika.

Ben westchnął, wcisnął klawisz i pod biurkiem rozległ się szum elektroniki budzącej się do życia. Usadowił się na krześle Lindy, by poczekać, aż załaduje się system. Wolał się upewnić, czy wyłączone zasilanie stanowiło jedyny problem; okablowanie zabytkowego ratusza żyło własnym życiem i nieustannie powodowało awarie sprzętu komputerowego.

Gdyby tylko inne życiowe problemy dało się naprawić zwykłym naciśnięciem guzika.

Czekając, otworzył w telefonie długą listę zadań i dopisał nowe punkty: „sprawdzić przepis na pierniczki” oraz „ustalić, którą datę wybrałem na chybił trafił, żeby się udzielać na tym cholernym festynie świątecznym”. Po namyśle dodał jeszcze jeden: „naprawić ekspres”.

Dwa lata wcześniej pewnie bez wahania zamówiłby nowy; sęk w tym, że dwa lata wcześniej nie było tak, że każdy dolar wydany na siebie był dolarem niezaoszczędzonym na studia Astrid. Katie i Paul zdołali odłożyć trochę pieniędzy z myślą o przyszłości córki, ale dobre uczelnie były coraz droższe, a Ben nie dostawał już wypłat z Doliny Krzemowej. Owszem, robota na rzecz miasta wydawała się relaksem w porównaniu z czterdziestoosmiodzinnym tygodniem pracy w Palo Alto, ale w czasach, gdy żywił takie przekonanie, nawet nie przypuszczał, że wkrótce zostanie samotnym rodzicem zastępczym i radnym w jednej osobie. O relaksie mógł teraz jedynie pomarzyć.

Schował telefon i rozejrzał się po holu ratusza. Świąteczne ozdoby i lampki zdobiły każdy kąt; nie zabrakło nawet jemioly nad drzwiami. Jej obecność w miejscu pracy wydawała się cokolwiek dziwna, ale Ben nie zamierzał proponować, by ją zdjęto – nie chciał, by koledzy mieli kolejny powód do nazywania go Grinchem.

Nowy plan: trzymać głowę nisko i starać się już nikogo nie wkurzyć przed Bożym Narodzeniem.

Monitorując ładowanie systemu, Ben spoglądał kątem oka na wiecheć wiszący nad drzwiami, rozważając, czy nie stanie się on dla kogoś pretekstem do absurdalnego pozwu o molestowanie seksualne. I właśnie dlatego nie przegapił chwili, gdy pod jemiolą przemaszerowała energicznym

krokiem owa turystka, która wpadła na niego rankiem.

Bardzo, bardzo energicznym krokiem.

Poły jej purpurowego, wełnianego płaszczyka się rozwiały, a biały szalik załopotał, gdy powiew wiatru zatrzasnął za nią drzwi. Oblicze turystki spochmurniało jeszcze bardziej, gdy spostrzegła, z kim ma do czynienia.

– To pan!

– Ja? – Ben zmarszczył brwi.

– To pan, prawda? – Słowa brzmiały jak trzaskanie z biczem. – No, oczywiście. Benjamin West. Zła Czarownica z Zachodu.

– Pokrewieństwa nie stwierdzono – odparł Ben, wstając.

– Mogłam się domyślić, że to pan – kontynuowała atak, nadal jednak nie zdradzając, co ją sprowadza do ratusza. – Zrobił pan to tylko dlatego, że oblałam go kawą? Naprawdę jest pan tak małostkowy?

– Przepraszam, że rano tak panią potraktowałem. Popsułam mi się ekspres i dzień zaczął się fatalnie. Tak było, ale nie powinienem wyładowywać złości na pani.

– Nie przyjmuję przeprosin. Każdemu zdarzają się złe dni. Mój na przykład też nie był specjalnie uroczy. A wie pan dlaczego? Bo jakiś palant nawrzeszczał na mnie z samego rana, gdy próbowałam go przeprosić, a teraz wymyślił sobie, że zamknie nasze schronisko. Kto robi coś takiego? Ach, wiem: Ebenezer West. Scrooge z Pine Hollow. Postanowił, że zepsuje wszystkim Boże Narodzenie.

Ben poczuł, że ogarnia go frustracja.

– Dlaczego wszystkim się wydaje, że mam coś przeciwko Świętom?

– Może jeśli nie chce pan właśnie z tego sływać, nie powinien się popisywać takimi pomysłami, jak zamknięcie schroniska dla zwierząt na trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Schroniska, które jest całym życiem moich dziadków. Prowadzą je ponad dwadzieścia lat – i co teraz? Tak po prostu, w przypływie złego humoru zamierza pan obciąć im dotację?

Elementy układanki pomału zaczynały do siebie pasować – z wyjątkiem jednego.

– Pani jest wnuczką Rity i Hala?

– A kogo się pan spodziewał?

– Nie wiem, typowej panienci z miasta – przyznał, zanim przemyślał dobór słów. Słyszał, że wnuczka Hala i Rity mieszka w Nowym Jorku i zajmuje się modą. Wyobrażał sobie smukłą, mierzącą z sześć stóp supermodelkę o przylizanych włosach, ze sztucznymi rzęsami. I na wysokich obcasach. Tak, na bardzo wysokich obcasach. Tymczasem miał przed sobą mikrusa w śniegowcach, bez cienia makijażu, który ukryłby konstelację piegów. Nawet uroczych, przyznał w duchu. Jeśli nie zwraca się uwagi na te pałające furią oczy.

– Otóż niech pan sobie wyobrazi, że jestem panienką z miasta, a panienci z miasta nie dają sobie w kaszę dmuchać. A teraz proszę mi wyjaśnić, dlaczego bez najmniejszego powodu chce pan zrujnować nasze schronisko na chwilę przed Świętami.

Ben mimowolnie uniósł brwi, słuchając tej interpretacji faktów. W gruncie rzeczy miała rację, widząc w nim nowe wcielenie Ebenezera Scrooge'a.

– Od dawna pani mieszka w Pine Hollow, panno Gilmore?

Zadarła podbródek buntowniczo. Wyglądała całkiem słodko, gdy tak się wściekała, ale Ben miał dość instynktu samozachowawczego, by jej o tym nie wspomnieć.

– Od kilku tygodni, za to schronisko działa od dwóch dziesięcioleci. A moi dziadkowie są filarami tutejszej społeczności.

– Zatem była tu pani dwa tygodnie temu podczas wielkiej śnieżycy? I zakładam, że słyszała o dachu świetlicy, który się zapadł pod ciężarem mokrego śniegu? A może nawet o tym, że to budynek, w którym co miesiąc organizujemy dziesiątki imprez dla mieszkańców miasta? Otóż w tej chwili niebezpiecznie jest tam wchodzić.

– Nie widzę żadnego związku ze sprawą schroniska.

– Ten budynek należy do miasta. To oznacza, że miasto musi sfinansować remont. Pieniądze nie wezmą się znikąd – wyjaśnił Ben. – Nie jest tak, że ktoś z nas marzył o obcięciu dotacji dla schroniska, ale to jedna z niewielu realnych opcji. Przecież nie zawiesimy finansowania szkół albo straży pożarnej, bo ucierpi na tym cała społeczność. Problem polega na tym, że w kasie miasta po prostu nie ma wolnych środków.

Ally zacisnęła usta, wciąż spoglądając na niego wilkiem, choć czuła, że pomalu opuszcza ją złość.

– A nie moglibyście... – Urwała i westchnęła bezradnie.

– Rada miejska nie robi państwu na złość. Ani nikomu innemu. Nie wiem, czy to panią pocieszy, ale zaoszczędzone pieniądze uczynią wiele dobrego naszej społeczności.

– Zgoda, lecz schronisko też jest wspólnym dobrem. – Dziewczyna nie ustępowała, choć jej spojrzenie zdradzało już, że jest świadoma nieuchronnej porażki. – Co mamy zrobić ze zwierzętami?

– Znaleźć im domy? – zasugerował Ben. – Czy nie tym zajmują się państwo na co dzień?

– To nie takie proste. Nie wystarczy machnąć różdżką, żeby w jednej chwili wyczarować dom dla każdego psa. Podaż jest zawsze większa niż popyt, a odkąd tu jestem, nie przeprowadziliśmy ani jednej adopcji. A teraz, w ciągu niespełna miesiąca, mamy nagle znaleźć chętnych na wszystkie nasze zwierzęta? Sama już nie wiem, ktoś mnie chyba przeklął. – Uniosła głowę, rumieniąc się gwałtownie. – Nie do wiary, że to powiedziałam.

– Nic nie szkodzi. I wie pani co? Żaden ze mnie Ebenezer Scrooge. – Trudno mu było patrzeć na jej przygnębienie, ale odparł pokusę pospieszenia na ratunek damie w potrzebie. Nie wystarczy ci doby na kolejne zadanie, ośle.

– Nie chciałam tak pana nazwać... No, tak naprawdę to chciałam, ale tylko dlatego, że zależy mi na moich dziadkach i na ich podopiecznych. Tak mało czasu zostało, w dodatku Boże Narodzenie za pasem, a dziś właśnie trafiła do nas kolejna psina i w gruncie rzeczy nie mam pojęcia, co z nią począć, i... Wie pan, tak naprawdę wcale nie jest mi lżej teraz, gdy wiem, że miasto ma ważny powód, żeby nam obciąć dotację. Nadal potrzebujemy tych pieniędzy.

– Nie mamy w budżecie pola manewru. Żałuję, ale nie. – Zwłaszcza że to jego głos przełamał impas i przesądził o losach schroniska. – Proszę posłuchać. Nie możemy finansować schroniska po pierwszym styczniu, ale może jakoś pomożemy w znalezieniu domów dla tych psów. Rozpuszczę wici, odpowiadam między innymi za miejski biuletyn. I jeśli tylko się dowiem, że ktoś szuka psa... – ktoś inny niż Astrid, dopowiedział w duchu – ...to natychmiast skieruję go do pani.

– Super – mruknęła Ally. – Dziękuję. I przepraszam, że nazwałam pana Scrooge'em.

Skrzywił się lekko, bo w tej chwili właśnie tak się czuł.

– Wesołych Świąt.

– Jasne, wesołych – odpowiedziała, uśmiechając się ponuro.

ROZDZIAŁ 6



Wracając do schroniska, z głową pochyloną przed podmuchami zimnego wiatru, Ally próbowała znaleźć jakieś wyjście. Powinna przewidzieć, że osioł, który obciął fundusze, okaże się tym brodaczem, z którym starła się rano. To, że działał z rozsądnych pobudek, niczego nie ułatwiało. Sprawiało co najwyżej, że czuła się jeszcze bardziej bezradna.

Jasne, rozumiała tę prostą zależność: skądś trzeba brać pieniądze na miejskie wydatki. Ale czy w poprzednich latach nie udawało się ich zdobyć innym sposobem?

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to ona wpakowała dziadków w kłopoty. Zawsze wierzyła w znaki, sygnały od wszechświata. A może po prostu chciała w nie wierzyć, bo wołała podsycać w sobie przekonanie, że rodzice nadal gdzieś tam są i prowadzą ją przez życie, dając nieme wskazówki.

Przyjechała do Pine Hollow po części dlatego, że tym razem wszechświat najwyraźniej sugerował jej, żeby trzymała się z daleka od Nowego Jorku. Wszystko ułożyło się idealnie: koniec umowy najmu, przerwa w pracy, dziadkowie w potrzebie. Tylko dlaczego teraz z kolei Pine Hollow chciało dać jej kopniaka na drogę, przy okazji karząc dziadków za to, że przyjęli ją pod swój dach?

Tuż obok niej zatrzymał się samochód. Jednym rzutem oka rozpoznała subaru należące do dziadków. Przeszło jej przez myśl, że babcia znowu usiadła za kółkiem, lecz gdy opuściła się szyba po stronie pasażera, nad drążkiem skrzyni biegów nachylił się ku niej dziadek.

– Podrzucić cię?

– Hej – mruknęła w odpowiedzi. Gniew, który wciąż się w niej tlił, osłabł jeszcze, gdy sięgnęła do klamki.

Dziadek, zawsze pełen niezmaconego spokoju, miał chrapliwy głos – a był to w rodzinie głos rozsądku i logiki, choć nie zawsze: niekiedy celowo podpuszczał i nakręcał swą żonę, a gdy udało mu się wyprowadzić ją z równowagi, zadowolony z siebie mrugał porozumiewawczo do wnuczki. Ally uważała, że ma z nim wiele wspólnego – potrafiła planować i była raczej pragmatyczna; nieczęsto dawała się ponieść emocjom. Kiedy jednak na jej drodze pojawiała się choćby drobna przeszkoda, natychmiast przeistaczała się w swą babcie, by na przykład wkroczyć do ratusza i nazwać urzędnika Ebenezerem...

Miedziak – malutki kundel z pomarszczonym pyszczkiem staruszka, który na krok nie odstępował dziadka, a mimo to nazywany był przezeń ulubieńcem Buni – stanął na kolanach swego pana i oparł przednie łapy o szybę po stronie kierowcy. Gdy Ally wsunęła się do ciepłego samochodu i zbliżyła skostniałe palce do nawiewów, psiak przeskoczył nad drążkiem, obwąchał ją pobieżnie, po czym wrócił na posterunek, gotów wypatrywać zagrożeń na drodze.

– Wygrałeś? – spytała.

Dziadek nonszalancko wzruszył ramionami.

– Parę dolarów. Pomyślałem, że zostawię im resztę do następnego razu. Babcia dzwoniła.

Gdy Ally zostawiała mu samochód, nie chciała przeszkadzać w grze, więc nawet nie weszła do sali. Poza tym spieszyła się do ratusza – wtedy jeszcze wierzyła, że zdoła jakoś załatwić sprawę dotacji, zanim Hal w ogóle o niej usłyszy.

– Pochwaliła ci się, że pojechała do Franklin i z powrotem, żeby przywieźć psa?

– To do niej podobne – stwierdził bez złości dziadek. – Ale nie w tej sprawie do mnie dzwoniła.

– Przecież nie powinna prowadzić.

– Mhm. – Taki właśnie był dziadek. Niemal nigdy się nie sprzeciwiał, po prostu przytakiwał jej w taki sposób, że czuła się jak idiotka.

Usadowiła się wygodnie w fotelu pasażera, nieco zirytowana spokojem Hala. Jego milczenie działało na nią równie skutecznie jak policyjny śledczy.

– Powiedziała ci o mailu. O dotacji.

– Wspomniała – odparł dziadek, włączając kierunkowskaz.

Hatchback popłynął dostojnie ulicami Pine Hollow. Wiele z nich było jednokierunkowych, nie brakowało też stref uspokojonego ruchu i znaków STOP, więc pewnie szybciej wróciłyby do domu pieszo. Zwłaszcza że dziadek zawsze przestrzegał jednej zasady: jeździł o dziesięć mil na godzinę wolniej, niż pozwalały przepisy. Zazwyczaj doprowadzało to Ally do szału, a tego dnia nawet bardziej. Hal nigdy nie wpadał w panikę, był metodyczny i działał w swoim tempie, więc teraz miała ochotę potrząsnąć nim dość gwałtownie i wrzasnąć: „Naprawdę nie dostrzegasz problemu?!”. Opanowała się jednak i przemówiła całkiem spokojnie:

– Ponoć bardzo potrzebują pieniędzy, żeby naprawić dach świetlicy.

Dziadek pokiwał głową, nie odrywając wzroku od drogi.

– Słyszałem, że się zapadł. Śnieżycą była fest.

– To oznacza, że mamy cztery tygodnie na znalezienie funduszy albo nowych domów dla wszystkich naszych psów.

Dziadek tylko westchnął i nie odpowiedział od razu, bo nigdy tak nie robił. Hal Gilmore nie odzywał się bez namysłu, nawet gdy czas naglił i Ally naprawdę bardzo chciała coś od niego usłyszeć.

– Sytuacja nie jest idealna – rzekł wreszcie – ale z drugiej strony wsparcie miasta zawsze bazowało na dzentelmeńskiej umowie. Nikt nam go nie gwarantował.

Ally zaczęła tracić cierpliwość.

– I nie jesteś na nich zły?

– A to by w czymś pomogło?

Musiała przyznać w duchu, że raczej nie, jednak to, iż dziadkowie w zasadzie nigdy o nic zbytnio się nie martwili, kazało jej nieświadomie martwić się za nich.

– Możemy wystąpić o jakiś grant z zewnątrz – zasugerował dziadek. – Wiem z doświadczenia, że najwyżej jeden na piętnaście wniosków rozpatrują pozytywnie, ale to nie znaczy, że nie warto próbować. Chyba słyszałem coś o jakimś serwisie do zbierania funduszy w Internecie...

– GoFundMe. Crowdfunding na cele dobroczynne.

– No właśnie.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, próbując wchłonąć jego spokój.

– Naprawdę wcale się nie martwisz?

Dziadek wzruszył ramionami i podrapał Miedziaka za uchem.

– Wam, młodym, zawsze się spieszy: oczekujecie rozwiązań, gdy tylko pojawiają się problemy. Może to wpływ życia w wielkich miastach, a może Internetu, który w sekundę serwuje wszystko, czego sobie życzycie. Sam nie wiem. Wiem tylko, że gdy człowiek odetchnie głęboko i pozwoli, żeby sytuacja się rozwinęła, rozwiązania często znajdują się same.

Ally miała chęć zazgrzytać zębami, ale się pohamowała. Babcia miała zwyczaj pakować się w kłopoty, nie myśląc o konsekwencjach, dziadek zaś wolał czekać, aż wszechświat rozwiąże wszelkie problemy. Jakim cudem utrzymali się przy życiu przez osiemdziesiąt parę lat?

– Naprawdę nie musisz się przejmować tą sprawą – ciągnął Hal. – Czy będzie dotacja, czy nie, jakoś sobie poradzimy. A ty masz tylko jedno zadanie: cieszyć się powrotem do domu na Święta.

Od babci usłyszała to samo: ciesz się powrotem do domu. Tyle że nie czuła się jak w domu. Ani tu, ani nigdzie indziej.

Nie dorastała w Pine Hollow, w New Jersey zaś nie miała nikogo z rodziny. Z biegiem lat oddalała się też od przyjaciół z dzieciństwa. Nigdy nie zrozumieli, jak bardzo się zmieniła po śmierci rodziców. Nic jej tam nie trzymało i w zasadzie już z żadnym miejscem nie czuła się blisko związana. Powrót do Pine Hollow był przynajmniej okazją do spędzenia czasu z ludźmi, którzy wciąż wiele dla niej znaczyli. Zyskała też chwilę, by zastanowić się nad kolejnym krokiem, a być może nad nowym początkiem.

Męczyło ją to, jak tymczasowe było wszystko w jej życiu, z dołą wolnego strzelca na czele. Miała dość ciągłej walki. Parę razy ubiegała się o stałą pracę w mieście, ale nic z tego nie wyszło i teraz naprawdę nie widziała przed sobą prostej drogi. Owszem, może nieświadomie fantazjowała o tym, że wszystko magicznie się ułoży, że Pine Hollow znowu będzie jej domem, że zaopiekuje się dziadkami i pomoże im prowadzić schronisko. Teraz jednak...

Dziadek wjechał na podjazd i zahamował przed domem, w którym spędzili z żoną ostatnich pięćdziesiąt lat. To tu zbudowali swoje życie; tutaj też stworzyli schronisko dla psów, mając na początku jedynie pustą stodołę i pragnienie niesienia pomocy. To była ich spuścizna i Ally nie zamierzała dopuścić, by coś ją zrujnowało.

– Znajdziemy pieniądze – zapewniła dziadka, choć chwilowo nie miała pojęcia gdzie.
– Wszystko się jakoś ułoży.

– Mhm. – Hal zaciągnął hamulec ręczny, ale nie wyłączył silnika, więc ciepłe powietrze wciąż opływało ich twarze.

– Znajdziemy też domy dla naszych psów. Bo nawet jeśli, a raczej gdy znajdziemy fundusze i schronisko przetrwa, kiedyś przecież muszą trafić do nowych właścicieli.

– I trafią, zobaczysz. Mają na to swoje sposoby, prędzej czy później ktoś je przygarnie. – Hal podrapał Miedziaka pod brodą. – To kwestia miłości, której nie da się przyspieszyć. Trzeba czekać. I warto, bo mało jest przyjemniejszych rzeczy niż obserwowanie, jak zwierzak znajduje drogę do czyjegoś serca.

Miłość – piękna rzecz, pomyślała Ally. Tyle że nie zamierzała czekać, aż piorun uderzy tam, gdzie by sobie tego życzyli. Termin był precyzyjnie ustalony.

Cztery tygodnie.

Musiała wysmażyć dla schroniska kosmiczną stronę internetową.

– Przerwałeś grę specjalnie po to, żeby mnie odszukać? – spytała.

Dziadek spojrzął na nią spod uniesionych krzaczastych brwi.

– Pomyślałem, że będziesz chciała z kimś pogadać.

Ally rozpięła pas i nachyliła się, by uściskać dziadka.

– Jesteś najlepszy na świecie, wiesz?

Miedziak, zaintrygowany tym, co się dzieje, wcisnął się między nich, by polizać jej podbródek.

Dziadek odchrząknął skromnie.

– Przecież nic takiego nie zrobiłem.

– Przyjechałeś – odparła cicho. Wiele to dla niej znaczyło, bo już od dawna nie miała nikogo, z kim mogłaby dzielić zwycięstwa i przed kim mogłaby się wygadać, gdy sprawy nie wyglądały różowo.

Nie mogła zawieść dziadków. Musiała ocalić schronisko i znaleźć nowe domy dla psów. Nie zamierzała pozwolić, by przeszkodził jej w tym radny Scrooge.

ROZDZIAŁ 7



Poczucie winy, jak się okazało, ma niezwykle moc motywującą.

Ben nie widział innego wytłumaczenia dla faktu, iż podczas przerwy na lunch maszerował po zwirowym podjeździe prowadzącym do schroniska dla zwierząt „Kosmaci Przyjaciele”. Nie miał czasu na takie wycieczki, a mimo to nie mógł przestać myśleć o tym, co spotkało ten przybytek. Oraz o kobiecie, która teraz nim kierowała.

Poprzedniego dnia nawet nie poznał jej imienia, wiedział tylko, że to wnuczka Rity i Hala. Cóż, wymiana uprzejmości była pewnie ostatnią rzeczą, o której myślała podczas krótkiej wizyty w ratuszu. Tak czy inaczej, Ben nie mógł zapomnieć o jej rozpacz.

Nie pomogło także to, że ekspres marki Keurig nadal nie działał, więc znowu musiał zahaczyć o Cup w drodze do pracy. Miał nadzieję, że jeśli nie zbliży się do piekarni, oddali też poczucie winy, które go nie odstępowało, odkąd poprzedniego ranka tak nieuprzejmie potraktował wnuczkę Gilmore’ów. Nie wziął jednak pod uwagę tego, jak błyskawicznie rozchodzą się w Pine Hollow plotki. Co najmniej cztery osoby uznały za stosowne zagaic rozmowę słowami: „Słyszałem, że zamykacie schronisko” oraz „Czy to prawda, że wczoraj na rynku napadłeś wnuczkę Hala i Rity?”. Jeszcze jeden punkt do długiej listy przewin, którą nosił w sercu.

Podczas kolacji Astrid bez końca marudziła o psie. Zaproponowała nawet, że zostanie wolontariuszką w schronisku, by dowieść, że radzi sobie ze zwierzętami i jest odpowiedzialna. Potem czuł się jeszcze gorzej, bo przecież to jego głos przesądził o zamknięciu „Kosmatych Przyjaciół”. Nie ośmielił się powiedzieć siostrzenicy, jaki los czeka schronisko. Gdyby to zrobił, pewnie należałoby, żeby adoptował wszystkie psy.

Tego nie mógł uczynić, ale przecież mógł jakoś pomóc w znalezieniu im nowych domów, zanim zamkną się podwoje schroniska.

Z samego rana zajrzał do Internetu, żeby poszukać zdjęć, które dałoby się umieścić w miejskim biuletynie. Dostał więcej, niż się spodziewał: odnowiona strona schroniska była pełna fotografii, a każdy z uwiecznionych na nich psów wyglądał słodziej od poprzedniego. Był to wizualny szantaż emocjonalny w czystej postaci. Tak czy inaczej, nie mógł umieścić wszystkich fotek w biuletynie; musiał się skupić na dwóch lub trzech zwierzętach. I właśnie dlatego szedł teraz z wizytą do ich młodej obrończyni – chciał się dowiedzieć, które najbardziej potrzebują pomocy.

Naturalnie mógł wysłać maila. Może nawet powinien tak zrobić. Czuł jednak, że jest jej coś winien – jakby to on był sprawcą całego zła, a nie mokry śnieg, pod którego ciężarem zapadł się nieszczęsny dach świetlicy.

– Halo? – zawołał.

Od strony stodoły odpowiedział mu rozszczekany chór.

Przestronny budynek, w którym rezydowali „Kosmaci Przyjaciele”, stał po jednej stronie podjazdu, a otoczony gankiem dom właścicieli przycupnął po drugiej. Jak okiem sięgnąć nie widział żywego ducha, więc wybrał kierunek na chybił trafił.

– Panno Gilmore? – zawołał, idąc do stodoły.

Pewnie nie mogła go usłyszeć przez to całe szczekanie. Ben nie był pewny, ile psów znalazło tu opiekę, ale sądząc po głosach, szacował, że dziesiątki. Poczucie winy jeszcze urosło, gdy uświadomił sobie, że nawet nie sprawdził, co tak naprawdę dzieje się na co dzień w tym schronisku, zanim opowiedział się za wstrzymaniem finansowania. Nigdy nie był miłośnikiem psów. Gdy głosował, myślał w zasadzie tylko o tym, żeby na resztę roku mieć spokój z budżetowymi problemami miasta.

Pociągnął ku sobie drzwi stodoły, a gdy się otworzyły, rozkołysał się dzwonek nad jego głową.

Wchodząc do środka, słyszał już nie tylko gwałtowne ujadanie, ale i nerwowe drapanie psich pazurów o zdartą drewnianą podłogę. Pozwolił, żeby drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, a ułamek sekundy później rzuciło się ku niemu pół tuzina psów.

Spodziewał się, że zobaczy klatki. Nie oczekiwał komitetu powitalnego złożonego ze swobodnie biegających czworonogów.

Zachował się jak mężczyzna: wrzasnął.



Ally uniosła głowę, słysząc zdławiony okrzyk dobiegający zza drzwi biura.

Gdy dziadkowie pojechali z Dolce do weterynarza, zamknęła się tu, by wypełnić wnioski o granty dla schroniska. Od wpatrywania się w ekran piekły ją już oczy. Poprzedni wieczór i sporą część nocy także spędziła przed monitorem, szukając potencjalnych źródeł finansowania oraz dobrych rad.

Utworzyła stronę na GoFundMe, ale nie bardzo wierzyła w powodzenie tego ruchu: zbyt wiele było ważnych spraw konkurujących o pieniądze darczyńców. Skupiła się więc na grantach i tak ją to pochłonęło, że ledwie usłyszała głośniejsze niż zazwyczaj szczekanie psów. Okrzyk zza drzwi pomógł wrócić do rzeczywistości nie tylko jej, ale i Colby'emu, który uniosł łeb, gotów się ruszyć i zbadać sytuację.

– Buniu? – Ally spojrzała na zegar. Nie, dziadkowie nie mogli jeszcze wrócić od weterynarza, chyba że zdołali teleportować się do Burlington.

Ujadanie psów było coraz głośniejsze, a to oznaczało entuzjazm przejawiany przez nie jedynie w porze karmienia oraz podczas wizyt. Podbiegła do drzwi i otworzyła je jednym szarpnięciem. A gdy spojrzała w stronę wejścia do stodoły, opadła jej szczeka.

Ebenezer West stał plecami do drzwi, a połowa czworonogów ze schroniska otaczała go szczelnym kordonem niczym rozedrgana i rozszczekana masa.

– Co pan narobił? – zawołała. Jak okiem sięgnąć wszystkie klatki były otwarte.

Ben spojrzał na nią i dopiero wtedy spostrzegła grymas paniki na jego twarzy.

– Proszę je zabrać!

Psy rzuciły się teraz gremialnie w stronę Ally. Zdążyła zamknąć drzwi biura, zanim wpadły do środka.

– Po co je pan wypuścił? – zapytała gniewnie, spiesząc do klatek.

– Nie wypuściłem! – zaprotestował Ben.

– Ktoś jednak to zrobił!

Część stodoły, w której ustawione były przestronne klatki, miała kształt litery L. Resztę miejsca zajmowały dwa pomieszczenia magazynowe oraz klatka szumnie zwana biurem. Ally – w asyście Colby'ego rzecz jasna – pobiegła do narożnika, skąd mogła widzieć cały ciąg klatek.

Gdy zza niego wyjrzała, spostrzegła nadchodzącego niespiesznie Bażanta.

Lokatorzy przejęli kontrolę nad schroniskiem.

Ally miała przed sobą kolejnych sześć otwartych klatek.

Galaret, żółtawy potomek labradora i pitbulla, podskakiwał radośnie w pustej alejce, a czarno-beżowy kundel imieniem Biszkopt właśnie wyłaniał się z klatki, ciągnąc za sobą psie posłanie dorównujące mu wielkością. Jo-Jo, suczka rasy papillon, obdarzona znacznie większą dozą energii niż rozumu, ujadała, płacząc się pod łapami Maximusa, który spokojnie spoglądał z góry na tę osobliwą kulkę futra.

Pełna werwy, niedawno przyjęta do schroniska suczka owczarka australijskiego o nieco zaskakującym, bo męskim imieniu Harry, właśnie pędziła w stronę jednej z nielicznych klatek, które pozostały jeszcze zamknięte. Stała przed nią na tylnych łapach, a przednie wsparła o zasuwkę. Przesunęła lekko w bok i oto na oczach Ally kolejna klatka stanęła otworem.

Mała Harry organizowała wielką ucieczkę.

– Czy to normalne, że one potrafią coś takiego? – rozległ się niski głos tuż nad uchem Ally.

Ben, który przystanął obok niej, wyglądał na kompletnie zagubionego.

W dzikim pędzie minął ich świeżo uwolniony golden retriever, rad przyłączyć się do psiej zabawy. Harry i Galaret rzuciły się w pogoń najkrótszą drogą, to jest między nogami Bena. Wrzasnął po raz drugi – dość piskliwym głosem – próbując przed nimi uskoczyć. Gdy odbił się od jednej z klatek i wylądował na podłodze, Ally nie wytrzymała.

Parsknęła śmiechem.



Potrzebowali niemal godziny oraz sporej dozy cierpliwości, by zamknąć wszystkie psy w klatkach.

Ally dość szybko zrozumiała, że na początek trzeba schwytać Harry, gotową bez końca otwierać kolejne klatki. Niestety schwywanie owczarka australijskiego, który niczego nie kocha bardziej niż pięknej gonitwy, nie jest prostą sprawą. Zwłaszcza że drugim ulubionym sportem Harry było pasterstwo, a ściślej zapędzanie pozostałych psów to w jeden, to w drugi kraniec korytarza.

Widać było, że Ben nie czuje się pewnie wśród czworonogów, więc Ally spodziewała się, że nie wytrzyma w stodole dłużej niż minutę, ale się myliła. Został, a nawet własnym ciałem próbował zagonić Harry do klatki, choć miał przy tym taką minę, jakby się spodziewał, że beztroska australijka lada chwila rzuci mu się do gardła.

Gdy zamknęli ją na kłódkę, wyłapanie pozostałych zwierzaków stało się o niebo łatwiejszym zadaniem, szczególnie odkąd uzbroili się w psie przysmaki. Ufna w jego refleks Ally rzuciła Benowi worek wątrobkowych przekąsek. Odruchowo przycisnął go do piersi.

– Niech pan się zajmie mniejszymi – poleciła, a sama ruszyła prosto na Galareta, który czekał na nią, przycisnąwszy pierś do podłogi i wysoko uniósłszy zad. Gdy prócz niego zdołała zamknąć także Kapitana Amerykę, Fred i Ginger dobrowolnie wróciły do klatki i z czułością wtuliły się w siebie na posłaniu, więc wystarczyło zamknąć bramkę. Nie wypuszczając Colby’ego z biura, Ally skupiła się teraz na łowach na wielkiego Maximusa, przy okazji rozglądając się za pozostałymi uciekinierami.

– No, dalej, Śliniaku. Dalej...

Ally odwróciła się i zobaczyła, że Ben próbuje zaholować Bażanta do klatki, machając mu przed nosem wątrobianym przysmakiem. Buldog wpatrywał się w przekąskę w niemym zachwycie.

– Nazywa się Bażant. – Podeszła bliżej.

Ben spojrzał na nią przez ramię. Nadal oszołomiony ścisnął w dłoni torbę przysmaków.

– Nieczęsto bywa pan wśród psów, prawda?

– To widać?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, obserwując, jak Ben wymyka się z klatki Bażanta i zamyka zasuwkę.

– Troszeczkę. Nic się panu nie stało? Ten krzyk, który wywabił mnie z biura, był... intrygujący.

Policzki mężczyzny ponad linią zarostu wyraźnie poczerwieniały.

– Zatem słyszała pani?

– Owszem.

Ally była wykończona – podobnie jak psy, które upojone przygodą wylegiwały się teraz na swych posłaniach. Ben stał przed nią w zaskakująco cichym przejściu między klatkami i mogła mu się przyjrzeć w miarę spokojnie. Zastanawiała się, dlaczego nie uciekł – i po co właściwie przyszedł? To zachowanie nie pasowało do jego wizerunku, który sobie stworzyła.

– Co pan tu robi? Raczej nie uwierzę, że chce pan adoptować psa.

– O nie. Absolutnie.

– Zatem...? – rzuciła, unosząc lekko brwi.

Był wysoki i silny, ale w tym momencie nader niepewnie przestępował z nogi na nogę.

– Mówiłem pani, że chcę pomóc.

Zatrzepotała powiekami.

– O. Nie sądziłam, że serio.

Ben w końcu się opanował i jakby urósł w jej oczach.

– Nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr.

Świetnie. Chyba go obraziła.

– Proszę się nie gniewać. Rzecz w tym, że poznaliśmy się w nie najmiłszych okolicznościach, i sądziłam, że powie pan cokolwiek, bylebym sobie poszła.

Skrzywił się lekko.

– To może zaczniemy od początku? Bo wbrew powszechnej opinii nie jestem miejscowym Grinchem – zapewnił, wyciągając rękę. – Ben West.

– Ally Gilmore. – Uścisnęła jego dłoń, dość znacznych rozmiarów, jak zauważyła, i zawstydzona natychmiast ją puściła.

Dwie godziny wcześniej była gotowa przysiąc, że ma w nim śmiertelnego wroga, ale teraz trudno jej było nienawidzić kogoś, kto uskoczył przed dziewięciofuntowym papillonem jak przed szarżującym bykiem, ale pozbierał się na tyle, żeby pomóc jej wyłapać pozostałe psy.

Może wcale nie jest taki zły, jak się wydawało? Nie, wołała nie wiązać zbyt wielkich nadziei z jego ofertą pomocy. Szczerze wątpiła, żeby miała to być pomoc finansowa.

– To co, Ben, postanowiłeś zostać wolontariuszem? Przydałby mi się ktoś do wyprowadzania psów, podstawowego szkolenia, a nawet zabawy z nimi. Zależy nam, żeby przenosiny naszych podopiecznych ze schroniska do domów przebiegały bezproblemowo, dlatego ważne jest, żeby przebywały wśród ludzi...

– Prawdę mówiąc, przyszedłem w sprawie biuletynu.

– Racja. – Tak, to była zdecydowanie niefinansowa pomoc.

– Macie tu zbyt wiele psów, żebym mógł je wszystkie wymienić. Nie chcemy przecież przytłoczyć czytelników – wyjaśnił. Sam wyglądał na bardzo przytłoczonego. – Pomyślałem więc, że wybierzemy kilka i w najbliższych dniach roześlemy ich zdjęcia mailem. Lepiej, żeby ludzie skupili się na jednym psiaku. Nie chodzi przecież o to, żeby ich bombardować realną wagą problemu. – Ben spojrział na klatki tak, jakby kryły się w nich ziejące ogniem smoki, a nie stadko drzemiących kundli. – Ile ich tu jest?

– Dwanaście. I jeszcze jedna suczka, którą moi dziadkowie właśnie zabrali do weterynarza. Nie możemy jej zaoferować ludziom, póki nie ustalimy, czy jest zdrowa. A sądziłeś, że ilu mamy tu lokatorów?

– Bo ja wiem? Trzech, czterech? Nasze miasteczko nie jest duże. Ile może w nim być bezpańskich psów?

– Dwanaście. Trzydzieści, jeśli policzymy Dolce.

– Dwanaście... – Ben potarł dłonią czoło, zerkając na klatkę Bażanta. Buldog wciąż spoglądał na niego z czułością, w nadziei, że dostanie jeszcze jeden przysmak. – Tuzin psiaków na Święta albo jeszcze lepiej: Na Święta przytul psa.

Ally zaśmiała się lekko na myśl o starej piosence-wyliczance.

– Brzmi to uroczo.

Ben znowu popatrzył na buldoga, który nie spuszczał z niego oczu.

– Dlaczego wabi się Bażant?

– Trafił do schroniska w Boże Narodzenie, a moja babcia miała akurat fazę na tę świąteczną piosenkę.

Ben zmarszczył brwi.

– Zatem tkwi tu już rok?

– Trzy lata. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Niektóre psy od razu znajdują nową rodzinę,

przychodzą i odchodzą tego samego dnia, ale jest wiele i takich... – Ally pokręciła głową. – Trudno znaleźć im dom. Albo są za stare, albo za bardzo się ekscytują, gdy ktoś je odwiedza, albo są zbyt nieśmiałe, widząc nową twarz. Każdy z nich jest w głębi serca fajnym psem, ale nie zawsze udaje im się zaprezentować to, co w nich najlepsze. W schronisku muszą rywalizować o uwagę. Są i takie, które trafiają z przytułku do przytułku, bo wciąż nie mogą trafić na kogoś, kto je pokocha. Mój dziadek uważa, że to kwestia dopasowania, ale przecież trudno zgadnąć, czego tak naprawdę oczekuje człowiek, którego widzimy po raz pierwszy.

– Może właśnie w tym mógłbym pomóc – zaproponował Ben. – Mieszkam w Pine Hollow prawie całe życie. Jeśli jest coś, co znam na wylot, to właśnie to miasto.

Ally uniosła głowę. Nowa oferta pomocy ze strony miejscowego Scrooge'a nie budziła w niej entuzjazmu.

– Naprawdę?

– Pewnie. Muszę teraz wracać do pracy, ale wpadnę znowu jutro w porze lunchu. Pokażesz mi, którym psom najtrudniej jest znaleźć dom i dlaczego, a ja postaram się dobrać osoby, które będą do nich pasowały. Może porobimy też zdjęcia w świątecznym klimacie, z czapkami Mikołaja czy coś.

– To znacznie lepsza strategia niż którykolwiek z moich pomysłów. – I wcale się tego po tobie nie spodziewałam, dorzuciła w duchu. – Na pewno chcesz się tak zaangażować?

– Jasne.



Ben wrócił do ratusza bardzo szybko, ale nie na tyle, by nie zdążyć po drodze skłąć się solidnie w myślach za szafowanie czasem, którego zwyczajnie nie miał. Chciał porozmawiać z Ally Gilmore o biuletynie i koniec, kropka, ale jej sceptycyzm sprawił, że zapragnął udowodnić jej, że się myli. Udowodnić, że nie jest Scrooge'em, za którego wszyscy go uważają.

Poza tym bardzo potrzebował zwycięstwa. Może i nie mógł ofiarować Astrid dużego domu z ogrodem, może nie mógł uszczęśliwić wszystkich współobywateli nieograniczonym budżetem na miejskie imprezy, może nawet nie był w stanie naprawić pralki w rozsądnym terminie, ale wierzył, że potrafi przynajmniej znaleźć tym psikom nowych właścicieli.

Postanowił, że poświęci tej sprawie jeszcze jedną przerwę na lunch, nie więcej. To będzie łatwy triumf, który w dodatku odkupi jego winy w oczach mieszkańców.

Bo przecież znał Pine Hollow. Znał tych ludzi. W czym problem?

ROZDZIAŁ 8



Godzinę później, gdy jej dziadkowie wrócili z Burlington, Ally wciąż rozmyślała o propozycji Bena. Na Święta przytul psa. Dobry pomysł. Aż szkoda, że nie mój, zżymała się. Nie mogła się skupić na kolejnym wniosku o grant, więc gdy tylko usłyszała chrzęst żwiru pod kołami, zatrzasnęła laptopa i wyszła na podjazd.

Bunia, naturalnie bez temblaka, sama wysiadła z samochodu. Na szczęście tym razem nie próbowała dźwigać klatki z psem.

– I jaki werdykt? – spytała dziewczyna, gdy i dziadek otworzył drzwi, a Miedziak w dzikim będzie wyskoczył z wozu. Uniosła tylną klapę, by wyjąć Dolce. – Zdrowa?

– Bardzo zdrowa – odpowiedziała radośnie Bunia.

– Oraz szczenna – dodał dziadek.

Ally zamarła.

– O nie.

– Nic się nie martw. Szczeniaczki rozejdą się w mgnieniu oka – zapewniła ją babcia, ale niewesołe myśli Ally zdążyły już nabrać rozpędu.

Rachunki za weterynarza. I czas. Dopóki Dolce nie wykarmi młodych, nie będą mogli jej wysterylizować. To oznaczało wiele tygodni zwłoki, a schronisko miało zostać zamknięte pierwszego stycznia. Potem z kolei szczepienia szczeniaków, potem sterylizacja...

– Kiedy będą młode?

– Mniej więcej za dwa tygodnie. Zdaje się, że dobrze jej w małej klatce, więc postawimy ją w biurze, niech się czuje bezpieczna... – Bunia otworzyła drzwi stodoły i skonstatowała ze zdziwieniem, że nie wita jej szczekanie całego zwierzyńca. – Ale tu cicho. Dałaś im proszki nasenne czy co?

Ally parsknęła z cicha.

– Zmęczyły się. Mieliliśmy tu małą przygodę, gdy was nie było. Wiecie, że mała Harry potrafi otwierać klatki? Wypuściła wszystkie psy, a potem ganiała je w tę i z powrotem.

– Nie! – zdumiała się Bunia z błyskiem w oku. – Szkoda, że tego nie widziałam.

– To by wyjaśniało, dlaczego nazwali ją Houdini – wymamrotał dziadek, odsuwając z drogi Colby'ego, by Ally mogła ustawić w narożniku biura klatkę z Dolce.

Zaciekawiona dziewczyna uniosła głowę.

– Houdini? – spytała.

– Mhm – przytaknęła Bunia. – Dziwne imię dla suczki, która w dodatku wcale na nie nie reagowała, więc zaczęliśmy ją nazywać Harry, to zdrobnienie od Harriet, ale teraz faktycznie ma to sens. Specjalistka od ucieczek. Mądra psina, nieprawdaż?

– Ciesz się, że nie musiałaś ich wszystkich zapędzać do klatek. – Ale oczywiście dobrze, że cię tu nie było, dodała w myślach. Jak nic na nowo pozrywałabyś więzadła w ramieniu. – Całe szczęście, że był tu Ben. Bez niego pewnie ściagałabym je do wieczora.

– Ben?

– Ben West wpadł z wizytą. Podzielił się pomysłami; może uda się znaleźć domy dla naszych psów. Niektóre będą gwiazdami miejskiego biuletynu elektronicznego.

– A widzisz? Wiedziałam, że tak po prostu nie odbiorą nam dotacji.

– A właśnie, że odbiorą, babciu. Zdaje się, że Ben... sama nie wiem. Chyba czuje się winny.

– Przez co o wiele trudniej uważać go za wroga, pomyślała. – Znajdą się jakieś świąteczne rekwizyty, którymi moglibyśmy przystroić nasz zwierzyńiec? Czapki Mikołaja albo szaliki?

Rita nie umiała ukryć podniecenia.

– Czy znajdują się świąteczne graty? Prawie mnie obraziłaś, moja panno!



Świąteczne zapasy Buni były, skromnie mówiąc, imponujące. Ally nie znalazła w nich co prawda czapki Mikołaja, ale następnego dnia usypała z nich w biurze sporą stertę w oczekiwaniu na Bena – nawet jeśli jakąś cząstką duszy jeszcze wątpiła w jego powrót. W końcu tak naprawdę nie miał powodu, żeby im pomagać.

Zdawała sobie sprawę, że poradzi sobie i bez niego. Może nie wiedziała, którzy z mieszkańców Pine Hollow pasowaliby do konkretnych psów, ale za to dobrze się znała na robieniu zdjęć...

Donośne szczekanie uprzedziło ją, że Ben jednak przyszedł. Wyprostowała się i otworzyła biuro w tej samej chwili, w której uchylił drzwi stodoły.

– Hej – powiedział, zdejmując rękawiczki.

– Hej. – Od niezręcznej ciszy aż piszczało w uszach. – Jesteś głodny? Babcia zrobiła kanapki, bo wspomniałam jej, że przyjdiesz w czasie przerwy na lunch. Pojechała gdzieś z dziadkiem, ale oczywiście musiała dopilnować, żebym wyszła na dobrą gospodynię.

– Nie musisz mnie karmić. W gruncie rzeczy sam się tu wprosiłem...

– Żeby nam pomóc. Akcja „Na Święta przytul psa” ma wesprzeć nasze schronisko. Poczęstunek to absolutne minimum rewanżu z naszej strony. A szynka i ser Buni to niebo w gębie. Poważnie, nie chcesz tego przegapić.

Krzywy uśmiech odchylił jego brodę o kilka stopni w bok.

– No, skoro tak...

Ally cofnęła się w głąb pomieszczenia, do biurka, na którym stał kosz piknikowy z rączką ozdobioną jaskrawoczerwoną wstążką.

– Bunia ma czarny pas w efekciarstwie – mruknęła, rozpakowując lunch.

Ben usiadł na kanapie, a Ally na krześle za biurkiem. Colby przyczłapał, żeby położyć jej łeb na kolanach, i westchnął dramatycznie, gdy nie wsunęła mu do pyska nawet kawałka szynki ani sera.

Ben skinął głową w stronę bernardyna.

– Nie ma swojej klatki?

– Jest tylko mój – odparła Ally, czochrając jedwabiste uszy psa. – Wabi się Colby i jest bardzo przyjacielski.

– Oraz bardzo wielki.

Błysnęła zębami w uśmiechu.

– To fakt. Masz przykre doświadczenia z psami?

– Nie, tylko... – Ben wzruszył ramionami. – Nie mieliśmy żadnego zwierzaka, gdy byłem mały. Ty pewnie się z nimi wychowywałaś?

– Gdzie tam. Jako dzieciak strasznie chciałam mieć psa. Kocham babcie i dziadka, ale mam wrażenie, że w tamtych czasach chciałam tu przyjeżdżać przede wszystkim po to, żeby bawić się z psami. Nie było ich wtedy tak wiele, to się działo, zanim dziadkowie przeszli na emeryturę i założyli schronisko.

– Twoja babcia uczyła plastyki, prawda?

– Zgadza się. W ogólniaku. – Ally wyjęła z kosza gruszkę i podała ją Benowi, ale pokręcił głową. – Nie miałeś z nią lekcji? – Postanowiła, że najbezpieczniej będzie kontynuować niewinną pogawędkę.

– Nie, byłem specem od matmy i przedmiotów ścisłych – odparł Ben i z uznaniem uniósł kanapkę. – Naprawdę pyszna.

– Prawda? Nie umiem zmusić Buni, żeby mi zdradziła swój sekret. Może to dijon? – Super. Gadka szmatka o musztardzie. Jakby za mało nam było niezręcznego klimatu.

– Mnie nie pytaj. W kuchennych tematach jestem beznadziejny.

Ally nie miała pojęcia, dlaczego czuje się przy Benie tak nieswojo. Może dlatego, że zbyt pochopnie go osądziła?

Dolce zaskomlała cicho z głębi klatki, a Ben zerwał się na równe nogi, wietrząc niebezpieczeństwo.

– Tam coś jest.

– To Dolce, nowa lokatorka, jeszcze trochę niespokojna. Swoją drogą, wycieczka do Burlington na pewno nie ukoili jej nerwów.

– Ach, racja. To ta, której mieliśmy nie reklamować w Internecie, póki się nie okaże, czy jest zdrowa. – Ben pochylił się nad klatką i ostrożnie zajrzał do środka. – I co z nią?

– Zdrowa. Siedzi w klatce, bo czuje się tam bezpieczna. Jest też szczenna, ale całkiem zdrowa.

Ben uniósł głowę i uśmiechnął się krzywo.

– No to *mazel tow*.

Ally roześmiała się całkiem szczerze, ale i ze smutną nutą w głosie.

– No tak. To nie jest idealna sytuacja. – Wstała, rzucając ostatni kęs kanapki Colby'emu i otrzepując dłonie. – Jesteś gotowy na bliskie spotkanie z psami? Nie bój się, pojedynczo są znacznie łatwiejsze do opanowania. Poza tym już cię lubią.

Ben zmarszczył brwi.

– Naprawdę? – spytał sceptycznie.

– Oczywiście. Rozdawałeś im przysmaki, więc jesteś ich najlepszym kumplem aż do śmierci.

– Sięgnęła na biurko po torebkę psich smakołyków i rzuciła Benowi.

Złapał i przycisnął ją do piersi, najwyraźniej wciąż nieprzekonany.

Weszła między klatki, kolejno witając psy po imieniu i wygłaszając krótką prezentację każdego z nich na użytek Bena.

– Na pewno pamiętasz Harry, to zdrobnienie od Harriet. Albo hołd dla Houdiniego. – Mówiąc to, wskazała na śliczną australijkę, która właśnie wyskoczyła na zewnętrzny wybieg przylegający do jej klatki, by natychmiast wrócić, przeskoczyć nad miską umocowaną do ściany i dosłownie odbić się od muru, inaugurując kolejne okrążenie. – Była już dwukrotnie adoptowana i wracała do różnych schronisk. Do nas trafiła mniej więcej tydzień temu, a wczoraj... cóż, sam widziałeś. – Ally wskazała na rozbudowane zamknięcie klatki, w której mieszkała Harry. – Naszym zdaniem już się nie wymknie. Niewykluczone, że jest najbardziej inteligentnym z naszych psów, a przy tym wyjątkowo miłym, ale potrzebuje kogoś, kto nie ma nic przeciwko wyzwaniom. I komu nie brakuje energii.

Podeszła do kolejnej klatki i nie patrząc na Bena, zaczekała na tupot ośmiu małych łap.

– Fred i Ginger, przeurocza i nierozłączna para. Gdybyśmy je rozdzielili, natychmiast przestałyby jeść. Nie są to młode psiaki, trafiły do nas, gdy ich właściciel nagle zmarł. Ginger ma kłopoty z kręgosłupem i nie radzi sobie ze schodami. Potrzebuje rampy nawet po to, żeby wejść na kanapę. Fred zaś jest epileptykiem. Chorobę da się opanować za pomocą leków, ale nie są one tanie. Mając tak bogaty wybór psów, ludzie chętniej wybierają te, które nie komplikują im życia w takim stopniu.

Do drzwi kolejnej klatki przycisnął się nagle wielki, kudłaty łeb.

– Naszym zdaniem Maximus jest mieszańcem wilczarza irlandzkiego i doga niemieckiego, nie w pełni wyszkolonym. Ma za to złote serce. Za młodu nie nauczył się manier, a nie każdy poradzi sobie z tak dużym psem. Pracujemy nad nim, ale chyba nie zdaje sobie sprawy z własnej siły. Potrzebujemy dla niego kogoś, kto będzie umiał zapanować nad zwierzakiem wielkości kuca, któremu się wydaje, że jest pieskiem pokojowym.

Kolejna klatka, kolejna historia. Fistach, niesłyszący chihuahua. Jednooki Jack Russell terrier imieniem Traper. I biedna Daisy, która odruchowo oddawała mocz za każdym razem, gdy ktoś obcy próbował jej dotknąć.

Żaden z tych psów nie powinien trafić do schroniska, a jednak każdy był tu z istotnego powodu. To dlatego Ally nie bardzo wierzyła, że uda się dla nich znaleźć domy w ciągu zaledwie czterech

tygodni. Schroniska w innych miastach były równie zatłoczone, zwłaszcza w porze Świąt, więc i tego rodzaju przeprowadzka raczej nie wchodziła w grę.

Dotarli do końca alejki i zatrzymali się przed ostatnią klatką.

– I wreszcie pan Bażant.

Buldog podszedł do drzwi, sapiąc ciężko i ciągnąc za sobą strużki śliny skapującej z kącików pyska.

– Co mu jest?

– Absolutnie nic. – Ally otworzyła klatkę i przykucnęła, by delikatnie potarosić pofałdowaną skórę Bażanta. – Po prostu jeszcze nie trafił na swojego pana. Dobrze mówię, Wasza Glutowatość?

Bażant spojrzał na nią z bezkresną miłością, chciwie nadstawiając pod jej dłonie drugi bok.

– Pomyślałem, że moglibyśmy zacząć od niego, bo z racji imienia pasuje do motywu „na Święta przytul psa” – powiedział Ben, trzymając bezpieczny dystans od otwartej klatki.

– A znasz kogoś, kto by do niego świetnie pasował? – spytała dziewczyna przez ramię.

– Na razie nikt nie przychodzi mi do głowy. Jestem jednak pewny, że jeśli go dobrze zaprezentujemy, a ludzie się dowiedzą, że schronisko zostanie zamknięte, i będą skłonni przekazać wiadomość dalej, to znajdziemy mu nowy dom.

Mówiąc to, starał się stać tak daleko od Bażanta, że gdyby zechciał odsunąć się jeszcze trochę, musiałby wyjść ze stodoły. Ally pomyślała, że to urocze: wielki, gburowaty typ ze zmierzwioną brodą uparcie odgrywa sztywniaka, czyniąc wszystko, żeby żaden z psów nie skradł mu serca.

Bażant prychnął cicho i trącił nosem dłoń Ally, więc przeszła do drapania go za uszami.

– Czego potrzebujemy do tej prezentacji?

Ben zbliżył się o krok.

– Wszelkich informacji, które mogą przekonać ludzi do adopcji. I bardzo bożonarodzeniowego zdjęcia.

– Słusznie. – Ally wstała i spojrzała z góry na najmniej fotogenicznego psa pod słońcem.

– Mam w biurze coś, w co moglibyśmy go ubrać. Zaraz wracam.

ROZDZIAŁ 9



Ben właśnie odprowadzał wzrokiem oddalającą się truchtem Ally, gdy nagle poczuł coś ciepłego w okolicy kostki. Drgnął odruchowo i spojrział w dół: to Bażant przytulił się do jego nogi.

Zostawiła go sam na sam z psem. Drzwi klatki były otwarte, a buldog nie był na smyczy. Na szczęście nie wydawał się też specjalnie zainteresowany ucieczką. Przysiadł na bucie Bena, spoglądając mu prosto w oczy i raz po raz oblizując – i tak bardzo mokre – obwisłe policzki.

– No cześć. – Ben spróbował uwolnić stopę, ale Bażant przesunął się nieznacznie i znowu przysiadł na bucie, tym razem przy okazji zostawiając strużkę śliny na nogawce jego dżinsów. – Dzięki – mruknął kwaśno.

Pies parsknął w odpowiedzi i wyglądało na to, że postanowił zwyciężyć w konkursie na nieprzerwany kontakt wzrokowy.

Ben popatrzył w stronę biura, ale Ally jeszcze się nie pokazała. Miał dziwne wrażenie, że jeszcze nigdy nie przebywał sam na sam z psem. Zwłaszcza z takim, któremu się zdawało, że zdoła go do czegoś zmusić mocą psiej hipnozy.

– Czego ty właściwie chcesz? – spytał.

Bażant stęknął w odpowiedzi i jeszcze mocniej napał ciałem na jego nogę, wzdychając przy tym tak ciężko, jakby miał serdecznie dosyć tej ludzkiej tępoty.

– Wybacz. Psy to nie moja specjalność – przyznał, schylając się nieco, by niezgrabnym gestem poklepać buldoga po łbie.

Bażant natychmiast się ożywił, unióś się wyżej, a Ben odruchowo cofnął rękę, oczekując próby ugryzienia – albo co najmniej kontaktu z obleśnym jęzorem. Pies tymczasem tylko przycisnął miękki, ciepły pysk do jego palców. Mężczyzna podrapał go ostrożnie za uchem. Bażant westchnął z lubością, wpatrując się ze szczerym oddaniem...

...w torebkę, którą mężczyzna trzymał w drugiej ręce.

Psie smakołyki. Bażant próbował przebić się do jego zakutego łba z bardzo prostym komunikatem: miał ochotę na małe co nieco. A Ben stał przy nim pochylony, trzymając torebkę z przysmakami ledwie o kilka cali od jego pyska.

– Chciałbyś trochę? – spytał. Sięgnął do woreczka po suchą, brązową kostkę wydzielającą silną woń wątróbki.

Bażant zastygł niczym posąg, zapatrzony w smakołyk. Nie umiał zapanować tylko nad ruchami mokrego języka.

Ben upuścił przekąskę pod psi pysk – nie był pewny, czy gdyby sięgnął wprost do zębatej paszczy, zdołałby uratować wszystkie palce. Wątróbkowy przysmak odbił się od nosa Bażanta, ale zdążył dotknąć podłogi tylko na mgnienie oka, bo buldog rzucił się nań i pożarł, po czym wrócił do poprzedniej pozycji. Jej znaczenie przestało być zagadką: karm mnie, człowieku.

– Przykro mi, kolego. Nie wiem, czy wolno ci zjeść więcej niż jeden kawałek. – Ben zamknął szczelnie torebkę i wcisnął ją do kieszeni.

Bażant jednak nie zamierzał się poddać, skoro sztuczka Jedi już raz odniosła skutek. Mężczyzna znowu się nachylił, bacząc, czy nie straci palca, i raz jeszcze ostrożnie poklepał psa po łbie. Buldog zamruczał cicho i przymknął powieki, z lubością poddając się pieszczocie.

A po chwili zaskomlał, gdy Ben się wyprostował. W proteście znowu napał na jego nogę i obślinił mu but.

– Czego? Czego chcesz?

– Masz jego przysmaki.

Ben podskoczył z wrażenia. Nie słyszał kroków Ally, skupiony na Bażancie i jego niemożliwie wydajnych śliniankach. Stała ledwie sześć stóp od niego, a w objęciach miała imponującą kolekcję świątecznych ozdób oraz drogi aparat fotograficzny. Olbrzymi, sflaczały bernardyn stąpił w ślad za nią.

– Jeden już dostał.

– W jego pojęciu jeden to za mało. Nic tak nie motywuje Bażanta jak jedzenie. – Ally zatrzymała się o krok za Benem, ale Colby szedł dalej.

– Hola, hola – wymamrotał Ben, cofając się odruchowo.

Bażant, pozbawiony oparcia w postaci jego nogi, nagle stracił równowagę i jakby w zwolnionym tempie opadł na drewnianą podłogę.

– Nie bój się Colby’ego – powiedziała dziewczyna. – Chce się tylko przywitać z Bażantem. No, połącz się już, Colb.

Tego rodzaju komend nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Zatrzymał się tylko na chwilę, żeby obwąchać buldoga, po czym wykonał ciasny nawrót i legł z westchnieniem, jakby życie kompletnie go wyczerpało. Ben przyglądał mu się przez moment, by się upewnić, że już się nie podniesie, a gdy uniósł głowę, napotkał spojrzenie Ally.

– Naprawdę nieswojo się czujesz w obecności psów, prawda?

– Nieswojo? Może... po prostu jestem ostrożny.

Gdy się uśmiechnęła, w jej lewym policzku pojawił się dołeczek.

– Nie przejmuj się. Bażant to luzak, składa się wyłącznie z serca i żołądka.

– Oraz ze śliny.

– To fakt – przyznała ze śmiechem, a potem uniosła wyżej drobiazgi przyniesione z biura. – Co o tym sądzisz? Uda się zrobić z niego świątecznego modelu? Pomyślałam, że moglibyśmy zrobić mu zdjęcie na przytulnym legowisku. No i światło będzie tam trochę lepsze. A jeśli nie, to zaprowadzimy go do domu. Usiądzie pod choinką...

– Nie, tu będzie dobrze. – Ben wziął z rąk Ally kawałek wstążki, znowu spoglądając na aparat. Tego samego używała poprzedniego dnia, ale tym razem dodała jakiś osprzęt; wyglądał tak, jakby wyniosła go z profesjonalnej sesji fotograficznej. – Niezła maszyna.

Dziewczyna spoglądała na aparat, układając na podłodze świąteczne ozdoby.

– Skoro mamy to zrobić, warto zrobić to porządnie, nie sądzisz? – Wyjęła z kieszeni psie ciasteczko i użyła go, by zwabić Bażanta z powrotem do klatki i dalej, na posłanie. Pies położył się z głuchym sapnięciem, a ona przykucnęła obok i umieściła na czubku jego łba wielką kokardę. – Dlaczego nie miałabym wykorzystać praktyki, którą nabyłam, pracując z ludzkimi modelami? Tu pstrykam głównie pejzaże... no i raz zdarzyła się grupa ludzi stawiających choinkę na rynku. Nawiasem mówiąc, przepraszam za tamto. I naprawdę oddam twoją koszulę do czyszczenia.

– Nie ma o czym mówić. To ja przepraszam, bo grubo przesadziłem. A prawdziwym winowajcą jest niedobór kofeiny. – Ben rozejrzał się dokoła, by jak najszybciej zmienić temat. – Czyli jesteś fotografką?

Ally cofnęła się nieco, kadrując scenę, na nisko ugiętych nogach. Zaterkotała migawka.

– Co? A, tak. Pracuję dla paru nowojorskich pism jako wolny strzelec.

– A ja słyszałem, że jesteś grubą rybą w świecie mody.

Tym razem oderwała twarz od wizjera i spoglądała na Bena spod wysoko uniesionych brwi.

– Słyszałeś?

– No, wiesz: małe miasteczko. Karmimy się plotkami.

Kokarda właśnie zaczynała spadać z łba buldoga, więc Ally skupiła się na pracy.

– A co jeszcze o mnie słyszałeś? – spytała, wpatrując się w Bażanta przez obiektyw.

– Niewiele. Tylko że jesteś wnuczką Hala i Rity, że mieszkasz w wielkim mieście i robisz karierę w świecie haute couture.

– Nie takiej znowu *haute*. W życiu nie pracowałam dla „Vogue’a”, jeśli coś takiego sobie wyobrażałeś.

– Ale zarabiałaś tak na życie.

– To prawda. Jakoś mi szło. – Bażant kichnął i kokarda zsunęła się wprost na jego łapy. Natychmiast spróbował ją pożreć, ale Ally pstryknęła mu ostatnie zdjęcie i w porę wyciągnęła zdobycz z jego mokrego pyska. Odrzuciła kokardę z powrotem na stertę ozdób i wybrała długą wstążkę z czerwonego aksamitu. – Skoro nie mamy czapki Mikołaja, może chociaż uda się jakoś zgrabnie zawiązać mu to na szyi?

– Daj, spróbuję. – Ze wstążką w rękę Ben przykleknął obok Bażanta, który natychmiast się ożywił i zaczął obwąchiwać kieszeń kryjącą przysmaki. – Zachowuj się, to dostaniesz jeszcze jeden – obiecał, otaczając jego gruby kark aksamitem i fachowo wiążąc węzeł.

– Dobrze ci to wyszło – skomentowała Ally, gdy się wycofał.

– Jeśli chodzi o umiejętności z kategorii świątecznych, to znam się chyba tylko na pakowaniu prezentów. – Przez chwilę ciszę przerywała jedynie praca migawki. – Nie tęsknisz za Nowym Jorkiem? Ally nie odpowiedziała od razu, ale przestała pstrykać zdjęcia.

– Brakuje mi chyba poczucia, że wiem, co robię – odrzekła wreszcie, znowu naciskając spust migawki.

– Rozumiem. – Rzeczywiście rozumiał, bo odkąd został prawnym opiekunem Astrid, nieustannie czuł, że nie ma pojęcia, co właściwie robi. W ułamku sekundy cała pewność siebie, która towarzyszyła mu w dawnym życiu, rozwiała się jak dym. – To poczucie sprawia wielką różnicę.

– Właśnie. Zdażyłam dotrzeć do takiego punktu, w którym już wiedziałam, że jestem dobra w tym, co robię. Podobało mi się to, nawet jeśli to tylko praca.

Przyglądając się w milczeniu, jak Bażant usiłuje chwycić zębami końcówkę wstążki, Ben zgadzał się w duchu z każdym słowem Ally. Tak, to poczucie, że jest się dobrym w swoim zawodzie, i dla niego znaczyło bardzo wiele. Gdy ktoś miał problem z komputerem albo trzeba było zdebugować oprogramowanie, po prostu wiedział, co robić. Zdarzały się takie dni, w których czuł, że wyłącznie w pracy ma coś w rodzaju kontroli nad własnym życiem.

– W takim razie... co tu robisz?

Przez kolejną minutę w klatce Bażanta panowała cisza, choć Ally wciąż przyciskała aparat do twarzy.

– Dziadkowie mnie potrzebowali i wydawało mi się, że to jakiś znak. Że wszechświat każe mi tu zostać i pomóc.

– Ja jakoś nigdy nie słuchałem podszeptów wszechświata.

Spojrzała na niego znad aparatu.

– Nieszczególnie mnie dziwi, że nie wierzysz w takie znaki. Ale czy nie masz czasem wrażenia, że życie jakby chciało cię popchnąć w jakimś kierunku?

– Chyba tak. – Gdyby wybierał sobie przyszłość z katalogu, nie przyszłoby mu na myśl podjąć się roli samotnego ojca, a jednak życie skierowało go właśnie w tę stronę. Nie chciałby, żeby ktoś inny opiekował się Astrid, i za nic nie wyrzekłby się relacji, która łączyła go z siostrzenicą, ale prawda była taka, że gdy Katie i Paul zginęli, w pewnym sensie wiele z jego życiowych opcji umarło wraz z nimi. Odbijał się teraz rykoszetem od dnia do dnia, próbując jakoś zapanować nad tymi, które mu pozostały.

Bażant w końcu miał dość zabawy w modela: wstał z posłania, podszedł do Ally i spróbował na nią wleźć. W podziękowaniu podrapała go za uszami, ale szybko się podniosła, by ocalić aparat przed jego śliną. Włączyła wyświetlacz i przez chwilę przeglądała zdjęcia, by wreszcie zatrzymać się na jednym z nich.

Uśmiechnęła się, kierując aparat w stronę Bena.

– Jak sądzisz, mamy zwycięzcę?

Było to zdjęcie, na którym kokarda właśnie zaczynała się zsuwać z łba buldoga, przez co jego przekrzywiony, uśmiechnięty pysk wydawał się jeszcze słodszy niż w naturze.

– To jest naprawdę dobre. – Poniewczasie dotarło do niego, że w jego głosie zabrzmiało zaskoczenie, które mogło ją zabołec – jakby nie była zawodowcem w swojej branży – więc spróbował zatrzeć złe wrażenie: – To znaczy z takim zdjęciem adopcję ma jak w banku. Wygląda bardzo...

adoptowalnie. W sam raz do biuletynu.

Ally uśmiechnęła się, rozbawiona pokrętnym tłumaczeniem.

– Niech ci będzie. Wyślę ci to zdjęcie po południu. I jeszcze raz przejrzę pozostałe, nie chcielibyśmy przecież przegapić jakiegoś brylantu.

– Racja. Zdaje się, że powinienem wracać do pracy. – Ben zerknął na swój smartwatch (stary model) i zaklął bezgłośnie. – Tak, zdecydowanie powinienem wracać.

– Ben... naprawdę jestem ci wdzięczna za pomoc. W imieniu psiaków na Święta.

Odwrócił głowę, nie bardzo wiedząc, co zrobić z tym wyznaniem.

– Nie ma o czym mówić.

– Nieprawda.

Ally zebrała swoje rzeczy i wyszła z klatki. Ben rzucił Bażantowi obiecany przysmak i podążył jej śladem.

Colby drzemał w najlepsze pośrodku korytarza, ale uniósł łeb, gdy dziewczyna zatrzasnęła drzwi klatki. Nie ruszył się jednak, gdy wraz z Benem ruszyła w stronę wyjścia.

– Mogę ci się jakoś zrewanżować za tę przysługę? Może coś sfotografuję?

– Znasz się może na pieczeniu pierników?

Sam nie wiedział, dlaczego o to spytał. Zadanie powierzono jemu, a on przecież nie miał w zwyczaju rzucać odpowiedzialności na barki innych. Radził sobie. Bez względu na cenę.

– Prawdę mówiąc... – Przez chwilę Ben czuł przyływ nadziei, ale przeszło mu, gdy zobaczył minę Ally. – Ani trochę.

I on mógł się jedynie skrzywić.

– To tak jak ja.

– Za to moja babcia wie wszystko o pieczeniu – przypomniała sobie nagle Ally. – I uwielbia to robić, więc jestem pewna, że z przyjemnością ci pomoże.

– Nie, nie. Nie trzeba. Jakoś sobie poradzę. – Google moim przyjacielem, jak zwykle, pomyślał.

Dziewczyna pchnęła drzwi stodoły, wolną ręką ściskając aparat.

– Jeżeli zmienisz zdanie, oferta pozostaje aktualna.

– Serio, nie musisz mi się rewanżować. Wystarczy, że skupisz się na poszukiwaniu domów dla tych psów. – Bo gdy je znajdziesz, może wreszcie przestanę czuć się winny, że miasto obcięło wam dotację, pomyślał.

– Tak zrobię. Dzięki, Ben.

– Ally. – Skłonił się lekko, zapinając kurtkę.

Przeszedł bodaj ćwierć mili, zanim sobie przypomniał, że wciąż ma w kieszeni torebkę wątrobianych smakołyków.

ROZDZIAŁ 10



W piątek rano Ally weszła do ratusza z tradycyjnym symbolem pokoju – gorącą kawą – oraz z motylami w brzuchu. Całkiem nieoczekiwanie zawarła z Benem rozejm, ale nadal miała wyrzuty sumienia po tym, jak przedwcześnie uznała go za wroga... i oblała kawą. A skoro, jak twierdził, popsuł mu się ekspres, uznała, że taki dar o poranku będzie idealnym nowym otwarciem, a przy okazji podziękowaniem za pomoc dla schroniska.

Kiedy jednak spojrzała na biurko w holu, przy którym zastała go poprzedniego dnia, zobaczyła na jego miejscu kobietę w średnim wieku.

– Dzień dobry – powiedziała, zbliżając się z uśmiechem. – Szukam Bena Westa.

Kobieta także się uśmiechnęła, lecz raczej zagadkowo, jakby coś podejrzewała.

– Trzecie piętro, drugie drzwi po lewej.

– Dziękuję.

Wspinając się po schodach, Ally czuła na sobie jej wzrok aż do chwili, gdy znikła za zakrętem. Czuła się tym bardziej nieswojo, że stopnie skrzypiały pod jej stopami. Zanim dotarła na trzecie piętro, już całkiem serio się zastanawiała, czy wizyta w ratuszu to aby na pewno dobry pomysł. Niemal na palcach zakradła się ku drugim drzwiom po lewej stronie korytarza.

Ciasny pokój tonął w gratach – dominowały urządzenia elektroniczne i sterty papierów – które bez logicznego porządku zajmowały niemal każdy skrawek przestrzeni, włącznie z krzesłem dla interesantów. Ben siedział za biurkiem, twarzą w stronę drzwi, ale wpatrywał się w monitor w takim skupieniu, że Ally miała dość czasu, by uważnie mu się przyjrzeć. Marszczył brwi, najwyraźniej intensywnie myśląc, i machinalnie tarł palcem jedną z nich, dokładnie tak, jak robił to poprzedniego dnia. Po chwili zaczął pisać, energicznie dźgając klawisze długimi palcami.

Ally odchrząknęła. Spojrzała jej prosto w oczy, a jego dłonie znieruchomiały chyba w pół słowa.

– Hej.

– Hej, hej. – Zbyt radośnie. O wiele zbyt radośnie. Ally postanowiła nieco stonować swoje wystąpienie. – Przyniosłam ci kawę. Zaczęliśmy znajomość tak niefortunnie, a wspomniałeś, że popsuł ci się ekspres... Choć właśnie przyszło mi na myśl, że pewnie w pracy nie brakuje wam kawy.

– Przeciwnie – odparł Ben. – W zeszłym roku mieliśmy w pomieszczeniu socjalnym mały wypadek z kuchenką elektryczną, wiesz, stare kable, więc teraz każdy przynosi swoją kawę.

Ally uniosła wyżej kubki.

– Mam to zinterpretować jako „Hurra, kawa!” czy może już piłeś i...

– No... Hurra, kawa! – odpowiedział prędko Ben, wstając zza biurka. – Dziękuję i przepraszam. Zwykle nikt tu nie zagląda, żeby poczęstować mnie kofeiną.

Ally podała mu kubek.

– Czarna, ale przyniosłam też śmietankę i cukier. Nie wiedziałam, jaką lubisz.

– Czarna będzie w sam raz. Doskonała.

– Świetnie. – Poczowała rumieńce na policzkach, gdy brał od niej kawę. Miała nadzieję, że dzięki tej wizycie będzie się przy nim czuła mniej, a nie bardziej nieswojo. – Chyba już... – Urwała, wskazując na drzwi.

– Prawdę mówiąc, skoro już wpadłaś, mogłabyś mi w czymś pomóc. Pracuję właśnie nad biuletynem z psiakami w roli głównej i przydałby mi się fajny opis Bazanta. Jak dotąd wymyśliłem jedynie, że jest „imponująco wilgotny”.

Ally parsknęła śmiechem.

– Przypuszczam, że nie jest to najbardziej ujmująca z jego cech.

Ben skinął dłonią w stronę komputera.

– Masz chwilę?

– Mam. Pewnie, że tak.

Ben odstawił kawę i pospiesznie uwolnił drugie krzesło, przekładając byle gdzie stos papierów. Następnie przeniósł je nad biurkiem i postawił obok swojego, po czym skinął na Ally i usiadł przed monitorem. Przycupnęła na samym skraju siedziska, ukradkiem przyglądając się jego stanowisku pracy. Na biurku wypatrzyła kilka zdjęć. Jedno z nich przedstawiało parę starszych ludzi, być może rodziców. Kolejne – Astrid z dwojgiem uśmiechniętych dorosłych, zapewne z mamą i tatą.

Na ekranie zaś ujrzała wstępną wersję biuletynu, ozdobioną zdjęciem, które przesłała Benowi poprzedniego wieczoru. Blok tekstowy pod fotografią był jeszcze pusty, jeśli nie liczyć hasła „Tu coś inteligentnego”.

– Może coś takiego – odezwała się z uśmiechem. – „Lojalny, przesympatyczny buldog szuka rodziny, która nie będzie mu szczędziła pieszczot”... Albo bardziej świątecznie, jak w piosence, na przykład: „Pierwszego dnia Świąt «Kosmaci Przyjaciele» podarowali mi buldoga imieniem Bażant, który nie zmieściłby się w koronie gruszy”, jak w piosence?

Gdzieś między wąsami a brodą Bena błysnęły białe zęby.

– Dobrze, ale pierwszy pomysł bardziej mi się podobał: pomaga sobie wyobrazić, jak to będzie mieć takiego psa. Co jeszcze lubi?

– Smakołyki. Drzemki. Drapanie po brzuchu. Tak, Bażant przepada za drapaniem po brzuchu.

Palce Bena zatańczyły na klawiaturze w imponującym tempie.

– To będzie dobre.

– Powinniśmy chyba podać jego wiek. Napiszmy też, że jest wykastrowany, przeszkolony i zaszczepiony.

Ben pokręcił głową.

– O tym wszystkim możesz informować chętnych, gdy już się pojawią.

– Ludzie chyba powinni wiedzieć z góry, że nie zasika im dywanów.

Ben skrzywił się lekko.

– Uroki posiadania zwierząt.

– To dlatego nie chcesz mieć psa?

– A kto powiedział, że nie chcę?

– Ty. Wczoraj. Gdy pytałam, czy jesteś zainteresowany adopcją.

– Racja. Wybacz, to drażliwy temat. Chodzi o to, że nie mam miejsca na psa.

– Nie wszystkie potrzebują przestrzeni.

– I nie wszyscy potrzebują psów. – Ben wzruszył ramionami. – Jakoś nie widzę w tym sensu.

– W tym, żeby mieć kogoś, kto cię bezwarunkowo kocha i wpada w euforię, gdy tylko przekroczysz próg domu? Faktycznie coś okropnego.

Ben parsknął lekceważąco.

– Kochają nas, bo je karmimy. Nie nazwałbym tego bezwarunkową miłością.

– Karmienie na pewno pomaga – przyznała Ally – ale to nie jedyny powód, dla którego nas uwielbiają.

Ben nachylił się po kubek.

– Oświeć mnie, proszę.

– Dla psa jesteś tym jedynym – wyjaśniła. – Ma w sobie pokłady uczucia i tylko szuka kogoś, w kim mógłby je ulokować. Jak można nie chcieć czegoś takiego?

– Psy brudzą, mają potrzeby i o wiele za szybko zdychają.

– No proszę. Nagle zrobiło się ponuro.

– Naprawdę nigdy nie masz poczucia, że sama fundujesz sobie żalobę, inwestując uczucia w zwierzątko, który pożyje dziesięć albo dwadzieścia lat?

– Świadomość, że nic nie trwa wiecznie, nie czyni tej relacji ani trochę mniej cudowną. Przeciwnie, jest jeszcze bardziej wyjątkowa przez to, że trwa tak krótko.

Ben spojrział na Ally sceptycznie.

– Niech zgadnę: należysz do osób, które wierzą, że lepiej jest kochać człowieka i go stracić, niż nie mieć nikogo?

– Oczywiście. – Czy mogła być innego zdania? Przecież straciła ludzi, których kochała najbardziej na świecie. – A ty nie?

– Jeszcze się nie zdecydowałem.

– To może na początek adoptuj psa – zaproponowała. – Bażant jest bardzo uczuciowy, ma dopiero pięć lat... Wygląda na to, że jeszcze pożyje.

– Dziękuję, postoję. – Ben spojrział znowu na ekran. – Może dodamy takie zdanie w biuletynie? „Pociągnie jeszcze rok albo dwa”.

– Zawsze jesteś takim pesymistą czy nachodzi cię to tylko w okolicy Bożego Narodzenia?

– Nie jestem pesymistą – odparł urażony.

– Czyżby? – Tym razem to Ally była sceptyczna.

– Jestem realistą. Ludzie zwykle nie zastanawiają się nad konsekwencjami własnych wyborów. A przecież wszystko ma jakieś skutki.

– Owszem, ale świadomość konsekwencji nie może oznaczać bierności. Nie na tym polega życie, żeby unikać przyczyn i skutków. Niekiedy nagroda jest warta podjętego ryzyka. Tak na przykład jest z psami.

– Naprawdę je kochasz, prawda?

– To cię dziwi?

– Sądziłem, że może po prostu robisz to, co uważasz za słuszne, to w końcu interes twoich dziadków, ale widzę, że tak nie jest. Działasz z przekonaniem.

– Chyba tak – przyznała, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Psy dają ludziom szczęście. Trudno mi zrozumieć, dlaczego ktoś może tego nie chcieć. Z początku chciałam trochę rozruszać interes, wprowadzić schronisko w nowe dziesięciolecie – co akurat nieszczególnie podobało się moim dziadkom – ale wszystko się zmieniło, gdy dowiedzieliśmy się o terminie. O anulowaniu dotacji.

– No tak. Wybacz – rzucił Ben z kwaśną miną.

– To nie twoja wina. Poza tym może ten twój biuletyn nas uratuje.

Ben skinął głową w stronę ekranu.

– Sądzisz, że tak może być?

Ally przeczytała tekst, uśmiechając się coraz szerzej.

– Doskonale. – Tak opisany Bażant był po prostu czarujący; tym razem ktoś na pewno go pokocha. – Dziękuję, Ben.

– Dzięki za kawę – odparł, unosząc kubek w toaście.

– Dostaniesz więcej, jeśli ludzie zaczną adoptować nasze psy – obiecała Ally, wstając. Sięgnęła po swoje pół kawy i torbę. – Na kiedy mam dostarczyć kolejne zdjęcia?

– Gdy tylko będą gotowe. Co parę dni, aż do samych Świąt, chcę zamieszczać jedno ogłoszenie. Rozbudzimy zainteresowanie. Pomóc ci z sesją?

– Hmm... tak, jeśli masz ochotę. Przynajmniej przy większych psach.

Właściwie nie wiedziała, dlaczego powiedziała „tak”. Nie potrzebowała pomocy. Była profesjonalistką. Poradziłaby sobie, a jeśli nie, poprosiłaby o pomoc dziadka. A jednak nie wycofała się, gdy Ben kiwnął głową.

– Odezwę się SMS-em, dogadamy termin.

– Super – stwierdziła, a potem zapisała na samoprzylepnej karteczce numer telefonu. – Do zobaczenia.

Uśmiechała się, wychodząc z ratusza. Operacja „Nowe otwarcie” zakończyła się pełnym sukcesem.

ROZDZIAŁ 11



Biuletyn z profilem pierwszego z psiaków poszedł w świat w piątek po południu. Ally nadstawiała uszu przez cały weekend, by nie przegapić chrzęstu opon na podjeździe.

To się musiało udać. Była pewna.

Utrzymywała stały kontakt SMS-owy z Benem – wymieniali się pomysłami. „Tak sobie przeglądam te zdjęcia”, napisał w piątkowy wieczór. „Powinnaś je wysłać do redakcji w Burlington. Może zrobią z nami program?”

Ally natychmiast podziękowała za ten pomysł i dodała, że nie ma powodu poprzestawać na Burlington. Nie brakowało ogólnokrajowych nadawców, którzy w porannych serwisach poświęcali uwagę zwierzętom czekającym na adopcję. Pełna nadziei zaczęła szukać danych kontaktowych.

Następnego ranka, gdy dziadkowie rozmawiali o miejskiej paradzie świątecznej, przyszła jej do głowy nowa myśl. Wiedziała, że usłyszy od nich co najwyżej „nie martw się” oraz „ciesz się urlopem”, ale czuła, że Ben jej wysłucha.

„Sądziś, że moglibyśmy umieścić kilka psów na platformie podczas parady świątecznej?” Wiedziała, że Ben jest zajęty, więc nie oczekiwała natychmiastowej odpowiedzi na SMS-a, ale dostała ją po niecałej minucie.

„Dobry pomysł. Pogadam z organizatorami”.

Ally szczerzyła się do własnego telefonu jak idiotka, irracjonalnie zachwycona tym, że ma Bena po swojej stronie. Widząc jej zachowanie, babcia spytała, czy koresponduje z jakimś adoratorem. Dziewczyna zarumieniła się i zaprzeczyła. Nie, w tej znajomości nie było niczego romantycznego. Owszem, obiektywnie rzecz biorąc, Ben to przystojniak, ale pamiętała słowa Buni o jego narzeczonej. Byli więc przyjaciółmi i nikim więcej, ale i to okazało się miłe. Więcej niż miłe. Czuła, że znalazła partnera, który pomoże jej rozpracować problem, i była to wielka zmiana na lepsze.

Napisała do niego natychmiast, by podzielić się radością, gdy znalazła w magazynie pudełko ślicznych chust z napisem „ADOPTUJ MNIE” – w sam raz dla psów, które miały wziąć udział w świątecznej paradzie. Ben tymczasem zajrzał do miejskiego składziku i trafił na starą czapkę Mikołaja. Zrobił jej zdjęcie i wysłał Ally z propozycją, by wykorzystali ten rekwizyt podczas sesji z Galaretem zaplanowanej na popołudnie.

Miała wrażenie, że dziadkowie ani trochę nie przejęli się obcięciem funduszy. Najwyraźniej nadal wierzyli, że wszystko jakoś samo się ułoży. I być może mieli rację, skoro ona i Ben wzięli się do roboty.

Astrid i Kimber przychodziły każdego dnia po lekcjach i spędzały po parę godzin, bawiąc się z psami, wyprowadzając je, karmiąc i ucząc wykonywania podstawowych poleceń. Ich rodzice wciąż jeszcze nie pokazali się w schronisku, więc Ally była zdania, że w kwestii adopcji psów żadna nie zdołała dopiąć swego, ale cieszyła się, że dziewczynki tak świetnie radzą sobie z czworonogami. Psy je uwielbiały – być może dlatego, że Astrid i Kimber nie żałowały im przysmaków, a Ally nie miała im tego za złe. Uważała, że każdy z nich zasługuje na to, by mieć na świecie kogoś z kieszeniami pełnymi milk-bones i wątrobianych przekąsek.

Dolce jeszcze się nie oszczeniła, ale zaanektowała psie posłanie w najciemniejszym zakątku biura. Warczała za każdym razem, gdy Colby próbował choćby je obwąchać, za to uwielbiała Bunię, która nie szczędziła jej pieszczot.

We wtorek rano Ally po raz tysięczny pochyliła się nad rachunkami schroniska, próbując ustalić, o ile mogliby obniżyć opłatę adopcyjną w ramach „totalnej wyprzedaży”, żeby na koniec roku wyjść na zero. Z głębokiego skupienia wyrwał ją trzask samochodowych drzwi na podjeździe.

Colby uniósł łeb, a od strony klatek dobiegło ujadanie psów. Ally ożywiła się niemal tak jak one.

– Może już czas na pierwszy sukces – powiedziała do bernardyna, mierzwiąc sierść za jego uszami, po czym ruszyła do drzwi.

Od paru dni było ciepłej, śnieg częściowo stopniał i z dachu stodoły spływały cieniutkie strumyczki wody. Ally wyszła na mokry żwir i uśmiechnęła się do kobiety, która właśnie wysiadła z zabytkowego bladoniebieskiego garbusa.

– Dzień dobry!

– Witam! – Kobieta się rozpromieniła, idąc ku Ally; wręcz tryskała radosną energią. Mogła mieć dwadzieścia kilka lat i była ubrana z eklektyczną swobodą, która spodobałaby się na Brooklynie. Jej jasne włosy z nutą różu były na tyle krótkie, że ledwie mogła spiąć je w kitkę na czubku głowy. Limonkowe legginsy ciasno opinały jej szczupłe nogi, choć widać było tylko ten ich fragment, który wystawał spod wielkiej kurtki zimowej i znad czarnych, kosmatych butów.

– Ally, jak się domyślam. Jestem Deenie.

– Miło mi poznać. – Dziewczyna uściśnęła jej dłoń na powitanie, zastanawiając się przy tym, który z psów najlepiej pasowałby do takiej osoby. Z bliska dostrzegła pokłady brokatu na jej policzkach i nosie. Może mała Jo-Jo byłaby w sam raz? Ze swymi kosmatymi uszami pasowałaby jak ulał do tak odważnego stylu. – Szuka pani psa?

Deenie zmarszczyła nos.

– Wynajmuję mieszkanie i nie wolno tam trzymać zwierząt. Poza tym zbyt często pozwalam sobie na niespodziewane wyjazdy, by być dobrą panią dla pieska. Przyjechałam, bo pomyślałam sobie, że może przyda się tu wolontariuszka. Kocham zwierzęta i już kilka razy pomagałam Halowi i Ricie. Ekspertka w wyprowadzaniu psów, do usług – przedstawiła się z uśmiechem. – Nawet Maximus mnie słucha.

– Naprawdę? – Ally otworzyła drzwi i po chwili znalazły się już w ciepłym wnętrzu stodoły.

Deenie wyciągnęła rękę, żeby przywitać się z wielkim wilczarzem z pierwszej klatki.

– To tylko wielki pluszak. Prawda, słoneczko, że pluszak z ciebie? O, tak. Tak – zaćwierkała piskliwie, po czym już zwykłym głosem odezwała się do Ally: – Nie wiedziałam, że macie aż takie kłopoty, póki nie przeczytałam w biuletynie, że obcięli wam dotację. Naprawdę będziecie musieli zamknąć schronisko?

Ally posmutniała.

– Pracuję nad zdobyciem funduszy z innego źródła, ale na dziś musimy założyć, że nic z tego nie wyjdzie, i jakoś zapewnić psom przyszłość.

– Fatalnie. Cholerna rada miejska. Powinniśmy rozpisać internetową petycję w tej sprawie.

– Jestem gotowa spróbować wszystkiego – zadeklarowała Ally. – Chociaż nie wiem, czy to coś da. W budżecie chyba nie ma żadnej rezerwy. Zdaje się, że potrzebny jest remont dachu świetlicy.

Deenie podeszła do kolejnej klatki, kontynuując powitanie z mieszkańcami schroniska.

– Ale nie zaszkodzi uświadomić ludziom, że jest problem. Niech się zainteresują, wzruszą, może sięgną po książeczki czekowe. Sama coś bym ofiarowała, gdyby nie to, że zawsze jestem o miesiąc od bankructwa. – Powiedziała to całkiem swobodnie, jakby pewność siebie nie pozwalała jej nawet dopuścić myśli o tym, że kłopoty finansowe to coś wstydlivego.

Ally żałowała, że jej brakuje takiego nastawienia. Miała wrażenie, że przez ostatnich dziesięć lat zajmowała się głównie udawaniem, że ma nad własnym życiem większą kontrolę niż w rzeczywistości.

– Przyda się każda pomoc.

Deenie wstała, przerywając głaskanie Freda i Ginger. Krzywiąc się, otrzepała rękę.

– Przepraszam, wszędzie zostawiam ten brokat. Właśnie wracam z występu.

– Jesteś muzykiem? – Tak, to by pasowało do jej fantazyjnego stylu. I do tej pewności siebie.

– Nie, królowną.

Królowną?

Deenie roześmiała się, widząc zdumienie w oczach Ally.

– Organizuję przyjęcia dla małych dzieci i gram królową. Poza tym projektuję i szyję kostiumy królowy dla dziewczynek w różnym wieku. Szczerze mówiąc, te sukienki przynoszą największy dochód, ale o wiele przyjemniej jest na przyjęciach. Bywam Calineczką albo Małą Syrenką i przez całe popołudnie bawię się z maluchami. Oczywiście zawsze jestem królową z domeny publicznej, żeby prawnicy Wielkiej Złej Myszy nie mogli mnie ścigać.

Słuchając wyjaśnień Deenie, Ally w końcu to dostrzegła: jej energia, entuzjazm, nawet te punkrockowe różowawe włosy – wszystko to pasowało jak ulał do wizerunku disneyowskiej królowy. I ten uśmiech promieniający radością i słodyczą z powodzeniem mógł należeć do osóbkę, która ma cały leśny zwierzyniec na zawołanie.

– Jakim cudem trafiłaś do takiej branży?

– Studiowałam teatr dziecięcy. Było super, ale jak się okazało, nie ma wielkiego popytu na prawdziwą sztukę adresowaną do przedszkolaków. A powinien być. Uruchamianie wyobraźni, budowanie pewności siebie i empatii: badania dowodzą, że teatr może mieć bardzo pozytywny wpływ na małe dzieci. Niestety ta działalność ma identyczny problem jak wasza: zawsze jest pierwsza w kolejce do obcięcia funduszy. I dlatego musiałam się chwycić jakiegokolwiek roboty, tak wpadłam w ten dworski układ. Na szczęście uwielbiam być królową. No, cześć! – Deenie już się pochylała nad Colbym, który w końcu wylazł z biura, żeby zbadać sytuację. – A najlepsze jest to, że sama ustalam sobie grafik zajęć. Życie jest takie krótkie, że szkoda czasu na podporządkowywanie się innym, prawda, kochanie?

To ostatnie adresowane było chyba do Colby'ego, więc Ally nie odpowiedziała.

– Skoro już tu pomagająś, to pewnie znasz większość psów?

– Tylko te z najdłuższym stażem. Właśnie wróciłam z trzymiesięcznej wyprawy z plecakiem po Nowej Zelandii, więc nowicjuszy na pewno nie znam. A ty jesteś jednym z nich, prawda, mój piękny?

Colby zwałił się na podłogę i łaskawie nadstawił brzuch do głaskania.

– To Colby. Należy do mnie.

– Ale słodziak. – Deenie posłusznie masowała brzuch bernardyna. – To od czego mam zacząć?

Ally zmierzyła ją wzrokiem. Deenie była o dobrych sześć cali wyższa od niej, ale bardzo szczupła. Wystające z rękawów nadgarstki wyglądały na bardzo kruche.

– Naprawdę potrafisz zapanować nad Maximusem? – Była gotowa się założyć, że taki olbrzym powali ją na ziemię w mniej niż dziesięć sekund.

– Sama zobacz – odrzekła Deenie z zawadiackim uśmiechem.



Deenie była istną zaklinaczką psów.

Gdy po dwóch godzinach opuszczała schronisko, jego mieszkańcy – wszyscy co do jednego – byli grzeczni jak anioły, a Ally się zastanawiała, jak namówić ją, by wzięła udział w świątecznej paradzie, towarzysząc psom na platformie. Brokatowa królowa najwyraźniej mówiła całkiem serio, że nie uznaje grafików, bo nie zapowiedziała nawet, kiedy znowu się pojawi. Ally postanowiła, że przyjmie jej pomoc każdego dnia o dowolnej porze.

Siedziała w biurze, sprawdzając, czy nie przegapiła żadnego wniosku adopcyjnego, gdy kwadrans przed szesnastą zjawiły się Astrid i Kimber, mocno zdyszane, bo biegły przez całą drogę ze szkoły.

– Cześć! – krzyknęła Kimber w stronę biura, gnając prosto do Kapitana Ameryki, golden retrievera, który skoczył już ku drzwiom klatki, żeby ją powitać.

– Zdaje się, że Kimber już ma swojego ulubieńca – skomentowała Ally, stając przy Astrid, która właśnie wieszła kurtkę na jednym z kołków przeznaczonych na smycze.

– A pani nie ma? – spytała dziewczynka.

– Spośród psów do adopcji? Nawet nie powinnam. Każdy jest na swój sposób cudowny.

– Ale?

Ally się uśmiechnęła.

– Przyznaję, że mam słabość do Bażanta.

Astrid odwzajemniła uśmiech.

– Jest taki mięciutki!

– Ano jest.

– Mogę dziś wyprowadzić Kapitana? – spytała Kimber, biegnąc ku nim.

– Pewnie. I możesz go trochę poszkolić. Pamiętasz komendy, o których rozmawiałyśmy?

– Siad, leżeć, do nogi... – wyrecytowała Kimber. – Będzie najlepiej wyszkolonym psem w całym schronisku.

– Możliwe. – Ally spojrzała na Astrid. – Pójdiesz z Kimber i Kapitanem czy wolisz wziąć własnego pieska?

– A mogę mieć własnego?

– Jasne. Którego chcesz?

– Bażanta. – Mała uśmiechnęła się nieśmiało, a Ally z zadowoleniem.

– Świetny wybór.

Astrid i Kimber przywitały się jeszcze ze wszystkimi psami, nie wyłączając Dolce, która nadal nie ruszała się z biura, a przy okazji zapewniły każdego z osobna, że jest grzeczny lub grzeczna. W końcu Ally zaprowadziła dziewczynki i ich ulubieńców do pustego magazynu, gdzie mogli poćwiczyć. Przez kilka minut przyglądała się ich poczynaniom, by mieć pewność, że nie będzie problemów. Kapitan i Bażant byli bardzo posłuszni, choć ten pierwszy o wiele prędej uczył się nowych komend. Miała nadzieję, że Bażant nadrobi metodą niezliczonych powtórzeń – teraz, gdy został bohaterem biuletynu, w każdej chwili mógł się po niego ktoś zgłosić.

Tak, biuletyn musi pomóc. Ally spodziewała się, że Ben przyjdzie po pracy, obiecał pomóc jej przy sesji zdjęciowej z Galaretem. Musieli się spieszyć, by znaleźć nowe domy wszystkim psom.

A potem jeszcze jedno: powinna poszukać pomysłu na siebie. Na szczęście z tym nie musiała się aż tak bardzo spieszyć.

Postanowiła, że sfotografuje Galareta na ganku, więc zabrała się do przygotowywania sceny. Na szczęście nie było już tak zimno jak kilka dni wcześniej, ale palce i tak jej sztywniały mimo rękawiczek, gdy oplatała tralki świątecznymi girlandami, wyobrażając sobie psa w czapce Mikołaja, leżącego słodko na huśtawce.

Zanim się obejrzała, na podjazd wjechał SUV Bena, który wyskoczył zza kierownicy właśnie w czapce Mikołaja. Ally parsknęła śmiechem.

– Miała być dla psów.

– Staram się naprawić mój Scrooge'owaty wizerunek – odparł, idąc w jej stronę.

– Nawet skutecznie. Bardzo świąteczny rekwizyt.

– Podobnie jak ta sceneria – odparł, wchodząc po stopniach na ganek i studiując jej rękodzieło.

– Obrazek jak z kartki świątecznej.

Ally skłoniła się przesadnie, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Dziękuję, łaskawy panie.

Zaraz jednak spoważniała, spoglądając na ciemniejące już niebo.

– Musimy się spieszyć, żeby nie stracić resztek światła. Zapomniałam, jak wcześnie w górach zachodzi grudniowe słońce.

Ruszyła do stodoły, a on podążył za nią.

– Którego bierzemy dziś w obroty?

– Myślałam o Galarecie, jest taki poczciwy i chętny. Wielu ludzi słyszy „półpitbull” i od razu zakłada, że pies jest agresywny, a przecież to przytulas bez jednej kości w ciele!

– Odezwali się może ze stacji w Burlington? Chcą, żebyś przyprowadziła psy do studia?

– Tak. Pomyślałam, że wezmę ze sobą Freda i Ginger, a do tego może parę starszych,

spokojniejszych psów. Lepiej zniosą intensywne światło, kamery i stado obcych ludzi.

– Rozmawialiśmy o paradzie, a ja pomyślałem potem, że moglibyśmy przyprowadzić kilka psów na piątkowe włączanie iluminacji choinkowej na rynku. Będzie tam całe miasto, więc to chyba idealna sytuacja, by przedstawić je szerokiej publiczności. Potencjalni chętni do adopcji będą mieli okazję poznać je lepiej niż podczas parady, gdy będą jechały na platformie.

– Fantastyczny pomysł. – Ally poczuła kolejną falę optymizmu. Czy którykolwiek z mieszkańców miasta mógł nie zakochać się w takich psach, gdy już pozna je osobiście?

Ben przytrzymał dla niej otwarte drzwi stodoły. Psy jak zwykle powitały ich szczekaniem, gdy tylko weszli do ciepłego wnętrza.

– Cześć, chłopaki i dziewczyny! – powiedziała Ally, idąc do klatki Galareta.

Ben ruszył za nią.

– Ally! – zawołała Astrid z głębi korytarza. – Zobacz, czego nauczyłam Bażanta!

Dziewczynki wybiegły z za zakrętu. Bażant truchtał z nimi na smyczy, idealnie trzymając się u nogi swojej pani. Wreszcie Astrid uniosła głowę i zatrzymała się jak wryta, z szeroko otwartymi oczyma, wpatrzona w jakiś punkt ponad ramieniem Ally. Kimber także przystanęła, ewidentnie wystraszona.

Ally odwróciła się wolno. Ben stał nieruchomo jak słup soli.

Nagłe napięcie pomogło jej przypomnieć sobie o dwóch faktach. Babcia mówiła jej dzień wcześniej, że Astrid jest siostrzenicą Bena. I że nie jest pewna, czy bliscy dziewczynek wiedzą o ich wizytach w schronisku.

Ally na śmierć zapomniała o tym rodzinnym powiązaniu – Ben i Astrid w ogóle nie byli podobni, nie tylko fizycznie. Astrid nie przestawała opowiadać o tym, jak strasznie chciałyby mieć psa i jak bardzo czeka na Boże Narodzenie; nic z tego jakoś nie pasowało do wizerunku Bena, miejscowego marudy.

Babcia zapewniła Ally, że dziewczynki śmiało mogą zostać wolontariuszkami, a przecież znała to miasto znacznie lepiej niż ona. Z drugiej strony, Ally doskonale wiedziała, że należało skontaktować się z rodzicami Astrid i Kimber i spytać, czy nie mają nic przeciwko. I zamierzała to zrobić, ale miała na głowie tyle innych, ważnych spraw. A w owych krótkich chwilach, gdy mogłyby to zrobić, jakoś o tym nie myślała. Wmawiała sobie, że rodzice pewnie i tak już wiedzą, ale najwyraźniej była w błędzie, bo Astrid wpatrywała się teraz w Bena z istnym przerażeniem.

– Wujku – bąknęła wreszcie dziewczynka zduszonym głosem. – Co ty tu robisz?

Ben wyraźnie spochmurniał pod czapą Mikołaja, w której w tym momencie było mu jeszcze mniej do twarzy.

– Co ja tu robię?

ROZDZIAŁ 12



Ben jeszcze nigdy nie uziemił Astrid. Dzięki Bogu była naprawdę fajnym dzieciakiem. Aniołem. Nigdy nie musiał się martwić, że złamie zasady.

A przynajmniej tak sądził. Teraz jednak zaczynał się zastanawiać, czy odkąd stał się dla niej namiastką ojca i matki, w ogóle miał pojęcie, co robi. Był przekonany, że Astrid spędza popołudnia, pracując nad szkolną platformą na paradę bożonarodzeniową. Wyobrażał sobie, że robi to pod odpowiednim nadzorem, uzbrojona w klej i masę papierową.

Kłamała.

I to w żywe oczy. Za coś takiego chyba należy się szlaban? Naturalnie pamiętał, że gdy uziemił go rodzice, nigdy nic dobrego z tego nie wynikało, ale nie miał pojęcia, w jaki inny sposób mógłby ją ukarać za łgarstwo. Czuł, że oblewa egzamin z rodzicielstwa. Znowu.

– Zechcesz mi wyjaśnić, co tu robisz?

Astrid zamarła piętnaście stóp od niego i nie odważyła się podejść bliżej. Kimber Kwan, której rodzice prawdopodobnie również nie mieli pojęcia, co porabia ich córka, także nie śmiała nawet drgnąć. Golden retriever grzecznie przysiadł u jej nogi, za to Bażant szarpał się na smyczy, chcąc przywitać się z Benem. Nikt nie zwracał uwagi na jego wysiłki.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę – wybąkała Astrid tak cicho, że ledwie usłyszał. – Uczymy się, jak dbać o pieski, jak je szkolić i tak dalej. Myślałam, że gdy zobaczysz, że to nie żarty, że sobie poradzę...

– Rozmawialiśmy o tym.

Jego głos musiał zabrzmieć bardziej złowieszczo, niż mu się wydawało, bo Ally stanęła między nim a dziewczynkami.

– Ben...

– To nie twoja sprawa. – Przypomnił sobie, że wciąż ma na głowie czapkę Mikołaja, więc zdjął ją i rzucił Ally, ruszając ku Astrid.

– Twoja chyba też nie – odpowiedziała, ale on już ją ominął.

Bażant omal go nie przewrócił entuzjastycznym powitaniem, lecz i to nie wystarczyło, by odwrócić uwagę Bena od siostrzenicy.

– Rozumiem, że gdy mówiłaś mi, że pomagasz w ozdabianiu platformy na paradę, po prostu kłamałaś?

– Naprawdę pomagałam – zaprotestowała Astrid, nie patrząc mu w oczy, po czym dodała niechętnie – ale tylko z początku. Po prostu nie powiedziałam, kiedy skończyliśmy...

Dzieci miały być wypuszczane ze szkoły za wiedzą dorosłych; w Pine Hollow surowo przestrzegano tej zasady.

– Ciocia Elinor ci pomogła? Poprosiłaś, żeby kłamała w twoim imieniu?

Astrid przestąpiła z nogi na nogę.

– Powiedziałyśmy jej, że wracamy pieszo do domu.

– Zatem i ją okłamałaś.

Uniosła głowę, ale wciąż nie patrzyła mu w oczy.

– No... poszliśmy do domu, tylko tam nie zostaliśmy.

– Astrid. – Ben nie umiał ukryć rozczarowania.

Dziewczynka znowu spuściła głowę.

– Chciałam ci tylko pokazać...

– Zabierz swoje rzeczy, jedziemy do domu.

– Ben, daj spokój... – odezwała się Ally z za jego pleców, ale nawet na nią nie spojrział.

– Już, Astrid. – Ben przeniósł wzrok na Kimber, która ze wszystkich sił próbowała stać się niewidzialna. – A twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś?

Dziewczynka otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie głosu. Widząc jej szeroko otwarte oczy za soczewkami okularów, Ben skrzywił się mimowolnie. Jeszcze niedawno był tym fajnym wujkiem, a teraz stał się ich wrogiem.

– Ty też się zbieraj.

Dziewczynki odwróciły się i przytulone do siebie ruszyły w głąb stodoły.

– Chodź, Bażant – powiedziała Astrid, łagodnie ciągnąc za smycz.

Gdy zniknęły za rogiem, Ben powstrzymał się siłą woli, by nie odwrócić się ku kobiecie, która nie raczyła go poinformować, że jego siostrzenica go oszukuje, by wymykać się do schroniska. Czuł, że potrzebuje chwili, żeby się opanować.

– Nie będę mógł ci pomóc w tej sesji. – Nawet nie próbował hamować szorstkiego tonu. – Możesz mi przysłać zdjęcia, zamieszczę je w biuletynie.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się wściekasz. – Jej głos rozbrzmiewał teraz znacznie bliżej, stała tuż za nim, ale nadal na nią nie spojrział. – Zgłosiła się na ochotnika, bardzo nam pomogła, jest taka odpowiedzialna...

– I okłamała mnie.

Zrobiła jeszcze dwa kroki, by już nie mógł unikać jej wzroku.

– Zgoda, to nieładnie, ale nie sądzisz, że to sprawa między nią a jej rodzicami?

– To ja jestem jej rodzicem – rzucił gniewnie i zaraz zniżył głos, by nie usłyszała go Astrid.

– A w każdym razie opiekunem. Jej rodzice zginęli w wypadku dwa lata temu. Zostaliśmy sami. I to ja powiedziałem jej, że nie może mieć psa.

Świątoszkowata mina Ally gdzieś się ulotniła już przy drugim zdaniu.

– Ben... Tak mi przykro. Nie wiedziałam...

– Już dobrze – odpowiedział, czując, że chyba jeszcze nikomu nie zaserwował tak wielkiego kłamstwa. Nie było dobrze. Nigdy nie było dobrze. Cała ta sytuacja, w której się znalazł – to było zwyczajnie nie fair i jeśli co rano nie wyrzekał opatrności na swój los, to tylko dlatego, że nie chciał, by Astrid choć przez sekundę podejrzewała, że nie jest bezgranicznie szczęśliwy w roli jej opiekuna. Musiał być silny dla niej. Musiał okazywać, że wszystko jest w najlepszym porządku, że radzą sobie we dwoje. A skoro tak, to po prostu musieli sobie radzić. Nawet jeśli nie miał pojęcia, co to znaczy być tatą. I jak się zachować w tej chwili.

Jeszcze nigdy go nie okłamała; w każdym razie nic o tym nie wiedział. Jak ustawić ją do pionu? Jak ją ukarać, jednocześnie nie pozwalając, by zwątpiła w jego bezwarunkową miłość? Mógł słuchać poradników dla rodziców od rana do nocy, a i tak nie byłoby mu łatwiej.

– To naprawdę dobra dziewczynka – odezwała się Ally.

– Wiem – odparł Ben, odrobinę bardziej szorstko, niż zamierzał. – Ale nie mogę pozwolić, żeby mnie okłamywała za każdym razem, gdy jej czegoś zabronię.

– Racja. Jasne, że nie możesz. – Ally położyła mu dłoń na ramieniu i choć kusiło go, żeby ją strząsnąć, nie zrobił tego. – Jeśli mogę jakoś pomóc...

– Przyślij mi te zdjęcia – wpadł jej w słowo. Nie potrzebował pomocy. To on odpowiadał za Astrid.

Ally cofnęła rękę. Astrid i Kimber wychynęły zza zakrętu korytarza, ubrane w kurtki i z plecakami na ramionach. Ben poczuł znajomy ucisk w piersi: znowu musiał znaleźć tę jedną, właściwą odpowiedź w morzu opcji.



– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Ben West opiekuje się Astrid?

– Nie powiedziałaś? – Zaskoczona Bunia przystanęła.

Ally nie zaczekała nawet, aż wracający dziadkowie przekroczą próg.

Niespiesznie zdejmowali kurtki i tylko Miedziak wbiegł dalej, żeby sprawdzić, czy nic się w domu nie zmieniło pod jego nieobecność. Ally starała się nie okazywać zniecierpliwienia; przecież była zła na siebie, nie na nich.

– Babciu, to była kluczowa informacja. Ben nie wiedział, że Astrid pomaga w schronisku, a gdy się tu dzisiaj zjawił, zastał i ją, i Kimber. Żadna z nich nie dostała pozwolenia na bycie wolontariuszką.

A ja powinnam to sprawdzić, dodała w duchu. Nie mogła uwierzyć, że wystarczyły jej zapewnienia Buni, że to nic nie szkodzi. Powinna wiedzieć lepiej. Bez względu na to, jaką pewnością siebie emanowała babcia, od niepamiętnych czasów trzymała się wyłącznie własnych zasad.

– Pogniewał się? – spytała Rita, jakby zdumiona tą myślą.

– Jasne, że się pogniewał. Przecież pozwoliliśmy dzieciom pracować w schronisku, nie zapytawszy rodziców o zdanie.

– Oj, nie przejmuj się Benem – ratowała sytuację Bunia. – On zawsze wygląda na wściekłego, taki już jest.

– Nie, nie jest – odparła Ally. – Przez cały tydzień był świetny. – W żadnej wiadomości, które od niego dostała, nie było choćby cienia złości czy grubiaństwa. Były zabawne. Przyjacielskie. Z czasem zaczęła wyczekiwać kolejnych powiadomień w telefonie. – Pomagał mi w przygotowaniu materiału dla lokalnych wiadomości w Burlington. Rozmawialiśmy też o przyprowadzeniu kilku psów na uroczyste włączenie iluminacji na miejskiej choince.

Bunia wyraźnie się ożywiła.

– A wiesz, że to dobry pomysł? A przy okazji, organizatorzy parady zaproponowali nam własną platformę dla tylu psów, ile zechcemy przyprowadzić. Z dziadkiem z kolei rozmawiałam o małej imprezie ze zwierzakami dla mieszkańców osiedla emerytów. Oczywiście wzięlibyśmy tylko psy poniżej trzydziestu funtów, bo taki głupi limit tam obowiązuje, ale przecież znalazłoby się z pięć takich, prawda? Jak się miewa Dolce? – Bunia zdjęła szalik. – Myślisz, że powinniśmy ją wziąć do domu?

– Nie – wtrącił stanowczo dziadek. – Nie zatrzymamy jej.

– U Dolce wszystko w porządku – odpowiedziała Ally.

Kusiło ją, żeby wrócić do tematu Astrid i Bena, ale czuła, że to daremny trud.

Opuścił ją cały optymizm, gdy odprowadzała wzrokiem tych dwoje. Nie pozbierała się na czas i przegapiła ostatnie promienie słońca: nie było już szans na sesję z Galaretem na ganku, tym bardziej że nie miała nikogo, kto pottrzymałby smycz. Musiała się zadowolić znacznie mniej malowniczą scenerią klatki.

Uśmiechała się nieco fałszywie, by nie martwić dziadków, ale nie mogła przestać myśleć o Benie i Astrid. Wciąż od nowa przeżywała to popołudnie, mając przed oczami wyraz twarzy Bena i próbując znaleźć jakiś sposób, żeby wszystko naprawić.

ROZDZIAŁ 13



Ty też byłeś tam wolontariuszem. Dlaczego robisz z tego taką aferę?

Nakładając penne na talerz, Ben robił wszystko, by nie stracić cierpliwości. Siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, dokańczając resztki obiadu z poprzedniego dnia. Miał nadzieję, że skoro już odstawił Kimber do domu i zostawił ją własnemu losowi, a po drodze ogłosił Astrid, że ma szlaban, atmosfera nieco się oczyści, ale bardzo się pomylił.

– Tu nie chodzi o wolontariat, tylko o kłamanie.

– Ja nie kłamałam, tylko ci nie powiedziałam.

Cierpliwości.

– I to właśnie jest definicja kłamstwa przez niedopowiedzenie.

– Gdybym spytała, nie zgodziłbyś się.

– I stąd powinnaś wiedzieć, że nie należy tego robić.

– A dlaczego? Wymień jeden dobry powód.

Bardzo go korciło, żeby powiedzieć „Bo ja tak mówię”, ale miała rację: to nie był dobry powód.

– Nie mamy miejsca dla psa: ani w naszym domu, ani w naszym życiu, i nie chcę, żebyś się przywiązywała do zwierzaka, który trafi do kogo innego.

– Ty też byłeś wolontariuszem – powtórzyła Astrid.

– Ale się nie przywiązywałem.

Zmrużyła oczy, polując widelcem na makaronową rurkę. Postanowiła zmienić strategię.

– Skoro masz czas, żeby zajmować się psami w schronisku, to dlaczego nie możemy zająć się jednym w domu?

– Psa adoptuje się na zawsze, a pomaganie w schronisku potrwa najwyżej cztery tygodnie.

Uświadomił sobie, że popełnił błąd, gdy Astrid zmarszczyła brwi i spytała:

– Dlaczego tylko cztery tygodnie?

Niech to szlag.

Prędzej czy później i tak musiała się dowiedzieć. W sumie to był cud, że Ally jeszcze jej nie powiedziała. Nie był to jednak właściwy moment – gdyby myślał odrobinę trzeźwiej, na pewno nie wygadałby się właśnie teraz. I owszem, okłamał ją, zatajając tę informację, ale gdyby teraz okłamał ją wprost, byłoby jeszcze gorzej... Nie miał zamiaru się przekonywać, o ile gorzej. Zebrał się w sobie i rzekł:

– Z końcem miesiąca schronisko zostanie zamknięte.

– Co?! – wykrzyknęła Astrid, upuszczając widelec. – Dlaczego?

– To skomplikowane... Ale właśnie dlatego pomagam Ally: to krótkoterminowa współpraca, a nie zobowiązanie na całe życie. – Ponadto czuł się winny, bo przyłożył rękę do upadku schroniska, ale nie zamierzał dorzucać prochu do armat Astrid. – Nie jesteśmy wielkimi miłośnikami psów.

– Ja jestem. A ty, gdybyś tylko spróbował, to...

– Astrid... – Ben wziął głęboki wdech. – Złamałaś już zasady: okłamałaś mnie. I co teraz?

Oczekujesz, że w nagrodę dostaniesz psa?

– Ja wcale nie chciałam złamać zasad. Próbowалам ci pokazać, że coś umiem! Że jestem odpowiedzialna!

Ostatnie słowa wykrzyczała, ale Ben zdołał zachować spokój.

– Odpowiedzialne dzieci nie muszą kłamać.

– To nie fair! Nigdy mnie nie słuchasz! Nigdy! – Odsunęła krzesło i wybiegła z kuchni.

– Astrid!

W odpowiedzi usłyszał tylko tupanie na schodach.

Zaklął z cicha, spoglądając na resztki obiadu.

– Świetna robota, West – wymamrotał. – Złoty medal w rodzicielstwie.

I pomyśleć, że mała nawet nie jest jeszcze nastolatką.

Czy Katie pożałowałaby swego wyboru, gdyby go teraz widziała? Był innym człowiekiem, gdy wraz z Paulem spisywała testament. Miał narzeczoną. Podążał tą samą trajektorią co oni, z kilkuletnim opóźnieniem. Gdy go spytali, bez namysłu odpowiedział: tak. Naturalnie. Ale nie spodziewał się, że będzie musiał dotrzymać słowa. I że Isabelle zniknie, gdy tylko on zobowiąże się do opieki nad siostrzenicą. Że będzie odchodził od zmysłów, próbując być wszystkim, czego Astrid potrzebuje, a potrzebowała ni mniej, ni więcej, tylko mamy i taty.

Spoglądając na drzwi, za którymi zniknęła, zastanawiał się, czy powinien pobiec za nią, czy dać jej spokój. W zamyśleniu zaczął pakować jedzenie do pudełek. I właśnie gdy tkwił po łokcie w zapiekany makaronie, zadzwonił telefon.

Spojrzał na wyświetlacz i jęknął, tknięty przecuciem, że oto za chwilę zawiedzie jeszcze kogoś. Odebrał, zanim system uruchomił pocztę głosową.

– Cześć, Levi.

– Hej, stary. Przepraszam, że dzwonię tak późno.

Była ledwie dziewiętnasta trzydzieści, ale ostatnie dwa lata sprawiły, że wyrobił w starych przyjaciółach nowy odruch: przepraszali za każdym razem, gdy czegoś od niego chcieli. Kolejny znak, że jestem człowiekiem sukcesu, pomyślał gorzko.

– Daj spokój. Właśnie sprzątam po kolacji. Co słychać?

– Chodzi o jutrzejsze granie. Connor nie przyjdzie, w ostatniej chwili wypadła mu podróż służbowa...

Ben poczuł głęboką ulgę, a zaraz potem wróciło poczucie winy: dlaczego z ulgą przyjmuje informację, że nie zobaczy się z kumplami?

Zanim został prawnym opiekunem Astrid, w każdy środowy wieczór widział się z trzema najlepszymi przyjaciółmi i grali w pokera, ale od dwóch lat częściej odkładał te spotkania, niż na nich bywał.

Kiedy jednak udało się zgrać terminy, zapraszał ich do częściowo urządzonej piwnicy w domu Paula i Katie – brakowało w niej tylko takich drobiazgów jak ściany działowe – bo chciał mieć pewność, że będzie w pobliżu, gdyby Astrid czegoś potrzebowała. Nie pozwalał sobie też na więcej niż jedno piwo, bo przecież gdyby ucięła sobie palec, musiałby zawieźć ją do szpitala. Nie, nigdy nie zdarzyło się jej nic podobnego, ale przecież musiał być przygotowany.

Wszystko to oznaczało, że spotkania z przyjaciółmi już nie były takie jak dawniej. Nigdy nie czuł się zrelaksowany. I w ogóle nic nie było takie samo, odkąd zginęli Katie i Paul.

Pokerowe wieczorki stały się jeszcze jednym obowiązkiem, który starał się jakoś wpasować w swój terminarz, i zawsze czuł ulgę, gdy to nie on musiał odwołać spotkanie.

– Moglibyśmy wpaść z Makiem – ciągnął Levi, budząc w Benie obawę, że to jeszcze nie koniec – ale skoro Święta za pasem i tak dalej, to może łatwiej będzie po prostu przełożyć spotkanie na przyszły tydzień.

A potem jeszcze o tydzień... i znowu... i zanim się obejrzą, będzie styczeń.

– Fakt, chyba tak będzie najlepiej.

Milczeli przez krótką chwilę, zanim Levi odchrząknął i spytał:

– Widzimy się na włączeniu iluminacji?

– Pewnie tak. Astrid dostała szlaban, ale pewnie będę musiał odpuścić jej w piątek, skoro rada wymaga, żebym był na miejscu.

– Uziemiłeś Astrid? A ja myślałem, że to najgrzeczniejsze dziecko pod słońcem. Co zmalowała?

– Długa historia. Opowiem ci w przyszłym tygodniu.

– Jasne. – Ben starał się nie słyszeć sceptycznej nuty w głosie Leviego. – No dobra. To daj znać, gdybyś chciał, żebym ją wtrącił do celi na parę dni.

– To raczej nie będzie konieczne.

– Ale oferta aktualna. Mój areszt jest twoim aresztem. Na razie, Ben.

– Na razie.

Gdy kończył połączenie, miał już trzy wiadomości tekstowe od rodziców z Arizony.

Doskonale. Jeszcze tego mi trzeba.

Warunki tymczasowego uziemienia Astrid były takie, że mogła korzystać z urządzeń elektronicznych jedynie podczas odrabiania lekcji i do kontaktów z rodziną. Czy to dziwne, że skorzystała ze Skype'a, żeby się odezwać do dziadków? Dość oczywisty ruch.

Podobnie jak rodzice Paula, zawsze byli gotowi do pomocy, ale jako że jeszcze nie byli emerytami, na pierwszym miejscu stawiali własne życie – jedni w Arizonie, a drudzy w Dystrykcie Kolumbii.

Powtarzał im bez końca, że sobie radzi. Że panuje nad sytuacją. Że Astrid jest w dobrych rękach. Katie i Paul powierzyli dziecko właśnie jemu; ufali, że zapewni jej możliwie normalne życie.

Wiedział, że rodzice tylko starają się pomóc, ale za każdym razem, gdy proponowali wsparcie, czuł się tak, jakby znowu usłyszał: nie radzisz sobie. Wszystko robisz nie tak. Albo, co najgorsze: zmarnujesz Astrid.

Tym razem pytali, czy chciałby porozmawiać. Czy mają przylecieć wcześniej niż na same Święta. Czy mogą zapłacić za tego psa albo pomóc Astrid w szkoleniu...

Ben wyciszył telefon i wepchnął go do kieszeni. Oni tylko próbują pomóc, napomniał się w myślach. Wcale nie sugerują, że jestem bezrozumnym potworem, który tak po prostu nie pozwala Astrid mieć psa.

Tak mi się tylko wydaje.

Z wysiłkiem wspiął się po schodach – wyczerpany, choć dopiero dochodziła ósma. Drzwi dziecięcego pokoju były uchylone. Skrzyknęły, gdy zapukał i pchnął je lekko.

– Astrid?

Od strony łóżka dobiegło ciche chlipanie. Leżała na boku, plecami do niego. Purpurowy smok z muralu, dzieło jej mamy, zdawał się otaczać ją opiekuńczo skrzydłami. Ben miał wrażenie, że to sama Katie spogląda na niego ze ściany. Spogląda i surowo osądza, bo doprowadził jej córkę do łez.

– Hej – szepnęła. Przysiadł na skraju materaca i położył dłoń na kostce Astrid. Cofnęła nogę. Westchnął ciężko, bo czuł się jak ostatni drań. – Będziesz się na mnie gniewać aż do Świąt?

– Może – mruknęła w poduszkę.

Pokiwał głową, zaplótł dłonie wokół kolana i rozejrzał się po pokoju. Terapeutka, do której zabrał Astrid po wypadku, powiedziała mu, że to dobry znak, jeśli dziewczynka czuje się przy nim na tyle swobodnie, że gniewa się na niego, a zarazem nadal liczy na jego wsparcie – ale nie znalazł w tym wielkiego pocieszenia.

– Nie możesz mnie okłamywać, Astrid. Coś mogło ci się stać, a ja nawet bym nie wiedział, gdzie jesteś. Zawsze muszę wiedzieć, gdzie cię znajdę. Dbam o twoje bezpieczeństwo.

– W schronisku jest bezpiecznie. Ally bardzo uważa na to, przy których psach pomagamy. Nic nam nie grozi.

– Może i tak, ale na wypadek uderzenia meteorytu albo ataku zombi muszę wiedzieć, gdzie jesteś, żeby w porę zabrać cię do bunkra, zanim cię zarażą i nabierzesz apetytu na ludzki mózg.

Posłała mu przez ramię spojrzenie tak pełne nastoletniej pogardy, jakby w ciągu dziesięciu minut postarzała się o trzy lata.

– Takie rzeczy się nie zdarzają.

– Może i nie, ale i tak się o ciebie martwię. Taka moja rola. Nawet jeśli jakaś część mnie czuje dumę, że wykazałaś się inicjatywą i poszłaś, cokolwiek by mówić, do pracy.

Astrid usiadła i spojrzała na niego zaczerwienionymi oczyma.

– To dlaczego mam szlaban?

– Dlatego, że ukryłaś przede mną prawdę. Że wymykałaś się tam ukradkiem. Musimy sobie ufać.

Dziewczynka wbiła wzrok w kołdrę.

– Przepraszam.

– Dziękuję. Przykro mi też, że uznałaś, że nie możesz przyjść do mnie z tą sprawą. Że cię nie wysłucham. A ja zawsze słucham, Astrid. Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Wiesz o tym, prawda?

Pokiwała głową, skręcając w palcach luźną nitkę kołdry. Milczeli przez długą chwilę, zanim spojrzęła na niego spod długich rzęs.

– Ale dalej mam szlaban?

Ben zacisnął usta. Gdyby teraz parsknął śmiechem, zrujnowałby bezcenną aurę autorytetu, którą udało mu się wytworzyć.

– Tak – odparł twardo. – Na razie. Ale to nie oznacza, że nie możemy czegoś zrobić razem. W weekend trzeba będzie upiec pierniczki...

– Oo. – Astrid znowu spuściła wzrok.

– Co takiego?

– Zapisałam nas na brownie.

Ben przymknął oczy, starając się nie myśleć o tym, ile godzin poświęcił już na porównywanie internetowych przepisów na pierniczki.

– Tak?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Uznałam, że są łatwiejsze.

Odetchnął głęboko. Nie myliła się.

– Zatem pieczemy brownie. – Dobrze przynajmniej, że nie zdążył kupić hurtowej ilości melasy.

Astrid rysowała palcem na kołdrze niewidzialne wzory.

– Wujku Benie...

– Tak?

– Ale ja bym tak chciała pomagać Ally w schronisku.

Coś ścisnęło go w piersiach.

– Wiem. Ja też.

– A myślisz, że moglibyśmy? – spytała. – Tylko troszeczkę. Do czasu, aż je zamkną.

Kochana dziewczynka, pomyślał. Nie chciał nagradzać jej za kłamstwo, ale z drugiej strony – nie prosiła o psa; chciała tylko pomóc Ally. Jak mógł odmówić?

– Zastanowię się.

Astrid czuła, że nie należy drażnić tematu. Objęła Bena i uścisnęła tak mocno, jakby na nic więcej nie liczyła.

– Dziękuję, wujku.

– Niczego nie obiecuję – zastrzegł, choć jego serce właśnie roztopiło się do reszty. Niech mnie Bóg ma w opiece, pomyślał, jeśli ona kiedykolwiek się zorientuje, jak mnie sobie okręciła wokół palca.

ROZDZIAŁ 14



Po raz drugi w ciągu dwóch tygodni Ally wkroczyła do ratusza z dwoma kubkami gorącej kawy. Na szczęście tym razem nikogo nie było za biurkiem w holu i mogła dotrzeć na trzecie piętro niezauważona. Drzwi pokoju Bena i tym razem były otwarte. Zapukała w nie łokciem.

– Kawy? – spytała, prezentując kubki, gdy Ben uniósł głowę.

– Dzięki – odparł, wychodząc zza biurka. Nie wyglądał na zirytowanego jej wizytą. Odetchnęła, bo wcale nie była pewna jego reakcji na próbę zawarcia pokoju. – A to ci niespodzianka.

– Czarna – oznajmiła, podając mu jeden z kubków. Drugi otoczyła dłońmi. – Chciałam przeprosić za wczoraj.

Skrzywił się i pokręcił głową.

– Nie powinienem był na ciebie warczeć.

– Nie, rozumiem twoją reakcję. Nie wiedziałam, że jesteś... I nie powinnam pozwolić, żeby Astrid mi pomagała bez zgody rodzica. Albo opiekuna – poprawiła się zakłopotana, ale Ben nie wydawał się urażony.

– Już ją ma – odparł. – Ma moją zgodę: może ci pomagać po lekcjach.

– Naprawdę? – Głos Ally stał się nagle zaskakująco wysoki.

– Tak. Gdy tylko ogłoszę jej koniec szlabanu. – Ben upił łyk kawy i skrzywił się, spoglądając na kubek tak, jakby zawierał truciznę. – Co to jest? Smakuje jak syrop.

– Rety. – Ally czym prędzej wymieniła kubki. – To moja. Miętowa mokka. Pomyślałam, że przyda mi się czekoladowy smak na pocieszenie, jeśli się okaże, że mnie znienawidziłeś na dobre.

– Co ty wygadujesz. Przecież nie chodziło ani o ciebie, ani o schronisko. – Ben przysiadł na krawędzi biurka, ryzykownie przesuwając przy tym stertę papierów. – Chodziło wyłącznie o kłamstwo. Nie mogę jej pozwalać na takie rzeczy, ale tak naprawdę nie wiem, czy uziemienie Astrid przyniesie pozytywny skutek. Mam wrażenie, że to bardziej dotkliwa kara dla mnie niż dla niej.

Ally nie miała pojęcia o wychowywaniu dzieci, ale postarała się zrobić minę wyrażającą pełne zrozumienie i milcząco zachęciła Bena, by kontynuował.

– Czuję się jak klawisz – przyznał. – Odbiorę ją dziś ze szkoły i popracuję po południu z domu, żeby mieć ją na oku. Żeby znowu nie wymknęła się do ciebie. Ale jak mogę się na nią wściekać, skoro miała dobre intencje? Chciała pomóc w schronisku dla zwierząt. Owszem, miała też ukryty motyw – i na pewno nie dostanie teraz psa – ale nie podoba mi się, co z tego wszystkiego wynikło. Czuję się jak ostatni hipokryta. Słucham tych wszystkich podcastów, czytam artykuły o zachęcaniu do samodzielności i wychowywaniu odpowiedzialnych dzieci. „Dzieci z wolnego wybiegu”, tak je teraz nazywają. To opozycja wobec poczynań rodziców, którzy planują i monitorują każdy dzień w życiu dziecka, co do sekundy. Z jednej strony chciałbym, żeby Astrid czuła, że potrafi sobie radzić samodzielnie, a z drugiej dostałem szału za pierwszym razem, gdy sobie uświadomiłem, że nie wiem, co robiła ze swoim czasem. To, że kłamała, tylko pogorszyło sprawę.

– To rozumiałe, że się o nią martwisz.

– Tak – mruknął wpatrzony w czarną toń kawy. – Ze wszystkich sił staram się tego nie schrząnić – dodał cicho. – Być rodzicem... to trudniejsza sprawa, niż się wydaje. Człowiek chce jej pozwolić na podejmowanie ryzyka, żeby nie bała się życia, ale czy może pozostać biernym obserwatorem? I kiedy jest ten właściwy moment, żeby dać jej trochę swobody?

– Nie pozwoliłabym jej zajmować się psem, który byłby dla niej za silny...

– Wiem. Nie o to chodzi. – Przez chwilę sądziła, że na tym poprzestanie, ale znowu ją zaskoczył. – Chodzi o Katie i Paula, jej rodziców. Czuję, że stawka jest wyższa, bo chcę się dobrze

spisać przez wzgląd na nich. Wiem, że oni wywiązałyby się z tego zadania perfekcyjnie. – Odchrząknął, bo słowa uwięzły mu w krtani. – A może zawsze jest wysoka, gdy chodzi o dobro dziecka. Może nigdy nie przestanę odchodzić od zmysłów ze strachu, może zawsze będę przekonany, że wszystko robię nie tak, jak trzeba. Może na tym polega rodzicielstwo.

– Wiem, że moje słowa nic nie znaczą, ale uważam, że doskonale sobie radzisz. Astrid jest świetna.

– Jest, ale to nie moja zasługa, tylko Katie.

– Moim zdaniem nie do końca.

Trudno było nie zauważyć, jak bardzo kocha Astrid. Widać to było nawet w jego twarzy, za każdym razem, gdy o niej mówił, a także w tym, jak był przejęty swoją rolą.

– Już wiem, które psy zabierzemy w piątek na włączenie iluminacji – powiedziała dziewczyna, gdy cisza w pokoju stała się zbyt dojmująca. – Deenie Mitchell nam pomoże, ale jeśli miałbyś ochotę przyjść z Astrid, to...

Ben skrzywił się lekko.

– Zobaczymy, jak minie ten tydzień. Astrid bardzo by chciała, ale jeszcze nie zdecydowałem, jak długo potrwa kara. Gdybym chociaż wiedział, czy przyniesie skutek... – Zerknął ukradkiem na monitor, a Ally uznała, że to sygnał do odwrotu.

– No to już nie przeszkadzam, zwłaszcza że planujesz jeszcze pracować z domu.

Uniósł głowę, marszcząc czoło.

– Miałem ci pomóc ze zdjęciami – przypomniał sobie.

– Nie przejmuj się, dziadek mi pomoże. Przyślę ci je jeszcze dziś.

– Doskonale. – Ich spojrzenia wreszcie się spotkały. – Dzięki za kawę. Naprawdę nie musisz robić z tego nowej, świeckiej tradycji.

– Może po prostu lubię, gdy się uśmiechasz.

Ben się zaśmiał, jakby żartowała, a Ally tylko się uśmiechnęła, by ukryć fakt, że nie do końca tak było. Lubiła te spotkania. Może nawet bardziej, niż powinna lubić spotkania z mężczyzną, który ma narzeczoną.

Przecież to tylko kawa, pomyślała. Kawa i może przyjaźń. Są gorsze rzeczy na świecie.



W piątek po południu Ally właśnie wyładowywała łupy z ostatniego rajdu po Costco, gdy do magazynu wpadła Deenie. Tym razem miała na sobie dzwonki brzęczące przy każdym ruchu oraz najpaskudniejszy świąteczny sweter, który jakimś cudem wyglądał na niej całkiem modnie. Zatrzymała się na progu z ramionami wzniesionymi nad głowę.

– Słuchajcie, słuchajcie! Mamy – proszę o werble – pierwszą aplikację!

Ally omal nie upuściła kubelka, który trzymała w ramionach.

– Naprawdę?

Deenie już od kilku dni regularnie udzielała się w schronisku, więc Ally dała jej dostęp do kont pocztowych – głównie po to, żeby mogła się zająć uzyskaniem zezwoleń na udział psów w rozmaitych imprezach organizowanych w miasteczku. Deenie znała miejscowych lepiej niż ona, więc nie miały wątpliwości, że lepiej poradzi sobie z negocjacjami.

Teraz zaś chwyciła Ally za rękę i zaczęła tańczyć.

– Najprawdziwszą aplikację adopcyjną!

– O którego psa chodzi?

– O Kapitana Amerykę – obwieściła Deenie.

– To Kwanowie czy komuś spodobała się akcja „Na Święta przytul psa”? – Ledwie dzień wcześniej wesoły golden retriever był gwiazdą miejskiego biuletynu.

– Ani to, ani to. Zgłosili się ludzie z Burlington. Wielcy fani Avengersów zobaczyli Kapitana

w telewizji i nie mogli się oprzeć pokusie. Powinniśmy nadać nowe imiona pozostałym psom. Może ci sami ludzie skuszą się na Iron Mana albo Hulka.

Ally nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok entuzjazmu Deenie.

– Najpierw się upewnijmy, że to odpowiedni kandydaci do adopcji.

Deenie ruszyła do wyjścia.

– Zawsze to jakiś początek!

– To fakt – zgodziła się Ally.

Program promocji schroniska najwyraźniej działał, ale jedna aplikacja nie oznaczała jeszcze, że i pozostałe psy znajdą na czas nowy dom. Ally chciała podzielić się nowiną z Benem, lecz nie widziała go od środy, kiedy to odwiedziła go z kawą. Naturalnie odpowiedział, gdy wysłała mu najnowszą porcję zdjęć, ale nie było już intensywnej wymiany SMS-ów, jak kilka dni wcześniej. Pewnie poświęca czas Astrid, myślała i wmawiała sobie, że to głupie, że tęskni za wiadomościami od niego.

Nadal też nie wiedziała, czy Ben i jego siostrzenica dołączą do ekipy schroniska wieczorem podczas uroczystego włączenia choinkowych lampek.

Rozładowawszy zapasy, Ally dołączyła do Deenie w drugim, pustym magazynie, który służył ostatnio głównie jako pomieszczenie do ćwiczeń. Właśnie tam wybrane psy szykowały się do wieczornego występu. Fred i Ginger myszkowali po salce zdobni w uroczę wstążki-obrożę z napisem „ADOPTUJ MNIE”, a Jo-Jo była szcztokowana przez Deenie na wysoki połysk.

Dziadkowie pomagali wcześniej, ale teraz byli już w domu. Musieli nakarmić i oporządzić Colby’ego i Miedziaka, zanim psy przeznaczone do adopcji trafią na miejski rynek.

Ally była mocno podenerwowana, choć nie bardzo wiedziała dlaczego. Niby chodziło tylko o zapalenie lampek na choince, ale z drugiej strony była to jej pierwsza duża, publiczna impreza od powrotu do Pine Hollow. Teraz, gdy podopieczni schroniska tak rozpaczliwie potrzebowali nowego domu, wywarcie jak najlepszego wrażenia na współmieszkańcach wydawało jej się ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Na wznoszącej fali bożonarodzeniowego szaleństwa Bunia zawiesiła nowe dzwonki nad wejściem do stodoły. Za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi, ich dźwięk wywoływał jeszcze donośniejszą kakofonię psich głosów, niż to dawniej bywało.

– Tu jesteśmy! – zawołała Ally do dziadków.

Zdziwiła się, gdy na progu magazynu ujrzała kogoś innego.

– Ben, Astrid. – Wstała tak prędko, że spłoszyła Bażanta, który swoim zwyczajem opierał się o jej kolano, a teraz jakby w zwolnionym tempie przetoczył się na bok.

Rozpromieniona dziewczynka ledwie panowała nad podnieceniem. Trzymając dłoń na jej ramieniu, Ben uśmiechnął się blado do Ally.

– Nie spóźniliśmy się z pomocą?

Spojrzała mu w oczy, czując, że jej serce bije o wiele za mocno. Przecież ledwie знаła tego człowieka.

– Wujek Ben mówił, że możemy się przydać – dorzuciła Astrid.

– Pewnie – odrzekła Ally, gdy w końcu oderwała wzrok od Bena, uświadomiwszy sobie, że zapadła podejrzanie długa cisza. – Każda para rąk się przyda.

Ben się uśmiechnął, a Ally gotowa była przysiąc, że dostrzegła błysk w jego oczach, zanim odwrócił się ku Deenie.

– Deenie.

– Cześć, Ben. Hej, Astrid.

Bażant właśnie pozbierał się z podłogi i potruczał ku nowo przybyłym, parskając wesoło i zabawnie kołyszając się na boki.

– Tylko mnie nie obślń – rzucił ostrzegawczo Ben i poklepał buldoga po łbie.

Astrid już klęczała, przemawiając czułymi słowami i podsuwając Bażantowi dłonie do obwąchania.

– Chcecie się nim zajmować? – spytała Ally. – Widzę, jak się cieszy na wasz widok.

– Ciesz się na myśl o smakołykach, które, jak sądzi, mam w kieszeniach – wtrącił Ben, ale sięgnął po koniec smyczy, którą przyciągnął za sobą Bażant.

– Oto i prawdziwa miłość – dobiegł z podłogi głos Deenie, która wciąż trzymała na kolanach i cesała Jo-Jo. – Przez żołądek do serca mężczyzny.

Ally nie planowała, że mała suczka pojedzie na wieczorną imprezę. Sądziła, że Jo-Jo będzie idealną propozycją dla mieszkańców osiedla emerytów, ale zauważyła, że Deenie, zaklinaczka psów, darzy ją wyjątkowym uczuciem. Nazywała ją swoją królową, drapała za kudłatymi uszami, a na dodatek przyozdobiła małymi kokardkami. Jeśli miała jakimś cudem przekonać swego gospodarza, by pozwolił jej trzymać zwierzę, to najprędzej właśnie takie jak Jo-Jo, z powodzeniem mieszczące się w torebce.

Ally się zastanawiała, czy nie wybrała zbyt wielu psów na tę okazję – prócz Jo-Jo zabierali Freda, Ginger, Bażanta, Biskopta oraz najlepszego ambasadora schroniska, Kapitana Amerykę – przyjacielskiego, łagodnego i dobrze ułożonego. Choć ktoś przysłał już aplikację, by go adoptować, obecność Kapitana podczas imprezy mogła podziałać na ludzi jak magnes; skłonić ich do przyjrzenia się innym psom.

– Cieszę się, że przyszliście – zwróciła się do Bena z odrobinę za dużym ładunkiem uczucia w głosie. Naprawdę była szczęśliwa. Może nawet zbyt szczęśliwa.

– Ja też! – zawołała uradowana Astrid.

Ben otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie odezwały się dzwonki z nad drzewi.

– Wesołych świąt! Ho-ho-ho! – zawołał dziadek.

Ally powitała go szerokim uśmiechem.

– Nie zapomnij, co chciałeś powiedzieć – mruknęła do Bena, ruszając na powitanie dziadka.

– W domu wszystko w porządku?

– Tak. Babcia nie spuszcza oka z tej szczennej suczki – odparł, otaczając Ally ramieniem i przyciskając ją do grubej zimowej kurtki. – Zwariowała na jej punkcie. Jeśli nie będę uważał, psina skończy pod naszym dachem, z całą bandą maluchów szwendających się nam pod nogami. Przeczuję, że nie pójdzie do ludzi.

– Może powinniśmy ją przedstawić jako jedną z psiaków na święta – zaproponowała Ally.

– Znajdziemy jej rodzinę, zanim Bunia za mocno się do niej przywiąże.

– Niby do kogo mam się za mocno przywiązać? – spytała babcia, wychodząc zza zakrętu korytarza. – Kocham jednakowo wszystkie moje psy i chcę, żeby każdy znalazł dobry dom. – Oczywiście znowu paradowała bez temblaka, ale wnuczka nie miała sumienia jej besztać i mówić, że powinna go nosić choćby dla przypomnienia, że ma oszczędzać ramię. – A przy okazji: dobrze zrobiłam, że wyciągnęłam dziadka na bingo do Summerland. Wygrałam pięćset dolarów, dziękuję za uwagę.

Ally wybałuszyła oczy.

– Wygrałaś w bingo pięćset dolarów?

– Bingo to kwitnąca branża na osiedlu emerytów. Mnóstwo ludzi się tak bawi, więc myślę, że trzeba będzie wybrać się tam z psami właśnie w taki dzień. Schodzą się mieszkańcy wszystkich domów... – Bunia urwała, marszcząc brwi. – Choć z drugiej strony, wszyscy przegrani są w podłym nastroju, więc może lepszą okazją będzie któryś z bożonarodzeniowych koncertów? Mniej przygnębiająca. Cześć, skarby!

Przykucnęła, by przywitać się z psami – oraz z Benem, Astrid i Deenie – podczas gdy Ally nachyliła się ku dziadkowi.

– Nie powinna nosić temblaka? – spytała półgłosem. Jeśli chodzi o przestrzeganie zasad, babcia była beznadziejnym przypadkiem, ale może on mógłby na nią wpłynąć?

– Mówi, że na zimowej kurtce jest za ciasny. Ale nie martw się, nie pozwolę, żeby nadwreżyła ramię.

Brzmiało to rozsądnie, ale nie wystarczyło, by rozwiać obawy Ally. Bunia siedziała na

podłódze i do spótki z Astrid bawiła się z Fredem i Ginger. Dziadek podszedł do niej niespiesznie i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Wydawali się niekiedy tak różni, że trudno było pojąć, jak mogli się w sobie zakochać. Podając mu dłoń, Bunia uśmiechnęła się czule i wszystko stało się jasne: mogli na sobie polegać w każdej sytuacji.

Ally czuła gdzieś w głębi duszy, że pragnie tego samego. Jej rodzice też tacy byli, ale we własnych związkach nigdy tego nie czuła. Czy to jej wina? Gdzie popełnia błąd? A może po prostu nie trafiła jeszcze na właściwego mężczyznę?

– Hej. – Ben stanął u jej boku jakby w odpowiedzi na myśli, które kołatały się jej w głowie.

Zarumieniła się, ale zapanowała nad odruchem i nie wyciągnęła ku niemu rąk.

Zaręczony, pamiętasz? Jesteśmy przyjaciółmi. Bardzo platonicznymi.

– Hej – odpowiedziała, jak zwykle niezwykle inteligentnie. Poczowała ulgę, gdy ponad wszystkie inne dźwięki wybił się tubalny głos dziadka:

– Czy nie pora ruszać w drogę z tym majdanem?

ROZDZIAŁ 15



Lód chrząścił pod butami, a psy wrywały do przodu na całą długość smyczy, chciwie obwąchując wszystko, co mijali. Pine Hollow było czarującą miejsciną przez okrągły rok, ale gdy tak szli w stronę rynku, wydawało się, że w chłodnym powietrzu grudniowego wieczoru daje się wyczuć szczególny klimat wielkiego wyczekiwania.

Na płotach i nad werandami domów skrzyły się tysiące lampek. Wieńce zdobiły bodaj wszystkie drzwi. Atmosfera Bożego Narodzenia królowała w mieście niepodzielnie, więc i Ally właściwie bez powodu uśmiechała się do Deenie i Buni, które z ożywieniem komentowały otoczenie.

Właśnie dlatego chciała przyjechać tu na Święta. Dla takich chwil. Dla takich wrażeń.

– Gniewa się pani na mnie? – spytała cicho i niepewnie Astrid, dołączając do niej w marszu. Spoglądała przy tym na swoje dłonie zaciśnięte na smyczy Biskopota.

Ally poczuła ucisk w piersi.

– Ależ nie, skarbie. Skądże.

– Wujek Ben mówił, że mam przeprosić, bo niby dałam pani do zrozumienia, że przysłam za zgodą rodziców.

Może nie były to najznamienitsze przeprosiny w dziejach ludzkości, ale Ally wolała fakty niż słodkie „przepraszam”.

– Sądziłaś, że nie możesz powiedzieć mi prawdy?

Astrid wzruszyła ramionami, nie podnosząc głowy.

– W mieście wszyscy wiedzą. Chyba... sama nie wiem. Miło było udawać przez chwilę, że wszystko jest jak dawniej.

– Rozumiem cię. – Ally pociągnęła lekko za smycz, by zafascynowany jakąś wonią Kapitan nie zostawał w tyle. – Miałam osiemnaście lat, gdy moi rodzice zginęli w wypadku. Nie każdemu o tym mówię. Gdy ludzie nie wiedzą, czasem mam wrażenie, że to się nie wydarzyło.

Astrid spojrzała jej w oczy po raz pierwszy, odkąd zaczęły rozmawiać.

– Ktoś pisał SMS-a?

– Nie. Droga była śliska i mieli pecha.

Astrid znowu spuściła głowę, a gdy przemówiła, Ally ledwie posłyszała jej ciche słowa:

– Tęskni pani za nimi?

– Każdego dnia.

Astrid skinęła głową. Przez chwilę milczały, aż wreszcie dziewczynka spojrzała na Ally z niepokojem w oczach.

– Kocham wujka Bena.

– Wiem. A ja kocham moich dziadków. – Kapitan znowu został w tyle, więc lekko potrząsnęła smyczą. – Ale to nie to samo.

– Właśnie – mruknęła Astrid. I uśmiechnęła się zaraz, bo Biskopt uznał, że to świetny moment na mały popis taneczny. Po chwili znów spoważniała. – Mówili mi, że gdy skończę dziesięć lat, będę mogła przygarnąć psa – powiedziała cicho. – Mama i tata.

Och, skarbie. To było nie fair i ból w sercu Ally tego dowodził. Niedotrzymane obietnice rodziców. Jeszcze jedna rzecz, którą małej odebrał bezlitosny los.

– No, chodźcie prędzej – zawołała Bunia. – Ruchy!

Ben, zajęty rozmową z Halem, obejrzał się przez ramię. Bażant człapał u jego nogi. Widząc lekko zatroskane oblicze Bena, Ally posłała mu uśmiech.

Znaleźli się już w centrum Pine Hollow i na ulicach zrobiło się tłoczniej – nikt nie chciał

przegapić ceremonii. Ally skróciła smycz, by mieć Kapitana Amerykę bliżej siebie. Astrid uczyniła to samo. Biskopt był jednym z łagodniejszych psów w schronisku i prawie tak leniwym jak Colby, ale nawet on wyraźnie się ożywił, widząc tak wielu ludzi.

Na jednej z pierzei rynku, naprzeciwko altany, ustawiono scenę obramowaną sznurami lampek choinkowych, które w ciemności przypominały nieznaną konstelację gwiazd. Zespół, który na niej występował, sączył w uszy zebranych dźwięki dobrze znanych świątecznych hitów. Dokoła pełno było zadaszonych straganów oferujących wszelakie dobra – od kakao po ozdoby świąteczne – a nad wszystkim górowała wielka, ciemnozielona choinka.

Choć do włączenia iluminacji pozostała jeszcze godzina, plac był już pełen ludzi. Wśród tak wielu obcych Ally nie czuła się zbyt pewnie. W Nowym Jorku nigdy nie przerażały jej tłumy, ale tu było inaczej. Wszyscy ci ludzie znali się nawzajem, a ona była tu obca. Nagle zatęskniła za swym aparatem; obiektyw stanowił świetny bufor między nią a światem.

– Zaczekajcie tu – powiedziała Deenie, biorąc Jo-Jo na ręce, żeby łatwiej jej było nawigować w tłumie. – Przyjaciele Biblioteki mówili, że możemy rozbić obóz obok nich. Sprawdźę, czy mamy tam dość miejsca.

Zniknęła w ciżbie, a parę sekund później nagle ożywiła się Bunia.

– Patrz, patrz! – zawołała, szarpiąc męża za rękaw. – To Peg. Peg! – Pomachała żwawo i ruszyła w tłum, holując za sobą dziadka, Freda oraz Ginger.

– Mogę się przywitać z Neeshą? – spytała Astrid. – Mówiła, że może uda jej się namówić rodziców na kolejnego psa. Chyba spodobałby się jej Biskopt.

Ben zmarszczył brwi, spoglądając we wskazanym kierunku. Przysłuchując się ich dyskusji o tym, czy Astrid poradzi sobie sama z Biskoptem, Ally rozglądała się dokoła z rosnącym niepokojem.

Jak okiem sięgnąć, ludzie uśmiechali się do siebie i pozdrawiali się nawzajem, lecz ona nie знаła żadnego z nich. Przebywała tu od miesiąca, a nadal czuła się obco – tak samo jak wtedy, gdy wpadała tu co roku na kilka dni, zawsze w okolicy Bożego Narodzenia.

Nic dziwnego, że nie odnosiła oszałamiających sukcesów w poszukiwaniu nowych domów dla psów. Nie była częścią tej społeczności...

– Wszystko gra?

Ally aż podskoczyła, słysząc głos Bena tuż nad uchem. Astrid przystanęła w pobliżu, zajęta pokazywaniem Biskopta przyjaciółkom.

– Co? A, tak. Wszystko gra.

Bażant i Kapitan Ameryka siedzieli posłusznie u ich stóp. Golden retriever przyglądał się czujnie przechodniom, buldog zaś obserwował uważnie kieszenie Bena na wypadek, gdyby miało z nich wypaść coś smacznego.

– Wydajesz się lekko zielonkawa na twarzy – zauważył Ben. – Zapewniam, że nie składamy rytualnych ofiar z ludzi przed zapaleniem choinki. Jesteś bezpieczna.

– Powiedział ten, który spędził tu całe życie. – Ally znowu rozejrzała się nerwowo, gdy nieopodal ktoś ryknął: „Wesołych Świąt!”. – Nikogo tu nie znam. Nie wiem, z kim gadać, a kogo unikać.

– Więc spytaj mnie. Ja znam wszystkich. – Uśmiechnęła się, gdy poruszył zachęcająco brwiami. – Wszechwiedza to jeden z pożytków płynących ze spędzania życia w jednym miejscu. Tę starożytną mądrość wpoił mi *Dzień świstaka*.

Ally skinęła głową w stronę straganu z kakao.

– Kto to?

– Tam? – upewnił się, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. – To Mac, właściciel Cup, najlepszej restauracji w mieście. Obecnie toczy wojnę z Magdą, która prowadzi piekarnię. Zdaje się, że chodzi o rodzinny przepis na ciasto. Plany bitwy zostały nakreślone. Stronnicy zajęli pozycje. Mac serwuje lepszą kawę, za to próbując ciast Magdy, można zobaczyć Boga, więc szanse są raczej wyrównane.

Ally bardzo chciała uśmiechnąć się szerzej.

– A ty? Po czyjej jesteś stronie?

– Cóż, od przedszkola do dwunastego roku życia chodziłem z Makiem do jednej klasy i do dziś co tydzień spotykamy się na pokerze, chyba że komuś coś wypadnie, więc... Zdecydowanie popieram ekipę Cup.

– Zaraz, zaraz. – Ally uniosła dłoń, bo właśnie coś sobie uświadomiła. – Wolisz kawę z Cup? A ja przez cały czas przynosiłam ci kubek od Magdy, bo właśnie stamtąd wychodziłeś, gdy na ciebie wpadłam. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Jestem głęboko wierzący – głównie w to, że nie należy wybrzydzać, gdy się dostaje darmową kawę. Poza tym ta od Magdy też jest niezła. A od Maca – magiczna. Ale wiedz, że nie możesz pójść do Cup i nie dać się wessać. Ten lokal to wir plotek.

– A może Mac chciałby psa?

Ben uśmiechnął się szeroko.

– A wiesz, że to niewykлучzone? Mac to taki pogodny misiek, nie widziałem, żeby wściekał się na kogokolwiek poza Magdą. Może pożyczę któregoś z waszych podopiecznych na najbliższy wieczór pokerowy.

– Co tam mamrociesz o wieczorze pokerowym? – odezwał się nagle głęboki głos. U boku Ally przystanął rosły mężczyzna w ciemnym wełnianym płaszczu. – Spotykamy się w końcu w tym tygodniu czy nie?

– Mam nadzieję – odparł Ben, odwracając się, by podać mu rękę na powitanie. Ally oceniła, że wierzchnie okrycie nieznanego prawdopodobnie jest warte więcej, niż ona zarabia w miesiąc. – Ally Gilmore, poznaj Connora Wyetha. Connor to kolejny mój druh z dzieciństwa oraz nieszczęsna ofiara pokera.

Elegant uśmiechnął się zawiadaczko, błyskając zębami na tle ciemnobrązowej skóry.

– Jakoś nie czuję się ofiarą, bo z reguły to ja zgarniam całą kasę.

– Zabawne, bo nie tak wspominam nasze wieczory. Jeśli się nie mylę, ostatnio głównie zaprawiałeś piwo gorzkimi łzami.

Connor odwrócił się do Ally i z uśmiechem podał jej rękę.

– Witam w Pine Hollow. Nie daj mu się nabrać – dorzucił, ignorując Bena. – Gra najgorzej z nas wszystkich, ledwie potrafi utrzymać karty w ręku. Żałosny typ.

– Tylko nie pozwólcie, żeby mój dziadek usłyszał, że gracie – ostrzegła Ally. – Odkąd tu jestem, regularnie ogrywa pensjonariuszy Summerland. Do was też chętnie by się wkręcił, a potem długo leczylibyście ego, ogoleni do ostatniego centa przez osiemdziesięciodwuletniego emeryta.

Connor unióśł brwi.

– A jak sądzisz, kto nas nauczył grać?

Ally spojrzała pytająco na Bena, który tylko się uśmiechnął.

– Serio? Nie mówiłeś, że dziadek uczył cię pokera.

– Wszystkich nas uczył. Gdy byliśmy młodszy, Levi zawsze pakował się w jakieś kłopoty, aż w końcu jego mama nie wiedziała już, co z nim począć. I sam nie wiem, jak to się stało, ale jakoś trafiliśmy do Elks, a tam poznaliśmy i pokera, i blackjacka, i brydża. Niewykлучzone, że twój dziadek uratował Leviego przed zejściem na drogę przestępstwa.

– Co okazało się błędem – wtrącił drwiąco Connor. – Poszedłem na prawo wiedziony nadzieją, że zostanę jego etatowym obrońcą. Tyle lat zmarnowałem!

– Taa – prychnął Ben. – Jaka szkoda, że dyplom wydziału prawa jest bezużytecznym świstkiem papieru.

– A gdzie ten wasz Levi? – odezwała się Ally, by nie dopuścić do ostrzejszej wymiany zdań.

– Na turnieju pokerowym w Vegas?

– Skąd. – Ben skinął głową w stronę sceny. – Jest szefem tutejszej policji. Stoi tam, przy straganie ze skarpetami. Służy i chroni. Nieustająco.

– Żartujesz. – Ally spojrzała we wskazanym kierunku i w odległości nie większej niż piętnaście

stóp zobaczyła jegomościa z policyjnymi odznakami na kurtce, zajętego rozmową z korpulentną brunetką.

– Witamy w Pine Hollow, mieście ruchomych piasków: poczekaj, a wciągną i ciebie. Jeśli pobędziesz tu wystarczająco długo, zostaniesz na zawsze.

Ally przyjęła jego słowa z uśmiechem, choć tak naprawdę miała ochotę wręcz się roześmiać. I wcale nie dlatego, że powiedział coś szczególnie zabawnego – po prostu czuła tę cudowną lekkość, którą dają gaz rozweselający oraz bliskość wyjątkowej osoby.

A przecież wcale z nim nie flirtowała. Nie, absolutnie. Byli przyjaciółmi. Podobało jej się także to, że zaczyna czuć się tu odrobinę bardziej swojsko. Jakby Ben otworzył dla niej okno na tutejszy świat.

Pomału oswajała się też z myślą, że powinna poznać tę jego narzeczoną. Owa zagadkowa kobieta była dotąd nazbyt teoretycznym zjawiskiem. Ally potrzebowała potwierdzenia, że to realna osoba.

Z drugiej strony Ben zachowywał się nienagannie. Jak dotąd nawet jej nie dotknął. Jeśli coś ich łączyło, to czysta sympatia. Mimo to miała lekkie poczucie winy, że tak swobodnie się czuje w jego towarzystwie. Gdyby tylko poznała jego dziewczynę, może nadal mogłaby się cieszyć ich znajomością, ale już bez wyrzutów sumienia.

– Hej – powiedziała Deenie, pojawiwszy się znikąd. Zerknęła przelotnie na Connora, po czym dodała: – Wszystko gotowe, możemy stanąć obok Przyjaciół Biblioteki. Idziemy?

– Do zobaczenia w środę, Ben. Miło było cię poznać, Ally. – Connor skinął głową i wmieszał się w tłum.

Ben wskazał palcem na plecy Deenie maszerującej już ku tej stronie rynku, po której stała altana.

– Pani pozwoli?

– Pan pierwszy.

Ally jeszcze bardziej skróciła smycz Kapitana, czując, że niedorzeczne zadurzenie chwyta ją coraz mocniej. Miała zadanie do wykonania: znaleźć nowy dom dla każdego psa ze schroniska. Nie miała czasu na flirty, nawet z kimś takim jak Ben. Była na to zbyt dojrzała.

I pewnie dlatego, idąc parę kroków za nim, jednym rzutem oka oceniła urodę jego tyłka. Dojrzałość, psiakrew.

ROZDZIAŁ 16



Pomysł, żeby zabrać psy na uroczyste włączenie iluminacji, był w gruncie rzeczy kaprysem, luźną propozycją bez zaplecza. Ben nie miał pojęcia, że zrobi się z tego takie wydarzenie. I taki sukces.

Deenie zarekwirowała gdzieś i rozłożyła na ziemi brezent, by ludzie mogli pobawić się z psami, nie tarzając się przy tym w śniegu. I właśnie ta niewielka łąka nieprzemakalnego płótna ni stąd, ni zowąd stała się centralnym punktem rynku.

Psy okazały się gwiazdami imprezy. Każdy chciał pogłaskać czworonożnych „celebrytów” znanych z miejskiego biuletynu. Kapitan Ameryka rozkoszował się sławą, za to Bażant na krok nie odstępował Bena, konsekwentnie nasączając śliną niebieską wstążkę z napisem ADOPTUJ MNIE i z niegasnącą nadzieją wpatrując się w jego kieszenie.

Bodaj pół miasta zatrzymało się przy „Kosmatych Przyjaciołach”. Magnesem były śmiechy Astrid i jej koleżanek z zapalem bawiących się z Biszkoptem i Jo-Jo. Deenie, która dopingowała je do tych harców, równie chętnie jak dziewczęta kulą się z psami po brezencie. Ben przedstawił Ally rzeźnikowi, piekarzowi i Joanie Bounds, która zajmowała się wytwarzaniem świec zapachowych.

Przyglądał się jej z zadowoleniem, bo teraz, gdy się nieco zrelaksowała, sztuczny grymas, z którym wkraczała na rynek, ustąpił miejsca naturalnemu uśmiechowi. Dopóki nie zobaczył owego stężałego oblicza, nawet nie przyszło mu na myśl, że udział w małomiasteczkowej ceremonii może być dla kogoś z zewnątrz tak przytłaczający. Teraz na szczęście wydawało się, że Ally czuje się jak w domu. Przypuszczał nawet, że zanim wróci do Nowego Jorku, będzie zorientowana w lokalnych ploteczkach nie gorzej niż Linda Hilson.

Poczuł lekkie ukłucie żalu, gdy o tym pomyślał, ale postanowił je zignorować. Ally pomagała dziadkom w prowadzeniu schroniska; musi wrócić do zawodu fotografki z wielkiego miasta, gdy tylko wykona zadanie.

– Zdaje się, że to epicentrum imprezy.

Ben oderwał wzrok od Ally, gdy u jego boku przystanąła Delia Winter. Pani burmistrz była w wieku jego matki. Miała jednak całkiem gładką, czekoladową twarz, starannie ułożone, szokująco białe włosy oraz zestaw dość wyrazistych poglądów. I jeszcze coś: poczucie humoru, które sprawiło, że jakoś zniósł tych kilka lat pracy w radzie miejskiej.

– Zrobiliśmy furorę – przyznał, wodząc spojrzeniem po gęstniejącym tłumie.

Delia przykucnęła, by pogłaskać Bażanta.

– Bardzo mi się podoba to, co zrobiłeś dla dobra tych zwierzaków.

– W końcu to my ponosimy odpowiedzialność za zamknięcie schroniska. Uznałem, że jesteśmy im coś winni.

– Wybrałeś mądre rozwiązanie. Miasto nie poniesie żadnych kosztów, a ludzie dowiedzą się o losie schroniska i psach w potrzebie. – Wstała, otrzepując dłonie. – I dlatego chciałabym z tobą pogadać.

Ben spał się instynktownie, gotów przyjąć złe nowiny. Doświadczenie nauczyło go, że ludzie chcą z nim rozmawiać głównie wtedy, gdy czegoś potrzebują, a w tej chwili miał dość spraw na głowie.

– Jak wiesz, moja kadencja kończy się w przyszłym roku – powiedziała Delia. – Będziemy potrzebowali nowego burmistrza...

Minęła chwila, zanim dotarł do niego sens tych słów, a gdy w końcu zrozumiał, przerażony pokręcił głową.

– Nie. Wykluczone.

– To wcale nie tak dużo pracy w porównaniu z zasiadaniem w radzie. W dodatku dostałbyś pensję, więc mógłbyś zrezygnować z etatu. Wiesz już, jak działa samorząd lokalny, i jesteś bodaj jedyną osobą w radzie, której mogę zaufać, że będzie przyglądać się problemom pod każdym kątem i szukać rozwiązań korzystnych dla wszystkich stron.

Ben wciąż kręcił głową.

– Nie mogę, Delio. I tak już odliczam dni do końca kadencji rady, bo gdy się wycofam, ubędzie mi jeden obowiązek.

– W porządku. – Niezrażona pokiwała głową. – Zastanów się jeszcze. Od wyborów dzielą nas miesiące.

Nie musiał się zastanawiać. Żadna siła na ziemi nie zmusiłaby go do kandydowania na burmistrza, ale za bardzo lubił Delię, żeby powiedzieć jej to prosto w twarz. Kiwnął więc głową niezobowiązująco i życzył jej wesołych Świąt. Chwilę później Delia wzięła żonę pod ramię i poszły razem w stronę platformy ustawionej przed wielką choinką, by rozpocząć ceremonię.

– Wszystko w porządku? Bo wyglądasz, jakbyś próbował ściąć to drzewko wzrokiem.

Ben się rozchmurzył i z uśmiechem spojrzął na Ally. Miała silną osobowość i niekiedy zapominał, jaka jest drobna, póki nie stanęła tuż przy nim.

– W porządku. Wojuję w myślach z niedorzecznymi pomysłami na Pine Hollow.

– A chcesz usłyszeć dobrą wiadomość? Astrid mówi, że rodzina jej koleżanki rozważa adopcję Biszkopta. Jeśli doliczyć aplikację dotyczącą Kapitana Amerykę, mamy już dwa sukcesy, zaledwie po tygodniu pracy. Wystarczy, że znajdziemy jeszcze jednaście domów dla reszty. I dla szczeniaków – dodała, po czym jęknęła cicho i parsknęła śmiechem. – W mojej głowie brzmiało to bardziej optymistycznie.

– Dojdziemy i do tego – obiecał Ben. – Zastanawiałaś się już, którego psa zareklamujemy w nowym biuletynie?

– Myślę, że Maximusa. Jest taki duży, że trudno będzie znaleźć chętnego. Rozmawiałam też z Bunią i doszłyśmy do wniosku, że wkrótce trzeba będzie też poszukać rodziny dla Dolce. Możliwe, że będą chętni i na nią, i na szczeniaki, ale poszukiwania będą miały sens, dopiero gdy będzie wiadomo, ile małych przyszło na świat.

– Masz rację co do Maximusa. Jutro jesteśmy z Astrid zajęci pieczeniem ciasta, ale gdy skończymy, mogę wpaść. Pomogę ci zrobić mu zdjęcia.

– Chciałam poprosić o pomoc Deenie, ma na niego magiczny wpływ. Gdyby tylko miała mieszkanie, w którym można trzymać psa...

– Jest za wielki na mieszkanie.

Ally wzruszyła ramionami.

– Colby mieszkał ze mną w Nowym Jorku, a mój tak zwany apartament jest niewiele większy od szafy.

Zaciekawiony Ben uniósł brwi.

– Trzymałaś w mieście bernardyna?

– I bardzo to sobie chwaliłam, robił za świetny dywan.

Ben parsknął śmiechem, doceniając trafne porównanie.

– Najbardziej leniwy pies świata, chociaż dziś Bażant próbuje z nim konkurować.

Ben spojrzął w dół. Buldog leżał na grzbiecie, z wszystkimi czterema łapami w powietrzu, pochrapując w głębokim śnie.

– Godnie się prezentuje.

– To wrodzony dar. – Ally popatrzyła na Astrid i jej koleżanki. – Pieczenie ciasta, powiadasz? Rodzinna tradycja?

– Raczej roboty przymusowe na rozkaz z ratusza. Czekają nas doroczny festyn świąteczny w szkole Astrid. Każdy dzieciak ma przynieść tyle ciasta, żeby wystarczyło dla batalionu wojska. Będą to sprzedawać sobie nawzajem oraz rodzicom, a zyski zostaną przeznaczone na sfinansowanie zajęć pozalekcyjnych w przyszłym roku. Pieczemy brownie.

Ally przekrzywiła głowę, mierząc Bena przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu.

– Dlaczego wyczuwam, że pieczenie nie jest twoją ulubioną rozrywką?

Skrzywił się nieznacznie.

– Moja siostra była supermamą. Pewnie przygotowałyby coś, co by się sprzedało na pniu, do ostatniego okruszka. Powiedziałem Astrid, że możemy zaszaleć, upiec pierniczki albo coś w tym guście, ale chyba nie uwierzyła, że jestem do tego zdolny, więc zgłosiła, że przyniesie brownie.

– Z brownie też można wiele zdziałać. I założę się, że pójdzie jak woda.

Ben znowu się skrzywił.

– Taa... Niewykluczone, że Astrid ma rację co do mojego talentu kulinarnego. Najlepiej mi idzie podążanie za instrukcją na pudełku.

– Mogę pomóc – zaproponowała Ally. – Tyle zrobiliście dla schroniska, że zdecydowanie jestem wam winna tych parę godzin pieczenia ciasta.

Ben otworzył usta, by odmówić, ale niktąd pojawiła się Astrid, najwyraźniej niesiona wysoką dawką cukru z wypitego kakao.

– Będzie pani piekła z nami brownie?! – wykrzyknęła. – Ale super!

– Naprawdę nie musisz – zapewnił Ben. – Nie jesteś mi nic winna.

– Proszę – zajęczała Astrid. – Potrzebujemy pomocy. Nawet pani nie wie, jak bardzo. Bo wujek Ben jest, no, jakby najgorszym kucharzem świata.

– Hej, słyszałem to.

– Nie chciałabym się narzucać – odezwała się Ally, niepewnie spoglądając mu w oczy. – Na pewno znajdzie się ktoś bardziej odpowiedni.

– Kto, Martha Stewart? Pewnie strasznie chciałaby pomóc, ale o tej porze roku jest mocno zajęta.

– Nie, mam na myśli... – Urwała, bo z głośników dobiegł głośny trzask.

Burmistrz stanęła przy mikrofonie.

– Wesołych Świąt, Pine Hollow! – zagrzmiał nad placem głos Delii.

– Wesołych Świąt! – odpowiedzieli chórem zebrani.

Ally odwróciła się do sceny, żeby nie przegapić najważniejszego punktu programu. Ben musiał być świadkiem owego rytualnego włączenia iluminacji ze dwadzieścia razy i zawsze uważał, że to dość głupie – oto wszyscy się zbierają, żeby popatrzeć, jak burmistrz pstryka przełącznikiem. Jakby kryła się w tym jakaś magia. Pomyślał, że dla Ally to pewnie jeszcze mniejsza atrakcja; do niedawna mogła podziwiać iluminację Rockefeller Center. Świąteczne tradycje Pine Hollow musiały jej się wydawać żałosne.

Kiedy jednak spojrzała na niego przez ramię, kołysząc się na piętach i z uśmiechem słuchając wystąpienia Delii, zrozumiał, że jest zachwycona.

– Szkoda, że nie wzięłam aparatu – szepnęła, po czym znowu odwróciła się ku choince.

Ben nie mógł pojąć, dlaczego miała ochotę robić zdjęcia. Znajdowali się na małomiasteczkowym rynku pełnym małomiasteczkowych ludzi próbujących uczynić spektakl z czegoś trywialnego.

Nagle latarnie wokół przygasły, zespół zaczął grać *Home for the Holidays*, a na scenie pojawił się chór. Mieszkańcy ucichli i wszystkie spojrzenia skierowały się w jedno miejsce. Burmistrz Delia Winter włączyła iluminację.

Najpierw rozległo się chóralne westchnienie, a zaraz potem wiwaty.

Tysiące różnobarwnych lampek rozblęły na wysmukłym drzewie, rzucając migotliwą poświatę na zwrócone ku nim twarze. Ben zerknął na Ally, która też westchnęła cicho i przygryzła dolną wargę, a gdy znowu popatrzył na choinkę, musiał przyznać w duchu, że jest w tym widoku coś magicznego. Nigdy dotąd tak się nie wzruszał, ale tym razem emocje ścisnęły go za gardło. Otoczył Astrid ramieniem i przyciągnął do siebie. Przytuliła się chętnie, a jej bliskość wzruszyła go równie mocno jak ciepły blask kolorowych światełek.

Wcześniej całkiem poważnie się zastanawiał, czy nie odpuścić sobie tej imprezy – jako że

pralka wciąż nie działała, chciał namoczyć w zlewie kolejną porcję prania – ale teraz cieszył się, że tu przyszli.

Chór skończył piosenkę i po krótkiej przerwie na oklaski zaczął kolejny świąteczny hit: *Rudolf, czerwonończyk renifer*. Astrid przerwała błogą chwilę, odsuwając się od Bena, ale gdy spojrział na uśmiechniętą Ally, coś się między nimi wydarzyło, coś pochwyliło ich mocno i pociągnęło ku sobie nawzajem...

– Ciocia Elinor!

Okrzyk Astrid sprawił, że Ally wzdygnęła się gwałtownie jak rażona paralizatorem. Kontakt wzrokowy został zerwany, a Ben się odwrócił, by uściskiem powitać najlepszą przyjaciółkę swej siostry.

– Cześć, E.

– Cześć. Kto to? – spytała Elinore, spoglądając z uśmiechem na Ally.

– Ally Gilmore! – Nie spodziewała się, że zabrzmiałoby tak głośno i że jej uśmiech wypadnie wręcz maniackalnie. – Prowadzę schronisko dla zwierząt, a Ben i Astrid mi pomagają. Miło mi cię poznać.

– Wzajemnie – odparła kobieta, uśmiechając się z rezerwą. – Jestem Elinor. Pisze się tak jak w *Rozważnej i romantycznej*, więc nie miałam wyboru: zostałam bibliofilką.

Ally roześmiała się, jakby usłyszała wyśmienity dowcip.

– Od dawna się znacie? – spytała pogodnie.

Elinor spojrzała na Bena z ukosa, jakby usiłowała sięgnąć pamięcią w zamierzchłe czasy.

– Od przedszkola, nie?

– No. Byliśmy z Elinor w jednej grupie. Do czasu, aż zaczęła przeskakiwać kolejne klasy i zostawiła nas daleko w tyle.

– O, to niesamowite! – kadziła Ally.

Ben zmarszczył brwi, zdziwiony tym entuzjazmem.

– Dzięki. – Elinor objęła Astrid. – To co, wszyscy gotowi na świąteczny festyn?

– Nawet nie zaczęliśmy piec – poskarżyła się Astrid, ale zaraz się rozpromieniła. – Na szczęście Ally jutro wpadnie, żeby nam pomóc. Prawda?

– Ja... – Dziewczyna zamarła niczym jelen w blasku samochodowych reflektorów i tylko jej wzrok błędził przez chwilę między Astrid, Elinor i Benem. – Nie chciałabym... ale mogłabym... chyba że ty wolałabyś pomóc?

– Ja? – Elinor parsknęła śmiechem. – Do kuchni to wcale się nie nadaję. Ale cieszę się, że ktoś spieszy tym nieborakom z pomocą. W zeszłym roku już się nacierpieliśmy, gdy Ben upiekł babeczki.

– Hej, nie były takie złe! – zaprotestował, ale odpuścił, widząc uniesioną brew Elinor. – No dobra, były, ale na swoją obronę mam to, że mąka z komosy ryżowej stała w sklepie tuż obok zwykłej.

Elinor znowu się zaśmiała.

– Ratusz, Ally – zachęcała. – Jesteś ich jedyną nadzieją.

– Ale naprawdę nie musisz – zaproponował Ben. – Nie daj się szantażować.

Rysy Ally dziwnie stężały.

– Ja właściwie...

– Chcesz poznać Jo-Jo, ciociu Elinor? – wtrąciła Astrid. – Jest taka słodziutka.

– No pewnie – odpowiedziała kobieta, obdarzając dziewczynkę uśmiechem.

Oddaliły się na drugi koniec plandeki, na której prezentowali się „Kosmaci Przyjaciele”, a Ben i Ally zostali sami – jeśli można tak powiedzieć o dwojgu ludziach pośrodku zatłoczonego rynku.

– Jeśli nie chcesz przyjść, to naprawdę nie szkodzi – powiedział Ben. – Oczywiście bardzo się z Astrid ucieszymy, jeśli wpadniesz, ale nie jesteś naszą dłużniczką.

Ally zmarszczyła brwi.

– Rzeczywiście chcesz, żebym przyszła?

– No pewnie. Jeśli tylko masz ochotę. Bo naprawdę nie musisz...

– Nie muszę. Ale... chciałabym, jeśli to nie kłopot.

– Jasne, że nie. Zajrzyj może około trzeciej? Po popołudniowych zajęciach w schronisku?
Przyślę ci adres SMS-em.

– Super – odpowiedziała. Czowała się bardziej zdezorientowana niż uszczęśliwiona tą perspektywą, tylko nie bardzo wiedziała dlaczego.

– Wszystko w porządku? – Ben miał wrażenie, że coś mu umknęło w ostatnich dziesięciu minutach, ale Ally pokiwała głową.

– Tak, tak. Widzimy się jutro o trzeciej.

ROZDZIAŁ 17



Naręczona Bena była boska. I najwyraźniej genialna, skoro przeskakiwała z klasy do klasy. Oraz wspaniała dla Astrid, jeśli można było wysnuć taki wniosek z jej zachowania podczas ceremonii i z faktu, iż mała już nazywała ją „ciocią”. Nie dość, że była po prostu doskonała, to jeszcze, psiakość, istniała naprawdę.

I właśnie dlatego Ally postanowiła, że pomoże Benowi i Astrid w pieczeniu brownie tylko i wyłącznie jako przyjaciółka. Przecież byli przyjaciółmi. Bo czyż kobiety i mężczyźni nie mogą nimi być? Pomoże im, bo pod każdym względem doskonała naręczona Bena się na to zgodziła. Bo zapewne nie czuła się w najmniejszym stopniu zagrożona przez Ally i bezgranicznie ufała swemu mężczyźnie, który jak dotąd nie zamienił z Ally ani jednego słowa niepasującego do niewinnej sfery przyjaźni.

Ta chwila przy choince, gdy spojrzała na niego, a on poparzył na nią i wydawało się, że świat na ułamek sekundy zwolnił, gdy blask lampek wyłuskał z półmroku rysy jego twarzy, gdy coś w jej wnętrzu nagle ucichło, a jednocześnie jakby czegoś wyczekiwała... ta chwila nic nie znaczyła. Nie była prawdziwa. Prawdziwa była doskonała naręczona Bena. Oraz Sfera Przyjaźni, w której Ally czuła się przecież taka szczęśliwa. Naprawdę lubiła Bena i Astrid.

I naprawdę była mu coś winna za pomoc przy psach.

Rodzina z Burlington oficjalnie adoptowała Kapitana, musiała jeszcze tylko wnieść opłatę. W ciągu dwudziestu czterech godzin wpłynęły też dwie inne aplikacje. Kimber Kwan przekonała rodziców, by adoptowali jedno ze szceniąt Dolce, a przez Internet zgłosił się chętny na Daisy.

Tego dnia „Kosmaci Przyjaciele” mieli tak wielu gości, że dziadkowie postanowili dopiero wieczorem zamknąć schronisko dla odwiedzających w nadziei, że ktoś się skusi na adopcję. Mimo to nalegali, by Ally, która upierała się, że im pomoże, wybrała się jednak do Bena i Astrid. Gdy Deenie dowiedziała się o jej kulinarnym zobowiązaniu, praktycznie wypchnęła ją za drzwi.

Antytalent kuchenny Bena musiał być w mieście legendarny, skoro wszyscy tak ją zachęcali, by go poratowała.

Uszy ciężkich materiałowych toreb na zakupy wpijały jej się boleśnie w dłonie, gdy wchodziła na podjazd niewielkiego, przytulnego domu przy Maple Street. Zanim dowiedziała się o Astrid, nie wyobrażała sobie Bena w takim otoczeniu: tak swojskim, rodzinnym, z fotelem bujanym na małym ganku i praktycznym crossoverem na podjeździe. Zastanawiała się, gdzie mieszkał wcześniej, bo przecucie podpowiadało jej, że ma przed sobą dom jej siostry.

Poprawiła torby w dłoniach i nacisnęła guzik dzwonka. Uśmiechnęła się mimowolnie, gdy zaraz po sygnale rozległ się radosny pisk, a potem szybki tupot stóp. Dziesięciolatka nie mogła stawiać tak głośnych kroków.

– Przyszła pani! – zawołała rozpromieniona Astrid, otworzywszy drzwi.

– Oczywiście.

Ben pojawił się w holu za plecami dziewczynki. Nie zdołał ukryć zdziwienia na widok wypchanych toreb.

– Chyba nie zapomniałem ci powiedzieć, że kupiłem gotowy miks?

– Nie zapomniałeś – potwierdziła Ally, przekraczając próg. – Ale ja nie przyniosłam miksów, tylko moje tajemne składniki.

Odebrawszy od niej torby, by mogła zdjąć kurtkę, Ben zajrzał do środka.

– To wanilia? Moja mama twierdzi, że tajemnym składnikiem zawsze jest wanilia, ale to... musiałyby być mnóstwo wanilii – dodał.

Bicepsy wypełniły rękawy jego szarego swetra z miękkiej wełny, gdy uniósł torby niczym sztangę.

Ally siłą woli oderwała wzrok od tego pokazu – jest zaręczony, kretyńko – i odwróciła się, by powiesić kurtkę.

– Cierpliwości. Wszystko w swoim czasie.

– Zatem chodźmy – odparł wesoło Ben. – Kuchnia jest tam.

– Tak się cieszę, że pani nam pomaga! – Astrid pobiegła przodem pod niskim łukiem.

Ally podążyła za Benem i... omal go nie przewróciła, gdy zahaczyła stopą o listwę między deskami a kafelkami. Oparła się o jego szerokie plecy, a on obrócił się w porę, by ją podtrzymać, choć zdążyła już odzyskać równowagę oraz oblać się rumieńcem.

– Ostrożnie – ostrzegł ją poniewczasie. – Powinienem cię uprzedzić, że podłoga nie jest zbyt równa.

– Mamy kuchnię z charakterem – oznajmiła dumnie Astrid.

– Unikatowym w skali Pine Hollow – dodał kpiąco Ben.

Nie mylił się. Kuchnia była nieduża, a jej wystrój musiał być ostatnim krzykiem mody w połowie lat siedemdziesiątych. Sprzęty już dawno miały za sobą najlepsze lata, a centralna wyspa posadowiona była jakby w niewłaściwym miejscu, przez co całe wnętrze wydawało się krzywe. Plusem było to, że w kuchni panował radosny nieład – widać było, że tu się żyje. Ally uśmiechnęła się na wspomnienie domu swych dziadków: i on wymagał odnowienia, a mimo to był uroczy.

– Podoba mi się tu.

– Dom jest do remontu – rzekł Ben. – I może nawet pewnego dnia znajdziemy czas, żeby się tym zająć.

– Podoba mi się taki, jaki jest – uściśliła Ally.

Ben nie odpowiedział, ale spojrzał na odwróconą tyłem Astrid i dziewczyna pomyślała, że być może kuchnia nie została wyremontowana właśnie przez wzgląd na nią.

– To co tam przydzwigałaś? – spytał, stawiając torby na stole.

Na wyspie stały już pudełka z gotową mieszanką do pieczenia ciasta i potrzebne dodatki. Ben i Astrid zadali sobie sporo trudu, żeby wszystko przygotować, więc Ally pożałowała w duchu, że zniweczyła ich wysiłek, przynosząc własne składniki. Pamiętając słowa Bena z ostatniego wieczoru o tym, że brownie upieczone przez mamę Astrid pewnie sprzedałoby się w mgnieniu oka, chciała zabłysnąć – zwłaszcza że tych dwoje tak dzielnie pomagało jej w schronisku – ale teraz się bała, czy nie panoszy się zbyt w ich kuchni.

Niewiele zostało z jej pewności siebie, gdy sięgała do swych toreb.

– Wiedziałam, że wszystko przygotujecie, ale pomyślałam, że możemy przyozdobić wasze brownie tak, żeby się wyróżniało. – Mówiąc to, wyjmowała zakupy: precle, pianki, karmel, czekoladę – mleczną i białą – a także posypki, gumisie oraz świąteczne cukierki. – W Nowym Jorku mieszkalam kiedyś obok sklepu ze słodyczami. Brownie, które tam sprzedawali, nigdy nie było po prostu ciastem. Możemy chyba ukraść im ten pomysł...

– Rety – mruknął Ben, spoglądając na górę łakoci rosnącą na stole.

– Za dużo? Może nie powinnam...

– Nie, nie. Jest super – wpadł jej w słowo Ben.

– Coś pięknego! – zapiąła Astrid. – Zrobimy najlepsze brownie w historii brownie!

Gdy zaczęła płaszać radośnie po kuchni, Ben spojrzał na Ally ponad jej głowę. „Dziękuję”, powiedział bezgłośnie i uśmiechnął się, a ona poczuła nagłe ciepło wokół serca.

– To co, zaczynamy?



Trzy godziny później Ally pochylała się nad blatem, by wcisnąć okruchy świątecznych

cukierków w roztopioną białą czekoladę okrywającą ostatnie brownie. Ben stał tuż obok i ich ramiona stykały się raz po raz, gdy na sąsiedniej blasze ozdabiał ciasto preclami i karmelem. Astrid działała przy wyspie, doskonaląc własne dzieło: brownie z krakersami i półpłynnymi cukierkami piankowymi. Ben miał na szyi ślad mąki, na który Ally spoglądała od czasu do czasu, jakoś nie mogąc się przemóc, by go zetrzeć.

– Teraz musimy każdego spróbować – obwieściła dziewczynka.

– Kontrola jakości to ważna rzecz – zgodziła się Ally, uśmiechając się lekko.

– Po kolacji – zarządził Ben, nie podnosząc głowy znad ciasta.

– A może zjemy brownie na kolację? – zasugerowała mała głosem pełnym nadziei.

Ben parsknął śmiechem.

– Niezła próba – rzekł i spojrzał najpierw na zegar, a potem na Ally. – Najwyższy czas, żebyśmy cię nakarmili za to popołudnie ciężkich robót. Co myślisz o pizzy?

– Myślę o niej z czułością – odpowiedziała. Burczało jej w brzuchu.

– Ja zamówię! – wykrzyknęła Astrid. Zeskoczyła ze stołka, by pobiec po telefon Bena. – Lubi pani pepperoni z ananasem?

– No... oczywiście.

Ben nachylił się ku Ally.

– Wiesz, że masz prawo powiedzieć „nie”? – spytał półgłosem. – Możemy zamówić więcej niż jeden rodzaj pizzy.

Gdy spojrzała z tak bliska na jego długie rzęsy, lekko zadygotały jej kolana. Wmówiła sobie, że po prostu zbyt długo stała w tej samej pozycji.

– Tak się składa, że uwielbiam pepperoni, a z ananasem nigdy nie jadłam, więc chętnie spróbuję.

Ben uniósł brew jakby z niedowierzaniem.

– Weź też chleb serowy – polecił siostrzenicy, nie odrywając spojrzenia od Ally.

– Myślicie, że tyle wystarczy? – spytała dziewczynka, gdy odłożyła telefon.

Okrążyła kuchnię w podskokach, licząc ciasta, które przygotowali. Czekali, aż ostatnie wypieki ostygną, by pokroić je i popakować kawałki w celofan, przewiązać wstążkami i dołożyć do pozostałych leżących w koszu na stole.

– Z powodzeniem – odparł Ben. – Liczy się jakość, a nie ilość. A dzięki Ally o jakość nie musimy się martwić. Chociaż nadal uważam, że te z mleczną czekoladą i gumisiami są jakieś dziwne.

– Tylko poczekaj – odrzekła z przekonaniem Ally. – Zobaczysz, jakie będą miały wzięcie. Są pyszne.

– Wierzę ci na słowo.

– Są doskonałe – dorzuciła Astrid. Nie przestawała brykać, choć Ally była niemal pewna, że nie podali jej ani odrobiny cukru. – Instagramiczne!

Spojrzała pytająco na Bena. Skrzywił się odruchowo.

– Jedna z mam wrzuca na Instagram zdjęcia wszystkich lunchów swego dziecka i chwali się nimi na facebookowej grupie rodziców. Jeśli ci się wydaje, że kanapka z masłem orzechowym i dżemem to niewinna przekąska, tam zawsze znajdzie się ktoś, kto zapyta, czy to aby masło organiczne, i oskarży, że chcesz zafundować dziecku cukrzycę, jeśli w dżemie jest więcej niż dwa mikrogramy cukru.

– Auć – mruknęła z dezaprobatą Ally.

– Rodzicielstwo to walka na noże.

Dziewczyna spojrzała na owoce popołudniowej pracy.

– Jestem prawie pewna, że w tych ciastach nie ma ani jednego organicznego produktu, za to cukru tyle, że dzieciaki będą skakać po sufitach.

– Święta to Święta. Wegańskie, organiczne i bezglutenowe cuda będą na innych stolikach.

– Ben spojrzał na nią z ukosa. – A u nas grzech i dekadencja.

Jego głęboki głos sprawił, że ostatnie słowa zabrzmiały w dwójnasób grzesznie i dekadenccko.

Ally schyliła głowę, by ukryć ewentualny rumieniec. Zaręczony. Zajęty. Przymknęła powieki, przywołując w pamięci obraz Elinor Wielkiej.

– Pomyśl tylko: jedliśmy taki szajs przez całe dzieciństwo i jakoś żyjemy.

Dzieciństwo. Skup się na dzieciństwie, myślała gorączkowo. Na platonicznych znajomościach. Otworzyła oczy i wetknęła jeszcze kilka kawałeczków twardego cukierka w białą czekoladę.

– Zgaduję, że byłeś niezłym rozrabiaką.

– Ja? Skąd. Po prostu zdarzało mi się podążać za złym przykładem Leviego. To on był prowodyrem. Tylko jakimś cudem jego nikt nigdy nie przyłapał, w przeciwieństwie do nas. Gdyby Katie mnie regularnie nie kryła, pewnie dostawałbym szlaban co drugi tydzień.

Dłonie Bena nagle znieruchomiały i coś się zmieniło w beztróskim dotąd nastroju. Zerknął ukradkiem na Astrid, która udawała, że pochłania ją ozdabianie ciasta, ale w rzeczywistości pilnie nadstawiała uszu.

– Jaka ona była? – spytała łagodnie Ally. – Gdy byliście mali.

– Zabawna. Na swój sarkastyczny sposób. Bystra, dobrze się uczyła, we wszystkim się wyróżniała. Uważałem naturalnie, że to coś potwornego, bo jak można dotrzymać kroku komuś takiemu? Ale bywała też złośliwa – dorzucił i roześmiał się. – Naprawdę wredna, ale głównie wtedy, gdy była głodna albo zmalowałem coś głupiego i wytrąciłem ją z równowagi, jak to zwykle bywa z młodszymi braćmi. Uwielbiała czytać, ale bez świadków. Powiedziała mi kiedyś, że mój oddech przeszkadza jej w czytaniu, więc odpyskowałem, że przecież nie mogę przestać oddychać, a ona na to, że mnie zmusi... – Ben zapatrzył się na swoje dłonie, nie przestając szpikować polewy kawałkami precli. – Wszyscy ją lubili. Bardziej niż mnie, ale z jakiegoś powodu wcale mi to nie przeszkadzało. Może dlatego, że i ja ją lubiłem. Dziwnie było, gdy wyjechała na studia. Nie była jednym z tych dzieciaków, co piszą do domu co wieczór albo wpadają z wizytą. Dostawaliśmy po parę maili, czasem zadzwoniła, ale za to w Boże Narodzenie, gdy wracała, rzucała się w wir roboty. Święta były... – Urwał, z trudem przełknął ślinę i gwałtownie potrząsnął głową. – Ech, sam nie wiem, dlaczego zacząłem o tym gadać.

– Bo za nią tęsknisz? – podpowiedziała cicho Ally.

– Tak. – Ben zacisnął usta.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Ben zakaszłał, otrząsając się z zadumy.

– To pewnie pizza.

Zanim Ally zdążyła mrugnąć, już go nie było w kuchni. Otrzeptała ręce i spojrzała przenikliwie na Astrid.

– Wszystko w porządku? – spytała delikatnie.

– Ja też to pamiętam. – Dziewczynka popatrzyła Ally w oczy, z trudem panując nad emocjami.

– To, jak się gniewała, gdy ktoś hałasował, przeszkadzał jej w czytaniu. Zdążyłam o tym zapomnieć, ale tak było. Pewnego razu żułam gumę, a mama powiedziała: „Ja cię wydałam na ten świat, więc mogę cię z niego usunąć!”. Ale zawsze wiedzieliśmy, że nie mówiła serio. Tak tylko żartowała. A potem ganiała mnie po pokoju i łaskotała tak długo, aż nie mogłam oddychać.

– Założę się, że uwielbiała, kiedy byłaś przy niej. Nawet gdy żułaś gumę.

Astrid uśmiechnęła się leciutko i tęsknie.

– Tak.

– Pizza! – zaanonsował Ben, wracając do kuchni. – Zróbcie miejsce.

Ally i Astrid prędko uprzątnęły pobojowisko na tyle, by na stole zmieściło się pudło z pizzą. Ulotna chwila wzruszenia minęła; pozostał tylko słodki zapach wspomnień.

ROZDZIAŁ 18



Cieszę się, że przyszłaś. – Ben wbił ręce w kieszenie, czując, że grabieżą od wieczornego chłodu. – Nie tylko ze względu na brownie... choć to pewne, że gdybyśmy je piekli sami, wyszłyby nieskończenie gorsze.

Wilgotne powietrze niesło nie tylko ziąb, ale i obietnicę śniegu, gdy odprowadzał Ally do „Kosmatych Przyjaciół”. Dopiero gdy skończyli pizzę, uświadomił sobie, że musiała przydzwigać te wielkie torby z zakupami aż ze schroniska, i postanowił, że będzie jej towarzyszył przynajmniej w drodze powrotnej. Astrid błagała Ally, żeby jeszcze została. W gruncie rzeczy żadne z nich nie paliło się do rozstania.

Obejrzeni razem *Elfa*, czekając, aż ostygną ostatnie ciasta i będzie można je spakować. Wreszcie Ben polecił małej, żeby poszła już do łóżka i poczytała do poduszki. Wiedząc, że gdyby dziewczynka czegoś potrzebowała, sąsiadka, pani Fincher, zawsze chętnie jej pomoże, mógł względnie spokojnie odprowadzić Ally.

To był udany wieczór. Prawdę mówiąc, Ben już nie pamiętał, kiedy spędził kilka godzin w tak przyjemny sposób. Dziwne, pomyślał, gdy sobie uzmysłowił, że znowu jest dawnym sobą. Jakby imadło stresu, w którym od dawna tkwił, nagle się otworzyło – zapewne tylko na chwilę.

– Dobrze się bawiłam – powiedziała Ally. Warstewka lodu na chodniku z chrzęstem pękała pod ich butami. – I nadal twierdzę, że byłam ci coś winna za pomoc przy psach.

Poczucie winy wróciło.

– Naprawdę nie jesteś mi nic winna – zapewnił, rytmicznie zaciskając w kieszeniach zmarznięte pięści. – Jeśli już, to ja jestem twoim dłużnikiem. Było naprawdę super, a ja chyba zdążyłem zapomnieć, że można tak spędzać czas. Że Boże Narodzenie to nie katorga. I Astrid była zachwycona. Mam wrażenie, że ty zawsze wiesz, co jej powiedzieć. W przeciwieństwie do mnie – dorzucił, uśmiechając się krzywo.

– Hej – odpowiedziała, trącając go łokciem. – Nie bądź dla siebie taki surowy. Radzisz sobie o wiele lepiej, niż jesteś skłonny przyznać.

– Może, ale te moje wynurzenia o Katie... Sam nie wiem, dlaczego zacząłem o niej gadać. – Minęli rynek, pośrodku którego tysiącem światełek mieniła się choinka. – W pewnym sensie trudno mi o tym mówić, bo tu wszyscy o tym wiedzą. Taka uroda małego miasteczka. Wszyscy znali Katie i Paula. Dziwnie spotkać kogoś, kto ich nie znał. Dziwnie, ale w pozytywnym sensie – zastrzegł prędko. – Niby wszystkim ich brakuje, ale nikt nie chce o tym rozmawiać. I w sumie nie wiem, czy jest mi przez to lżej czy ciężiej.

– Nie wiem, czy to pocieszające, ale Astrid chyba się ucieszyła, że mówisz o jej mamie.

Ben skulił się pod mocniejszym podmuchem zimnego wiatru.

– Że też nie mam nikogo, kto by mi powiedział, co robię dobrze, a co źle. Owszem, każdy ma swoje zdanie, ale skąd mam wiedzieć, czy sprawdzam się jako rodzic? Bo gdy nie wiem, kiedy zawodzę Astrid, czuję się tak, jakbym zawodził ją nieustannie.

– Ben. – Ally chwyciła go pod ramię. – Jesteś dobrym opiekunem.

– Tak sądzisz? Zatwierdzenie testamentu było dla mnie poważną próbą. Całe to rodzicielstwo jeszcze poważniejszą. Wciąż czuję się tym wszystkim przytłoczony. Nie umiem nawet dopilnować, żeby pralka działała jak należy.

– Jakoś nie widzę związku między awarią pralki a byciem złym rodzicem.

– Pewnie, ale kiedyś byłem tym fajnym wujkiem, kochającym siostrzenicę jak wariat, bo nie znałem codziennej rutyny rodzicielstwa. Nie wiedziałem, że Hop-Hop nadal pomaga jej zasnąć, jak się

nazywa jej pediatra, że Katie właśnie zaczęła jej przedstawiać Harry'ego Pottera, czytały razem, na głos, po jednym rozdziale...

Po wypadku Astrid nie chciała czytać tych książek z Benem. Stały zakurzone na półce w jej pokoju.

– Powiedz, skąd mam wiedzieć, kiedy postępuję słusznie. Elinor mówiła mi ostatnio, że długotrwały stres zmienia strukturę mózgu. A ja czuję się tak, jakby mój mózg był od dwóch lat w ciągłym stresie. – Ally puściła jego ramię. Spojrzał na nią i jęknął: – A teraz jeszcze zrzucam cały ten balast na ciebie. Przepraszam. Problemy pierwszego świata. Mnóstwo ludzi ma gorzej niż ja.

– To nie jest najczarniejszy scenariusz, ale to nie znaczy, że nie jest ci trudno. Trudność nie jest pojęciem względnym. Nie jest tak, że komuś jest łatwiej, bo ktoś inny ma gorzej. Jest po prostu trudno. I nie ma powodu, żebyś umniejszał ciężar, który wzięłeś na swoje barki. – Spojrzała na niego i błysnęła zębami w uśmiechu. – Tylko nie powiększaj go sztucznie.

– A co jest twoim ciężarem? – spytał wiedziony impulsem i zaraz zapragnął cofnąć te słowa. – Przepraszam. Nie chciałem być wścibski.

– Nie szkodzi. Chyba schronisko. Ale tak naprawdę najbardziej martwię się o dziadków. Poza nimi nie mam już żadnej rodziny, wiesz?

Dotarli do podjazdu wiodącego ku „Kosmatym Przyjaciołom” i domowi Ally, ale Ben zwolnił. Nie był jeszcze gotowy zakończyć tego spotkania. Wcześniej mgliście kojarzył, że Hal i Rita mają wnuczkę, ale stracili dziecko, tylko jakoś nigdy nie przyszło mu na myśl, że Ally ma już tylko ich – i odwrotnie.

– Twoi rodzice...

– Wypadek samochodowy. Miałam osiemnaście lat, byłam na pierwszym roku. Mieszkałam w akademiku i nagle poczułam się tak, jakby wyrwano mnie z korzeniami, jakbym już nigdzie nie przynależała. Miałam tylko dziadków. Bardzo wiele dla mnie znaczyła świadomość, że nie jestem sama. I dlatego dla Astrid takie ważne jest to, że ma ciebie.

– No, nie wiem.

– Tak jest – stwierdziła z naciskiem. – Twoi rodzice żyją?

– Mieszkają w Arizonie. Przyjadą na Święta. A druga para dziadków mieszka w stolicy. Pomagają, gdy tylko mogą, ale codzienne sprawy i wszelkie decyzje to moje zmartwienie.

– I wielka odpowiedzialność, której pewnie się nie spodziewałeś.

Pokręcił głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że wielka, ale nie zbyt wielka.

– Chciałem tego. Chciałem się nią zaopiekować. I nadal chcę. To ciekawe, ale łatwiej nam, gdy jesteśmy we dwoje. Moi rodzice chcą pomagać, gdy tu przyjeżdżają, ale czasem oznacza to więcej roboty dla mnie, niż gdybym zrobił coś sam. A jeśli naprawdę okazują się pomocni, człowiek zaczyna na nich polegać. Wtedy wyjeżdżają, wsparcie się kończy i ciężko jest na nowo się zaadaptować. Już łatwiej...

– Nie polegać na innych?

– Polegać na sobie. – Ben spojrzał Ally w oczy. – Ale i tak martwię się bez przerwy. Zawsze staram się dokonywać wyborów z myślą o Astrid. Wiem, pewnie za dużo się nad tym wszystkim zastanawiam. Kiedyś tak nie robiłem, ale przy niej nie umiem się powstrzymać. Weźmy telefony komórkowe. W jakim wieku można zacząć ich używać? Niektóre przyjaciółki Astrid już mają smartfony. A portale społecznościowe? Czy mogę ją ochronić przed Twitterem, Instagramem, TikTokiem i Bóg wie czym jeszcze do czasu, aż uznam, że już może spróbować? Nasi rodzice nie musieli rozważać, ile czasu wolno nam spędzać przed ekranem i czy wszystko, co jemy, jest organiczne, wolne od hormonów i nie wiadomo czego. I czy naprawdę próbuję zniszczyć środowisko naturalne, gdy wkładam coś do plastikowego pojemnika? Dziś wszystko ma jakieś dziwne konotacje i nie ma już zwykłego zdrowego rozsądku. Może nie ma też prawidłowych odpowiedzi? Może będę wciąż popełniał błędy?

– Nie, nie będziesz. Nawet jeśli czasem się mylisz, a to całkiem ludzkie, to podejmujesz też dobre decyzje w tym, co robisz. I jesteś przy niej, dla niej. Ona o tym wie.

Ally stanęła na pierwszym stopniu ganku i odwróciła się do Bena. Pierwsze, grube płatki śniegu zawirowały wokół nich. Okna domu były ciemne i tylko lampki choinkowe rozwieszane na tralkach ganku rozpraszały śnieżny mrok łagodną poświatą.

– Dziadkowie już śpią?

– Tak. Nie należą do nocnych marków.

Oglądał jej profil, gdy patrzyła w okna.

– Mówiłaś, że się o nich martwisz.

– Bezustannie – przyznała. – Wiem, że są dorośli, że od dziesięcioleci potrafią zadbać o siebie, a mimo to się martwię. Bunia jest taka nierozważna! Nigdy nie myśli o konsekwencjach. Dopóki nie trafiła do chirurga, nie wpadła na to, co może się wydarzyć, gdy będzie wyprowadzała zbyt silnego psa. Maximus chciał pogonić za królikiem, a ona miała smycz owiniętą wokół nadgarstka. Zwichnięty bark, zerwane więzadła... a ona nadal uważa, że to był pech i że to się nigdy nie powtórzy. I sądzi, że nie musi nosić temblaka ani bać się odnowienia kontuzji. Oboje mają ponad osiemdziesiąt lat. Dobrze, że dziadek zdrowo się trzyma, i fizycznie, i umysłowo, ale być może wkrótce przyjdzie ten dzień, coś się stanie i... Nie mam nikogo innego.

Padają coraz mocniej i cały świat jakby cichł pod śnieżną pierzyną.

– To dlatego tu przyjechałaś.

– Po części. Nawet mi nie powiedzieli o urazie Buni, bo nie chcieli mnie niepokoić. Wybierałam się na sesję zdjęciową na Bahamy i planowałam podrzucić tu Colby'ego, żeby się nim zajęli, ale wyjazd został odwołany, a ja dowiedziałam się o wypadku babci, więc... po prostu czułam, że jestem tu potrzebna. Powiedziałam, że chcę pomóc przy schronisku, bo to dobry pretekst, żeby mieć na oku dziadków.

– A co zrobisz, gdy schronisko zostanie zamknięte?

Zaśmiała się smutno.

– Nie chcę nawet o tym myśleć. Wolę żyć chwilą, szukać domów dla psów, opiekować się dziadkami. Przyszłością zajmę się wtedy, gdy tu zawita. – Ally weszła na ganek, a Ben został u podnóża schodków, wsparty o poręcz. Dopiero teraz, gdy się odwróciła, ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. – A co jest z tą waszą pralką?

Ben skrzywił się z niechęcią.

– Od tygodni jest zepsuta. Umówiłem się z serwisantem. Miał przyjść tydzień temu, ale ciągle przekłada wizytę, a my już prawie nie mamy czystych ubrań.

– To może przywieziesz pranie tutaj? Mamy i pralkę, i suszarkę. Proszę, skorzystaj, jeśli chcesz.

Zmarszczył brwi.

– Nie będę zwoził brudów do twojego domu.

– A to dlaczego? I tak bywasz w schronisku, więc dlaczego pralka nie miałyby popracować, gdy będziemy zajęci? Koszula zalana kawą będzie uratowana. A nas to nic nie kosztuje...

– A woda? Prąd?

– Myślę, że jakoś to przeżyjemy. Co najmniej jedno pranie jestem ci winna, bo ta koszula to moja sprawa. – Ally skrzyżowała ramiona na piersiach, spoglądając na Bena niby srogim wzrokiem.

– No co, taki jesteś dumny? Czy po prostu uparty?

– Ani jedno, ani drugie, ja tylko...

– Musisz zrobić wszystko sam, nie prosząc nikogo o pomoc?

Jak na kogoś, kto zna go ledwie dwa tygodnie, rozszyfrowała go niepokojąco trafnie. Czyżby jego postawa była aż tak oczywista?

– Niepotrzebnie utrudniasz sobie życie.

– Niczego nie utrudniam.

– Powiem ci, co zrobimy. Babcia bardzo chce mieć świąteczne lampki pod rynnami stodoły. Zawiesiłam, ile mogłam, na ganku, ale na tamte zabrakło mi czasu i boję się, że pewnego dnia wrócę do domu i zastanę moją osiemdziesięcioletnią Bunię na samym czubku dwudziestostopowej drabiny,

zawieszającą świecącą jedyną zdrową ręką. Umówmy się, że w tym tygodniu poświęcisz któryś wieczór na te lampki, a w tym samym czasie zrobimy pranie. Wzajemna korzyść.

Popatrzył jej głęboko w oczy.

– Mam wrażenie, że właśnie to wymyśliłaś.

– Czegoś takiego jak szalone plany mojej babci nie da się tak po prostu wymyślić. Wchodzisz w to?

– Pewnie. Chyba... tak. Przyjaciele nie zostawiają się w nagłej potrzebie zawieszenia lampek.

Jej uśmiech jakby się zmienił, a dystans między nimi zwiększył odrobinę, zanim jeszcze zrobiła krok wstecz.

– W takim razie widzimy się w tygodniu.

– Tak jest. – Odepchnął się od poręczy i odstąpił o krok, wychodząc spod daszku. Na jego ramionach od razu pojawił się śnieg. – Dobranoc, Ally. Dziękuję za pomoc.

– To ja dziękuję.

To rzekłszy, zniknęła za drzwiami.

Gdy Ben wędrował do domu cichymi uliczkami, śnieg nie przestawał sypać ani na chwilę. W kolejnych domach gasły na noc świąteczne iluminacje, ale miasteczko wciąż wyglądało jak z pocztówki. Zwolnił instynktownie, gdy dotarł na rynek. Kiedy po raz ostatni miał na to czas? Kiedy szedł spacerowym krokiem, nie martwiąc się, kiedy dotrze do celu, nie zastanawiając się nad tuzinem pilnych spraw?

Czy Ally to sprawiła? A może to popołudnie, godziny spędzone na dekorowaniu ciast z nią i Astrid? Czy to wtedy zaczął inaczej postrzegać świat? Przypomniał sobie, że życie to nie tylko obowiązki i nieustająca odpowiedzialność. Że czasem trzeba się też rozerwać.

Poczuł, że potrzeba mu karcianego wieczoru. Koniec wymówek.

Wchodząc po stopniach do domu Katie i Paula, rozmyślał, co zobaczyła Ally, gdy przekroczyła ten próg. Niedokończone drobne i poważne naprawy, które utknęły, bo wmówił sobie, że nie ma czasu. Może i nie miał go wiele, ale uczciwość nakazywała mu przyznać, że bał się też zatarcia ostatnich śladów po tych, którzy mieszkali tu przed nim.

Nie, nie miał ich twarzy przed oczami, gdy patrzył na nierówną podłogę. Kiedyś widywał Katie i Paula, ale z czasem przestał – i był to smutny fakt, nawet jeśli Ben miał świadomość, że siostra by nie chciała, żeby żył przeszłością. Katie miała dwuletni plan. Chciała dużego domu z ogrodem.

Gdy dotarł na piętro, w szparze pod drzwiami pokoju Astrid dostrzegł smugę światła. Zapukał cicho. Zawołała, że może wejść, więc uchylił drzwi i wsparł się o ościeżnicę.

– Wróciłem.

– To dobrze. – Siedziała na łóżku w piżamie, z książką z biblioteki na kolanach.

Ben przebiegł spojrzeniem po najwyższej półce, na której stały schludnym rzędkiem powieści o Harrym Potterze. Kiwnął głową w tamtą stronę.

– Czytałaś je? Te o Harrym Potterze.

Spojrzała na półkę.

– Jeszcze nie – przyznała. – Nie chciałam bez mamy. Czy to nie dziwne?

– Nie, skarbie. Ani trochę.

– Myślałam, że może powinnam, bo wszystkie koleżanki teraz je czytają. Są na liście Książkowej Bitwy.

– Jeśli chcesz, to po prostu przeczytaj – powiedział cicho. – A jeśli nie, to nic nie szkodzi. Ale słyszałem, że są niezłe.

– Nie czytałaś? – spytała, przekrzywiając głowę.

– Nie. Widziałem tylko filmy.

Przewróciła oczami.

– To się nie liczy!

– Zgoda – odparł z uśmiechem. – Może przeczytam.

Astrid znowu spojrzała na półkę.

– A może zrobimy to jednocześnie?

Ben nie pamiętał, kiedy ostatnio czytał coś dla przyjemności.

– Chętnie.

Astrid spojrzała w dół, na otwartą książkę. Widać było, że chce jak najszybciej znowu zatopić się w lekturze. Była taka podobna do mamy.

– Tylko nie czytaj za długo – ostrzegł, zdecydowany zamknąć za sobą drzwi, zanim mała dostrzeże łzy w jego oczach.

– Wujku Benie?

Zatrzymał się.

– Tak? – Odchrząknął, czując ucisk w gardle.

– Dzięki za ten dzień. Fajnie było.

– To prawda – przytaknął. – Kocham cię, wiesz?

– Wiem. Ja ciebie też.

Ben domknął cicho drzwi i z trudem przełknął ślinę.

Nieswojo się czuł z wdzięcznością za którąkolwiek chwilę od czasu śmierci Katie i Paula, ale tego dnia... tak, był wdzięczny za te godziny. I za wszystkie inne dni, które dane mu było spędzić z tym dzieckiem. Może i często nie wiedział, co robi, a praktycznie zawsze umierał ze strachu, ale od czasu do czasu gdzieś w piersi czuł coś, czego nie doświadczył ani razu przed wzięciem Astrid w opiekę. Czuł miłość tak potężną, że aż bolało – i może dopóki mu towarzyszy, dopóty nie będzie najgorszym rodzicem. Może.

ROZDZIAŁ 19



Płatki świeżego śniegu wirowały wokół kostek Ally, kiedy szła w stronę stodoły, w marszu witając psy, które zjawily się na zewnętrznych wybiegach przylegających do klatek, gdy tylko usłyszały jej kroki. Ostatni wieczór z Benem i Astrid nastawił ją bardziej optymistycznie do świata, a dwie nowe aplikacje adopcyjne, które znalazła w porannej poczcie, tylko umocniły jej dobry nastrój.

– Ktoś się tobą interesuje, Galaret! – zawołała do pół labradora, pół pitbulla o sierści w kolorze masła orzechowego, który właśnie podbiegł do siatki. Towarzyszący mu Biszkopt został nieco w tyle, bo targał w pysku jego posłanie. – Jak tyś to przecisnął przez tę wąską klapę? – spytała Ally. Posłanie było prawie tak duże jak on sam, więc pewnie nie było łatwo ciągnąć je po śniegu, ale pies był wyraźnie dumny, że niesie jej taki dar. Porzucił go, dopiero gdy się schyliła, żeby pogłaskać podopiecznych przez ogrodzenie. – Skoro postanowiłeś przemeblować klatkę, trzeba było zacząć od swojego posłania.

Biszkopt tulił się do jej dłoni ze wszystkich sił, a jego czarne ślepia wpatrywały się w nią z niemym uwielbieniem. Galaret usiłował więc się we wszystkie strony jednocześnie, zachwycony, że ktoś poświęca mu uwagę.

– To jak, chłopaki? Chcielibyście mieszkać w Massachusetts? Jest tam rodzina z wielkim, porządnie zabezpieczonym ogrodem, mielibyście gdzie biegać. Co wy na to?

Po nocnych opadach białe połacie ciągnęły się jak okiem sięgnąć, ale warstwa śniegu miała ledwie kilka cali grubości – sięgała jej niewiele powyżej kostek – i dzięki Bogu, nie stanowiła poważnej przeszkody dla samochodów. Ally aż za dobrze pamiętała, jak bolały ją ramiona po długich godzinach usuwania śniegu zabytkową dmuchawą po ostatnich śnieżycach. Nie paliła się zbytnio do powtórki.

W białym puchu widać było wyraźnie ślady opon subaru należącego do dziadków. Pojechali na osiedle emerytów, umówieni na późne śniadanie z przyjaciółmi. Przy okazji mieli porozmawiać z zarządcami Summerland o ewentualnej imprezie z udziałem psów. Ally cieszyła się chwilą samotności, chciała w spokoju przemyśleć ostatnią rozmowę z Benem.

Weszła do stodoły i rozpoczęła poranny rytuał psiej opiekunki. Dopiero gdy wszyscy pensjonariusze schroniska byli syci i dopieszczeni, udała się do biura, żeby zająć się aplikacjami. Colby położył się przy niej, opierając łeb o jej stopy. Już nazajutrz Kapitan Ameryka miał trafić do nowych właścicieli, lecz trzeba było rozpatrzyć cztery nowe zgłoszenia.

Zależało jej, by każdy z psów wreszcie znalazł dom, ale także na tym, aby był to dobry dom. Dlatego w skupieniu czytała deklaracje przyszłych właścicieli o tym, w jakich warunkach psy miałyby mieszkać, kto opiekowałby się nimi pod nieobecność domowników i kiedy byłaby możliwa wizyta adopcyjna. Miała nadzieję, że wystarczająco starannie rozpatruje aplikacje – ale tylko nadzieję, nic więcej. Gdy zaczynała już czuć ból w karku, a ekran jakby rozmazał się jej przed oczami, odezwały się dzwonki nad drzwiami stodoły. Jej serce drgnęło, pobudzone odruchem warunkowym.

Pewnie powinna mieć nadzieję, iż to potencjalni opiekunowie któregoś z psów przybyli z niezapowiedzianą wizytą, ale w rzeczywistości liczyła, że ujrzy Bena.

Bo przecież byli przyjaciółmi. Naturalnie tylko dlatego tak ją elektryzowała wizja spotkania.

Colby leniwie uniosł łeb, gdy odsunęła się od biurka.

– Jak myślisz, kto to? – spytała. Bernardyn westchnął i dźwignął się ciężko z podłogi. Pchnęła drzwi, ale nikogo nie dostrzegła w korytarzu. – Ben?

Weszła dalej między klatki witana szczekaniem psów i... ujrzała Deenie siedzącą na podłodze w klatce Jo-Jo i zajęętą rzucaniem zabawki ulubionej suczce. Uniosła głowę i uśmiechnęła się, widząc

Ally i Colby'ego.

– Hej! Właśnie cię szukałam.

– W klatce Jo-Jo?

– I kto jest grzeczną dziewczynką? – zagruchała czule Deenie, gdy psina wróciła z zabawką w pysku. – Jak mogłam jej odmówić, skoro tak rozpaczliwie pragnęła, żeby ktoś jej porzucił piszczącą mychę? Prawda, że pragnęłaś, moja ty słodziutka? – Wstała i otrzepała legginsy. – Pójdziemy razem?

– Dokąd?

– Na festyn świąteczny. Twój dziadkowie już wyszli? – spytała, wychodząc z klatki.

– Są na osiedlu.

– Ach tak. – Deenie zmarszczyła brwi. – A ty nie idziesz? Skoro już naprodukowałaś dwa miliony brownie na tę okazję, to może powinnaś zobaczyć, jak to wygląda?

– Sądziłam, że to impreza dla dzieciaków i ich rodzin. Nie będzie dziwnie, jeśli się tam pojawię?

– Skąd. To miejski festyn, wszyscy tam będą. No chodź. Zostawię tu samochód, przejdziemy się. Nie masz pojęcia, jak ciężko jest czasem zaparkować. Wiem, trudno w to uwierzyć, skoro tak mało ludzi mieszka w Pine Hollow, ale gdy wszyscy naraz próbują się wcisnąć na szkolny parking... Koszmar. Gdzie masz kurtkę?

Ally otworzyła drzwi biura, żeby sięgnąć do wieszaka, a Colby skorzystał z okazji, wcisnął się do środka i z westchnieniem rzucił na posłanie. Dolce tak się do niego przyzwyczaiła, że nawet nie podniosła łebka, tylko przebierała łapami, zapewne śniąc o szczeniakach.

– Może powinnam wziąć psa?

– Nie tym razem. Wpuszczają tylko psy przewodników.

Wiedziona impulsem Ally zabrała jeszcze aparat z biurka. W ostatnim tygodniu prawie nie robiła zdjęć, jeśli nie liczyć psich portretów. Wcisnęła go do torby, a torbę zarzuciła na ramię i podążyła w śnieg topem Deenie.

– Słyszałaś o „Mój dom na zawsze”? To część tego programu... Wiesz, tego z tym facetem.

Ally się uśmiechnęła, słysząc ten jakże precyzyjny opis. Śladami opon przemierzyły długi podjazd aż do ulicy, gdzie na szczęście odśnieżono już chodniki. Ze wszystkich stron otaczała je cudowna zimowa kraina. W Nowym Jorku takie pejzaże nie utrzymywały się dłużej niż parę godzin, potem stawały się brudnoszare.

Dziewczyna wyjęła aparat, by uwiecznić tę małomiasteczkową doskonałość godną reprodukcji od Curriera & Ivesa, tonącą w białutkim śniegu skrzącym się krystalicznie w popołudniowym słońcu. Wybrała kadr i nacisnęła spust migawki, jednym uchem słuchając opowieści Deenie o jak dotąd nieudanych próbach promowania „Kosmatych Przyjaciół” w ogólnokrajowej telewizji śniadaniowej.

Gdy dotarły do szkoły, była już bez reszty skupiona na utrwalaniu zimowych widoków. Koncentracja prysła jednak w jednej chwili, gdy otworzyły drzwi sali gimnastycznej i w głęboki spokój sennego miasteczka wdarł się – z mocą młota pneumatycznego – dziki zgiełk.

– Chodź! – krzyknęła jej do ucha Deenie. – Zaczniemy od straganu z grzanym cydrem!

Ally zacisnęła dłonie na aparacie niemal jak Jo-Jo zęby na swojej gumowej myszy. Salę zdobiły świąteczne ozdoby wszelkiej maści, nawet pod sufitem zawieszono czerwone i zielone papierowe łańcuchy. Na parkiecie zaś ustawiono dziesiątki straganów, przy których krzątały się dzieci w różnym wieku. Ally najpierw zaczęła się rozglądać, a dopiero po chwili uświadomiła sobie, że szuka w tłumie Bena, i właśnie wtedy zobaczyła Elinor. Wzdrygnęła się mimowolnie.

Nie, nie zrobiła nic złego, spędzając popołudnie i wieczór z Benem i Astrid. Elinor zresztą samą ją do tego zachęcała. Mimo to było jej jakoś nieswojo, bo przecież musiała przyznać przed samą sobą, że chciała, żeby coś się wtedy zdarzyło. To nie było w jej stylu. Zwykle nie podkochiwała się w facetach, którzy nie byli wolni.

Zwykle, ale nie tym razem.

– Ally! Miałam nadzieję, że na ciebie trafię.

Dziewczyna aż podskoczyła z wrażenia, a potem powitała Elinor bodaj najbardziej fałszywym

uśmiechem w dziejach świata.

– Elinor! Jak miło znowu cię widzieć.

– I wzajemnie. Tak sobie myślę, że chyba jeszcze w tym tygodniu odwiedzę schronisko. Możliwe, że sprawię sobie psa.

– Naprawdę? – Ally zatrzepotała powiekami, całkiem zbita z tropu. Ben był zdecydowanym przeciwnikiem psów. Czyżby Elinor o tym nie wiedziała? Może należałoby jej powiedzieć? Przez wzgląd na Bena wcześniej nawet nie próbowała nakłaniać Elinor do adopcji któregoś z psiaków.

– W piątek zaczynają się ferie świąteczne, więc będę miała czas, żeby go trochę podszkolić, przyzwyczaić do mnie i do nowego domu. Będę mogła wpaść?

– No... tak. Tak, byłoby świetnie.

– Znakomicie. – Elinor się rozpromieniła. – A przy okazji: gratuluję brownie. Stragan Astrid jest hitem imprezy, a wszyscy wiedzą, że to nie zasługa Bena.

– A właśnie że bardzo się przyłożył – zaprotestowała Ally. Dziwnie się czuła, broniąc go przed narzeczoną. Elinor rzeczywiście wyglądała na świetną babkę, ale coraz trudniej jej było wyobrazić sobie tych dwoje razem.

– Nie wątpię, lecz i tak w imieniu żołądków nas wszystkich dziękuję. Jeremia, zostaw ten lukier w spokoju! – Elinor oddaliła się błyskawicznie, by uratować włosy jednego z uczniów przed zakusami nazbyt rochoconego kolegi.

Deenie pojawiła się znowu u boku Ally, niosąc dwa kubki cydru z przyprawami.

– Zgubiłam cię – powiedziała, podając jej jeden. – Co się działo?

– Wpadłam na Elinor – odparła Ally, jakby nie było nic nadzwyczajnego w tym, że utrzymuje przyjazne stosunki z narzeczoną mężczyzny, do którego właśnie zaczyna żywić dość problematyczne uczucie. – Podobno chciałyby adoptować psa.

– Tak? To świetnie. Jak tak dalej pójdzie, znajdziemy chętnych na wszystkie jeszcze przed Świętami.

Ally spróbowała cydru i poczuła na języku słodkawy smak cynamonu oraz goździków. Ni stąd, ni zowąd ogarnęło ją zdenerwowanie, gdy przypomniała sobie pytanie zadane przez Bena: co wtedy zrobi?

Gdy już nie będzie schroniska dla psów, będzie potrzebowała jakiegoś pretekstu, żeby zostać w miasteczku i nadal czuć nad dziadkami, bo coraz mocniej czuła, że jej przyszłość nie wiąże się już z Nowym Jorkiem.

– Chodź, chcę zobaczyć te przesławne brownie, o których wszyscy gadają. – Deenie chwyciła ją pod ramię i pociągnęła w tłum.

Ally musiała się mocno skupić, żeby nie ozdobić nikogo grzanym cydrem; zabawę w polewanie gorącymi napojami zarezerwowała dla Bena.

Skoncentrowała się na zadaniu tak mocno, że prawie wpadła na stragan Astrid, a gdy w ostatniej chwili uniosła głowę, ujrzała Bena, który czuwał nad wszystkim, zachowując dystans kilku stóp.

Uśmiechnął się, gdy tylko ją zauważył, i od razu podszedł bliżej.

– Miałas rację.

Deenie znowu ją porzuciła, żeby precyzyjnie się między dziećmi i zobaczyć, co dobrego jeszcze zostało na stoliku Astrid. Ally została sam na sam z Benem pośrodku zatłoczonej sali gimnastycznej.

Dobrze wyglądał w dopasowanym szarym swetrze i z biało-czerwonym świątecznym szalikiem na szyi. Miał starannie przystrzyżoną brodę w stylu przyjaznego drwa i było mu z nią do twarzy. Miała ochotę unieść aparat i zrobić Benowi zdjęcie, ale pomyślała, że to zbyt intymny gest.

– Naprawdę? – spytała.

– Brownie z gumisiami rozeszły się jako pierwsze – wyjaśnił, ruchem głowy wskazując stragan.

– Przypomnij mi, żebym nigdy się z tobą nie zakładał, gdy będziemy się różnić w sprawie wypieków.

– Znam się na moich deserach.

– Astrid się uparła, że musimy zostawić po kawałku z każdego i wreszcie zrobić porządną kontrolę jakości. Powinnaś znowu do nas wpaść, pomożesz nam.

Kusiło ją, żeby się zgodzić, ale poczucie winy nie odpuszczało i sprawiło, że wtrąciła do rozmowy imię jego narzeczonej.

– Właśnie rozmawiałam z Elinor. Rozważa adopcję psa.

– Naprawdę? Doskonały pomysł.

Ally zmarszczyła brwi, próbując rozgryźć w myślach, jak to możliwe, że Ben nie chce mieć psa we własnym domu, ale popiera zamiary Elinor. Czyżby po ślubie nie zamierzali razem zamieszkać? Może planowali wieczne narzeczeństwo?

– Ma ładną, ogrodzoną posesję, więc może się skusi na któregoś z większych psów. A może na Harry? Bystra psina dla bystrej pani. – Ben uśmiechnął się szeroko do Ally. – Zaczynam się wczuwać w rolę psiego swata.

– To... świetnie – bąknęła, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Bardzo ceniła jego pomoc, podobnie jak zaangażowanie Deenie. Czysto platonicznie. Skoro więc jego dziewczyna chciała mieć psa, a on nie, to nie zamierzała się do tego mieszać.

– Załapałam się na ostatni kawałek brownie z precl'em i karmelem! – Deenie pojawiła się tak nagle, że Ally podskoczyła z wrażenia, przy okazji oblewając sobie dłonie jeszcze ciepłym cydrem.

– Och... przepraszam. Nie chciałam cię wystraszyć. Cześć, Ben.

– Cześć, Deenie.

– Świątecznie dziś wyglądasz – zauważyła, ciągnąc za końcówkę jego szalika.

Ben uśmiechnął się krzywo.

– Nie miałem wyboru. Popsuła mi się pralka, więc jakoś muszę odwracać uwagę obserwatorów od faktu, że mam trzeci raz na sobie ten sam sweter.

– To kiedy w końcu przyjdiesz z praniem do mnie? – spytała Ally.

– Ponoć w środę ma się zjawić serwisant, ale jeśli znowu przełoży wizytę, skorzystam z twojej oferty. A tak czy inaczej z przyjemnością pomogę ci zawiesić lampki.

– Wujku Benie! Skończyły mi się drobne! – zawołała Astrid.

Ben uśmiechnął się do Ally.

– Służba nie drużba – powiedział, po czym pożegnał się skinieniem głowy i ruszył na pomoc dziewczynce.

Ally się zorientowała, że wpatruje się w tych dwoje dopiero w chwili, gdy Deenie głośno odchrząknęła.

– No więc... Ben wydaje się jakiś wyluzowany.

Ally w jednej chwili przestała się uśmiechać.

– Co? – spytała, jakby nigdy w życiu nie gapiła się na cudzego narzeczonego.

– Nic, nic – odpowiedziała śpiewnie Deenie. – Chodźmy. Podobno robią tu gdzieś s'mores na zamówienie.

– A nie kupiłaś przed chwilą ciasta?

– To na później. S'mores są na teraz.

Znowu chwyciła ją pod ramię, a Ally dała się poprowadzić w głąb sali, celowo nie oglądając się ani na Bena, ani na Astrid.

ROZDZIAŁ 20



Nareszcie się udało – stwierdził z zadowoleniem Mac, obserwując, jak Connor wprawną ręką rozdaje karty. – A już sądziłem, że wieczorki pokerowe umarły śmiercią tragiczną.

– Aż tak długo to nie trwało – zaproponował Ben.

– Cztery miesiące – stwierdził smętnie Levi, przyglądając się swoim kartom i jednocześnie osłaniając je dłonią.

– Niemożliwe. – Ben spojrzał nań przelotnie.

– Widzieliśmy się w sierpniu – potwierdził Connor. – Astrid miała właśnie zacząć szkołę. Tak narzekałeś na to, ile rzeczy trzeba kupić, że do dziś pamiętam tę listę szkolnych przyborów.

Jako że Connor miał tendencję do zapamiętywania wszystkiego, Ben starał się nie wziąć do siebie tego komentarza, ale tylko do czasu, aż Levi dorzucił drwiąco:

– Ja też.

– Na pewno spotkaliśmy się od tamtego czasu. Pamiętam wyraźnie, że planowaliśmy wieczór w październiku. Kupiłem więcej piwa...

A potem Astrid dostała grypę i spotkanie trzeba było odwołać, piwo zaś nadal leżało w piwnicznej lodówce wraz z sosem cebulowym, który pewnie już dawno zdążył się zepsuć, jeśli takie produkty w ogóle się psują.

Levi uśmiechnął się przewrotnie.

– I to piwo jeszcze tam jest, prawda? – Odchylił się z krzesłem daleko w tył, żeby sięgnąć do drzwi lodówki. – Kto chce?

Connor i Mac byli chętni. Levi jakimś sposobem zdołał chwycić butelki obiema rękami i nie fiknąć przy tym kozła. Następnie zatrzaskał lodówkę, wyprostował się i postawił przed każdym z graczy po piwie.

– Nie powinienem dziś pić – powiedział Ben. – Astrid...

– Jeśli nie chcesz, to Connor wypije, ale jakoś mi się nie wydaje, żeby odrobina piwa i twojego wieczornego relaksu miały zaszkodzić Astrid. Kto wie, może nawet wyjdzie jej to na zdrowie, jeśli się trochę odprężysz.

– Sugerujesz, że jestem spięty?

– Tak – odpowiedzieli chórem trzej przyjaciele.

Ben chciał zaproponować, ale zamknął usta.

– Mam sporo spraw na głowie – rzekł po chwili, po czym sięgnął po butelkę i pociągnął łyk.

– Ktoś licytuje czy jak?

Zaczął Mac siedzący na lewo od Connora. Przez kilka minut skupiali się wyłącznie na grze. Poker był dla nich ważny, ale równie ważne były wzajemne docinki, więc Ben nie poczuł się szczególnie zaskoczony, gdy Levi, przyjrzawszy mu się bacznie, skomentował:

– Coś sporo czasu spędzasz ostatnio w schronisku. Jak się prezentuje wnuczka Hala i Rity?

Ben zmrużył oczy.

– To nie tak. Przyjaźnimy się. Czuję się odpowiedzialny za zamknięcie schroniska, więc pomagam znajdować domy dla psów. A propos, nie potrzebujecie w policji nowego psa? Mamy wielkiego mieszańca, głównie wilczarza. Wabi się Maximus i przypuszczam, że na sam jego widok bandyci mieliby pełne gacie.

– A ja myślę, że Pine Hollow jest trochę za małe na to, żeby mieć własną jednostkę K-9. Zresztą nie umiałbym wyszkolić psa.

– Wynająłbyś kogoś. A może ty, Mac?

Kumpel rzucił dwie karty na stół i przyjął dwie nowe.

– Nie, ze względów higienicznych. Magda wykorzysta każdą furtkę, żeby mi zamknąć lokal.

Connor spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– Przecież wpuszczasz do restauracji klientów z psami.

– Tak, ale nie na zaplecze. Kuchnię mam tak czystą, że mogłaby robić za salę operacyjną, ale gdyby pojawił się tam pies, inspektor z wydziału zdrowia dobrałby mi się do dupy tak, że poczułbym go w migdałkach.

Ben parsknął śmiechem. Mac miał skłonność do barwnych sformułowań, gdy był pod wpływem, a że głowę miał wyjątkowo słabą, wystarczyłoby jeszcze jedno piwo, żeby zaczął śpiewać.

– Przecież wiesz, że jej na to nie pozwolę – wtrącił Connor. – Mogę ją tak zasypać pozwami, że nie odważy się nawet kichnąć bez obecności adwokata. I wycofa się, prędzej czy później.

– Wyluzuj, Brudny Perry. Poradzę sobie.

Wszyscy trzej spojrzeli na Maca.

– Brudny Perry? – spytał wreszcie Levi.

– Perry Mason. Brudny Harry Perry Mason? – Mac przewrócił oczami, widząc ich zdziwione miny. – Idźcie w cholerę. Nienawidzę was.

Ben pierwszy się roześmiał, a zaraz potem zarechotali Levi, bujając się na krześle, oraz Connor, kręcąc głową. Mieli rację: zbyt wiele czasu minęło, odkąd ostatnio wygłupiali się razem.

Niewykończona piwnica w domu Paula i Katie nie była nawet w przybliżeniu tak przytulna jak rezydencja Connora z widokiem na bazę narciarską czy choćby mieszkanie Maca nad Cup, za to wszelkie braki w wystroju nadrabiała wyposażeniem. Wszystko, czego Ben nie zesłał do wynajętej komórki, trafiało właśnie tutaj: tarcza do gry w rzutki, wielka lodówka z piwem, guacamole i niezbyt tajnym zapasem śmieciowego jedzenia, piękny filcowany stolik do pokera, a także wytarta już, ale miękka skórzana kanapa. Mac nie umiał nawet zliczyć, ile razy na niej spał, gdy zdarzyło mu się przejść od fazy śpiewania do fazy „kocham was, chłopaki”.

– Wujku Benie! – Na schodach zatupotały drobne stopy Astrid. Dziewczynka wpadła do piwnicy, z podniecenia nie mogąc złapać tchu. – Dolce rodzi szczeniaczki! Mogę pójść do Ally? Pani Gilmore nie ma nic przeciwko.

Ben spojrzał na wyświetlacz telefonu. Zaczęli grę nieco wcześniej, bo rano każdy miał jakieś sprawy, a teraz dochodziła dopiero ósma.

– No, nie wiem, Astrid. Jutro idziesz do szkoły. I nie chcę, żebyś chodziła gdzieś sama po ciemku. Jutro obejrzymy je razem...

– Deenie już tam jedzie! Powiedziała, że mnie podrzuci. Proszę, wujku! Pewnie nigdy, przenigdy nie będę miała okazji zobaczyć czegoś takiego. To takie pouczające, mogę nawet napisać o tym wypracowanie...

Connor parsknął z cicha, a Ben posłał mu spojrzenie mówiące „Nie pomagasz mi, dupku!”.

– Ale jutro szkoła...

– Wróć przed dziewczątą! Obiecuję! A jeśli nie, to możesz mi zabrać wszystkie gwiazdkowe prezenty i dać szlaban, aż się zestarzeje. Proszę! Proszę, proszę, proszę! – Astrid złożyła dłonie. Wyglądała wręcz żałośnie.

Ben spojrzał na starych kumpli, zastanawiając się, co sądzą o tej szopce i co zrobią, gdy się ugnie. Bo właśnie postanowił, że tak zrobi.

– Zgoda – rzekł wreszcie. – Ale masz być w domu, bez butów, przed dziewczątą. Jutro szkoła – powtórzył.

– Tak! – wrzasnęła Astrid, podskoczyła, klasnęła w dłonie i obiegła stolik, by przytulić się do jego ramienia i mocno go uścisnąć. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję! Jesteś najlepszy, wujku Benie!

A potem znowu zatupotały na schodach małe stopy.

– Kocham tę małą – odezwał się Connor, gdy tylko zniknęła. – A ten szantaż emocjonalny? Godny podziwu. Zwłaszcza motyw wypracowania. – Gestem kucharza przycisnął palce do ust i cmoknął z uznaniem. – Pierwsza klasa.

– Kto to jest Deenie? – spytał Levi, marszcząc czoło. – Zdawało mi się, że znam wszystkich w tym mieście.

– Deenie Mitchell? Różowe włosy. Dwadzieścia parę lat. Ta od przyjęć z królewną.

– Przepraszam, od czego? – wtrącił Connor.

– Od przyjęć z królewną – powtórzył Ben. – Małe dziewczynki przebierają się za królewny, a ona, też wystrojona jak królewna z bajki, wydaje dla nich popołudniową herbatkę. Całkiem niezły biznes. Parę lat temu klasa Astrid miała szajbę na tym punkcie, a Deenie od dawna jest właściwą osobą, jeśli chcesz urządzić porządną imprezę z królewną.

Connor wyglądał na lekko przerażonego.

– Bez obrazy, ale nigdy nie będę miał dzieci.

– Bez. Za to możesz sobie sprawić psa. Polecam Bażanta.

Mac podał Connorowi pustą butelkę i przyjął nową od Leviego, a to oznaczało, że faza śpiewu zbliża się nieubłaganie.

– Jak to możliwe, że znasz wszystkich w mieście, a my nie? Levi pilnuje porządku, ja ich karmię. Można by sądzić, że z każdym mamy styczność...

– Tak, ale to mnie wszyscy się na coś żalą. Zostań radnym, to zobaczysz. Poznasz absolutnie wszystkich, bo nikt nie przepuści okazji, żeby ci powiedzieć, co źle robisz. – Ben postanowił nie wspominać druhom o propozycji Delii. Nie był pewny, co byłoby gorsze: ich zaskoczenie czy poparcie dla jego kandydatury na burmistrza.

– Fajny miałeś pomysł z tymi psami na Święta – rzekł Connor, rzucając żeton na środek stołu.

– Którego adoptujecie z Astrid?

– Żadnego – odparł stanowczo. – Najpierw muszę wyremontować dom, sprzedać i znaleźć nowy, z porządnym ogrodem.

– Czyli zwabiłeś nas, żeby nam wcisnąć psy, a sam nie masz zamiaru adoptować żadnego?

– Po prostu uważam, że wam się przydadzą – bronił się Ben.

Connor uniósł brew.

– A wiesz, jak często podróżuję? Nie mogę mieć psa.

– Nie masz pojęcia, jak świat poszedł naprzód: można wynająć specjalnego opiekuna.

– Ha.

Ben wzruszył ramionami.

– To ty twierdziłeś, że w twoim domu jest za cicho. Nie byłoby super, gdyby ktoś szalał ze szczęścia za każdym razem, gdy wracasz z pracy?

– W przeciwieństwie do Moniki? – spytał przeciągle Connor, a Ben zrozumiał ponieważ, że niebezpiecznie zbliżył się do Tematu, Którego Nie Należy Poruszać. Eks Connora była jakby jego żeńską wersją: superambitna, z planem pięcioletnim i szufladą skarpetek posortowanych według kolorów. Od ślubu dzieliły ich dwa tygodnie, gdy Monica nagle obwieściła, że nie jest szczęśliwa, po czym wyjechała do Indii, żeby studiować jogę.

Wkrótce potem Connor spalił jej egzemplarz *Jedź, módl się, kochaj*.

Teraz zaś mieszkał sam w arcydziele współczesnej architektury o powierzchni użytkowej czterech tysięcy stóp kwadratowych. Kupił dom dla dwojga i drażniło go wszystko, co przypominało mu o panującej tam pustce.

– Pomyślałem tylko, że miło by ci było, gdybyś miał psa – sprecyzował Ben.

– Tak pomyślałeś? A może raczej liczyłeś, że zapunktujesz u urodziwej pani ze schroniska, jeśli znajdziesz domy dla jej psów?

– Tu nie chodzi o punktowanie, nie tak to działa. – Naprawdę nie myślał o tym w taki sposób. Owszem, lubił spędzać czas z Ally. Owszem, była słodka, ale jeśli nawet jego umysł odnotował te fakty, to zaraz potem zmagazynował je tam, gdzie składował wszystkie inne sprawy, na które brakowało mu mocy przerobowych.

– Nie? – drążył Connor. – Czyli nie miałbyś nic przeciwko, gdybym się z nią umówił?

– Raczej nie jest w twoim typie.

– A może potrzebny mi właśnie ktoś nie w moim typie?

Ben nie był pewny, czy Connor mówi serio, czy tylko próbuje wygrać dysputę. Tak czy owak, było to cholernie irytujące.

– Po prostu zostaw ją w spokoju.

– A dlaczego? – judził Connor. – Bo ją sobie zaklepałeś?

– Nie można sobie zaklepać osoby, to nie kawałek pizzy.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. O męski kodeks. Jeśli na nią lecisz, ja się wycofuję, ale jeśli nie, to nie ma powodu, dla którego nie miałbyś mi życzyć szczęścia z twoją nową *przyjaciółką*...

– A może zasługuje na kogoś lepszego niż ty?

– Może – zgodził się Connor. – Czyli na kogoś takiego jak ty?

– Ona wraca do Nowego Jorku – warknął wreszcie Ben.

– A ja ciągle tam bywam w interesach...

– Connor. – Głęboki głos Leviego nie znosił sprzeciwu.

Prawnik, zawsze skory do dyskusji, wreszcie zamknął usta.

– Tak tylko gadam...

– Wiecie co? – Mac znowu kołysał się na krześle, przekładając w palcach szybko kurczący się zapas żetonów. – Gdy wy wszyscy byliście zaręczeni, a ja nie, wyobrażałem sobie, że wyjedziecie i mnie tu zostawicie – i taki będzie koniec wieczorów pokerowych. A tymczasem... spojrzcie na nas: czterej single.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w niego w milczeniu.

Taki był Mac: potrafił zamknąć im usta.

A kiedy sam znowu je otworzył, rozległy się słowa: *Oh, What a Beautiful Mornin'* z musicalu *Oklahoma!*

Levi cisnął mu prosto w twarz elastyczny schładzacz do piwa.

– Nie śpiewamy przy stole!



Dwie godziny później to Ben uciszył Maca raz jeszcze, a potem zarzucił sobie na ramię rękę przyjaciela i dźwignął go w górę po piwnicznych schodach. Astrid wróciła za pięć dziewiąta, zachwycona nowo narodzonymi szczeniactkami, a teraz prawdopodobnie już smacznie spała dwa piętra nad nimi – bo przecież jutro szkoła. Sen mógł jednak długo nie potrwać, gdyby Mac rozśpiewał się na dobre.

– Tak się cieszę, że się spotkaliśmy – bełkotał, z trudem stawiając nogi na kolejnych stopniach.

– Kocham was, chłopaki. Wiecie? – Obrócił się w ramionach Bena, żeby spojrzeć w dół na Connora i Leviego, którzy zabezpieczali wspinaczkę, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy spaść ze schodów. – Kocham was, chłopaki – powtórzył głośniejszym głosem. Uciszyli go po raz kolejny, a wtedy pokiwał głową z miną mędrca i dorzucił teatralnym szeptem: – Kocham was, chłopaki!

– My ciebie też – zapewnił go Ben.

– Jak można się upić trzema piwami? – nie dowierzał Connor.

– Kiedyś sądziłem, że udaje – skomentował Levi, zamykając pochód. – Ale gdyby tak było, musiałyby nas oszukiwać od piętnastu lat, a jakoś nie podejrzewam go o taką wytrwałość.

– Powinieneś się umówić z babką od psów – wypalił nagle Mac. Zachwiał się, gdy Ben otworzył drzwi u szczytu schodów i spróbował go ku nim popchnąć. – Przecież widać, że ci się podoba. I nic w tym złego. Wystarczy, że jej powiesz: „Hej, psia babko, podobasz mi się”. Kto wie, może i ty wpadłeś jej w oko?

– Zapamiętam tę złotą radę – obiecał mu Ben.

Teraz, gdy byli już na parterze, miał nieco więcej miejsca na manewry. Connor chwycił Maca pod drugie ramię, przejmując na siebie połowę jego ciężaru.

– To nie jest zły pomysł – podchwycił. – Ale powinieneś rozważyć nazywanie jej po prostu Ally, a nie psią babką, Ben. Taka tam luźna refleksja.

– To nie ma znaczenia. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Aha – mruknął sceptycznie Connor.

– Lubię przyjaciół – zadeklarował Mac z pijacką szczerością.

– Czy tylko mnie przeszkadza, że on po czymś takim nawet nie będzie miał kaca? – spytał Connor. – Przecież to nie fair. Dlaczego on może się upić na wesoło bez żadnych przykrych konsekwencji nazajutrz? Gdzie w tym kosmiczna sprawiedliwość?

– Właśnie – odezwał się Levi. – To jedna z tych wielkich niesprawiedliwości wszechświata, przez które nie śpiam po nocach.

– Hej. Fair to fair.

– Rzeczywiście, powinniśmy się częściej spotykać – rzucił kpiąco Ben, ale naprawdę tak uważał.

Levi najwyraźniej wyczuł szczerą nutę, bo uśmiechnął się drwiąco, patrząc mu prosto w oczy.

– Fakt. Tęskniłem za wami, dupki żołądne!

– Łacina! – jęknął Connor z udawanym przejęciem. – Małe uszy mogą jeszcze nie spać.

– Nie myśl, że zapomnę, jak kiedyś próbowałaś nauczyć ją przeklinać – odparował Ben.

Connor wzruszył ramionami.

– Brytyjskie przekleństwa się nie liczą. Kto w tym kraju zrozumie *bloody bollocks*, cholerne pierdoły? – Connor uśmiechnął się od ucha do ucha, widząc gniewne spojrzenie Bena. – Zazdrościsz mi, że sam o tym nie pomyślałeś. A raczej zazdrościłbyś, gdybyś na chwilę trochę wyluzował. Masz kochanego dzieciaka, Ben.

– To prawda – przytaknął Levi. – A wiesz, że zawsze możesz do nas zadzwonić? Za każdym razem, gdy czegoś potrzebujesz.

– Jasne. Mogę.

Po prostu tego nie robił. Nie prosił o pomoc. A spojrzenie Leviego świadczyło o tym, że kumpel świetnie o tym wie.

– Idiota – mruknął łagodnie Levi, klepiąc go po przyjacielsku w ramię.

Wyszli w chłodne powietrze nocy.

Chwilę później Ben zamknął za nimi drzwi, słuchając *Memory* w wersji Maca. Gdy szedł do kuchni, żeby przepłukać przeznaczone do recyklingu butelki, zorientował się nagle, że wciąż się uśmiecha.

Naprawdę powinni spotykać się częściej. Gdy w końcu znalazł czas dla ludzi, którzy znali go najlepiej, przynajmniej przez moment znowu był sobą. Poczul też, że może jednak podoła tysiącowi wyzwań, które przed nim stały. Wiedział, że nie ma w tym sensu: stracił tego wieczoru trzy godziny, grając w pokera i gadając o niczym z przyjaciółmi. A mimo to czuł, że odzyskał trochę czasu. Odzyskał siebie.

Bardzo chciał powiedzieć o tym Ally.

Jego dłonie znieruchomiały na pustych butelkach. Czyżby jednak czuł do niej coś więcej niż tylko przyjacielską sympatię? Nie dopuszczał do siebie tej ewentualności, a jednocześnie nie mógł znieść myśli o tym, że Connor mógłby się umówić z Ally. Gdyby kumpel wybrał się na randkę z Elinor, Ben nie miałby absolutnie nic przeciwko temu. Elinor była przyjaciółką. Ally niiby też, ale...

Nie wiedział. Nie zdawał sobie sprawy, kim jeszcze była dla niego. Rozumiał jedynie, że nie może być dla niego tym kimś, a to dlatego, że zamierza wkrótce wyjechać. Wrócić do swego barwnego życia w Nowym Jorku. Wszystko, co działo się tutaj, było tymczasowe. Schronisko. Świąteczny sezon. A on nie mógł sobie pozwolić na tymczasowość. Nie mógł przez wzgląd na Astrid. Musiał być mądrzejszy i stawiać dziecko na pierwszym miejscu. Zawsze.

ROZDZIAŁ 21



Kto jest gotowy na świąteczną paradę? Mała Jo-jo? Czy moja najśłodsza, najcudniejsza jest gotowa zostać gwiazdą?

Ally, coraz wyżej unosząc brwi, przyglądała się przez chwilę w milczeniu, jak Deenie zawiązuje kokardki na kudłatych uszach suczki.

– Powinnas ją adoptować – odezwała się w końcu.

Deenie uniosła głowę i zaśmiała się.

– Wiem, ale naprawdę nie wolno mi trzymać zwierząt. Poza tym nie wiem, kiedy znowu dopadnie mnie apetyt na podróżowanie.

Otrzeźwiona myślą, iż Deenie nie zawsze będzie jej służyć wsparciem, Ally zajęła się Bażantem. Ostatnie półtora tygodnia było wręcz fantastyczne. Choć nie udało im się dotrzeć do ogólnokrajowego programu telewizyjnego i zareklamować w nim „Kosmatych Przyjaciół”, to dzięki aktywności Astrid, Bena, Deenie oraz dziadków i tak udało się nawiązać tyle kontaktów, że większa akcja medialna raczej nie była potrzebna.

Za parę godzin miały zapakować z Deenie kilka zwierzątek do pick-upa należącego do schroniska, świątecznie przystrojonego na paradę, ale teraz skupiały się na przyozdabianiu podopiecznych wstążkami i decydowaniu o tym, który dostanie czapkę Mikołaja, a który rogi renifera.

Te ostatnie były najnowszym pomysłem Bena. Wprawdzie do tej pory nie przyniósł prania, za to wpadł kilka razy z Astrid, żeby posiedzieć u Ally w biurze, podczas gdy mała bawiła się z psami. Bażant nadal chodził za nim krok w krok. Dziewczyna zaczynała podejrzewać, że i Ben nie jest tak niewrażliwy na urok koślawego buldoga, jak twierdzi.

– Ben będzie na paradzie?

– Co? – Ally drgnęła jak przyłapana na gorącym uczynku. Czyżby Deenie wyczytała coś z mojej twarzy? Skąd wiedziała, o kim myślę? – Nie wiem. No, ale chyba całe miasteczko się pojawi, prawda?

– Nie mówił ci?

– A dlaczego miałyby to zrobić?

Deenie uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Nie wiem. Po prostu zauważyłam, że spędzacie tu razem mnóstwo czasu. „W sprawach schroniska” oczywiście. – Ally nie miała pojęcia, co ma oznaczać ów nakreślony palcami w powietrzu cudzysłów, i zdecydowanie nie zamierzała pytać. – A w ostatni weekend, podczas festynu, chyba wyczułam jakąś wibrację.

– Wibrację? – Ally parsknęła śmiechem, trzymając kciuki za to, żeby w uszach Deenie nie zabrzmiał tak sztucznie jak w jej własnych. – Jaką znowu wibrację?

– No, wiesz. Coś w stylu „ty, ja, pod jemiolą – zrobmy to”. Taką wibrację.

– Deenie! Nic takiego nie zaszło. Jesteśmy przyjaciółmi. Ben to miły gość.

– Jasne...

– Co?

– Nic – odpowiedziała Deenie, ale zmieniła zdanie, widząc spojrzenie Ally. – W tych stronach mało kto uważa, że jest miły. Jest taki dla ciebie.

Ally nic z tego nie rozumiała. Jakim cudem ktoś miałby nie widzieć, jak porządnym facetem jest Ben? Jak bezgranicznie oddanym?

– A niby za kogo uważają go ludzie?

– No, wiesz. Mówią, że jest naburmuszony. Niecierpliwy. Szorstki. – Deenie na chwilę

przestała czesać Jo-Jo. – Oczywiście wszyscy wiedzą dlaczego. Człowiekowi trudno wydostać się spod gruzów, gdy świat mu się zawali. Ben jest lokalnym zrzędą.

– Zrzędą?

– Grinchem. Ponurakiem. Wszystko jedno... Wiem, za dużo czasu spędzam wśród pięciolatek i pewnie ma to wpływ na moje słownictwo, ale przecież wiesz, co mam na myśli. Ale twierdzą też, że choć Ben nie słynie z pogody ducha, przy tobie jest inny. Szczęśliwy. I dlatego się zastanawiam, czy coś się dzieje między wami.

– Nie. Absolutnie. To czysto platoniczna przyjaźń. – Ally czuła, że jeśli tylko będzie to powtarzać dostatecznie często, sama w to uwierzy.

– A szkoda.

– Deenie! Przecież on jest zajęty.

Zdziwiona Deenie zamrugła i wreszcie oderwała wzrok od psich kokardek.

– Naprawdę?

Ally spojrzała na nią zdumiona.

– Elinor. Narzeczona. Nic ci to nie mówi?

– Elinor Rodriguez? Ta Elinor?

– Ta.

Deenie rozdziawiła usta.

– Naprawdę sądzisz, że jest narzeczoną Bena Westa?!

– Tak... – Zdumienie Deenie sprawiło, że Ally już nie była tego taka pewna. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy aby na pewno dobrze odczytała sytuację. Babcia wspominała o narzeczonej Bena. Astrid nazywała Elinor ciocią, a Ben był przy niej taki swobodny...

Deenie wybuchnęła śmiechem.

– Pierwsze słyszę!

Zabrzęczały dzwonki nad drzwiami stodoły i zjawiała się Elinor, jakby wyczarowały ją mocą tej rozmowy albo, bardziej realistycznie, jakby już dawno zapowiedziała, że przyjedzie w piątek po południu, gdy skończy zajęcia w szkole, żeby poznać bliżej psy i zdecydować, który będzie dla niej najlepszy.

Ally zerwała się na równe nogi.

– Elinor!

Bibliotekarka uśmiechnęła się, jak zwykle nieco zdziwiona jej nadmiernym entuzjazmem.

– Hej – odpowiedziała i spojrzała na psy poddawane zabiegom upiększającym. – Przyszłam nie w porę?

– Nie. Ależ skąd. Chcesz się rozejrzeć? Przekonać się, który z naszych zwierzaków wpadnie ci w oko?

– W sumie to wiele wyjaśnia – odezwała się Deenie konwersacyjnym tonem. Ally natychmiast posłała jej spojrzenie mówiące „zachowajmy tę rozmowę dla siebie”, ale najwyraźniej zabrakło jej telepatycznych zdolności, bo dziewczyna kontynuowała w najlepsze: – Zastanawiałam się, dlaczego tak świrujesz w obecności Elinor. Myślałam nawet, że może to na nią ostrzysz sobie zęby, ale skoro po prostu sądziłaś, że ona jest z Benem, to wszystko nabiera sensu.

– Z Benem? – powtórzyła Elinor, odrywając wzrok od jednej z psich klatek. – Z Benem Westem?

Jej zdumienie było ostatnim gwoździem do trumny dotychczasowych wyobrażeń Ally.

– Nie jesteś z nim zaręczona?

– Ja z Benem? Na Boga, nie! Owszem, jest uroczy...

– Ally wie – odpowiedziała uczynnie Deenie. – Czuje do niego miętę.

– To prawda?

Spojrzenie Elinor było skupione jak wiązka laserowa. Ally zaś marzyła w tym momencie, by pochłonęła ją litościwa ziemia.

– Nie, skąd...

Ale Elinor jakby jej nie słyszała. Domyślny uśmiech wykwitł niespiesznie na jej twarzy.

– Tak, to rzeczywiście wiele wyjaśnia. Na przykład to maniackalne spojrzenie, którym mnie mierzysz, ilekroć rozmawiamy. Prawdę mówiąc, sądziłam, że rozpaczliwie szukasz przyjaciółki. I to było nawet słodkie. Niepokojące, ale słodkie.

– O Boże! – jęknęła Ally, ukrywając twarz w dłoniach. – Przepraszam. Tak bardzo się starałam zachowywać normalnie.

– W tym cały problem – wtrąciła znowu Deenie. – Normalność jest najgorsza.

– I naprawdę sądziłaś, że jestem z Benem? – spytała Elinor.

Ally czuła, że płoną jej policzki, i była pewna, że mienia się już siedmioma odcieniami szkarłatu.

– Babcia wspomniała o narzeczonej Bena, Astrid nazywa cię ciocią i jeszcze ta swoboda, z jaką rozmawiacie...

Elinor rozumiała już wszystko. Zaśmiała się cicho.

– Astrid nazywa mnie ciocią, bo jej mama, Katie, była moją najlepszą przyjaciółką. Dorastałam z Benem, a potem, w ogólniaku, popełniłam błąd, umawiając się z jednym z jego najbliższych kumpli, więc siłą rzeczy widywaliśmy się częściej. Prawdą jest, że Ben był zaręczony, ale to przeszłość. Gdy tylko odebrał papiery potwierdzające, że został prawnym opiekunem Astrid, Isabelle odeszła. Od tamtej pory nawet nikogo nie szukał. Ostatnio jednak spędza mnóstwo czasu tu, w schronisku.

– Pomaga przy psach.

Elinor pokiwała głową.

– Aha.

– To naprawdę nie tak – zapewniła ją Ally.

I tylko cichy głos w jej głowie wyszeptał: Czyżby?

Sądziła, że Ben jest zajęty. Była absolutnie pewna. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby się nią zainteresować. Teraz jednak, gdy odtwarzała w pamięci wydarzenia ostatnich dwóch tygodni, zastanawiała się, czy aby nie myliła się nie tylko co do tego, czy Ben pozostaje w związku, ale i w innych kwestiach.

Czy nie próbował z nią flirtować? Tamtego wieczoru, gdy upiekli brownie i odprowadził ją do domu, gdy tak łagodnie prosił śnieg – miała wtedy wrażenie, że znalazła się w szklanej kuli śniegowej ze świąteczną scenką – czy to była randka? Czy Ben chciał ją wtedy pocałować?

Czyżby to była randka, którą zwyczajnie *przegapiła*?

– Oho, zdaje się, że ktoś ci zdjął klapki z oczu. – Deenie uśmiechnęła się z satysfakcją. – I jak teraz wygląda ten wasz platoniczny związek?

Ally pokręciła głową, wciąż skłonna wypierać pewne rzeczy.

– On nic nie zrobił. Nie trzymał mnie za rękę, nie pocałował, nie wykonał żadnego kroku.

Nawet jeśli lubiła go bardziej niż trochę, to przecież nie musiało oznaczać, że on odwzajemnia to uczucie.

– I nic dziwnego. Nie przy Astrid – stwierdziła Elinor. – Nie wiem, czy był na choćby jednej randce, odkąd wziął ją w opiekę.

– Od dwóch lat? – spytała z niedowierzaniem Deenie. – Biedny Ben. Każdy by zrzędził, gdyby nosił w torbie sine piłeczki...

Ally parsknęła śmiechem. Sprośny komentarz zupełnie nie pasował do pogodnej królowny wiecznie obsypanej brokatem. W sąsiedniej klatce Harry wyraźnie się ożywiła. Podbiegła do siatki i usiadła, szurając kudłatym ogonem po podłodze, wpatrzona w Deenie.

– Nie o takich piłeczkach mówię. – Ulubione słowo znowu zadziało: suczka z jeszcze większym zapalem merdała ogonem, paląc się do zabawy. – Nie mam piłeczki, Harry. Przykro mi, skarbie.

– On rozumie, co to piłeczka? – Elinor zmierzyła baczny spojrzeniem dorodną australijkę, która wciąż nadstawiała uszu, jakby wierzyła, że ktoś się jednak z nią pobawi.

– Ona. Harry to zdrobnienie od Harriet. I owszem, rozumie wiele słów. A jeśli tylko jej

pozwolesz, będzie się z tobą bawiła w rzuć i podaj tak długo, aż odpadną ci ręce.

Elinor zmarszczyła brwi, przyglądając się zasuwce z kłódką na drzwiach klatki.

– A to po co?

Ally uśmiechnęła się krzywo.

– Harry to także na cześć Houdiniego. Ona potrafi otwierać drzwi. Lubi poznawać świat.

Elinor zachichotała.

– To może powinnyśmy cię nazywać Dora, co, malutka?

– Widzisz? Nie tylko ja za dużo czasu spędzam wśród dzieci – powiedziała Deenie.

Harry patrzyła na Elinor, przekrzywiwszy łeb.

– Jeśli ją zaadoptujesz, dasz jej takie imię, jakie zechcesz. Nauczyła nas jednego: że gdy już da nogę, lepiej zwabić ją z powrotem, niż ścigać. Gdy będziesz próbowała ją złapać, uzna, że to zabawa w berka, więc nawet gdy zapędzisz ją do rogu, prędzej przeskoczy przez przeszkodę, której teoretycznie nie da się przeskoczyć, niż pozwoli się schwytać, i wszystko zacznie się od nowa. Wystarczy jednak, że pokażesz jej kawałek sera i zawołasz, a przybiegnie, grzeczna jak aniołek.

– Ładna jest – zauważyła Elinor.

Harry wdzięczyła się do niej z takim zapałem, jakby rozumiała, że trafiła na uważną i życzliwą publiczność. A może naprawdę rozumiała? W końcu była bardzo bystra.

– Chciałabyś się z nią pobawić? Ma największy wybieg, ale i tak parę razy dziennie wypuszczamy ją do zagrody. Jeśli tego nie zrobimy, zaczyna chodzić po ścianach. – Dosłownie, dodała w myślach Ally. Nigdy wcześniej nie widziała psa, który próbowałby wspinać się po drucianej siatce. Harry posiadała wiele nietypowych talentów. – Pomogłabyś nam.

Elinor posłała jej uśmiech, bo doskonale wyczuwała grubymi niemi szyty podstęp, ale i tak skinęła głową.

– Jasne, chętnie pomogę.

Zostawiwszy na zewnątrz Elinor i Harry z ulubioną piszczącą piłeczką, Ally wróciła do stodoły.

– Myślę, że mamy tu dobraną parę – szepnęła, podnosząc małego Fistacha, żeby go pogłaskać.

– Ben przewidział, że Harry będzie w sam raz dla Elinor.

– Naprawdę? – spytała Deenie dwuznacznym tonem. – Czyli spędzałaś z Benem całkiem sporo czasu i...

– Jesteśmy przyjaciółmi – stwierdziła z naciskiem Ally. – On nie widzi we mnie nikogo innego.

– Co nie znaczy, że nie zobaczyłby, gdyby go tak naprowadzić na właściwy trop – zauważyła Deenie. – Faceci bywają durni i czasem trzeba im podstawić coś pod nos, żeby zrozumieli, że to dla nich dobre, nawet gdy wszyscy dookoła od zawsze o tym wiedzieli. Spójrz choćby na Maximusa.

Ally zachichotała.

– Czyżbyś właśnie porównała Bena do Maximusa?

– Urocze z niego psisko, ma wielkie serce i strasznie chciałby wszystkich zadowolić. Sęk w tym, że nigdy nie kapuje, czego od niego chcemy, póki mu tego prawie nie wepchniemy w ten wielki, gamoniowaty pysk. Podobieństwo do Bena jest uderzające. – Deenie przekrzywiła głowę. – I prawdę mówiąc, do niemal wszystkich facetów, z którymi się umawiałam. – Na krótką chwilę zmarszczyła czoło, a potem się rozpromieniła. – Choć może będzie lepiej, jeśli w kwestii związków nie będziesz słuchała moich rad. Jestem beznadziejna.

Powiedziała to równie beztróskim tonem jak zawsze – bez cienia negatywnych emocji. Ally jednak zaczynała rozumieć, że to mechanizm obronny: Deenie używała go po to, żeby nikt nie zagłębiał się zbyt w jej sprawy. Sama zresztą miała podobne doświadczenie.

– Pewnie niełatwo znaleźć kogoś na dłużej, gdy się ciągle podróżuje.

– To prawda – przyznała z uśmiechem Deenie. – Na szczęście nie szukam nikogo na dłużej – wyjaśniła, unosząc w dłoni dwie wstążki. – Jak myślisz, która będzie lepsza dla Traperera? Czerwona czy zielona?

Ally uznała w pierwszej chwili, że powinna drążyć temat, nie pozwolić na jego zmianę, ale zaraz dotarło do niej, że Deenie będzie uparcie bronić swoich sekretów. Innym razem, pomyślała.

Miała nadzieję, że zdarzy się inny raz. Coraz bardziej podobało jej się życie w Pine Hollow, które pomału zaczynała budować: z Deenie, z Astrid, z Benem...

Wciąż wracała do niego myślami. Nie był zaręczony, ale może sądził, że to ona chce w nim mieć tylko przyjaciela? Czy to dlatego owe chwile, w których jakby iskrzyło między nimi, tak szybko mijały? Dlatego że wysyłała mu sygnał „stop”? Czy tylko o to chodziło?

Był świetnym facetem. Kochał Astrid najmocniej na świecie. Robił co w jego mocy dla tego miasta, choć wszyscy mieli go za Grincha. Tęsknił za siostrą tak bardzo, że nie był gotowy odnowić własnej kuchni. Ale ponad wszystko liczyło się to, że miał dobre serce. Czemuś takiemu trudno się oprzeć.

A skoro nie był w związku...

– Ally?

– Zielona – odpowiedziała prędko, znowu rumieniąc się od własnych myśli. – Zdecydowanie zielona.

Pewnie zobaczą się na paradzie. Już wkrótce wszystko stanie się jasne.

ROZDZIAŁ 22



Ben wiedział, że plotki mkną uliczkami Pine Hollow prędej niż sanie Świętego Mikołaja w wigilijny wieczór. Wiedział też, jak niewiele potrzeba, by urosły nieproporcjonalnie do wielkości miasteczka. Nie przywykł jednak do tego, żeby plotkowano o nim.

W ciągu ostatniego tygodnia mówiono na przykład o tym, że nie tylko wraz z Astrid pomagał w schronisku dla psów, a następnie przyszedł z Ally na uroczyste włączenie iluminacji, ale także o tym, że przyniosła mu kawę do pracy i pomagała w pieczeniu ciast, które zrobiły furorę na świątecznym festynie. Niektórym najwyraźniej wydawało się to równoznaczne z ogłoszeniem zaręczyn. Miasteczko oszalało.

Ben przyzwyczał się już do tego, że sąsiedzi zatrzymują go na ulicy, żeby poskarżyć się na przeróżne pomysły rady miejskiej, ale teraz doszło coś nowego: zatrzymywali go, żeby zapytać o jego uczucia. Uśmiechali się, mrugali porozumiewawczo, przyjaźnie klepali po ramieniu – a on pomalutku dostawał szału. Po trzecim „Słyszałam, że spędzasz sporo czasu z wnuczką Hala i Rity” oraz czwartym „Widziałeś się już dziś z Ally?” gotów był warknąć na kolejną osobę, która choćby spróbuje domyślnie się uśmiechnąć. I w takim właśnie nastroju prowadził Astrid do szkoły, gdzie przygotowywano już platformy do świątecznej parady ulicami miasta.

Na szczęście wydawało się, że Astrid niczego nie zauważyła. Dzięki Bogu.

Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował, było to, żeby znowu ktoś zobaczył go z Ally i podsycił falę plotek. Niestety Astrid i Kimber zapragnęły pojechać nie na szkolnej platformie, ale wraz z „Kosmatymi Przyjaciółmi”. Ben spodziewał się więc, że nawet jeśli tylko odstawi je na miejsce, znowu zostanie zauważony z Ally.

Dziewczynki pomagały dekorować toną świątecznych ozdób starego pick-upa ze schroniska, a teraz Astrid aż pisnęła z radości, gdy zobaczyła go w kolumnie pojazdów.

– Jaki piękny!

Kimber już tam była, więc Astrid popędziła przywitać się z przyjaciółką i psami.

– Odbiorę cię stąd po wszystkim – zawołał za nią Ben, gotów umknąć czym prędzej, zanim zjawi się Ally.

– Nie pojedziesz z nami?

Za późno.

Ben odwrócił się do dziewczyny i w tej samej chwili pięćdziesięciofuntowy buldog zwałił się na jego stopy, napierając ciałem na golenie.

– Cześć, Bażant.

Uśmiechnięta Ally stała kilka stóp od niego, a jego umysł działał na wysokich obrotach, pracując w trybie „walka albo ucieczka”. Dlaczego ona stoi tak blisko? Dlaczego tak się szczyrzy? Czy to dlatego całe miasto uważa, że jesteście parą? Czy te jej uśmiechy mają jakiś podtekst? A może i ona sądzi, że jesteście razem? Ślicznie wyglądała w purpurowym płaszczu i białym szaliku – tak samo jak w chwili, gdy się poznali, oraz tego wieczoru, gdy w śniegu odprowadzał ją do domu – ale przecież to, że pamięta, co miała na sobie w poszczególne dni, nie oznaczało jeszcze, że coś do niej czuje! Nie miał miejsca w życiu na nowe uczucie, bez względu na to, co się roilo w głowach jego kumpli od pokera i połowy obywateli tego cholernego miasteczka.

– Ben?

– Nie – odpowiedział prędko, żeby nadrobić opóźnienie. – Pomyślałem, że na waszej platformie będzie ciasno: to tylko pick-up, a muszą się tam zmieścić i twoi dziadkowie, i ty, i dziewczęta, i psy...

– Dziadek będzie prowadził, więc na platformie pojedzie tylko Bunia, a my będziemy szły

obok, prowadząc psy, żeby ludzie mogli się im przyjrzeć z bliska. A kiedy psy – albo dziewczęta – się zmęczą, będą mogły odpocząć chwilę na platformie, pod okiem babci. Jak widzisz, miejsca nie zabraknie, jeśli nie masz nic przeciwko bardzo wolnemu spacerowi przez miasto.

– Nie, nie. Powiedziałem już Leviemu, że popatrzymy razem na paradę.

Skłamał, ale dziewczyna się uśmiechnęła.

– No cóż, może następnym razem. Dziadkowie postanowili, że jeśli tylko uda się jakoś sfinansować dalszą działalność schroniska, co roku będziemy brali udział w paradzie.

Ben zmarszczył brwi. Sądził, że Ally jest już na wylocie. Owszem, znalezienie nowych domów dla wszystkich psów mogło jeszcze trochę potrwać, ale nie spodziewał się, że właściciele mogą spróbować podtrzymać działalność schroniska.

– Szukacie nowych sponsorów?

– Gdzie tylko się da. Mamy stronę na GoFundMe i z dziadkiem każdą chwilę poświęcamy na wypełnianie wniosków o granty. Nie dam się pokonać bez walki.

– A ja myślałem, że marzysz już o powrocie do swojego życia.

Tym razem to ona zmarszczyła brwi, ale zanim odpowiedziała, przerwał im krzyk Deenie:

– Ally! Mamy problem!

Ally skrzywiła się.

– Służba nie druźba. Zobaczymy się po paradzie... chyba że zmieniłeś zdanie?

– Hm, ja i Levi... No, wiesz.

– Jasne. Bawcie się dobrze! I pomachajcie nam! Bażant, za mną!

I pobiegła, holując za sobą buldoga, żeby stawić czoło kolejnej małej katastrofie, która dotknęła platformę „Kosmatych Przyjaciół”.

Teraz Ben musiał już tylko odnaleźć Leviego i przekonać go do wspólnego oglądania parady.

Dziwnie się czuł, odchodząc. Pewnie tylko dlatego, że Astrid tam została. On przecież tam nie przynależał. Pomagał wyłącznie z poczucia winy, bo przecież nie dlatego, że spotkanie z Ally było najlepszą chwilą każdego dnia.

Co roku będziemy brali udział...

Czyżby naprawdę zamierzała tu zostać?

W ogóle nie brał pod uwagę takiego scenariusza. Prawdę mówiąc, chyba tylko dlatego tak łatwo przyszły mu zwierzenia, jak niedoskonałym rodzicem jest dla Astrid. Ally była tu tylko chwilowo, a jego lęki i tajemnice miała zabrać ze sobą do wielkiego miasta. Gdyby jednak została...

Na Boga, plotki byłyby nie do zniesienia. Wszyscy byliby przekonani, że została tu dla niego, i oczekivaliby ślubu jeszcze przed walentynkami. Tylko tego mu brakowało.

Był w połowie drogi na rynek, gdzie wyznaczono półmetek parady, gdy przypomniał sobie, że ma poszukać Leviego.

– Ben! – Delia pomachała mu z daleka, więc odpowiedział tym samym gestem, a po chwili wspiął się na niską trybunę, na której pani burmistrz siedziała ze swą żoną oraz kilkoma radnymi i ich rodzinami.

Powitał wszystkich szybką serią „Wesołych Świąt!”, nim stanął przed Delią.

– Widziałaś może Leviego? – spytał, gdy wymienili pozdrowienia. – Mieliśmy razem oglądać paradę. – Nawet jeśli Levi jeszcze o tym nie wie, dodał w myślach.

Delia zmarszczyła brwi.

– Leviego Jacksona? A to nie on prowadzi w tym roku wóz Świętego Mikołaja?

– Racja. – Niech to szlag! – Widocznie się nie zrozumieliśmy.

– Oglądaj stąd – zaproponowała, wskazując mu wolne miejsce na ławce. – Chciałabym z tobą pogadać, a impreza właśnie się zaczyna. Poczekaj chwilę, niech w końcu mam to za sobą.

To rzekłszy, weszła na szczyt trybuny, gdzie czekało na nią podium z mikrofonem. W krótkiej przemowie powitała wszystkich zgromadzonych na pięćdziesiątej trzeciej dorocznej paradzie bożonarodzeniowej w Pine Hollow, a potem donośnym głosem obwieściła jej rozpoczęcie. Odpowiedziały jej gromkie wiwaty, po czym orkiestra z ogólniaka ruszyła marszowym krokiem, grając

dość swobodną interpretację *It's Beginning to Look a Lot Like Christmas*.

Wszyscy wiedzieli, że parada bożonarodzeniowa w Pine Hollow to nie to samo, co parada Macy's z okazji Święta Dziękczynienia. Brakowało balonów, a i wolno sunące platformy były wybitnie niskobudżetowe, lecz mimo to doping ze strony publiczności był ogłuszający. Tegoroczna nastoletnia miss Syropu Klonowego jechała tuż za orkiestrą, siedząc na oparciu tylnej kanapy lśniącego czerwonego kabrioletu. Tuż za nim sunęła platforma miejscowego dentystry, który – dość niedorzecznie zdaniem Bena – rzucał w stronę widzów choinkowe cukierki. Ben poczuł nagle potrzebę, żeby napisać o tym do Ally, i zaraz skarcił się w duchu za ten impuls.

Nic dziwnego, że połowa miasta uważa nas za parę, pomyślał.

Zaraz po dentyście zjawiała się platforma osiedla emerytów – bodaj jedynych uczestników parady, którym niespecjalnie przeszkadzał ryk silników maszyn należących do miejscowego Klubu Harleya, jadących tuż za nimi. Potem kolejno zaprezentowały się: baza narciarska, druga królowa piękności oraz orkiestra szkoły podstawowej dzielnie walcząca z instrumentalną wersją hitu *Santa Claus Is Comin' to Town*.

I wreszcie nadjechała platforma „Kosmatych Przyjaciół”.

Stary zielony pick-up bodaj nigdy nie wyglądał lepiej, przybrany girlandami i wielkim transparentem reklamującym schronisko. Hal siedział za kierownicą w czapce Mikołaja i machał widzom przez otwarte okno. Rita zajęła miejsce na otwartej pace niczym jedna z królowych piękności i rozpromieniona pomagała Fistachowi, żeby i chihuahua mógł pozdrawiać łapką rozbawioną publiczność.

Na ciasnej platformie starczyło też miejsca dla kilku innych psów. Był wśród nich Bażant, który najwyraźniej wyczerpał dzienny zapas sił, zanim dotarli na rynek, jednak kilku jego pobratymców dzielnie maszerowało obok wozu wraz z Astrid, Ally, Deenie i Kimber. Dziewczęta pękały z dumy. Deenie, z elfimi uszami i podwójną warstwą brokatu, puszyła się do tłumu z zawodową wprawą, ale to Ally przykuwała wzrok Bena.

Uśmiechała się nieśmiało i machała ku rzędom nieznanym twarzy – ot, miastowa dziewczyna zażenowana, że jest w centrum uwagi, ale i zadowolona, że bierze udział w czymś pięknym. Spoglądając na nią, nie mógł nie myśleć o sprzecznościach, które w niej dostrzegał. Chciała przynależeć do tej społeczności, ale widać było, jak bardzo się denerwuje za każdym razem, gdy otacza ich tłum. Mówiła mu, że jest zbyt surowy dla siebie, a sama nigdy nie odpuszczała – niestrudzenie pomagała dziadkom, schronisku, nawet jemu, własne potrzeby stawiając na ostatnim miejscu. Potrzebowała kogoś, kto by jej powiedział, że powinna zwolnić. Potrzebowała...

– Czyli... ty i dziewczyna od psiaków, tak?

Ben gwałtownie odwrócił głowę. Delia przyglądała mu się z domyślnym uśmiechem.

– No proszę cię, ty też? To miasto chyba oszalało. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Aha – mruknęła pani burmistrz, nie przestając się uśmiechać. Pochyliła się nieco, żeby lepiej widzieć platformę „Kosmatych Przyjaciół” znikającą za zakrętem. – Wydaje się miła. I dobrze sobie radzi z Astrid.

– To prawda. A poza tym wraca do Nowego Jorku. – Od rozstania z Isabelle Ben z nikim się nie spotykał i teraz też nie zamierzał myśleć o tych sprawach. A już zwłaszcza nie chciał zbytnio zbliżyć się do kogoś, kto ma wkrótce wyjechać. Bez względu na to, co sądziło o tym całe miasto.

– A to szkoda. Bylibyście uroczą parą. Davis słyszał, że Ally jest ponoć świetną fotografką. Pomyślał, że może zechciałaby zrobić parę zdjęć promujących miasto.

Oboje zaczęli klaskać, gdy nadjechała platforma reprezentująca piekarnię.

Jak zawsze była jedną z największych w całej parady, a to za sprawą nieustającej wojny podjazdowej między Makiem a Magdą. Konflikt rozlał się już na wszystkie sfery miejskiej egzystencji; należało oczekiwać, że platforma lokalu Cup będzie równie imponująca.

– Zastanawiałeś się nad kandydowaniem na burmistrza? – spytała Delia zwodniczo beztróskim tonem. – Wybory dopiero w marcu, ale do końca roku trzeba dostarczyć wszystkie papiery...

Ben jęknął. Teraz już wiedział, dlaczego chciała, żeby się do niej przysiadł.

– Delio, nie zamierzam być burmistrzem. Niepotrzebny mi kolejny ból głowy, a zresztą i tak nikt by na mnie nie głosował. Jestem najbardziej znieawidzonym członkiem rady.

Odwróciła się ku niemu, nagle zapomniawszy o paradzie.

– Dlaczego, u licha, wygadujesz takie rzeczy?

Ben uniósł brwi, zaskoczony jej zdziwieniem.

– To ja wysłuchuję w kolejce w Cup wrzasków, że niby nie chcemy zwiększyć budżetu na świąteczną iluminację. To ja jestem w ratuszu specem od komputerów, więc doskonale wiem, kto z rady dostaje najwięcej mailowych skarg. Ani ty, ani inni radni, tylko ja.

– Co oznacza, że zdaniem ludzi jesteś skłonny ich wysłuchać. I tak jest naprawdę. Połowa członków rady nigdy nie zmienia zdania w żadnej sprawie, więc po co ktoś miałby ich nękać w kolejce albo zasypywać długimi, przemyślanymi wiadomościami, których i tak by nie przeczytali? A ty przeczytasz. Tobie zależy.

– I jestem miejscowym Grinchem.

Delia parsknęła śmiechem.

– Ben, jeśli ty jesteś Grinchem, to z trzykrotnie powiększonym sercem. Z pozoru możesz sobie być takim zrzędą, jakim tylko zapragniesz, ale wszyscy wiedzą, że w głębi serca jesteś poczciwy. I zaświadczy o tym każdy, kto choć raz widział cię z Astrid.

Owszem, brzmiało to miło, ale nie wierzył w ani jedno słowo.

– Możesz mi schlebiać, ile chcesz, Delio, ale i tak nie będę kandydował.

– To nie pochlebstwa, ale jeśli naprawdę nie chcesz spróbować, to odpuszczę. Chociaż uważam, że byłbyś najlepszy.

Ben spojrzał na nią z ukosa.

– Akurat odpuścisz.

Wyszczerzyła zęby w beczelnym uśmiechu.

– No, pewnie nie. Ale chwilowo dam ci spokój, tylko jeszcze jedno na koniec: pomyśl, że jeśli sam nie spróbujesz, ktoś inny to zrobi, i jak bardzo będziesz się wkurzał, obserwując jego błędy przez całą czteroletnią kadencję?

Ben pokręcił głową.

– Jesteś diabłem wcielonym.

– Jestem skuteczna.

– Powinniśmy przegłosować zniesienie limitu kadencji, zostałabyś na stanowisku.

– Nic z tego. Margaret już się nastawiła, że częściej będę bywać w domu. A ja już drugi rok obiecuję jej wycieczkę do Europy. Pora przekazać pałeczkę komuś innemu. – Delia szturchnęła go lekko łokciem. – No, zastanów się jeszcze. Byłbyś dobrym burmistrzem.

– Już wolę być miejscowym Grinchem.

Roześmiała się i oboje skupili się znowu na paradzie, ale czuł, że Delia osiągnęła swój cel: sprawiła, że rozważał argumenty za i przeciw. Trafiła mi się makiaweliczna szefowa, pomyślał. Ale może nie myliła się w stu procentach... nie tylko w sprawie wyborów nowego burmistrza.

ROZDZIAŁ 23



Gdy parada dobiegła końca, Ally miała obolałe stopy, natomiast wciąż nie miała bladego pojęcia, czy Ben uważa, że są parą. Choć oczywiście nie myślała o tym obsesyjnie przez całą imprezę. No, może trochę.

Całkiem niezłe szło jej niemyślenie o Benie aż do chwili, kiedy Astrid podeszła do niej i zapytała prosto z mostu:

– Ally, czy ty i wujek Ben jesteście parą?

Jako że maszerowały w tym momencie obok platformy „Kosmatych Przyjaciół”, Ally omal nie potknęła się o własne nogi. Wybąkała odruchowo, że są po prostu przyjaciółmi. Miała nadzieję, że zabrzmiało to wiarygodnie, bo nawet jeśli coś się zaczynało rodzić między nią a Benem, to z pewnością nie była to odpowiednia chwila, żeby rozmawiać o tym z Astrid. Zwłaszcza że jeszcze nie rozmawiała o tym z nim.

Tak czy owak, niewinne pytanie Astrid nie pomogło w realizowaniu taktyki „byle nie myśleć o sprawie”, podobnie jak sugestia, że gdyby zechcieli być parą, to ona nie miałyby nic przeciwko temu. Całe szczęście, że po chwili psy bez reszty zaprzętnęły uwagę dziewczynki.

Maszerując w radosnym pochodzie, Ally wciąż czuła się nieswojo, otoczona ludźmi, którzy zapewne zachodzili w głowę, kim ona, u licha, jest i co tu robi. Postanowiła jednak, że skupi uwagę na Astrid, Kimber i na psach; być może dzięki temu ani się obejrzała i już było po paradzie.

Na końcu trasy panował kompletny chaos – głównie dlatego, że młodzi muzycy z instrumentami rozchodzili się każdy w swoją stronę – więc Ally wysłała wiadomość do Bena i rodziców Kimber, że przyprowadzi dziewczynki z powrotem na rynek i spotkają się w altanie.

Astrid i Kimber szły dwa kroki przed nią, przez całą drogę szepcząc o czymś w podnieceniu. Na rynku wciąż było tłoczno, ale przynajmniej nie za sprawą nastolatków biegających z wielkimi instrumentami dętymi. Nie mając Bena w zasięgu wzroku, Ally śladem dziewcząt weszła po schodkach pod dach altany.

– Tutaj, Ally – ponagliła ją Astrid. – Stąd najlepiej widać.

Dziewczyna dołączyła do dzieci przy balustradzie okalającej drewnianą budowlę. Wyteęzała wzrok, ale nadal nie widziała Bena.

– Tam są moi rodzice! – Kimber pomachała ręką, ale nie ruszyła na spotkanie z mamą i tatą, którzy tylko skinęli jej na powitanie, zajęci rozmową z jakąś parą, której Ally nie знаła.

– No i gdzie jest wujek Ben? – spytała Astrid, podskakując niecierpliwie, jakby nagle zaczęło jej zależeć na powrocie do domu.

– Na pewno zaraz przyjdzie – uspokoiła ją Kimber.

Ally była trochę zdziwiona tą wymianą zdań. I wreszcie wypatrzyła Bena, który niemal biegł przez plac, zygzakując w tłumie współmieszkańców.

– Przepraszam. Byłem w połowie drogi do restauracji, gdy dostałem twoją wiadomość – wyjaśnił, wspinając się po stopniach.

– To ja przepraszam. – Ally wyszła mu naprzeciw, lecz Kimber niespodziewanie zastąpiła jej drogę. – Pomyślałam, że łatwiej nam będzie spotkać się tutaj.

– Nie ma sprawy, dobrze zrobiłaś. – Był nieco zdyszany, ale uśmiechał się, kładąc dłoń na ramieniu siostrzenicy. – Zapomniałem, jaki cyrk panuje na mecie parady. Jesteś gotowa, Astrid?

– A mogłabym zostać na noc u Kimber?

Ben uniósł brwi.

– A wpadłyście na to, żeby zapytać jej rodziców?

– Zaraz spytamy. – Astrid podniosła rękę, widząc, że Ben odwraca się ku schodom. – Ale ty zostań, wujku. Zaraz wrócimy.

Ben spojrział na nią podejrzliwie, ale przystanął, a dziewczynki pobiegły. Ally oparła się plecami o balustradę.

– Świetnie się spisały podczas parady.

– Cieszę się, że nie sprawiły ci kłopotu.

– To aniołki. Ale chyba powinnam cię ostrzec, że Astrid chciałaby przychodzić do schroniska codziennie, aż do końca ferii świątecznych. O ile wiem, Bunia zaprosiła ją też na jutro, pomoże nam podczas psiego pikniku w Summerland.

– To już jutro?

– O drugiej.

– W takim razie przyjdziemy. Oczywiście jeśli nie będziemy przeszkadzać...

– Jasne, że nie. Jesteśmy wdzięczni za każdą pomoc. – Ally postarała się, żeby jej uśmiech nie wypadł nazbyt entuzjastycznie. – A jak tam miejskie sprawy? Wyglądało na to, że toczyłeś z panią burmistrz poważną rozmowę.

Ben skrzywił się z niechęcią.

– Delia chce, żebym kandydował na burmistrza. Bzdura. Nie mam pojęcia, dlaczego wybrała akurat mnie. Nie mogę być burmistrzem.

Ally przekrzywiła głowę.

– A to dlaczego?

– Nie jestem... bo ja wiem? Nie jestem materiałem na burmistrza. Ja nie... – Wzruszył ramionami i skrzyżował ręce na piersi w pozie naburmuszonego chłopca. – Ale Delia sądzi, że jestem świetnym kandydatem. Jakbym był Bobem Cratchitem, a nie Ebenezerem Scrooge'em.

– Ben... – Zdziwiona Ally pokręciła głową. Dlaczego był taki wrażliwy na porównania do Scrooge'a? Czyżby się bał, że jest w nich trochę prawdy? Rzeczywiście nie uważał się za dobrego człowieka? – Ilu macie radnych?

– Sześciu. I burmistrza.

– A ilu z nich pomaga mi w schronisku? Ilu uzupełnia miejski biuletyn o nowe strony tylko po to, żeby moje psy znalazły nowe domy, zanim stracimy dotację?

Ben pokręcił głową.

– Nie rozumiesz. Mój głos zadecydował. To przeze mnie macie kłopoty.

– To nie ma znaczenia. Nie tylko ty głosowałeś, ale tylko ty przyszedłeś nam z pomocą. Zrobiłeś to dla mnie. Robisz tak wiele dla Astrid. Doprowadzasz się do obłądu, próbując robić coś dla wszystkich w tym mieście. Więc może przestań sobie wmawiać, że nie jesteś wystarczająco dobrym kandydatem na burmistrza. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam.

Słowa zawisły gdzieś pomiędzy nimi, nasycone większą pasją, niż Ally sobie tego życzyła.

Cóż, po prostu naprawdę był najlepszym człowiekiem, jakiego znała.

I coś do niego czuła. Nawet bardzo wiele. Uczucie rosło w niej od dawna, a teraz rozpierało jej pierś, aż trudno jej było oddychać.

– Spójrzcie tylko! Stoicie pod jemiolą!

Ally pierwsza zareagowała na okrzyk Astrid. Rzeczywiście, zielona gałązka wisała dokładnie nad miejscem, w którym mała kazała jej stanąć. Ben także zadarł głowę. Serce Ally zabiło jeszcze mocniej.

To było to. Chwila prawdy.

Teraz wystarczyło, żeby ją pocałował.



Spoglądając na gałązkę jemioli, Ben nie mógł się oprzeć wrażeniu, że właśnie padł ofiarą

spisku.

Lubił Ally. Bodaj wszystkim się wydawało, że już są parą, więc tym łatwiej było mu sądzić, że może powinni nią być. Ally była miła, bystra, zabawna, a zmysłowa krzywizna jej pełnej dolnej wargi sprawiała, że przychodziły mu do głowy liczne i bardzo nieczyste myśli. Choć oczywiście niekoniecznie wtedy, gdy stał pięć stóp od swej małej siostrzenicy.

Gdy stał pięć stóp od swej małej siostrzenicy, nie chciał myśleć o nikim innym.

A wyglądało na to, że Astrid już się przywiązała do Ally. Ben podejrzewał, że mała zaczęła nawet działać, żeby jeszcze ich do siebie zbliżyć; zapewne wyobrażała sobie szczęśliwy dom pełen psów. Gdyby na szali leżało tylko jego serce, może i byłby skłonny pomyśleć o nowym związku, ale gdyby Astrid była pełna nadziei, gdyby już pokochała Ally – jak by cierpiała, gdyby ten związek kiedyś się rozpadł? Gdyby Ally wróciła do Nowego Jorku...

Musiał myśleć przede wszystkim o Astrid. Zawsze stawiać ją na pierwszym miejscu.

W innym świecie pewnie pocałowałyby Ally. Może byliby dobraną parą. Niestety jego świat był tu i teraz. To było jego życie.

Nieważne, jak idealna wydawała mu się ta chwila. I jak pięknie wyglądała Ally, gdy tak zadzierała głowę, spoglądając na niego pytająco. I jak bardzo pragnął się pochylić, skrócić dystans, otoczyć ją ramionami...

Przechodzący nieopodal dzieciak ze szkolnej orkiestry upuścił mosiężne talerze i donośny brzęk zagłuszył gwar tłumu. Wyrwany z chwilowego zamyślenia Ben przypomniał sobie nagle, że są w miejscu publicznym.

– Nie – powiedział, odchylając się. Ally odwróciła głowę, rumieniąc się ze wstydu. Ben uniósł dłonie. Bał się jej dotknąć, ale chciał, żeby go dobrze zrozumiała. – Przepraszam. Wybacz, ale ja...

Pokręciła głową, odsuwając się nieco.

– Nie, nic się nie stało. Głupstwo...

– Nie chodzi o to, że ja... To skomplikowane...

– Ależ rozumiem. Powinnam chyba... – Urwała, by go wyminąć i ruszyć ku schodkom.

– Muszę wracać do dziadków, zanim zorganizują poszukiwania.

– Ally... – Ben wyciągnął rękę. Niepotrzebnie.

Zbiegała już po stopniach, żegnając dziewczęta tyleż szerokim, ile fałszywym uśmiechem.

– Do zobaczenia, dziewczynki!

Ben odprowadził ją wzrokiem, czując w piersiach coraz większą pustkę. Nie chciał zaczynać czegoś, co nie miało przyszłości. Nie chciał układać sobie życia na oczach całego miasteczka. Z drugiej jednak strony nie chciał też jej ranić.

Brawo, West, pomyślał. Spojrzenia Astrid i Kimber tylko utwierdziły go w przekonaniu, iż jest niekwestionowanym królem beznadziejnych facetów.

– Coś ty narobił? – spytała Astrid, nie kryjąc niechęci.

– Nic. Chodźmy do domu.

Zrobił to, co należało. Ally musiała wrócić do Nowego Jorku, a jego życiem była Astrid. Nie mógł sobie pozwolić na związek. Musiał tylko powtarzać to sobie z odpowiednią częstotliwością.

ROZDZIAŁ 24



Publiczny obciach: 1, jemiola: 0.

Ally przemykała środkiem zatłoczonego rynku, starając się nie myśleć o tym, ile osób widziało, jak Ben odrzucił ją w samym sercu miasteczka.

Oczywiście mógł jej wszystko wyjaśnić. W bardzo przekonujący i skomplikowany sposób. Bez wątpienia. Tylko że ona wcale nie miała ochoty dowiedzieć się ze szczegółami, dlaczego Ben jej nie chce. Nie powinna słuchać Deenie i Elinor, a także Astrid i wszystkich innych, którzy najwyraźniej po cichu obstawiali, że będzie z nich para.

Byli tylko przyjaciółmi. I jeśli miała nadzieję, że staną się dla siebie kimś więcej, to najwyraźniej była to nadzieja jednostronna.

I tyle. Nic wielkiego nie zaszło.

Zresztą pewnie wcale nie lubiła go aż tak, jak jej się zdawało. Nie po raz pierwszy brała na celownik jakiegoś faceta tylko dlatego, że czuła się samotna, a on był pod ręką. Obiecywała sobie, że już więcej tak nie postąpi. Zwłaszcza że w Nowym Jorku naprawdę czuła się samotna, a Pine Hollow po prostu lubiła. Lubiła pracę w schronisku i miejskie imprezy. Miło było czuć się częścią społeczności – i może właśnie wszystkie te pozytywne emocje pomyliła z uczuciem do Bena. Tak, na pewno tak było.

Gdy dotarła do pick-upa „Kosmatych Przyjaciół”, w okolicy było już znacznie spokojniej. Dziadkowie zdążyli zamknąć psy w klatkach. Ostatnie dwadzieścia jardów Ally pokonała biegiem.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było.

Byłam zajęta miażdżeniem własnej samooceny.

– Nie przejmuj się – uspokoił ją dziadek. – Wróciłaś w samą porę, właśnie odjechał ostatni blokujący nas wóz.

– Znalazłaś Bena? – spytała Bunia.

Ally celowo zignorowała figlarny błysk w jej oku.

– Tak. I rodziców Kimber. Wszystko załatwione. Deenie już poszła?

– Była umówiona.

– Świetnie. – Ally klasnęła w dłonie. – Zabierzmy psy do domu.

Psy. Schronisko. Tylko na tym powinna się skupiać. Miała na głowie sprawy znacznie ważniejsze niż Ben West i niedoszły pocałunek pod jemiolą.



– Ależ urocza z was para.

Ben zacisnął zęby, nie przestając prezentować tego samego cierpliwego uśmiechu, którym od rana odpowiadał na tego rodzaju stwierdzenia. Użył też identycznych słów, bodaj po raz dwunasty.

– Ally i ja nie jesteśmy parą, pani Kowalski.

Szczekanie niosło się echem między murami świetlicy na osiedlu emerytów. Siwiuteńka osiemdziesięciolatka nachyliła się ku Benowi, osłaniając dłonią ucho.

– Hmm?

– Ally jest tylko przyjaciółką! – Ben prawie krzyknął.

– Naturalnie, mój drogi. – Pani Kowalski promieniała. – A jaka urocza z was para!

Skapitulował. Przyszło mu to o tyle łatwiej, że od dwudziestu minut kapitulował w niemal identycznych rozmowach z mieszkańcami Summerland. Niewiele brakowało, a w ogóle by się tu nie

pojawił. Powiedział Ally, że przyjedzie z Astrid, ale po fatalnym epizodzie pod jemiołą kusilo go, żeby odpuścić sobie psi piknik.

Naturalnie nie uważał, że popełnił błąd. Absolutnie nie należało całować Ally pośrodku rynku, ale niewykluczone, że mógł rozwiązać sytuację w bardziej stosowny sposób. Astrid spędziła noc u Kimber, więc miał dość czasu na zastanawianie się, jak powinna przebiec tamta rozmowa. Był winien Ally przeprosiny, lecz na razie starał się przede wszystkim trzymać dystans, co w osiedlowej świetlicy nie było takie proste.

Każdy senior, z którym Ben rozmawiał, uważał za stosowne własnymi słowami wyrazić, jak cudownie było widzieć go z Ally. I jaką są „czarującą parą”. I choć do schrypnięcia tłumaczył im, że nie są żadną parą, mieszkańcy Summerland tylko się uśmiechali i klepali go po rękę. Albo nic nie słyszeli, albo nie wierzyli w ani jedno jego słowo.

Dobrze, że chociaż piknik okazał się sukcesem, choć nie było w tym jego zasługi. Gdy wraz z Astrid przyjechał po południu do „Kosmatych Przyjaciół”, Deenie i troje Gilmore’ów już pakowali psy do klatek.

Przywieźli wszystkie, które spełniały limit wagowy obowiązujący na osiedlu – Freda i Ginger (jamnicze mieszańce), Jo-Jo (papillon), Fistacha (chihuahua), jednookiego Trapera (Jack Russell terrier) oraz niepozorną kundelkę bliżej nieokreślonej rasy imieniem Daisy. Ta ostatnia być może ważyła nieco więcej niż dopuszczalne trzydzieści funtów, ale w świetlicy nie było wagi, więc postanowili spróbować. Jak się okazało, nawet Daisy – choć miała przykry zwyczaj siusiania pod wpływem stresu – znalazła wśród emerytów sporą grupę fanów.

Z pewnością jednak nie tak liczną jak klub miłośników Ally.

Dziewczyna przywiozła ze sobą aparat i teraz wędrowała po sali, uśmiechając się i robiąc zdjęcia seniorom z psami. Ben przyglądał się jej i podziwiał, jak bez wysiłku podbija serca pensjonariuszy – z równą łatwością oczarowała już zresztą całe miasteczko.

– Lilian, spójrz na tego anioleczka! – zawołała pani Kowalski, unosząc Fistacha.

Ben skorzystał z okazji, żeby się wycofać; chihuahua musiał teraz samodzielnie uwodzić starsze panie. Choć sam był wiekowy i całkiem głuchy, był bodaj najpopularniejszym gościem wieczoru. Miał wielkie, wyłupiaste ślepia i niemal ciągle się trząsał, a mimo to był na najlepszej drodze do tego, by zostać oficjalną maskotką Summerland.

Traper umościł sobie miejsce w koszu pod chodzikiem pani Walker i podróżował w nim, dając się dopieszczać każdemu z napotkanych seniorów. Deenie siedziała nieopodal, pokazując emerytom wszystkie sztuczki, których zdołała nauczyć Jo-Jo. Lękliwa Daisy trzymała się blisko Astrid, ale od czasu do czasu wyglądała zza jej nogi, zwłaszcza wtedy, gdy chciał ją wziąć na kolana kolejny mieszkaniec osiedla.

Teraz w zasadzie nikt nie zwracał na Bena uwagi, więc mógł dyskretnie wmieszać się w tłum i poześlować w stronę Ally.

– Hej – mruknął, stając przy niej. – Będą dobre zdjęcia?

Zerknęła na niego przelotnie, nie opuszczając aparatu.

– No.

Nie brzmiało to zachęcająco, ale postanowił brnąć – nie wiedział, czy jeszcze będzie miał inną okazję.

– Chciałem cię przeprosić za wczoraj. Za tę scenę pod... no, wiesz.

Zarumieniła się.

– Nic się nie stało. Nie musimy...

– Chodzi o to, że ludzie o nas plotkują. O tobie i o mnie.

Spuściła skromnie oczy.

– Ja też to słyszałam.

– Wiem, że jemioła nie ma żadnego znaczenia, ale nie chciałem dolewać oliwy do ognia. Mam nadzieję, że się nie obraziłaś...

– Ależ skąd. To ma sens.

– Muszę myśleć o Astrid.

– Jasne. Oczywiście. – Mówili prędko, nawzajem wpadając sobie w słowo, aż do chwili, gdy Rita stanęła między nimi.

– Gdyby ktoś pytał, Traper wabi się Hemingway – szepnęła z naciskiem. – Bob Blake jest o krok od adoptowania go, a że jest profesorem literatury, wymyśliłam ten mały podstęp. Mam nadzieję, że dzięki temu dopniemy sprawę. Oni są dla siebie stworzeni: obaj tak zawzięci, że trudno ich znieść. A jak wam poszło? Wskóraliście coś?

Ally wciąż paliły policzki i starannie unikała patrzenia na Bena, ale uprzejmie odpowiedziała babci, jakby nie miała za sobą jednej z najbardziej krępujących rozmów w całym swoim życiu.

– Fistach jest ulubieńcem publiczności.

Dołączył do nich Hal, prowadząc Freda i Ginger.

– Nie wiecie, kto byłby najodpowiedniejszy dla tych kochasiów? – spytał. – Wszystkim się podobają, ale jakoś nikt nie chce wziąć od razu dwóch psów.

Ally przykucnęła, by przytulić dwoje „kochasiów”.

– A może każde znalazłoby inny dom, ale mogłyby się regularnie odwiedzać? – zasugerowała.

– Spróbuj z Verną i Lyle’em Johnsonami – odezwała się nagle Rita. Pociągnęła Ally za ramię, wskazując parę w przeciwnym kącie świetlicy. Starsi państwo nie tłoczyli się wokół psów jak inni emeryci, tylko siedzieli na uboczu, trzymając się za ręce. – W ciągu minionych sześćdziesięciu pięciu lat nie spędzili osobno nawet jednej nocy. Jeśli ktoś ma zrozumieć, dlaczego Fred i Ginger muszą być razem, to właśnie oni. Idźcie do nich oboje.

Ben nie zdążył zareagować, a już Hal wcisnął mu smycz do ręki, Rita zaś z zaskakującą siłą klepnęła go na rozpad po plecach.

Ally zmarszczyła brwi, spoglądając na Bunię, ale nie zaprotestowała.

– Idziemy? – spytała, patrząc Benowi w oczy.

– Panie przodem.



Ally przemaszerowała przez środek świetlicy, boleśnie świadoma, kto za nią idzie, a także zdeterminowana, by nie podsycić plotek. Nie spodziewała się, że Ben jednak się pojawi – nie wiedziała jeszcze, że Ben West nigdy nie zapomina o złożonych obietnicach, nawet w sprawach tak błahych jak psi piknik wśród emerytów.

Gdy byli blisko, skoncentrowała się na Johnsonach; w tej chwili liczyło się tylko znalezienie domu dla Freda i Ginger. Podobnie jak para jamników, Johnsonowie byli dla siebie stworzeni: oboje niewysocy, siwi i krótko ostrzyżeni, w okularach. Podobnie jak większość pensjonariuszy, nosili przypięte do koszul grawerowane identyfikatory.

– Dzień dobry – powitała ich pogodnie. – Jestem Ally, a to Ben.

– Wiemy, skarbie – odrzekła z uśmiechem pani Johnson. – Jesteś wnuczką Hala i Rity. A ty, Ben, jesteś tym radnym, o którym wszyscy ciągle gadają.

– Nie jestem pewny, czy to dobrze – odrzekł Ben, ściskając dłoń pana Johnsona.

– Lyle i Verna Johnson – powiedział starszy dżentelmen, po czym schylił się i wyciągnął rękę ku Fredowi. – A kogo tu mamy?

– To Fred, a to Ginger – przedstawiła je Ally. – Wierna para. O ile nam wiadomo, on ma dwanaście lat, a ona trzynaście.

– Słodkie jamniczki, prawda? – zamruczała pani Johnson.

– Nie spodziewaliśmy się, że będą tu pieski – wyjaśnił jej mąż. – Przyszliśmy tylko na koncert świąteczny. Zawsze pojawiają się wcześniej, żeby zająć dobre miejsca.

Żona poklepała go po ręku.

– Ale cieszymy się, że przyprowadziliście tu swój zwierzyniec. Aż miło popatrzeć, jak wszyscy

się cieszą. Taka atrakcja.

Ben usiadł na krześle obok pana Johnsona, ale Ally wolała przykucnąć przy Ginger.

– To był pomysł mojej babci.

– Rita jest taka kochana. I pasuje do nas.

Ally się uśmiechnęła, gotowa jednak zaprotestować.

– Wiem, że dziadkowie często tu bywają, ale jeszcze nie mieszkają. Po prostu odwiedzają przyjaciół.

– Naturalnie, moja droga. Chodzi mi o to, że będzie im tu dobrze, gdy wprowadzą się w przyszłym roku.

– Ależ oni... – Ally urwała, szukając wsparcia u Bena.

Rozmowy z osobami posługującymi się aparatami słuchowymi często miewają dość osobliwy przebieg – są niczym zabawa w głuchy telefon. Ally wiedziała, że pani Johnson lekko się pogubiła, więc była wdzięczna Benowi, że nachylił się czym prędzej i spytał głośno i wyraźnie:

– A państwo od dawna tu mieszkają?

– Od piętnastu lat – odpowiedział pan Johnson, prostując się z dumą. – Byliśmy jednymi z pierwszych mieszkańców osiedla. Zanim jeszcze pobudowali tu te domy ze wspólnymi gankami.

– I podoba się państwu tutaj?

– Jeszcze jak! – Ginger przylgnęła do kostki Verny i rytmicznie merdając ogonem, obtłukiwała gołęń Ally. Starsza pani się uśmiechnęła. – Taka z ciebie przytulaska? – spytała, głaszcząc suczkę po łebku. – Wiem, że niektórym niełatwo było się przystosować, zwłaszcza tym, którzy uważali, że „zostali tu umieszczeni”, a nie przyszli z własnej woli. Na przykład biednemu Bobowi Blake’owi. Ale dla nas to był sposób na zachowanie wolności, a nie wyzbycie się jej. Mamy tu opiekę, której potrzebujemy, a nie musimy być zależni od naszych dzieci i wnuków.

– To cała wspólnota – dorzucił Lyle, gładko kontynuując wypowiedź żony. – I właśnie to jest najlepsze w Summerland, a nawet w całym Pine Hollow: wspólnota. Coś trzeba dać, żeby coś dostać. Wyciągnąć rękę do sąsiadów, żeby odpowiedzieli tym samym.

Ally zmarszczyła brwi. Nigdy nie myślała o tym w ten sposób. Sądziła, że albo się pasuje do społeczności, albo nie.

– Ależ urocza z was para.

Ally natychmiast otrząsnęła się z zamyślenia.

– Nie, nie – zaprotestowała. – My nie...

– Ja tylko pomagam przy psach, dopóki wszystkie nie zostaną adoptowane – wpadł jej w słowo Ben.

– Ach tak – mruknął z uśmiechem pan Johnson. – Pamiętam dawne czasy. Verna pracowała w sklepie z napojami, a ja wpadałem tam codziennie po butelkę słodowego tylko po to, żeby ją zobaczyć. Całe szczęście, że nie pracowała w mleczarni, bo ludzie by gadali, że mam skłonność do krów.

Ally się zarumieniła i czym prędzej zmieniła temat.

– Czy to prawda, że od sześćdziesięciu pięciu lat nie spędzili państwo osobno ani jednej nocy?

– Od sześćdziesięciu sześciu. Ani jednej od dnia ślubu – sprostowała z dumą pani Johnson.

– Gdy Lyle miał operację serca, nie chcieli mnie wpuścić do sali pooperacyjnej...

– Ale wystarczyło, że im powiedziałem, że bez niej moje serce nie będzie biło tak, jak powinno.

Verna spojrzała w oczy męża.

– Po takiej deklaracji już żaden lekarz nie miał sumienia nam odmówić.

Coś ścisnęło Ally za gardło z wielką siłą na myśl o tak mocnej więzi. Podobna łączyła jej rodziców i dziadków. Serce topniało jej za każdym razem, gdy myślała, jak to jest mieć kogoś, kto zawsze jest obok, zawsze wspiera, bez względu na wszystko.

Pochyliła się, delikatnie drapiąc Ginger za uszami.

– Z nimi jest podobnie – zauważyła. – Gdy Ginger i Fred do nas trafili, próbowaliśmy ich rozdzielić, ale trudno było znieść to tęskne skomlenie. Prawie cały czas się dotykają. – Pan Johnson

wciąż trzymał żonę za rękę, ale Ally nie spojrzała w ich stronę, żeby aluzja nie wydała się zbyt oczywista. – Uwielbiają zakopać się pod wspólnym kocem i często, gdy do nich zaglądam, wyskakują z posłania jednocześnie, jak na komendę.

– Mówiłaś, że mają dwanaście lat?

– Dwanaście i trzynaście. Ginger jest starsza.

– A ile to by było w ludzkich latach?

– Myślę, że są emerytami, już po sześćdziesiątce. Nie zachowują się jak szczeniaki, chociaż nie zapomnieli o ulubionych przysmakach. Fred ma też ulubioną gumową zabawkę, którą często nosi ze sobą niczym zdobycz. Gdy ktoś się zbliża, zwykle szczeka na powitanie, ale przypuszczamy, że poprzedni właściciele próbowali go tego oduczyć, bo łatwo go uciszyć, reaguje na polecenie. Ginger miewa problemy z grzbietem, więc byłoby najlepiej, gdyby unikała schodów. A gdyby wolno jej było kłaść się na kanapie, to lepiej, żeby na nią nie wskakiwała, tylko wchodziła po rampie.

– O problemach z grzbietem to my wiemy wszystko – zapewnił z uśmiechem pan Johnson.

– Prawda, moja mała? – dodał, schylając się, żeby pogłaskać Ginger. Zbliżył dłoń na tyle wolno, że jamniczka ufnie polizała jego palce.

– I nie mamy w domu schodów... – dorzuciła pani Johnson, spoglądając z ukosa na męża.

– O nie – zaśmiał się Lyle. – Zdaje się, że wkrótce będziemy mieli rampę przy kanapie. I wszystko inne, bylebym jak najczęściej oglądał taki uśmiech mojej Verny. – On także się uśmiechnął i mrugnął porozumiewawczo do młodych.

Ally spojrzała na cieniutką jak papier skórę na ich splecionych dłoniach. Jak to jest spędzić z kimś sześćdziesiąt sześć lat i wciąż mieć ochotę trzymać go za rękę? Wciąż czuć tę samą więź? Dzielić tyle wspomnień?

I wciąż być tak mocno kochanym.

Ally siłą woli skupiła się na zadaniu, jeszcze przez chwilę opowiadała o psach, aż wreszcie w sali zaczęli się pojawiać członkowie chóru. Nadszedł czas, by zabrać czworonogi ze świetlicy; ich szczekanie nie byłoby najlepszym dodatkiem do koncertu.

Spojrzała porozumiewawczo na Bena i razem wstali, żeby pożegnać się z Johnsonami.

– Pójdę po Astrid – powiedział, gdy szli przez salę, a odchodząc, delikatnie musnął palcami jej plecy.

Tak delikatnie, że zaraz zwątpiła, czy naprawdę jej dotknął. Gdy zniknął w tłumie emerytów, ruszyła prosto ku dziadkom i Deenie.

Bunia przejęła Freda i Ginger, więc Ally znowu mogła ująć aparat, który przez cały czas nosiła na szyi. Od razu poczuła się pewniej. Stanąwszy u drzwi, odwróciła się, żeby zrobić ostatnie zdjęcie pełnej świetlicy. Lyle i Verna wciąż siedzieli na swoich miejscach, trzymając się za ręce, uśmiechając się i szepcząc coś do siebie.

– Idziesz? – spytała Deenie w chwili, gdy trzasnęła migawka.

– Uważasz, że takie rzeczy jeszcze się zdarzają? – spytała Ally, opuszczając aparat, ale wciąż obserwując Johnsonów. – Sześćdziesiąt sześć lat z tą samą osobą?

– Jeśli ja dożyję do dziewięćdziesięciu pięciu, a mój mąż nie kopnie wcześniej w kalendarz. Do zapamiętania: dodać do listy wymagań randkowych wyniki badania genu długowieczności.

Ally potrząsnęła głową.

– Wiesz, o czym mówię. Sądzisz, że jest szansa na taki związek w świecie codziennie nowych aplikacji i natychmiastowej gratyfikacji? Może już zatraciliśmy zdolność do dzielenia z kimś życia przez sześćdziesiąt parę lat, trzymania kogoś za rękę do ostatniej chwili? I czy w ogóle istnieją jeszcze mężczyźni, którzy pragną czegoś takiego?

Deenie zerknęła znacząco ponad jej ramieniem.

– Może jeden albo dwóch.

Ally podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

Ben. Właśnie kucnął przy Fistachu, żeby włożyć maluchowi psi sweterek. Po chwili wsunął go pod kurtkę, żeby chihuahua nie zmarzł zbyt w wieczornym powietrzu.

Ally znowu poczuła, że roztapia się w środku, ale zdusiła emocje. Ben jasno postawił sprawę. Wiedziała, czego on nie chce, nawet jeśli od czasu do czasu wydawało jej się, że coś się tli w jego spojrzeniu, gdy na nią patrzy.

– Nie ma znaczenia, jak bardzo go chcę – szepnęła do Deenie najciszej, jak umiała. – On także musiałby mnie chcieć.

Ben akurat uniósł głowę i popatrzył w jej stronę.

– Taa... – mruknęła Deenie i uśmiechnęła się szelmowsko. – Coś mi się zdaje, że z tym nie będzie problemu.

Ally była gotowa zaoponować. Oznajmić, że gorące spojrzenia to żadna gwarancja. Że Ben odrzucił ją pod jemiolą. Może iskrzyło między nimi, ale skoro on nie był skłonny podjąć ryzyka, nic więcej nie mogło się wydarzyć.

Ally potrzebowała partnera. Kogoś, z kim chciałyby przeżyć sześćdziesiąt sześć lat. Sęk w tym, że i Ben musiałby pragnąć tego samego. A póki nie pragnął, mogła co najwyżej czekać z zapartym tchem.

ROZDZIAŁ 25



Astrid paplała o psach przez większość drogi do domu, aż nagle zaczęła błagać, by wujek pozwolił jej wrócić do „Kosmatych Przyjaciół” i pobawić się z pieskami, które nie wzięły udziału w pikniku dla emerytów. Ben SMS-em zapytał Ally o zgodę, a gdy ją otrzymał i podrzucił małą do schroniska, nawet nie wysiadł z samochodu.

Jego rodzice mieli przyjechać za dwa dni, a serwisant od pralki znowu przełożył wizytę. Miał nawał zleceń, a przynajmniej taką wymówką się posłużył.

Następnego dnia Astrid już z samego rana pognała prosto do schroniska, Ben zobaczył ją dopiero po zmroku. I może dobrze się złożyło, bo miał wreszcie trochę czasu, żeby się skupić na od dawna odkładanych zadaniach. Z drugiej jednak strony był już trochę zazdrosny o „Kosmatych Przyjaciół”, gdy w końcu w niedzielny wieczór otworzyły się drzwi, obwieszczając powrót jego podopiecznej.

Lecz zaraz potem usłyszał dobiegający z holu drugi głos. Wiedział, że nie powinien, ale wyszedł z kuchni, żeby powitać Astrid i Ally. Obie były jeszcze w kurtkach.

– Potrzebujemy jeszcze domów dla szceniąt... – Ally urwała w pół zdania, gdy go zobaczyła.
– Cześć.

– Cześć – popisał się fantazją.

– Zrobiło się ciemno, więc uznałam, że powinnam odprowadzić Astrid do domu – wyjaśniła Ally, mnąc w palcach końcówkę szalika.

Astrid spoglądała to na nią, to na Bena.

– Ciocia Elinor adoptowała Harry. Zaprosiła mnie do domu, żebym pomogła ją urządzić w nowym miejscu. Mogę pójść?

– No... – Dlaczego nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź? – Jadłaś już kolację?

– Jeszcze nie. Ale pan Gilmore zrobił nam na lunch takie pyszne calzone-coś-tam, więc prawie nie jestem głodna.

Ben ruchem głowy wskazał kuchnię.

– Zjedz coś. Potem pogadamy o tym, czy możesz pójść do cioci. – A najpierw napiszę do Elinor, żeby się upewnić, czy rzeczywiście będziesz tam mile widziana, dodał w myślach.

Astrid rzuciła kurtkę i buty, minęła go biegiem, lecz jeszcze na chwilę wyjrzała z kuchni.

– Dziękuję za ten dzień, Ally. Był najlepszy pod słońcem.

To rzekłszy, zniknęła, żeby Ben i Ally mogli w spokoju delektować się nader niezręczną chwilą.

– Najlepszy dzień pod słońcem?

– Praktycznie cały czas bawiła się z psami. – Dziewczyna przygryzła wargę, jakby się wahała.

Coraz bardziej zakłopotana przerwała wreszcie kontakt wzrokowy. – Powinnam już iść. Dziadkowie...

– No tak. Dzięki, że odprowadziłaś Astrid. A następnym razem po prostu napisz, przyjdę po nią. Nie chcę ci sprawiać kłopotu.

– Żaden kłopot. Lubię z nią spacerować, a wieczór taki przyjemny...

– To może ja cię odprowadzę?

– Nie, nie. Przecież znam drogę. Kto wie, co by sobie ludzie pomyśleli, nie? – Zaśmiała się nerwowo. – Dobranoc, Ben.

– Dobranoc, Ally.

Zamknęła za sobą drzwi, a Ben oparł się ciężko o ścianę i jęknął smętnie.

– Znakomicie, West. Gładko poszło, jak zawsze.

– Powinieneś pójść.

Ben aż podskoczył, gdy tuż za sobą usłyszał głos.

– Astrid! Musisz się tak zakradać?

– Nie zakradam się. – Uznała, że to właściwy moment, żeby przeciwżyć na nim nową umiejętność: harde spojrzenie nastolatki.

– Akurat. To co, masz ochotę na kolację? – Zagonił ją z powrotem do kuchni, próbując przy okazji jakoś zresetować mózg.

– Nie rozumiem, po co udajesz, że nie lubisz Ally.

Proszę, nie rozmawiajmy o tym w tej chwili!

– Przecież ją lubię. Jest dobrą przyjaciółką.

– Chodzi o mnie? O to, że Isabelle odeszła przeze mnie?

Ben przystanął tak nagle, że aż coś strzeliło mu w karku.

– Kto ci to powiedział? – spytał, odwracając się do siostrzenicy. – Dlaczego tak sądzisz? Astrid, moje rozstanie z Isabelle nie miało nic wspólnego z tobą.

Wzruszyła ramionami, krzywiąc się lekko.

– Trochę miało. Mielście się pobrać i nagle...

– Hej. – Nachylił się i zacisnął dłonie na jej wąskich barkach. Zachowywała się czasem tak dojrzałe, że zapominał, że jest dzieckiem. – Odejście Isabelle to sprawa tylko i wyłącznie między nią a mną. Nie rozstaliśmy się przez ciebie. Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało.

Spojrzała mu w oczy.

– Słyszałam, jak powiedziałeś Ally, że musisz myśleć o mnie...

Jasna dupa.

– To oznacza tylko tyle, że liczysz się najbardziej, a ja nie chcę popełniać głupich błędów, przez które mogłabyś ucierpieć.

– Bycie z Ally to głupi błąd?

– Ona nie zostanie w Pine Hollow, Astrid. Wiem, że ją lubisz, podobnie jak ja. Ale jeśli zbyt często się zżyjemy, to jeszcze bardziej bolesne będzie rozstanie, gdy Ally postanowi wrócić do swojego życia.

– Ben uściśnął lekko ramiona dziewczynki. – Liczymy się ty i ja. Dobrze nam razem, prawda? Wiem, że nie jestem specem od ciast i robienia lunchów godnych Instagrama, ale przecież nie jest źle, prawda?

– Prawda – szepnęła, przygryzając wargę.

– To dobrze. – Przytulił ją, a po chwili się odwrócił i zajrzał do lodówki w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się na kolację. – Ally i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi – powtórzył.

– Chyba tak.

Zerknął na nią przez ramię.

– Co to miało znaczyć? – spytał, bo nie przyszło mu do głowy nic mądrzejszego.

– Tylko to, że jak na przyjaciela okropnie się boisz, że ktoś was razem zobaczy.

– Znasz to miasteczko. Zaufaj mi, pewnego dnia to zrozumiesz.

– Aha.

Pokręcił głową. Czy wszystkie samice ludzkiego gatunku przychodzą na świat z instynktowną wiedzą o tym, w jaki sposób wytrącać z ręki solidne argumenty za pomocą zwięzłego „aha”?

Przyrządziwszy kilka kanapek, napisał do Elinor, czy rzeczywiście potrzebna jej „pomoc” Astrid. Chwilę później włożył kurtkę, by zaprowadzić siostrzenicę do uroczonego bungalowu w stylu Craftsman z wielkim ogrodem. Gdy Elinor otworzyła drzwi, Harry natychmiast wyskoczyła za próg, ale pędem wróciła do domu, zatoczywszy małe kółko na ganku. Tupot jej łapek ucichł gdzieś w pokojach, zanim Astrid rozpoczęła pogoń.

– Buty! – zawołał za nią Ben, krzywiąc się na widok mokrych śladów w holu. – Przepraszam.

– Dopilnuję, żeby je wytarła – zapewniła go Elinor. – Sama dopiero zaczęłam pracować z Harry nad tym, żeby zatrzymywała się za progiem na chwilę. Póki nie nauczy się, że muszę jej wycierać łapy, podłogowy kataklizm będzie trwał.

– Dzięki, że pozwoliłaś Astrid przyjść. Była zachwycona.

– Ona ma bzik na punkcie psów. A ty o wiele silniejszą wolę niż ja. Ja bym jej pozwoliła wziąć psa już parę miesięcy temu.

Ben usztywnił się nieco, słysząc tę opinię. Elinor oczywiście to zauważyła. Jak zawsze.

Wyszła do niego na ganek i zamknęła drzwi, żeby Astrid ich nie słyszała.

– Ben, nie chciałam...

– Masz rację. Astrid powinna mieć psa. A także dom z ogrodem i huśtawkę z opony. Katie wszystko to zaplanowała. Wiesz, że miała nawet tablicę, na której zapisywała wszystkie pomysły? Plan dwuletni. Było w nim wszystko, co Astrid powinna mieć.

– Katie pokazała mi kiedyś tę tablicę, ale nikt nie oczekuje, że ty...

– Że dokonam tego, co zaplanowała Katie? Bo ona była supermamą, a ja jestem Ebenezerem?

Elinor prychnęła lekceważąco.

– Katie nigdy nie uważała się za supermamę.

– Wszyscy wiemy, że była niesamowita i...

– Była tylko człowiekiem – przerwała mu Elinor. – Czy wiesz, że ten jej plan powstał, gdy tylko wprowadzili się do domu? Gdy Katie była w ciąży? Żartowała, że to przechodni plan dwuletni.

Ben zmarszczył brwi. To nie mogła być prawda.

– Nie była doskonała. Improwizowała bezustannie, jak my wszyscy. Wiesz, że często dzwoniła do mnie z płaczem i opowiadała, że chyba jest najgorszą mamą w dziejach świata?

Ben aż się wzdrygnął. Był w lekkim szoku.

– Co? Dlaczego...?

– A wiesz, że Astrid założono szwy, gdy miała dwa latka? Potknęła się o coś, co Katie zostawiła na podłodze, i uderzyła główką w kominek. O ile pamiętam, Katie płakała o wiele dłużej niż Astrid. Była święcie przekonana, że to jej wina.

Ben pokręcił głową.

– Nigdy mi o tym nie mówiła.

– A po co? Była twoją starszą siostrą. Zawsze się starała dorosnąć do idealnego wyobrażenia, które o niej miałeś. A prawda jest taka, że nie musiała być chodzącą doskonałością, żeby być dobrym rodzicem – i ty też nie musisz. Nie musisz być w Radzie Rodziców. Nie musisz być najlepszym radnym tylko po to, żeby uczcić jej pamięć. A już na pewno nie potrzebujesz domu z dużym ogrodem, aby dowieść, że jesteś właściwym opiekunem dla Astrid.

Ben powiódł spojrzeniem po domu Elinor i rozległej posesji otoczonej płotem.

– Nie myślałaś nigdy, żeby wziąć ją pod swoje skrzydła?

– Oczywiście, że tak. – Elinor się uśmiechnęła, choć jej oczy pozostały smutne. – Ale to na ciebie postawiła Katie, a ja wiedziałam, że Astrid będzie otoczona miłością bez względu na to, które z nas będzie jej opiekunem. A przy okazji, mógłbyś czasem pozwolić jej spać u mnie, mam bardzo przytulny pokój gościnny.

Nie po raz pierwszy składała mu tę propozycję, a on jak dotąd uparcie odmawiał. Zawsze mu się wydawało, że jej zaproszenia są dowodem jego niekompetencji. Teraz jednak przyszło mu na myśl, że może czasem był tak bardzo zajęty udowadnianiem, że jest najlepszym rodzicem dla Astrid, że zapominał robić to, co było dla niej najlepsze.

– Nie wzięliśmy ze sobą piżamy i szczoteczki do zębów, ale jeśli chcesz, może dziś nocować u ciebie – odparł impulsywnie.

– Tak? – Elinor uśmiechnęła się tym razem radośnie. – Byłoby super. Mogę jej coś pożyczyć.

– Obstawiam, że skoro masz psa, będzie tu chciała zostać na zawsze.

Elinor się wzdrygnęła, kładąc dłoń na klamce.

– Muszę wracać, zanim Dora zacznie skakać po ścianach.

– Dora?

– *Dora poznaje świat.* Próbuję zmienić jej imię. Ally uważa, że Harry jest dostatecznie inteligentna, żeby nauczyć się nowego, ale tak naprawdę sama jeszcze nie jestem przekonana, czy tego

chę.

Ben odruchowo cofnął się o krok, gdy usłyszał imię Ally.

– W takim razie faktycznie lepiej już wracaj. Dobranoc, Elinor.

– Dobranoc. I dzięki, Ben.

Skinął głową, choć to prawdopodobnie on powinien jej podziękować. Wepchnął pięści głębiej w kieszenie i wtulił głowę w wysoki kołnierz. Wieczór był coraz chłodniejszy.

Gdy stanął w holu u Paula i Katie, dom wydał mu się osobliwie cichy. Policzył w pamięci wszystkie projekty, które czekały jeszcze na realizację. Których Katie nie zdążyła dokończyć.

Nierówny schodek. Różnica poziomów na podłodze. Przestarzała kuchnia.

Może nie zawiódł Katie aż tak bardzo, jak mu się wydawało? I właśnie gdy zaświtała mu w głowie myśl, że może jednak radzi sobie całkiem nieźle, zajrzał do pomieszczenia gospodarczego i zobaczył zepsutą pralkę. Nagle ogarnęła go złość – nie tylko na ten przekłety rupieć, ale i na całe cholerne miasteczko.

Miał serdecznie dosyć tego życia, w którym oczy wścibskich mieszkańców Pine Hollow bez przerwy go obserwowały i oceniały. Wiecznego zamartwiania się, czy aby wszystko robi tak, jak należy. Niby dlaczego miałby unikać Ally? Tylko po to, żeby ludzie nie gadali? Dlaczego nie miałby odprowadzić jej do domu? Żeby nikt nie zaczął spekulować na ich temat?

Miał po dziurki w nosie tego, że już niczego nie robi dla siebie.

Dziesięć minut później samochód był już zapakowany, a po kolejnych pięciu skręcał na podjazd u Gilmore'ów. Ben uświadomił sobie w końcu, że może należało najpierw zadzwonić, ale było już za późno.

Choć było dopiero kilka minut po dziewiętnastej, dom był zupełnie ciemny, jeśli nie liczyć lampek choinkowych na balustradzie wokół ganku. Włączony był też reflektorek nad drzwiami stodoły. Ben ruszył właśnie w tamtą stronę, sięgając po telefon, żeby wysłać wiadomość do Ally. I właśnie gdy pochylał się nad ekranem, zastanawiając się, jak wyjaśnić tę nagłą wizytę, usłyszał głos za plecami:

– Ben. Wszystko w porządku?

Odwrócił się na pięcie i ujrzał Ally prowadzącą bernardyna przez wał śniegu usypany wzdłuż podjazdu.

– Tak... Przepraszam. Właśnie sobie przypomniałem, że wypadałoby najpierw zadzwonić.

– Nic się nie stało. Byłam na spacerze z Colbym. Dziadkowie są w Summerland na gwiazdkowej imprezie. Coś się stało? Gdzie Astrid?

– U Elinor. Pomaga Harry zadomowić się w nowym miejscu. Przypuszczalnie nigdy więcej jej nie zobaczę.

– To prawda, że uwielbia psy. – Ally uśmiechnęła się łagodnie, zatrzymując się kilka stóp od Bena.

Zachowując bezpieczny dystans, pomyślał. Nienaturalny dystans.

Dystans, który sam na niej wymusił.

Chciał, żeby znowu byli przyjaciółmi, ale czuł, że jest za późno, że wszystko zepsuł swoim idiotycznym zachowaniem pod jemiolą. Gorączkowo szukając nowego otwarcia, spojrzął przez ramię na stodołę.

– Nadal chcesz, żebym ci pomógł z tymi światełkami?

Gdy znowu na nią spojrzął, zobaczył, że sceptycznie uniosła brwi.

– A jesteś pewny, że chcesz, by ludzie zobaczyli twój samochód przed moim domem?

Wzruszył ramionami i wsunął ręce do kieszeni.

– I tak będą plotkowali.

Miał dosyć udowadniania, że coś potrafi, że może, że chce. Zwłaszcza że tutaj nigdy nie musiał tego robić.

Ally spojrzała na jego samochód i dopiero teraz dostrzegła rząd koszy z praniem na tylnej kanapie.

– Przyjechałeś tylko dlatego, że serwisant znowu się nie pojawił, prawda?

– Być może – odparł beztrosko, ale zaraz oprzytomniał i dodał szczerze: – A może po prostu brakowało mi twojego towarzystwa.

Jej usta powoli ułożyły się w uśmiech.

– No dobra, Ebenezer – powiedziała. – Załadujmy pierwszą porcję prania, a potem ci pokażę, gdzie mamy te lampki.

ROZDZIAŁ 26



Sprawdzaliście je w ogóle?

Ally tylko się skrzywiła, podając Benowi kolejny sznur niesprawnych lampek choinkowych, żeby wrzucił go do kubła, w którym zbierali odpady o bliżej nieokreślonym sposobie recyklingu. Zaraz potem sięgnęła po następny. Siedzieli obok siebie na podłodze w salonie, usiłując dobrać tyle działających kompletów, by dało się przyozdobić stodołę. Jego pranie tymczasem leniwie kręciło się w pralce.

Po dwóch dniach wzajemnych uników i zakłopotania znowu znajdowali się w bezpiecznej Strefie Przyjaźni i Ally miała szczerą ochotę pozostać w niej na dobre. Brakowało jej przez ten czas rozmów z Benem. Teraz znowu czuła się swobodnie, gdy tak wspólnie przebierali sznury świątecznych światełek. Jak na złość do tej pory znaleźli zaledwie jeden sprawny, choć i on chwilami złowieszczo przygasał.

– Dziadek mówi, że zawsze używał tych zestawów, ale nie dam głowy, czy w ostatnich kilku latach w ogóle chciało mu się robić iluminację.

– Obstawiam, że w ostatnich dziesięciu. – Ben uniósł przewód na wysokość oczu, przyglądając się bacznie zabytkowej izolacji. – Jak bardzo twoja babcia życzy sobie tych lampek na stodołę?

– Trudno powiedzieć – stwierdziła dziewczyna, podłączając kolejny sznur do przedłużacza.

– Do wszystkiego podchodzi z takim entuzjazmem, że czasem niełatwo się zorientować w jego natężeniu. Mam jednak wrażenie, że w tym roku naprawdę chce iść na całość, jeśli chodzi o Boże Narodzenie.

Lampki rozjarzyły się na chwilę, a zaraz potem zaiskrzyły i coś trzasnęło, więc odłączyli je czym prędzej.

– A czy ów entuzjazm jest na tyle duży, że powinniśmy ryzykować śmiertelne porażenie prądem? – spytał Ben, unosząc w rękę jeszcze dymiący przewód.

– Na pewno byłoby dobrze, gdybyśmy nie puścili z dymem domu – przyznała.

– Ani stodoły – dorzucił, zwijając sznur lampek, żeby wyrzucić go do kubła.

– W każdym razie dopóki mieszkają tam psy. Ale gdybyśmy znaleźli im domy, mogłabym zaryzykować – dodała kpiącym tonem. – Przydałyby się pieniądze z ubezpieczenia. Spróbowałabym wszystkiego, żeby utrzymać schronisko.

Ben sięgnął po kolejny splątany sznur lampek.

– A ja myślałem, że nie możesz się doczekać powrotu do Nowego Jorku. Skoro tak dobrze nam idzie znajdowanie domów dla psów, chyba mogłabyś wrócić do swojego życia bez wielkich obaw.

Ally wzruszyła ramionami, wpatrując się w węzeł gordyjski z zielonego kabla.

– Nie jestem pewna, czy chcę wrócić.

Dłonie Bena znieruchomiały.

– Naprawdę?

– Sama nie wiem... Wszyscy gadają o moim życiu w Nowym Jorku, jakby było takie cudowne, wręcz idealne, jakby nie wymagało ode mnie żadnych ofiar, ale jakąś część siebie tylko szukałam pretekstu, żeby się stamtąd wyrwać. To dlatego nawet się nie rozglądałam za nowym mieszkaniem do wynajęcia.

Ben zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Byłem pewny, że chcesz wrócić. Mówiłaś, że ci brakuje...

– ...poczucia, że wiem, co robię. Tutaj nie miałam pojęcia, jak się prowadzi schronisko dla psów, a teraz... nie wiem, czuję, że zaczynam nabierać wprawy. Akurat gdy pora zamknąć interes.

Spojrzał na nią, zniechęca zapomniałszy o światełkach, które próbował rozplątać.

– Sądziłem też, że lubisz być fotografką.

– Lubię, ale to... – Przez chwilę w milczeniu mocowała się z przewodem, nie patrząc Benowi w oczy. – To samotne zajęcie. Jako wolny strzelec wiecznie podróżowałam. Nie widywałam każdego dnia tych samych twarzy. Nawet z ludźmi, których uważałam za stałych współpracowników, nie spotykałam się czasem przez kilka miesięcy. Próbowałam zahaczyć się w firmie uważanej za jedną z najlepszych miejsc do pracy – nazywa się Spectrum, byłabym tam częścią zespołu, miałabym stabilną posadę – ale nie zaprosili mnie na rozmowę.

– Może *jeszcze* nie zaprosili.

– Może. – Dopiero teraz spojrzała na Bena. – Jakoś tak się złożyło, że nie czuję się tam z nikim związana. Mam wrażenie, że szukałam bliskości, odkąd zginęli moi rodzice. Jakbym tęskniła za domem, ale nie miała takiego, do którego mogłabym wrócić. I nie mówię o budynku. Rodzice znali mnie najlepiej – i to był mój dom. Przyjaciele jakoś nie mogli tego zrozumieć, więc oddalałam się od nich. Ja miałam swój wielki problem, a oni nie potrafili go ogarnąć. W końcu się wycofałam. Tylko fotografując, czułam się naprawdę dobrze. I byłam dobra. Kiedyś podczas wakacyjnej pracy załatwiłam sobie niesamowity staż, dzięki któremu zyskałam dostęp do zleceń, o jakich wcześniej nawet nie marzyłam. Byłam tak pochłonięta pogonią za sukcesem, że sporo czasu minęło, nim się zorientowałam, w jaką wpędziłam się samotność.

Ben milczał przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– Ja miałem podobnie, chociaż z innych powodów.

Ally spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Serio?

– Krótko po studiach, gdy zacząłem pracować dla dynamicznie rozwijającej się firmy komputerowej w Dolinie Krzemowej.

– Naprawdę?

– Dlaczego tak cię to dziwi? Nie zawsze byłem najwredniejszym radnym w Pine Hollow. Z siostrą studiowaliśmy w innych stanach, a potem rodzice przenieśli się do Arizony. Nie spodziewałem się, że jeszcze tu wrócę. A kiedy dostałem tamtą robotę, pomyślałem: to jest to. Takie będzie moje życie. Tymczasem Katie i Paul wrócili tutaj. Chcieli, żeby ich dzieci dorastały w tej samej społeczności, która nas ukształtowała. Parę lat później urodziła się Astrid, więc wpadłem z wizytą. Ot, tak, prawie przypadkiem, bo musiałem wykorzystać urlop. Pracowałem wtedy jak szalony i zupełnie się wypaliłem. Z tego, co pamiętam, gdy tu przyjechałem, przespałem pierwsze dwie doby. Potem zacząłem rozmawiać z Katie i bawić się z Astrid. Odnowiłem kontakt z Connorem i Levim. Zrozumiałem, że poza pracą nie mam nic, a nie tego pragnąłem od życia.

– Właśnie – szepnęła Ally, kiwając głową i patrząc mu w oczy. – Jeszcze nie wiem, co mogłabym tu robić, gdybym została – zwłaszcza gdy schronisko zostanie zamknięte – ale w tej chwili nie wyobrażam sobie powrotu do Nowego Jorku. Nie mogę powiedzieć, że bym sobie tam ułożyła życie. Kiedyś nawet próbowałam... Poznałam faceta, miał na imię Matthew. Bystry, z sukcesami, świetny pod każdym względem. A jednak dziś myślę, że po prostu tak bałam się samotności, że przypięłam się do pierwszego przyzwoitego gościa, którego napotkałam na swej drodze, a potem byłam gotowa poświęcić wszystko, byle nam się udało. Chyba nie mam odwagi przyznać, i czasu potrzebowałam, by zrozumieć, że tak naprawdę szukaliśmy w życiu czegoś zupełnie odmiennego. Gdy byłam z Matthew, chciałam chcieć tego, czego chciał on. Czy to brzmi sensownie? On kochał Nowy Jork. Marzył mu się penthouse z widokiem na park, więc i ja wmówiłam sobie, że to moje pragnienie, ale gdy tylko przysmykałam oczy i wyobrażałam sobie przyszłość, widziałam huśtawkę na ganku i wielkiego psa leżącego u moich stóp.

Colby machnął ogonem przez sen, jakby wiedział, że o nim mowa. Ally nachyliła się, żeby pogłaskać go po łbie.

– Wreszcie pojąłem, że w moich wizjach przyszłości nigdy nie pojawia się jeden element: Matthew. On nie należał do mojego świata z gankiem u drzwi frontowych. Pewnie nawet nie wiedział,

że marzę o czymś takim, nigdy mu o tym nie mówiłam. Nigdy też nie sprzeciwiałam się jego woli. Gdy się spieraliśmy, to ja wiecznie ustępowałam, bo nie chciałam, żeby odszedł. A tak naprawdę walczyłam z nim tylko o Colby'ego. On nie chciał psa, a ja nie zamierzałam się go pozbyć. Matthew był chyba zaskoczony, gdy mu się postawiłam. Zawsze mi powtarzał, jak bardzo mnie kocha i że jestem tym, czego zawsze szukał, jego jednoróżcem, ale tak naprawdę byłam nim tylko dlatego, że wiecznie pozwalałam mu wygrywać. Na tym to wszystko się zasadzało: ktoś wygrywał, a ktoś przegrywał. Nie byliśmy drużyną. Nie podążaliśmy do tego samego celu. Moi dziadkowie są prawdziwymi partnerami, wiesz? Nieważne, jak bardzo się różnią, są najlepszymi przyjaciółmi i pragną szczęścia współmałżonka bardziej niż własnego. Tego właśnie chcę.

Uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie, a gdy tylko zapatrzyła się w te zimowobłękitne oczy, jej serce nagle przyspieszyło.



Spoglądając w oczy Ally, Ben daremnie próbował sobie przypomnieć choć jeden powód, dla którego dotąd uważał, że bliższa znajomość z nią byłaby błędem.

– Tak... ja też jeszcze tego nie zaznałem – powiedział, gdy pauza wydała mu się nieznośnie długa. – Na pewno nie z moją byłą narzeczoną. – Co do zasady z nikim nie rozmawiał o Isabelle, ale w przypadku Ally zasady jakoś traciły na znaczeniu. – Traktowałem ją jak kolejne zadanie, z którym muszę sobie jakoś poradzić – wyjaśnił, krzywiąc się z niechęcią. – Astrid spytała mnie dziś, czy Isabelle odeszła przez nią.

– Auć – mruknęła współczująco dziewczyna.

– Otóż to. I nie, wcale nie przez nią. Owszem, sprawy się nawarstwiły i może śmierć Paula i Katie oraz to, że powierzyli mi opiekę nad Astrid, która stała się dla mnie najważniejszą istotą na świecie, może to wszystko sprawiło, że zacząłem krytyczniej patrzeć na Isabelle. Sam nie wiem, po prostu, jak sama powiedziałaś, nie byliśmy drużyną. Dobrze, że rozstaliśmy się właśnie wtedy.

– I od tamtej pory z nikim się nie spotykałeś?

– Z nikim. Byłem tak przytłoczony... – Urwał z kwaśną miną. – Tylko nie mów o tym nikomu. Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że...

– Przecież w gruncie rzeczy jesteś samotnym ojcem. Masz prawo czasem poprosić o pomoc.

– W tym akurat nigdy nie byłem dobry. A teraz nie chcę nikomu dawać powodu do podejrzeń, że nie radzę sobie z Astrid. Kiedyś miałem często nawracające koszmary, że przychodzi ktoś z opieki społecznej z notatnikiem w ręku i oznajmia mi, że konfiskują Astrid, bo oficjalnie nie sprawdzam się jako rodzic.

– Ben. – Ally położyła mu dłoń na ramieniu. Nawet przez sweter czuł jej ciepło. – Jesteś świetnym wujkiem. Świetnym tatą. Ale naprawdę wolno ci prosić o pomoc. Nie musisz radzić sobie ze wszystkim w pojedynkę.

– Wiem – odparł, lecz zabrzmiało to fałszywie. – Elinor powiedziała mi dziś, że Katie też nie była ideałem, a ja chcę być doskonały właśnie przez wzgląd na nią. Chcę dać Astrid wszystko to, co Katie sobie wymarzyła. Mieli z Paulem plan dwuletni – no, w rzeczywistości bardziej dziesięcioletni – z którego realizacją jakoś nie nadążam. Czuję, że sprawiam zawód Katie, bo nie zdołałem wykończyć domu tak, jak tego chciała, nie mówiąc o przeprowadzce do większego, z dużym ogrodem, gdzie Astrid mogłaby mieć psa.

Dłoń, która wciąż spoczywała na jego ramieniu, zacisnęła się lekko.

– Chyba rozumiesz, że nie musisz żyć życiem Katie i Paula tylko dlatego, że oni już nie mogą?

Ben spał się mimowolnie.

– Nie próbuję żyć ich życiem. – Nawet jeśli wprowadził się do ich domu. Nawet jeśli przejął funkcję radnego po Paulu. Nawet jeśli zastąpił Katie w Radzie Rodziców...

– Wiem, ale w domu masz wyłącznie ich zdjęcia. Jakbyś ty tam nie mieszkał.

– Jestem zwyczajnie zajęty. Nie mam czasu pozować do zdjęć. – Dobrze wiedział, jak defensywnie brzmią te tłumaczenia. Ally miała rację. To nie był jego dom. Zajął w nim gościnną sypialnię, nie główną. Choinkę stawiał co roku w tym miejscu, w którym oni to robili, wmawiając sobie, że chce podtrzymać domową tradycję dla Astrid.

– Oczywiście. – Ally odpuściła. Cofnęła też rękę. – Wiem, jak to jest.

Nie mógł spojrzeć jej w oczy, więc popatrzył na zdjęcia w ramach stojące na kominku. Nie były to typowe fotki rodzinne, ale piękne pejzaże Nowego Jorku. Central Park. Most Brookliński. Tu i ówdzie dostrzegł w salonie czarno-białe portrety, im także nie brakowało klasy.

– To twoje dzieło? – spytał, ruchem głowy wskazując na kominek.

Uśmiechnęła się kąciakiem ust, podążywszy za jego spojrzeniem.

– Tak. Zrobiłam te zdjęcia krótko po tym, jak przeniosłam się do Nowego Jorku. Chodziłam na długie spacerunki z aparatem, próbując zobaczyć wszystko. Świat wydawał mi się jakby bardziej sensowny, gdy oglądałam go przez obiektyw.

W jej głosie posłyszał tęskną nutę. Czy aby rzeczywiście nie brakowało jej tamtego życia?

– Jesteś pewna, że nie chcesz tam wrócić?

– Nie wiem – przyznała. – Tutaj nie mam pracy. Chcę tu być dla moich dziadków. Czuję też, że w Pine Hollow mam jakby bliżej do wymarzonego ganku z huśtawką niż w wielkim mieście.

– Być może. A może twój miastowy facet też pewnego dnia zapragnąłby ganku? Ja na przykład w życiu bym nie zgadł, że kiedyś będę chciał tego, czego dziś chcę. Ludzie się zmieniają.

– Gdy niespodziewanie zostają opiekunami małych dziewczynek?

– Albo wtedy, gdy podejmują decyzję, że właśnie tego chcą. Ludziom się wydaje, że porzuciłem wielkie plany, żeby tu wrócić, a ja po prostu je zmieniłem. – Gdy zauważył, że Ally bacznie mu się przygląda, skupił uwagę na sznurze światełek, który wciąż próbował rozplątać. – Może więc i twojemu facetowi zmieniłyby się priorytety.

– Może – zgodziła się. – A może tutaj znalazłby się mężczyzna pasujący do mojego ganku.

Dopiero teraz spojrział jej w oczy i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że czas jakby zwolnił, a powietrze zgęstniało. Te ciemne źrenice przeszywały go na wylot. Był pewny, że ona wyjedzie, ale skoro nie miała takich planów...

Bzzzz.

Brzęczyk pralki zabrzmiał niemal jak budzik i równie skutecznie zepsuł nastrój.

Ally drgnęła i odwróciła głowę.

– Pora włożyć nową porcję prania – powiedziała jakby zbyt beztrosko, wstając z podłogi.

Ben nie podążył za nią od razu.

– A co z lampkami?

– Myślę, że możemy oficjalnie ogłosić kapitulację. Powiem Buni, że nie znaleźliśmy tylu sprawnych zestawów, żeby miało to sens. – Wciąż nie patrzyła na Bena. – Zajrzę jeszcze do psów. Chyba że potrzebujesz pomocy z praniem.

– Nie, poradzę sobie. Dzięki.

– Nie ma za co – odpowiedziała niby wesoło, a potem chwyciła kurtkę i zniknęła za drzwiami.

ROZDZIAŁ 27



Omal go nie pocałowała.

Zaraz po tym, jak opowiedziała mu historię swego życia oraz wyznała, czego pragnie najbardziej na świecie.

Truchtem pokonała podjazd, wdzięczna za otrzeźwiający wieczorny chłód. Najwyraźniej nie miała wrodzonego talentu do tej całej gry w przyjaźń. A z początku tak dobrze jej szło! Gawędzili, sortowali choinkowe lampki, aż nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczęła zdradzać mu sekrety, którymi nie dzieliła się z nikim innym. Tak łatwo było zdobyć się przy nim na szczerość. Sama nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że może się przed nim otworzyć.

A potem na nią spojrział i świat jakby zaczął się poruszać w zwolnionym tempie; jakby coś połączyło ją z Benem i kazało być coraz bliżej. Jakby kolejnym etapem więzi, którą zbudowali, miał być pocałunek.

Boże, jak bardzo chciała to zrobić, ale on był przecież innego zdania. Mówił, że musi myśleć o Astrid. Astrid tu nie było, rzecz jasna, ale jednak...

Czy coś się zmieniło?

Gdy weszła do stodoły, jak zawsze rozległo się radosne szczekanie, choć nieco cichsze, bo w ciągu tygodnia ubyło kilka psów. Wiele czekało jeszcze na adopcję, ale plan, który nazwali „Na Święta przytul psa”, naprawdę działał. Ally była szczęśliwa, że tak się to wszystko potoczyło, mimo że brakowało jej wygłupów Galareta, wyczynów Harry, a nawet demolki w wykonaniu Biszkopta.

Zajrzała do szczeniaków, a potem ruszyła korytarzem między klatkami, poświęcając chwilę każdemu z czworonogów spragnionych towarzystwa. Gdy była z wizytą u Bażanta, który położył się na grzbiecie i rozłożył łapy, jak zwykle licząc na drapanie po brzuchu, znowu odezwał się chór psich głosów, a to oznaczało, że przyszedł Ben.

– Ally?

– Tu jestem – zawołała.

Bażant natychmiast zrezygnował z jej pieszczot, poderwał się z podłogi i pobiegł do swego posłania, skąd wrócił, niosąc w zębach ulubioną zabawkę – ofiarę dla swego bóstwa. Gdy tylko w drzwiach pojawił się Ben, buldog już na niego czekał z obślinioną piszczącą purpurową małpką w pysku. Piszczalka we wnętrzu zabawki już od dawna nie działała, ale Bażant najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Z oddaniem upuścił małpkę wprost na stopy Bena.

– Czarujące. – Ben ostrożnie odsunął zabawkę czubkiem buta.

– To dowód najprawdziwszej miłości. Przyniósł ci to, co ma najcenniejszego.

– On kocha wszystkich – odparł Ben, ale przykucnął, by potarosić aksamitne fałdy na ciele Bażanta.

– To prawda – przyznała Ally. Napelniła już wodą psią miskę i teraz porządkowała resztę drobiazgów w klatce. – Dlatego dziwię się, że jeszcze nikt go nie adoptował. Zawsze był moim ulubieńcem. Stary zaśliniony lowelas. Jest też ulubieńcem Astrid.

Uniesiona brew Bena świadczyła o tym, że nie da się podejść.

– A dlaczego sama go nie weźmiesz?

– Bo to śliska ścieżka. Obiecałam sobie, że nie będę próbowała sama ratować ich wszystkich.

Szybko mogłabym skończyć jako stara wariatka ze stadem psów.

Ben podrapał buldoga za uszami.

– Kuszająca perspektywa, co?

– Nawet nie wiesz jak bardzo. Raz już przegrałam walkę i mam Colby’ego. Miał zostać ze mną

tylko na chwilę, ale go pokochałam. I pewnie Astrid ma nadzieję, że z tobą będzie tak samo: jeśli spędzisz wśród psów dostatecznie dużo czasu, nie będziesz umiał się oprzeć.

– Tak, domyśliłem się. No cóż, czeka ją przykra niespodzianka. Jestem mistrzem w opieraniu się wszelkim pokusom.

Jego słowa, choć obciążone balastem dwuznaczności, zawisły w powietrzu między nimi.

Ally odchrząknęła, czując dziwne ciepło na policzkach.

– Włączyłeś nowe pranie?

– Tak. Dziękuję. Moi rodzice jednak będą mieli przyjemność przespać się w czystej pościeli.

Jego rodzice. Bezpieczny temat.

– To kiedy przyjeżdżają?

– Jutro po południu.

– Astrid pewnie nie może się doczekać.

– Owszem.

Ally spojrzała mu w oczy, nie słysząc w jego głosie zbyt wiele entuzjazmu.

– A ty się nie cieszysz?

– Cieszę się. A raczej: cieszyłbym się, gdybym nie miał dwutygodniowego opóźnienia w świątecznych przygotowaniach. – Potarł dłonią czoło. – Nie cierpię tej presji, gdy muszę znaleźć coś miłego dla każdego.

– No wiesz, nikt się nie obrazi, jeśli nie dostanie od ciebie idealnego prezentu. Święta nie powinny być stresujące.

Ben zaśmiał się cierpko.

– A jednak zawsze są. – Ally wyszła z klatki Bażanta i ruszyła w stronę Freda i Ginger, więc Ben podążył za nią. – Po prostu chciałbym, żeby wszystko wyszło idealnie. Żeby Astrid nie poczuła, że czegoś zabrakło. A ja nadal nie wiem, co jej kupić. Prosi mnie w kółko tylko o jedno.

– Więc mógłbyś jej to dać – zasugerowała ostrożnie Ally.

Gdy otworzyła drzwi klatki, Ben przyklęknął obok niej, wyciągając dłoń do pary jamników.

– Nadal tu są.

– Johnsonowie odbierają je jutro. Mamy też wniosek o adopcję Daisy. Mam nadzieję, że nie zostanie wycofany.

– Zatem piknik się udał.

– Nawet bardzo. – Ally spojrzała na niego raz jeszcze i wróciła do poprzedniego tematu.

– Astrid świetnie sobie radzi z psami, Ben. Uważam, że potrafiłaby zadbać o własnego.

– Wiem. Chodzi tylko o to, że nie mamy ogrodu. Miałem wyremontować dom, sprzedać go, przeprowadzić się do większego, z dużą działką, a potem pomyśleć o psie. Jak wiesz, jeszcze nie zrealizowałem tego planu. Ale faktem jest, że od ostatnich urodzin Astrid myśli wyłącznie o psach.

– I ma to sens – Fred popędził za piłeczką, którą rzuciła mu Ally – skoro rodzice jej obiecali, że dostanie psa, gdy skończy dziesięć lat.

Dłoń Bena znieruchomiała za uszami Ginger.

– Co powiedziałaś?

Ally uniosła głowę i widząc zdumienie malujące się na jego twarzy, poczuła, że serce jej zamiera.

– Nie mówiła ci? Och, Ben, tak mi przykro...

– Katie i Paul obiecali jej psa?

– Gdy skończy dziesięć lat. Widocznie uznali, że wtedy będzie dostatecznie duża, żeby się nim opiekować.

Ben aż usiadł z wrażenia. Wyczuwając jego przygnębienie, Ginger wskoczyła mu na kolana i zaczęła delikatnie lizać po palcach.

– Dlaczego milczała? Dlaczego uważa, że nie może mi o tym powiedzieć?

– Pewnie nie chciała cię denerwować. – Za to ja robię to z powodzeniem, bo mam za długi jęzor.

– Nie chcę, żeby myślała, że nie może rozmawiać ze mną o Katie i Paulu. Już i tak tyle straciła...

– Ben. – Ally zbliżyła się do niego na kolanach. – W Święta zawsze będzie czuła, że czegoś jej brakuje, bo straciła rodziców, ale to nie oznacza, że jest nieszczęśliwa. Nie oznacza to też, że jesteś złym opiekunem. Jakąś częścią siebie zawsze będzie za nimi tęskniła, pozostanie odrobinę smutniejsza, ale cię kocha. Myślę, że w pewien sposób stara się chronić ciebie tak, jak ty chronisz ją. Cudna z niej dziewczynka.

– To prawda. – Ben spojrzał w oczy Ally z odległości kilku cali.

Po raz drugi tego wieczoru powietrze wydawało się ciężkie od wyznań, na które się zdobyli. I od słów, które jeszcze nie padły.

– Dziękuję – wyszeptał. – Odkąd tu jesteś...

– Ja przecież nic... – Jej protest ucichł, gdy Ben spojrzał na jej wargi.

– Owszem, tak.

W półmroku stodoły jego źrenice wydawały się dwukrotnie większe. Byli przyjaciółmi, to oczywiste, ale teraz działo się coś więcej: tańczyli na linie i ledwie cal dzielił ich od upadku, którym był pocałunek. Gdyby tylko pozwoliła, żeby tak się stało...

Ben nachylił się nieco ku niej. Patrzyła na jego usta, na stale zmniejszający się dystans. Poruszał się tak wolno, że bez trudu mogła go powstrzymać, ale to było ostatnią rzeczą, której teraz pragnęła. Wielka dłoń otuliła jej policzek. W ostatnim ułamku sekundy Ally przymknęła powieki, a zaraz potem poczuła muśnięcie jego warg.

Jeszcze niedawno się zastanawiała, czy utknęli w Strefie Przyjaźni, bo nie ma między nimi chemii. Czy w ogóle coś by poczuła, gdyby ją pocałował.

Teraz już wiedziała, że z chemią nie będzie najmniejszego problemu.

Po pierwszym sondującym muśnięciu Ben westchnął cicho, a potem przechylił głowę i pocałował mocniej. Ally też nachyliła się ku niemu i utrzymała równowagę tylko dlatego, że przyciskała usta do jego ust i jedną ręką trzymała go za sweter. Czuła na skórze miękki dotyk jego brody budzący do życia każdą komórkę jej ciała. Otoczył ją ramieniem...

I wtedy drobne łapki zaczęły drapać jej udo, a małe szorstkie języki lizać dłoń, którą oparła na ramieniu Bena.

Oddalili się od siebie, a na ustach Bena pojawił się lekki uśmiech na widok pary jamników, które próbowały się na nich wspiąć. Ally, lekko pijana radością, też nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Może powinniśmy... – Kiwnęła głową w stronę domu.

– Dobry pomysł. – Ben wstał i podał jej rękę.

Gdy się podnosiła, Maximus zaskomlał w sąsiedniej klatce, ale nawet nie spojrzała w jego stronę...

Póki nie dotarł do niej odór.

– Faj – jęknęła, próbując nie oddychać. – Maximus!

– Rany – zawtórował jej Ben, zasłaniając dłonią nos i usta.

Czar chwili oficjalnie przysł. Ally pospieszyła ku drzwiom, by uciec przed naturalnym gazem łązawiącym.

– Ma moc.

– Nikt jeszcze się nim nie zainteresował? – spytał Ben przez palce, również ewakuując się ze strefy zagrożenia. Drugą ręką chwycił dłoń Ally.

Bardzo się starała nie poszybować pod chmury. Tylko spokojnie, Gilmore.

– Na razie nie. Ale skoro zaprezentowałeś go w biuletynie, to może ktoś się zgłosi.

– Trzeba przyznać, że akcja jest skuteczna – zauważył, wskazując na pustą klatkę, którą właśnie mijali.

– Fakt. Ale przed nami jeszcze sporo pracy. I wciąż nie wiem, co począć z Dolce i jej szczeniakami. Bunia próbuje namówić dziadka, żeby zgodził się ją zatrzymać, ale szczeniakom trzeba

będzie znaleźć nowych właścicieli, gdy tylko przestaną ssać.

– Ile ich mamy?

– Astrid ci nie mówiła? Ma kompletnego bzika na ich punkcie, uwielbia zwłaszcza małą Lulu. Mammy czwórkę: trzech chłopaków i dziewczynkę. Ależ słodkie z nich maluchy, pyszczki mają jak z gąbki. Kimber zaklepała sobie jednego z psiaków, ale resztę trzeba będzie zareklamować na stronie internetowej i na Petfinderze. O ile wiem, w Pine Hollow nie będzie więcej świątecznych imprez, na które moglibyśmy się wcisnąć z psami i poszukać chętnych do adopcji.

Przystanęli u drzwi stodoły i Ben puścił dłoń Ally, żeby mogła włożyć kurtkę, którą zostawiła na haczyku.

– Będą jeszcze jasełka, jak zawsze – przypomniał sobie Ben, siłując się z własną kurtką.

– Co takiego?

– Wigilijne jasełka. Nie powiesz mi chyba, że dziadkowie nigdy cię nie zabrali.

– Powiem.

– To zdecydowanie nietradycyjna impreza – wyjaśnił Ben. – Na wpół bożonarodzeniowe przedstawienie, na wpół konkurs talentów, z kulminacją w postaci scenki w szopce. Co roku jest dziwniejsza, więc nie przypuszczam, żeby ktoś był szczególnie zaskoczony, gdy zobaczy tam psy. Porozmawiam z komitetem organizacyjnym, może uda się wcisnąć do programu psiaki, które nam jeszcze zostały.

– Byłoby super.

Z kieszeni Bena dobiegły złowieszcze tony muzyki ze *Szczęk*. Jęknął, sięgając po telefon.

– Wybacz. Wyciszyłbym, ale chciałem być dostępny dla Astrid.

– Wybrałeś *Szczęki* na dzwonek w telefonie?

– Tylko dla powiadomień o e-mailach od rady miejskiej.

– Serio?

– A potrafisz sobie wyobrazić lepszy zwiastun nieszczęścia? *Marsz imperialny z Gwiezdnych wojen* jest za długi.

Ally spojrzała na niego przenikliwie, a potem przygasiła światła w klatkach. Psy układały się już do snu.

– Wiesz co? Nie jestem pewna, czy aż tak nienawidzisz obowiązków radnego, jak próbujesz to wszystkim wmówić.

– Pewnie, że nie. Nienawidzę ich jeszcze bardziej.

– Nie... – Pokręciła głową. – Mogłeś przecież zrezygnować, a tego nie zrobiłeś.

– Bo jestem zbyt uparty. – Ben otworzył przed nią drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca, wciąż kręcąc głową.

– Nieprawda. Uważam, że po prostu lubisz pomagać. Że w skrytości ducha, drogi Ebenezerze, jesteś do rany przyłoż. Ludzie gadają to i owo. Na przykład o inicjatywach, które udało ci się zrealizować. O programach w świetlicy...

– Nie mogę przez cały boży dzień zamykać schronisk i niszczyć ludzkich marzeń.

Roześmiała się i wyszła w zimowy chłód nocy, ale zaraz się odwróciła i zahaczyła palcem o kołnierz jego kurtki.

– Możesz sobie udawać mruka, ile tylko zechcesz. Ja widzę prawdziwego Bena Westa.

Spojrzał jej w oczy i znowu coś ożyło – te iskry, które od początku czały się między nimi, tylko czekając na okazję, by zapłonąć.

– A ja widzę ciebie – odparł.

Mroźne powietrze sprawiło, że tym wyraźniej czuła, jak gorąca krew napływa jej do twarzy. Ben znowu patrzył na jej wargi, ale ona śledziła jego oczy, pozwalając, by znowu skrócił dystans. Lekko rozchylił usta i przymknął powieki...

I wtedy omiótł ich snop światła. Ben w pośpiechu cofnął się o krok, a Ally omal nie jęknęła w głos.

– To pewnie dziadkowie. – Dobrze, że nie nakryli nas całujących się na podjeździe, pomyślała.

To coś, co zaistniało między nią a Benem – czymkolwiek było – z pewnością nie oparłoby się jeszcze fali plotek, która przetoczyłaby się przez Pine Hollow.

Subaru dziadków toczyło się niespiesznie w górę podjazdu.

– Ben! – zawołała radośnie Bunia, gdy w końcu wysiedli. – Co za niespodzianka!

– Pralka mu wysiadła, więc zaproponowałam, żeby skorzystał z naszej – wyjaśniła Ally, czekając, aż podejda bliżej.

– I bardzo słusznie. – Hal poklepał Bena po ramieniu, przystając obok ganku. Ben trzymał bezpieczny dystans od Ally i wydawało się, że dziadkowie nie zauważyli panującego między nimi napięcia. – Nasza pralka jest twoją pralką. Masz ochotę na placek z owocami? Rita wygrała akurat to ciasto, którego nie znoszę.

Dziadek lekko popchnął Bena w stronę drzwi, a Bunia wyciągnęła rękę do wnuczki.

– Ally, dziewczyno, chodźże wreszcie. Zimno tu.



Niemal dwie godziny później Ally pomogła Benowi zanieść do samochodu kosze czystego, poskładanego już prania. Dziadkowie poszli spać – dopilnowawszy, żeby młodzi najedli się ciasta – lecz Ally i Ben nie wspomnieli ani słowem o pocałunku. Przez dłuższą chwilę wspólnie składali pranie, ale dzielący ich dystans rósł z każdą sekundą, a milczenie było coraz bardziej przygnębiające.

Ben żałował pocałunku. Czuła to.

Wreszcie ustawiła ostatni kosz obok pozostałych na tylnym siedzeniu wozu i wycofała się, krzyżując ramiona na piersi. Nie włożyła kurtki, więc mogła udawać, że defensywna postawa to skutek chłodu, a nie lęku.

– Zatem...

Ben popatrzył jej w oczy.

– Zatem.

Lubiła go. Naprawdę go lubiła. Ale jeśli żałował tego pocałunku, jeśli to był tylko impuls wynikający z osamotnienia, była w stanie to zrozumieć. Miała nadzieję, że tak nie jest, ale to milczenie Bena...

– Nie mogę... – powiedział cicho, choć byli całkiem sami pośrodku podjazdu. – Chyba nie rozumiałem, jak bardzo Astrid przeżyła odejście Isabelle. Nie spodziewałem się, że będzie winić siebie. I teraz... – Urwał i odchrząknął, a Ally czekała, lękając się, że zna dalszy ciąg. – Muszę być ostrożny. Astrid już się do ciebie przywiązała. Nie może być tak, że... Lubię cię, Ally, tylko...

Tylko żałujesz.

– Rozumiem. Nie chcesz...

– Nie chcę żadnych nieporozumień. Właśnie. Wszystko musi być między nami jasne. To miasto żyje plotkami, a ty jeszcze nie jesteś pewna, czy zostaniesz. Chyba będzie najlepiej, jeśli nikt się nie dowie, że my... bo jeśli my nie...

– Jasne. Oczywiście.

Ben był niepocieszony.

– Bardzo mi przykro. Nie powinienem...

– Przestań, nie wygłupiaj się. Ja naprawdę rozumiem.

Nie podobało jej się to, ale rzeczywiście rozumiała. Ben jak zawsze starał się robić to, co najlepsze dla Astrid. A przecież Ally nie mogła przewidzieć, czy ujawnienie ich związku nie byłoby dla małej bolesne. Mogło być, dopóki przyszłość wydawała się tak niepewna. A niepewne było nawet to, co Ally zamierza zrobić ze swoim życiem po zamknięciu schroniska.

Tylko że cichy głos w jej głowie miał coś innego do powiedzenia: gdyby Ben rzeczywiście jej pragnął, nic nie miałyby znaczenia. Gdyby chciał pofrunąć razem z nią, nie wahałby się i nie myślał o konsekwencjach. Ruszyłby naprzód z szeroko otwartym sercem... ale on tego nie czuł. A przecież

nie można zakochać się w pojedynkę.

– Przyjaciele? – spytał, rozkładając ramiona.

– Naturalnie. – Przytuliła go, ale niezbyt mocno, starając się nie poczuć jego zapachu. Po przyjacielsku.

Przyjaźń przecież nie jest zła. Lubili się. To było coś, nawet jeśli czuła dziwny ból w piersi.

Przyjaźń nie jest zła.

ROZDZIAŁ 28



Ben spędził kolejne dwadzieścia cztery godziny głównie na przekonywaniu samego siebie, że podjął słuszną decyzję. Porozmawiał z Ally. Zgodzili się, że trzeba wrócić do Strefy Przyjaźni. Bo właśnie tam powinni pozostać.

Po południu pojechał z Astrid na lotnisko w Burlington, żeby odebrać rodziców, starając się po drodze – naturalnie bez skutku – unikać rozmowy na temat schroniska.

Gdy wracali, zaczął prószyć śnieg, więc mieli dogodny pretekst, by zaszyć się w domu na resztę wieczoru i z ciepłego wnętrza przyglądać się, jak biały puch okrywa miasteczko. Rankiem, gdy ojciec usmażył naleśniki, Astrid rozgadała się na dobre: opowiadała o schronisku i o Ally tak długo, aż rodzice zaczęli spoglądać na Bena podejrzliwie i wreszcie zaproponowali wspólną wycieczkę do „Kosmatych Przyjaciół”. Jako że padało przez całą noc i ulice przykryła co najmniej czternastocalowa warstwa śniegu, Ben miał powód, by uciec na podjazd. Odśnieżając, próbował oczyścić umysł.

Chciał napisać do Ally, ponarzekać na frustrujące strony posiadania rodziny oraz na to cholerne miasteczko, które i tak już o nich plotkowało, lecz przecież nie mógł tego zrobić.

Nie, nie żałował pocałunku. Po prostu nie chciał, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wiedział, że gdy tylko czcigodni współobywatele dowiedzą się o nim i Ally, zaczną się jazda, a mówiąc ściślej, powódź plotek porwie ich z mocą pociągu towarowego mknącego bez maszynisty. Musiał przecież myśleć o Astrid, czyż nie? Ally nie była pewna, czy zostanie w Pine Hollow, więc należało kierować się rozsądkiem. Lecz skoro tak, to dlaczego decyzja o utrzymaniu zdrowego dystansu tak bardzo go uwierała?

Nie potrzebował wiele czasu, by odgarnąć śnieg z chodnika i obu podjazdów – własnego oraz pani Fincher. Właśnie kończył, gdy zadzwonił telefon.

Wbił szuflę w hałdę śniegu, zdjął rękawiczki i w pośpiechu rozpiął zamek kurtki, żeby wyjąć telefon z wewnętrznej kieszeni, zanim umilknie sygnał. Nawet nie myślał o tym, że podświadomie spodziewa się zobaczyć imię Ally na wyświetlaczu, póki nie przekonał się, że dzwoni Deenie.

Zmarszczył brwi, ale odebrał, zanim włączyła się poczta głosowa.

– Halo?

– Czy miasto ma odśnieżarkę?

Ben parsknął z irytacją.

– Ja też cię witam.

Westchnienie Deenie zabrzmiało nader dramatycznie.

– No cześć, cześć. Wesołych Świąt, bla, bla. Czy miasto ma odśnieżarkę?

– Ma. Do odśnieżania chodników i rynku, gdzie nie można wjeżdżać pługiem.

– A mógłbyś posłać kogoś z odśnieżarką do „Kosmatych Przyjaciół”? Zasypało Ally.

Ben znów zmarszczył brwi, opierając się na trzonku szufli.

– Obowiązuje grafik, a jako że spadło sporo śniegu, pewnie zejdzie cały dzień, zanim sprzęt będzie wolny. Coś nie tak z odśnieżarką Gilmore’ów?

– Zdaje się, że padła – odrzekła Deenie. – Zadzwoniłam rano, żeby spytać, o której otwierają, a Ally odpowiedziała, że chyba w ogóle nie otworzą, bo szlag trafił odśnieżarkę, a żadna firma nie ma wolnego pługu. Pewnie skończy się na tym, że będą oglądać *To wspaniałe życie* i wcinać placek z owocami do jutra, aż ktoś ich odkopie. Sęk w tym, że do Świąt zostało parę dni, a moim zdaniem to najlepszy czas na organizowanie adopcji dla psów. Pomyślałam więc, że miasto mogłoby pomóc.

Ben nie mógł tak po prostu zarekwirować miejskiego sprzętu, a odśnieżanie podjazdu Gilmore’ów szuflą nie wchodziło w rachubę. Przed domem Katie i Paula ledwie mieścił się samochód,

za to u Ally trzeba było oczyścić alejkę długą jak pół boiska futbolowego.

Umówili się, że będą przyjaciółmi, a przyjaciele muszą sobie pomagać, czyż nie?

– Nie mam odśnieżarki, ale znam kogoś, kto ma. Oddzwonię.

Deenie obiecała, że i ona będzie dalej próbować, a chwilę później Ben schował telefon do kieszeni.

Odłożył szuflę do małego garażu – tak zagraconego narzędziami ogrodowymi, że brakowało w nim miejsca na samochód – i pobiegł do domu, po drodze otrzepując śnieg z rękawiczek. W jego głowie pomału rodził się plan. Przyjacielski. Plan, który byłby skłonny zrealizować dla każdego znajomego zaskoczono nocnym opadem śniegu.

Pchnął drzwi frontowe i ostukał buty o ościeżnicę, ale nie zdjął ich, tylko wbiegł do środka.

W drzwiach kuchni stanęła matka.

– Szybko ci poszło. Astrid właśnie nam opowiadała o brownie, które przygotowaliście na festyn bożonarodzeniowy. Możemy wam trochę upiec, jeśli chcecie.

– Świetna myśl. A moglibyście zostać jakiś czas z Astrid? Muszę załatwić coś pilnego.

Zaskoczona matka zatrzepotała powiekami.

– Oczywiście. Z przyjemnością.

– Super. Dzięki, bawcie się dobrze. – To rzekłszy, Ben chwycił klucze i zniknął za drzwiami.

Matka zamknęła usta, dopiero gdy dobiegał do samochodu.



Nawet nie zadzwonił do drzwi, znał drogę. Po prostu wszedł to przestronnego oszklonego holu i przemierzył niepokojąco cichy pokój, kierując się wprost do biura na tyłach domu. Wiedział, że właśnie tam zostanie właściciela pochylonego nad klawiaturą komputera.

– Nie wiem, czy słyszałeś, ale podobno niektórzy biorą wolne w okolicy Świąt – odezwał się, stając na progu gabinetu.

– Jezu! – wyrwało się Connorowi. Omal nie zerwał się na równe nogi. – Co tu robisz, u licha?!

Ben się uśmiechnął, równie rozbawiony jak za pierwszym razem, gdy zaczęli z Levim i Makiem regularnie straszyć Connora, żeby wyrwać go z melancholii po rozstaniu z Monicą.

– Gdybyś miał psa, nikt by cię tak nie podszedł.

– Większość ludzi puka, zanim wejdzie. – Connor wstał i położył rękę na oparciu krzesła. – To co tu robisz?

– Mówiłeś, że pożyczysz mi odśnieżarkę, gdy będę jej potrzebował.

– Owszem, chociaż nie spodziewałem się, że skorzystasz. Ty nigdy nikogo o nic nie prosisz.

Ben odepchnął się ramieniem od ościeżnicy.

– Nie muszę pożyczać od ciebie. Mogę pójść do...

– Nie. Przyniosę ci kluczyki. – Connor wyminął go i skręcił do kuchni. Ben wykorzystał chwilę, by wysłać wiadomość do Deenie. – A właściwie po co ci odśnieżarka? Macie maleńki podjazd. Zaczęłaś odśnieżać dla miasta?

– Coś w tym guście. – Widząc spojrzenie Connora, Ben wcisnął telefon do kieszeni i wyjaśnił:

– Zasypała Ally, więc pojedę jej pomóc.

Connor zamarł z kluczykiem do odśnieżarki w dłoni.

– Ally, tak?

– Nie zaczynaj. Staram się być dobrym sąsiadem.

– A wiesz co? Ja też nim jestem. Może pomogę? Świeta idą, chwila urlopu mi nie zaszkodzi.

Sam mówiłeś. Pora rzucić okiem na tę laskę od schroniska, o której wszyscy gadają.

– Albo zostać w domu.

– A co w tym zabawnego?

– Jeśli pojawisz się w schronisku, poszczuję cię Gilmore'ami i wyjdiesz stamtąd z psem.

Connor przewrócił oczami.

– Nie dasz mi spokoju z tą adopcją, co?

– Trudno się wyrzec pomysłu, gdy już trafi się taki dobry jak ten. – Cała ta gadanina o psie dla Connora wcale nie była żartem. Wprawdzie nie rozmawiali o tym, ale odkąd Monica odeszła, Connor był nie do życia: stracił poczucie humoru i o wiele za dużo czasu spędzał w domowym biurze. Ben był skłonny wypróbować każdy sposób, by przywrócić przyjaciela do świata żywych, nawet namówić go na psa.

Connor prychnął i rzucił mu kluczyk.

– Zamierzam tylko obejrzeć sobie tę dziewczynę, na którą podobno wcale nie lecisz.

– Jak uważasz.

W kieszeni Bena znowu zadzwonił telefon. Wiadomość zwrotna od Deenie była pełna wykrzykników. Uśmiechnął się i spoglądając na Connora, zakręcił kółkiem od kluczyka wokół palca.

– A masz jeszcze tamtą drabinę?

– Co to za podjazd, że potrzebujesz drabiny? – zdumiał się Connor.

– Dlaczego miałbym poprzestać na podjeździe?

ROZDZIAŁ 29



George Bailey pędził przez Bedford Falls, wykrzykując imiona najbliższych, a dziadek chrapał w fotelu przed telewizorem z Miedziakiem zwiniętym w kłębek na kolanach. Bunia mruzczała coś do siebie, raz za razem przemykając przez pokój jak tańczący derwisz, a raczej jak kobieta z bliżej nieokreśloną świąteczną misją. Ally siedziała na podłodze, zajęta pakowaniem prezentu dla Deenie, i jednym okiem zerknęła na telewizor, a jednym uchem nasłuchiwała chrapania Colby’ego, które osobliwie zsynchronizowało się z dziadkowym. Nie był to najgorszy sposób na spędzenie grudniowego popołudnia.

Od strony stodoły dobiegło naraz ujadanie psów. Colby przestał chrapać, uniósł wielki łeb i ziewnął potężnie, zanim z westchnieniem opadł znowu na posłanie. Dziadek poruszył się w fotelu, mruknął coś i podrapał Miedziaka po brzuchu, jakby chciał tym sposobem zamaskować fakt, iż przespał pół filmu. *To cudowne życie* zastąpiły reklamy, a szczekanie dobiegające ze stodoły było coraz bardziej natarczywe.

– O co im chodzi? – wymamrotała Ally, wstając.

– Pewnie zwęszyły łośia – skomentował dziadek, ale nie ruszył się z fotela.

– Możliwe – zgodziła się.

Zwykle takie szczekanie oznaczało, że ktoś odwiedził schronisko, ale gruba warstwa świeżego śniegu raczej nie zachęcała do wizyt. Pług śnieżny z jednej z lokalnych firm miał przetrzeć szlak dopiero nazajutrz po południu.

Jako że dziadek mógł mieć rację – a niespodziewanym gościem mógł być nie tylko łoś, ale i niedźwiedź – Ally zahaczyła po drodze o kuchnię, żeby chwycić garnek i metalową chochlę. Miała nadzieję, że w razie potrzeby hałas przepłoszy intruza, ale niezbyt wielką, skoro nie przepłoszyło go ujadanie psów.

Włożyła wysokie buty, narzuciła kurtkę i wtedy usłyszała coś, co przypominało szum łopat nadlatującego śmigłowca. Warkot silnika był coraz bliższy i głośniejszy.

Wyszła na ganek i rozdziawiła usta w zaskoczeniu.

To nie był śmigłowiec.

Odśnieżarka na kółkach toczyła się po podjeździe, wysokim białym łukiem wyrzucając na lewo zgarnięty śnieg. Przez tę śniegową chmurę nie widziała, kto ją prowadzi. Nieco dalej, przy stodole, dostrzegła natomiast Deenie stojącą po kolana w śniegu i dyrygującą małą armią mieszkańców miasteczka uzbrojonych w szufle. Były wśród nich Astrid, Kimber, Elinor i dwie rodziny, które w ciągu ostatnich trzech tygodni adoptowały psy.

Ally była wykończona po porannym odśnieżeniu wąziutkiej ścieżki między domem a schroniskiem – dzięki niej mogła oporządzić psy – ale teraz do pracy paliło się tuzin rąk, więc ścieżka i placyk przed drzwiami stodoły szybko się poszerzały. Kolejna grupa ochotników z drabinami właśnie rozwieszała pod krawędzią dachu sznury lampek w kształcie sopli.

Ally poczuła, że ktoś przy niej staje. Bunia wyszła na ganek bez kurtki.

– To twoja robota? Po to biegałaś po domu przez pół dnia?

– Nic podobnego – odparła babcia.

Dziadek przystanął obok i zarzucił jej na ramiona puchową kurtkę. Spojrzał ponad ramieniem Ally i skinął głową.

– Obstawiam, że to on.

Ally odwróciła się w stronę odśnieżarki, która właśnie zawróciła, dzięki czemu fontanna śniegu już nie zasłaniała kierowcy. Ben rozpoczął drugi kurs, wydatnie poszerzając oczyszczoną połać

podjazdu. Po chwili uniósł głowę znad kierownicy i uśmiechnął się szeroko, a gdy pomachał im na powitanie, Ally poczuła, że topnieje jej serce.

Sprowadził na pomoc kawalerię.

Gdy podjechał bliżej, wyłączył hałaśliwy silnik i zeskoczył prosto w głęboki śnieg.

– Słyszałem, że was zasypało – zawołał, idąc w stronę domu i zamaszystymi krokami rozrzucając biały puch.

Ally zbiegła po stopniach i ponieważ przypomniała sobie, że wciąż trzyma w rękach garnek i chochlę.

– Gotujesz?

– Myślałam, że to łoś – odpowiedziała machinalnie.

Ben pokiwał głową, zdjął czapkę i strząsnął z niej śnieg.

– Ludzie często nas mylą.

Roześmiała się głośno i szczerze.

– Jak ty to... przecież miałeś spędzić dzień z rodzicami.

– Już tu są – zapewnił ją i kiwnął głową w kierunku pary w zimowych strojach, zajętej sortowaniem lampek dla tych, którzy stojąc na drabinach, zawieszali je pod dachem stodoły. – Deenie do mnie zadzwoniła.

– Nie do wiary, że zorganizowałeś to wszystko.

– Gratulacje należą się Deenie, to jej pomysł. No, nie licząc światełek, to akurat moja sprawa.

A teraz, jeśli pozwolisz – dodał, wkładając na powrót czapkę – mam robotę do skończenia.

Wrócił do odśnieżarki, zasiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Ally odprowadziła go wzrokiem, a potem jeszcze raz spojrzała na mieszkańców Pine Hollow, którzy przyszli im z pomocą. Dziadkowie już wrócili do domu – pewnie po to, żeby włożyć ciepłe ubrania i dołączyć do nich – ale ona wciąż stała na podjeździe, choć z każdą sekundą grabiły jej palce zaciśnięte na uchu garnka i chochli.

To było to. Właśnie tego pragnęła. Być częścią solidarnej społeczności.

Gdy umarli jej rodzice, stworzyła wokół siebie ochronną bańkę, dystansując się od świata, bo bała się, że znowu zostanie zraniona, jeśli zbyt blisko zbliży się do ludzi. Mama i tata byli całym jej światem, gdy ich straciła, utraciła też część siebie.

To nie Nowy Jork był przyczyną jej osamotnienia. Nie były nią też ciężka praca i niekończące się podróże. Przyczyna tkwiła w niej. To dlatego sam powrót do Pine Hollow nie okazał się magicznym lekarstwem na jej samotność. Przyjechała tu i wciąż trwała w swojej bańce. Do nikogo nie wyciągała ręki, żeby się przekonać, kto też wyciągnie swoją dłoń. Ukrywała się. Za schroniskiem dla psów. Za dziadkami. Za aparatem fotograficznym.

I tylko przy Benie nie musiała się niczego obawiać. A potem poznała Deenie i z wolna wszystko się odmieniło. Miasteczko ją zauważyło, więc już nie musiała się kryć. W końcu znalazła się tam, gdzie przynależała.

Rozpromieniona Deenie podbiegła do niej po śniegu.

– Tego się nie spodziewałaś, co? Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę. Uwielbiam niespodzianki!

Ally odpowiedziała uśmiechem.

– Wypada mi przyznać, że niespodzianka się udała – odrzekła, unosząc garnek i chochlę.

– Wysłałam z domu, żeby przepłoszyć łośa.

Deenie parsknęła śmiechem.

– Skarbie, na łośa przydałoby ci się coś znacznie większego. – Wbiegła na ganek, energicznie otrzepując buty na schodkach. – Widziałas już, że mamy chętnego na Jo-Jo?

Ally posmutniała. Jeden z seniorów z Summerland wręcz zakochał się w małej Jo-Jo. Nie wiedziała, jak przekazać tę wieść Deenie, a zapomniała, że dała jej dostęp do konta e-mailowego schroniska.

– Widziałam. Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Chcę, żeby trafiła do dobrego domu, skoro sama nie mogę jej zatrzymać.

Ally życzyła jej z całego serca, żeby kiedyś w końcu mogła zaopiekować się jakimś pieskiem, bo aż nadto dobrze rozumiała, jak to jest, gdy się pragnie czegoś, czego nie można mieć. I nie chodziło jedynie o Bena. Nie mieli szczęścia do grantów, nie znaleźli alternatywnego źródła finansowania, a wszystko wskazywało na to, że każdy pies wkrótce znajdzie nowy dom. To oznaczało, że schronisko zostanie zamknięte. A co to oznaczało dla niej? Tak się przejmowała losem zwierząt, że do niedawna prawie nie myślała o własnej przyszłości, lecz teraz był to jej największy problem. Chciała tu zostać, ale z czego miałyby żyć w Pine Hollow?

– Gotujesz? – spytała Elinor, stając przy balustradzie.

Harry najwyraźniej miała inne plany, bo próbowała zerwać się ze smyczy.

Ally poczerwieniała, wciąż trzymała w rękach garnki i chochlę. Wskoczyła na chwilę do domu, żeby pozbyć się rekwizytów, a w tym czasie Deenie wyjaśniła sytuację. Gdy wróciła, Elinor była już na ganku, a Harry siedziała przy jej nodze, ale zerwała się, gdy tylko ujrzała Ally.

– Zdomowiała się już? – spytała dziewczyna, kucając, by przywitać australijkę, która nie posiadała się z radości.

– Tak. Myślę jednak, że będę musiała zabrać ją do Burlington na szkolenie. Jest najśladszym psem świata i mistrzynią przytulania, ale nie byłam przygotowana na jej kunszt w dziedzinie ucieczek. Będę musiała znaleźć jej jakąś rozrywkę, żeby nie miała zwariowanych pomysłów, gdy jestem w pracy. Coś wymyślimy.

Silnik odśnieżarki znowu umilkł i Ally odwróciła się odruchowo, szukając wzrokiem Bena, który właśnie zeskoczył na podjazd, by powitać wysokiego mężczyznę w świetnie skrojonym zimowym płaszczu i poklepać go po plecach. Zaraz potem wskazał na ganek i razem ruszyli w stronę kobiet. Ally wstała.

– Nadal jest w fazie wyparcia? – spytała półgłosem Elinor, nachylając się ku Deenie.

– Na to wygląda – odszepnęła tamta.

Ally uciszyła je syknięciem. Dopiero teraz rozpoznała Connora, owego pyskatego, kumpla Bena od pokera, którego poznała podczas ceremonii włączenia iluminacji.

– Hej! – zawołał Ben, gdy doszli do schodków. – Connor się zastanawia, czy nie adoptować psa. Chciałby poznać Maximusa.

– Maximusa? – powtórzyła Deenie, zanim Ally zdążyła otworzyć usta. Sceptycznym spojrzeniem omiotła drogie skórzane rękawiczki Connora i jego doskonale wypolerowane buty. – To kawał psiska.

Connor równie sceptycznie popatrzył na jej twarz obsypaną brokatem i jaskraworóżowe nauszники.

– Sugerujesz, że sobie nie poradzę?

Deenie uśmiechnęła się słodko i bez mrugnienia okiem odrzekła:

– Tak.

Ally postanowiła działać, zanim dziewczyna spłoszy chętnego.

– Chodźmy, zaprowadzę cię do niego.

– Nie, ja to zrobię – wtrąciła prędko Deenie i zeskoczyła z ganku. – Idziemy, Princeton.

– Studiowałem w Yale, jeśli chodzi o ścisłość – sprostował Connor i razem pomaszzerowali w stronę stodoły. – Skoro już uważasz, że jestem snobem, przynajmniej trzymaj się faktów.

– Powinam ich dopilnować? – spytała Ally, spoglądając na nich z niepokojem.

– Poradzą sobie – zapewnił ją Ben. – Deenie jest twarda.

– Nie o nią bym się martwiła – skomentowała drwiąco Elinor, po czym spojrzała gdzieś ponad ramieniem Ally. – O rany, zdaje się, że ekipa przy stodole nie da sobie rady bez mojego legendarnego talentu do rozplątywania kabli. Bawcie się dobrze – dodała i zbiegła z Harry po stopniach, zostawiając Ally i Bena samych.

O ile, rzecz jasna, naprawdę byli sami, stojąc na ganku na oczach tyłu ludzi.

Podjazd był już wolny od śniegu, a także od samochodów, bo wszyscy zaparkowali na ulicy, by

zrobić odśnieżarce miejsce do manewrowania. Ścieżki wokół stodoły w szybkim tempie wyłaniały się spod białej okrywy, a wśród szuflujących ubyto dzieci – zapewne były już w środku i bawiły się z psami. Kilkoro dorosłych przystanęło przy wieszających lampki, aby udzielać nieproszonych rad tym, którzy pracowali na drabinach. Dziadkowie Ally także dołączyli do kibiców, uśmiechali się i gawędzili z sąsiadami.

– Nie masz nic przeciwko? – spytał Ben, stając przy niej za balustradą. – Bo w gruncie rzeczy wtargnęliśmy tu bez zaproszenia.

– Przeciwno? – powtórzyła Ally, patrząc mu w oczy. Śnieg wydmuchnięty przez odśnieżarkę nadal okrywał jego ramiona i z wolna topniał na rżesach i brodzie, przez co wydawały się jeszcze ciemniejsze. – Czuję się jak George Bailey.

– Nie rozumiem – przyznał Ben.

– Właśnie oglądaliśmy *To wspiane życie*. Wiem, że zabrzmi to cukierkowo, ale czuję się dokładnie tak jak George Bailey, gdy całe miasto pospieszyło mu z pomocą, by uratować oszczędności i spłacić pożyczkę.

– Nie gniewaj się, ale prawie nie pamiętam tego filmu.

– Poważnie? – pisnęła. – Przecież to świąteczny klasyk.

Pokręcił głową.

– Pamiętam tylko coś o chwytności księżycy na lasso.

Ally się uśmiechnęła. Była prawie pewna, że ściągnęłaby go dla niej, gdyby zechciała.

– Skoro tak, to wiedz, że zapamiętałaś całkiem niezły moment.

Jedna z drabin przy stodole zachwiała się i stojący wokół niej najpierw krzyknęli ostrzegawczo, a potem rzucili się, by ją ustabilizować. Ben spiął się na chwilę i zaraz odprężył.

– A jakie są twoje ulubione świąteczne filmy? – spytała, żeby znowu nie zaczął się martwić resztą świata.

– Astrid uwielbia *Elfa* – odparł, nie odrywając wzroku od wieszających lampki.

– Pytałam o twoje. – Miała wrażenie, że Ben zamarł. – Wiesz, że nie zawsze musisz myśleć tylko o niej?

– To odruch – przyznał, a po krótkiej pauzie dodał: – *Wigilijny show*.

Roześmiała się, zaskoczona.

– Z Billem Murrayem?

– Tak. I *Szklana pułapka*. To są moje najprawdziwsze świąteczne klasyki.

Nie mogła przestać chichotać.

– Jakiś ty sentymentalny.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Taki ze mnie pocziwina.

– Zauważyłam.

Spoglądał na nią z góry z błyskiem w oczach, a świat wokół nich jakby znowu się rozmazał. Oddech Ally stał się szybki i płytki, bo znowu miała wizję tego, co mogłoby się wydarzyć. Tę samą wizję, którą budowała nieświadomie od pierwszej chwili, gdy go ujrzała.

– Ben... – szepnęła.

Lecz właśnie gdy nachylała się ku niemu, gdy już unosiła rękę, żeby położyć dłoń na jego ośnieżonym ramieniu, od strony stodoły dobiegł triumfalny okrzyk. Ben odwrócił się i zobaczył sznury światełek w kształcie sopli wiszące dumnie pod rynną okalającą budynek.

– Komu kakao? – zawołała Bunia, gestem wskazując wszystkim drogę do domu.

Dłoń Ally spoczęła na balustradzie, a Ben odchrząknął cicho.

– Chyba pora na gorącą czekoladę.

ROZDZIAŁ 30



Gdzieś pomiędzy odśnieżaniem a gorącym kakao akcja sąsiedzkiej pomocy zmieniła się w imprezę. Salon w domu Gilmore'ów był pełen gości. Kimber i Astrid bawiły się z psami, Deenie i Elinor śpiewały kolędy, a kakao lało się szerokim strumieniem.

Ben sęczył swoją porcję z miętą, przyglądając się, jak jego rodzice dzielą się świątecznymi wspomnieniami z dawnymi sąsiadami. Nie tego się spodziewał, gdy pytał Deenie, czy nie zna kogoś, kto miałby w zanadrzu nieużywane lampki choinkowe. Na pewno nie oczekiwał takiej imprezy, ale Astrid już zadeklarowała, że to najlepsza bożonarodzeniowa tradycja, jaką zna, więc trzeba będzie ją kontynuować w kolejnych latach.

I była to kusząca propozycja.

Spojrzał na Ally, która właśnie pokładała się ze śmiechu, słuchając zaimprovizowanych dodatkowych wersów piosenki *Grandma Got Run Over by a Reindeer* w wykonaniu Deenie i Elinor.

Pokus było znacznie więcej.

Omal nie pocałował jej tam, na ganku, na oczach swoich rodziców, Astrid i połowy miasta.

A byłby to wielki błąd.

Astrid zdążyła się przywiązać do Ally. Gdyby pozwolili jej wierzyć, że będą razem, uczepliłaby się tej nadziei ze wszystkich sił, a wraz z nią pewnie większość współmieszkańców Pine Hollow. Wszyscy oczekivaliby dzikiej miłości, a to było ostatnią rzeczą, której potrzebował.

Lubił Ally, ale skoro nie była pewna, czy chce tu zostać... A nawet gdyby została, to czy na zawsze?

Musiał czynić wszystko, co w jego mocy, by chronić Astrid. Nie mogła żyć jego sprawami sercowymi, bo gdyby związek nie przetrwał, oznaczałoby to dla niej nową dawkę bólu.

I dlatego się pilnował, by nie stać zbyt blisko Ally. Dziesięć stóp wydawało się zdrowym dystansem. Nie mógł sobie pozwolić na nierozważny ruch. Astrid była najważniejsza.

– Ally wydaje się miła.

Ben nawet nie spostrzegł, że jego matka stanęła tuż obok – gdyby było inaczej, pewnie bardziej by uważał i nie wlepił oczu w Ally. Kiwnął głową w stronę Astrid.

– Przestań – szepnął. – Wystarczy, że całe miasto o tym gada. Chociaż ty sobie daruj.

– Po prostu wszyscy tu życzymy ci szczęścia – odparła matka lekko urażonym tonem.

– Jestem szczęśliwy – stwierdził stanowczo.

A najśmieszniejsze było to, że naprawdę tak było. Nie czuł już, że ledwie wiąże koniec z końcem. Że to tylko chwilowa świąteczna zwyżka nastroju. Że doświadcza jedynie krótkotrwałych rozbłysków radości, które co najwyżej uzmysławiają mu, jak bardzo przepracowany i wystraszony jest na co dzień. Nie, naprawdę czuł się szczęśliwy. Owszem, nadal miał więcej spraw do załatwienia niż godzin w ciągu doby, ale ostatnio jakby zaczynał je ogarniać. A może po prostu wreszcie się nauczył nie wpadać w panikę z powodu drobiazgów?

Astrid też była szczęśliwa. I zdrowa. Bez względu na to, czy inni rodzice z jej szkoły mieli go za niedostatecznie opiekuńczego, czy może wręcz przeciwnie, nie bał się już, że zorganizują petycję, by odebrać mu dziecko. Ba, już nawet nie miewał koszmarów, w których pracownicy opieki społecznej oznajmiali mu oficjalnie, że zawiódł Katie i Paula.

– Mówiłam ci już, jak bardzo jestem z ciebie dumna?

Ben popatrzył w oczy matki, więcej niż zaskoczony jej słowami. Od tak dawna czekał na to, by usłyszeć pochwałę z czyichkolwiek ust, a jedynie Ally dostrzegała to jego ukryte pragnienie. A może nie był gotowy, by przyjąć dobre słowo od kogoś innego? Może nie słuchał.

– Nie wiem – przyznał. – Nie jestem pewny, czy bym usłyszał.

Dostrzegł smutek w jej oczach i od razu wiedział, że matka wspomina Katie i Paula, że rozmyśla o tym, czym nie zdążyli się stać. Otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

– Myślmy z ojcem, czy nie spędzić tu trochę więcej czasu. Jest w zasadzie gotowy przejść na emeryturę, a ja mogłabym wrócić do pracy na pół etatu, więc... Zostalibyśmy. Pomogliśmy.

Trzy tygodnie wcześniej Ben odebrałby te słowa jednoznacznie: oto matka twierdzi, że jej syn nie radzi sobie samodzielnie. Teraz jednak dostrzegł ostrożną nadzieję w jej oczach. Naprawdę chciała pomóc, ale lękała się, że ta oferta wyprowadzi go z równowagi.

– Astrid bardzo by się ucieszyła – odpowiedział.

Matka odetchnęła z ulgą.

– Tak?

– Ja też.

Pociągnęła nosem, a jej oczy zwilgotniały.

– To dobrze.

Connor stanął przed nimi, ściskając w masywnej łapie wielki kubek kakao.

– Biorę tego psa – oznajmił z naciskiem.

– Bierzesz – ni to stwierdził, ni spytał zaskoczony Ben. Deklaracja przyjaciela była co najmniej zagadkowa.

– Maximus będzie dla mnie idealny – wyjaśnił Connor. – Więcej się do mnie nie zakradniesz, bo będę miał największego i najgłośniejszego na świecie psa obronnego.

– Skoro się do ciebie „zakradam”, to może nie powinieneś mi dawać kodu do drzwi?

Matka Bena zachichotała.

– Och, chłopcy, przekomarzaliście się tak już jako pięciolatki – stwierdziła, sięgając po swój kubek. – Potrzebuję dolewki. – Ucisnęła lekko ramię Bena i oddaliła się z nieco nostalgicznym uśmiechem na ustach.

– Co powiesz na pokera jutro wieczorem? – spytał Connor. – U mnie. Twoi rodzice spędzą bezcenne chwile z Astrid, a ty choć raz dla odmiany upijesz się bardziej niż Mac.

Ben zaklął pod nosem.

– Zapomniałem, że to już środa. Po południu mam być na próbie jasełek, a wiesz, jak to bywa. Możliwe, że spędzimy tam cały wieczór.

Connor uniósł brew.

– To i w jasełka się wpakowaliście?

– Chcemy tam pokazać kilka psów, dla których jeszcze nie mamy domów. Bażant i Fistach...

– Ani słowa więcej. Trzeba było od razu powiedzieć, że Ally tam będzie.

Ben zacisnął zęby.

– To nie tak. – Właściwie nawet jej nie wspomniał o próbie, bo wiadomość od komitetu organizacyjnego dostał ledwie pół godziny wcześniej.

– Jasne, jasne – odparł drwiąco Connor. – Zatem za tydzień...

– Pokerowa środa. Nieodwołalnie.

– Wiesz, nie musimy koniecznie grać – zasugerował Connor. – Powiedz tylko słowo, a zrobimy to samo dla ciebie.

– To samo?

– Jak amisze razem wzniesiemy stodołę. A w twoim przypadku zrobimy remont kuchni. Albo postawimy ścianki w piwnicy, żeby Mac nie musiał co tydzień piszczeć, że pająki łążą.

Ben zmarszczył brwi.

– Ja chyba nie...

– Elinor wspominała o twoim planie dwuletnim – wpadł mu w słowo Connor. – Chcesz wyremontować dom i się przeprowadzić. Do tej pory sądziliśmy, że nie chcesz tam niczego zmieniać, ale skoro jest inaczej, to naprawdę nie musisz robić tego sam. Wiesz o tym?

Coś chwyciło Bena za gardło, ale nie przestał się kpiąco uśmiechać.

– A ja zawsze myślałem, że za ładny jesteś, żeby się trudzić pracą fizyczną.
– To prawda – zapewnił go Connor – ale mogę bez problemu zagonić Leviego i Maca do roboty. Jako nadzorca jestem niezrównany.
– Będę o tym pamiętał.
– Pamiętaj. – Connor dołączył do grupy przy pianinie, a Ben został, analizując w myślach jego ofertę.

Po raz pierwszy nie czuł, że jeśli poprosi o pomoc, przyzna się do porażki. Kiedy zaszła ta przemiana? Gdzieś między włączeniem iluminacji na miejskiej choince a kiermaszem ciast?

Odnalazł wzrokiem Ally, która właśnie się nachyliła, żeby coś powiedzieć Deenie, a potem zniknęła gdzieś na tyłach domu. Musiał porozmawiać z nią o jasełkach, ale gdyby zrobił to tutaj, przy wszystkich, tylko podsyciłby plotki.

Rozejrzał się dyskretnie. Nikt nie zwracał na niego uwagi, więc wymknął się chyłkiem i śladem Ally podążył na korytarz, z dala od gwaru miniprzyjęcia. Zatrzymał się dopiero na progu pokoju, który wyglądał jak pracownia artysty. Usłyszawszy go, Ally, dotąd pochylona nad biurkiem, odwróciła się doń z aparatem w dłoniach.

– Hej – powiedziała, unosząc sprzęt nieco wyżej. – Zostawiłam go tu, żeby podładować baterię. Wszystko w porządku?

– Tak, ja tylko... – Teraz, gdy znowu byli sami, zrobiło się aż nadto intymnie. – Rozmawiałem z komitetem organizacyjnym, psy będą mile widziane podczas jasełek. Musimy je przyprowadzić jutro po południu na ostatnią próbę, ponoć uda się jakoś je wpasować w scenariusz.

Uśmiechnęła się szeroko.

– To świetnie. Dziękuję.

– Wiesz, ja... – zaczął z wahaniem. – Wczoraj wieczorem... to nie było tak, że nie chciałem...

– Rozumiem – szepnęła, skracając dzielący ich dystans.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Jak zawsze gdy byli tylko we dwoje, nie mógł sobie przypomnieć ani jednego powodu, dla którego nie miałby jej pragnąć.

– Chciałbym też ci podziękować. Za dzisiaj.

Zaskoczona uniosła brwi.

– To ty przyprowadziłeś kawalerię, żeby nas odkopać.

– Tak, ale ty... – Ona sprawiła, że ten dzień stał się szczególny. Jak Boże Narodzenie.

Ally z uśmiechem patrzyła mu w oczy.

– Nadal jesteś przekonany, że byłbyś okropnym burmistrzem?

– A co to ma wspólnego z... czymkolwiek?

– Kochasz to miasto, nawet jeśli czasem doprowadza cię do szału. Wróciłeś tu. Znajdujesz czas dla ludzi, choć czujesz, że nie masz go nawet dla siebie, bo ich sprawy uważasz za ważne. Nie musisz być ani burmistrzem, ani radnym, ani nikim innym. Wystarczy, że będziesz tatą dla Astrid. Uważam jednak, że byłoby lepiej, gdybyś został tym, kogo potrzebują wszyscy mieszkańcy Pine Hollow.

– Nie jestem taki.

– Nie?

Z korytarza dobiegły dźwięki nowej piosenki. Ally znieruchomiła, nasłuchując, a jej oczy nagle się zaszklily.

– Ally? – spytał cicho. – Wszystko gra?

– Tak... – Potrząsnęła głową, wciąż słuchając łagodnych tonów *I'll be Home for Christmas*.

– To była ulubiona świąteczna piosenka mojej mamy. Tata puszczał ją specjalnie dla niej i tańczyli przy kominku. – Spojrzała znów na Bena; jej oczy były teraz niemal czarne. – Nadal nie wierzysz w znaki, prawda?

– Pomału chyba zaczynam – wyznał niemal bezgłośnie, zbliżając się o krok i kładąc dłoń na jej biodrze. – Chociaż z tego, co mówisz, wynika, że powołujesz się na nie głównie po to, żeby pozwolić sobie na to, co i tak pragniesz zrobić.

– Być może. – Uśmiechnęła się zagadkowo, kryjąc oczy pod długimi rzęsami.

Wolniotkim ruchem odłożyła aparat na ozdobny stolik przy drzwiach. Zniknęła ostatnia dzieląca ich bariera. Ally położyła dłoń na ramieniu Bena, drugą uniósł sam i przycisnął do swojej piersi. Czubkiem głowy sięgała mu ledwie do podbródka. Zbliżyła się jeszcze i przytuliła policzek do jego serca.

Czuł, że jego serce zwalnia, a zarazem bije jak oszalałe mocnym rytmem, jakby puls Ally złączył się z jego pulsem we wszystkich miejscach, w których spotkały się ich ciała.

Znał tę melodię, słyszał ją pewnie milion razy, ale teraz przyszło mu na myśl, że ilekroć ją usłyszy, będzie miał przed oczami tylko tę jedną chwilę, w której cały świat odpłynął i kołysali się we dwoje, złączeni marzeniem utkany wokół nich ze słów świątecznej piosenki.

Gdy muzyka ucichła, Ally nie spieszyła się zbytnio z ewakuacją. Stała przy Benie ze spuszczoną głową, tak że nie widział jej twarzy.

– Czuję się jak w domu za każdym razem, gdy ją słyszę – wyszeptała.

Ben odchrząknął głośno.

– Tak, świetna piosenka.

Ally skinęła głową w stronę korytarza i sięgnęła po aparat.

– Chyba powinniśmy...

– Tak. – Tyle że nie był jeszcze gotowy, by stąd wyjść. Nie był gotowy wrócić między ludzi i udawać, że nie pragnie wciąż jej dotykać. – Ally...

Znowu uniosła głowę i spojrzała mu w oczy po raz pierwszy od chwili, gdy zatopili się w dźwiękach muzyki.

– Tak?

Nie mógł jej pocałować. Nie tutaj. I tak był idiotą, że pozwolił sobie z nią zatańczyć w pokoju, do którego każdy mógł zajrzeć, przechodząc korytarzem.

Odrobinę zbyt długo patrzyli sobie w oczy. W końcu się przemógł i przerwał kontakt.

– Nic. – Otrząsnął się. – Może pójdziesz pierwsza? – zaproponował. – Dołączę do was za parę minut.

Skinęła głową.

– Jasne. Do zobaczenia, Ben.

– Do zobaczenia, Ally.

Został sam, zastanawiając się usilnie, na co właściwie się zgodzili, wymieniając przed chwilą te niewerbalne komunikaty, których nie mógł zakwestionować. Nie lubił niedopowiedzeń. Lubił mieć wszystko czarno na białym, być pewnym, że wszystkie strony rozumieją sytuację. Z drugiej strony, nie pragnął teraz dosłowności, bo nie chciał, żeby skończyło się to, co było między nimi. Nawet jeśli miał świadomość, że igra z ogniem.

Najwyraźniej lubił ogień.

I to wcale nie oznaczało, że musi się sparzyć. Ally udowodniła mu, że nie musi wyrzekać się siebie, żeby pozostać dobrym opiekunem dla Astrid.

Czy zaburzyłyby równowagę, którą odnalazł, gdyby dodał do swego życia jeszcze jeden element? Czy mógł zbudować z Ally coś więcej? Bo właśnie zaczynał rozumieć, że w te Święta będzie wyjątkowo potrzebny.



To był niemal doskonały dzień. Kolędy i świąteczne piosenki, śmiech, kakao, poczucie wspólnoty. I jeszcze ten taniec z Benem w pracowni Buni...

Nie umiała sobie wyobrazić nic lepszego i nie była gotowa na to, by to stracić. Nie chciała, żeby wszyscy rozeszli się do domów. Dotyczyło to zwłaszcza jednej rodziny. A może jednego mężczyzny.

Stojąc w kurtce na ganku, zęgnęła kolejno gości schodzących na świeżo odśnieżony podjazd.

Deenie i Elinor szły ręką w rękę w stronę miasta, wciąż nucąc kolędy. W domu było już całkiem cicho, a Ben wciąż bardzo niespiesznie zapinał kurtkę w pobliżu Ally.

– Miło było znowu cię spotkać, Ally – rzekł głośno Connor, rzucając przy tym Benowi nieodgadnione spojrzenie. – Daj znać, gdy sprawdzisz moją aplikację w sprawie Maximusa.

– Tak zrobię – obiecała. Wniosek rzeczywiście już wpłynął, ale entuzjazm Connora budził jej wątpliwości. Odwróciła się ku Benowi, gdy Connor puścił się truchtem za Elinor i Deenie. – Nie jestem pewna, czy to najlepiej dobrana para. Maximus bywa trudny.

– Nie lekceważ uporu Connora – poradził jej Ben, wkładając czapkę.

– Jesteś pewny, że to nie Deenie go namówiła, żeby spróbował?

– Tego akurat nie można wykluczyć – przyznał Ben – ale Connor to porządny gość. Poza tym potrzebuje kogoś w swoim życiu. Może właśnie Maximusa. – Wcisnął dłonie w rękawiczki i spojrzał na stodołę mieniącą się setkami światełek w szybko zapadającym mroku. – Nieźle to wygląda – zauważył.

– To prawda – odparła, podążywszy za jego wzrokiem.

– I cieszę się, że sam nie musiałem tego robić.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Naprawdę? Wczoraj bardzo się paliłeś do tej roboty.

– Możliwe, że mam małe problem z pracą na wysokościach – wyznał.

Szczęka Ally opadła nieznacznie.

– Zaraz, zaraz. Masz lęk wysokości, a mimo to byłeś gotów wleźć na tę stodołę i wieszać lampki choinkowe tylko dlatego, żeby nie być mi nic winnym za pranie, które u mnie zrobiłeś?

– Mojego uporu też nigdy nie lekceważ – odparł Ben, patrząc jej w oczy. – Chciałaś mieć światełka, więc nie mogłem pozwolić, żeby powstrzymało mnie coś tak błahego jak paraliżujący strach przed śmiercią.

Zacisnęła usta, by jakoś powstrzymać uśmiech, który pchał się na świat prosto z jej duszy. Nigdy nie lekceważ mojego uporu... Albo dobroci. Czy ktokolwiek mógł wątpić w to, jakim księciem z bajki jest ten mężczyzna?

Pragnęła go pocałować, wziąć w ramiona, nie zwracając uwagi na to, czy ktoś patrzy, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i na ganku znowu zrobiło się tłoczno.

Ben cofnął się o krok.

– Pora zabrać Astrid i rodziców do domu – powiedział. Spojrzał jej w oczy i skłonił się lekko.

– Ally.

– Ben. – Z trudem wydusiła z siebie to jedno krótkie słowo, owładnięta emocjami.

Wyminął ją, delikatnie muskając jej ramię, i zbiegł po stopniach. Ruszył w stronę stodoły, gdzie Astrid właśnie żegnała się z psami.

– Miło było cię poznać, moja droga.

Ally aż podskoczyła i z zakłopotaniem odwróciła się do matki Bena.

– Nawzajem.

Pani West przystanęła jeszcze, spoglądając na budynek schroniska, z którego Astrid wybiegła Benowi na spotkanie.

– Dziękuję – powiedziała cicho po krótkiej chwili.

– Za co?

Kobieta zmierzyła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Nie wiem, co tam się dzieje między wami, ale jesteś dla niego w sam raz.

– Ja... No, nie wiem...

Pani West uparcie patrzyła Ally w oczy, tym samym zimowobłąkitnym spojrzeniem, którym uwodził ją Ben.

– Czasem niełatwo mu pomóc. Niech sobie ludzie gadają o wyższości swobody nad opiekuńczością i odwrotnie, ale ten chłopiec już taki się urodził: zawsze chciał robić wszystko samodzielnie. Pamiętam, że ledwie nauczył się mówić, słyszeliśmy od niego niemal wyłącznie: „Ja

sam!'. Nigdy nie życzył sobie pomocy. Nawet naszej. Ale przy tobie... od lat nie widziałam go tak zrelaksowanego.

– Myślę, że nic takiego nie zrobiłam...

– Myśl, co chcesz – odpowiedziała spokojnie pani West – ale i tak dziękuję.

Na zmrożonym żwirze zachręściły kroki Bena.

– O czym tam szepczecie? – spytał, stając u podnóża schodków.

– Nie twoja sprawa – odpowiedziała mu matka i uśmiechając się zawadiacko do Ally, zarzuciła na plecy końcówkę szalika. – Dobrej nocy, panno Gilmore.

– Dobrej nocy, pani West.

– Po prostu Rachel, proszę. Będziemy przyjaciółkami.

Ben wciąż jeszcze próbował odgadnąć, co tu zaszło, gdy minęła go matka, a chwilę później w drzwiach domu stanął ojciec.

Ally została na ganku, machając ostatnim gościom na pożegnanie i chłonąc pozytywne emocje tego popołudnia aż do ostatniej sekundy. Starła się nie myśleć o przyszłości. W tej chwili, gdy spoglądała na lampki zdobiące dach stodoły, czuła wyraźnie, że znajduje się w miejscu, które jest jej przeznaczone.

ROZDZIAŁ 31



Ranek dwudziestego trzeciego grudnia był rześki. Mroźny wiatr porwał wierzchnią warstwę śniegu i usypał z niej pochyłe wydmy pod ścianami budynków i ogrodzeniami w całym Pine Hollow. Puch, który osypał się z drzew, zaoblił wszystkie kształty. Ally chciała zabrać aparat i wyruszyć w miasto, gdy tylko wyszło słońce, ale zahaczyła jeszcze o stodołę. Powitalne szczekanie, cichsze niż kiedykolwiek wcześniej, rozniosło się echem po pustych już klatkach.

Odkąd Connor zabrał Maximusa, a pan Blake Trapera przemianowanego na Hemingwaya, w schronisku pozostali jedynie Bażant, Fistach, Dolce i jej szczeniaki.

Po południu Ally miała przyprowadzić ostatnich podopiecznych do sali teatralnej, żeby wzięli udział w próbie generalnej do świątecznego przedstawienia, ale teraz miała dość czasu, by oczyścić umysł i opracować plan.

Musiała znaleźć sposób na utrzymanie schroniska. Nareszcie wiedziała, czego chce. Znała swoje miejsce na ziemi. Potrzebowała tylko źródła dochodów. Być może udałoby się zdobyć zdalnie kilka zleceń, ale przenosiny do Pine Hollow nieodwołalnie byłyby poważnym ciosem dla jej kariery fotograficznej. Czy zdołałaby związać koniec z końcem, pracując gdzieś w miasteczku na część etatu, a resztę czasu poświęcając na pomoc w schronisku? Jeśli w ogóle udałoby się zapobiec jego zamknięciu.

Gdy nakarmiła i dopieściła wszystkie psy, zabrała ze sobą Fistacha. Maleńki chihuahua wciąż czekał na nowy dom i wydawał się wyjątkowo osamotniony, odkąd stracił lokatorów sąsiednich klatek. Ally zawinęła go w zaimprovizowany temblak i ukrywszy pod kurtką, ruszyła w stronę miasta.

Nie miała pojęcia, co kupić dziadkom pod choinkę, za to gdy zastanawiała się nad idealnym prezentem dla Bena i Astrid, odpowiedź była aż nadto oczywista.

Wszystkie fotografie w ich domu pochodziły z czasów, gdy rodzina była w komplecie, i przedstawiały wyłącznie Astrid z rodzicami. W ciągu paru ostatnich tygodni Ally zdołała pstryknąć z ukrycia kilka świetnych zdjęć Bena z siostrzenicą – głównie podczas festynu świątecznego i wśród seniorów – ale prawdziwy klejnot trafił się poprzedniego dnia: uwieczniła chwilę, w której Astrid, Ben i jego rodzice zanosili się śmiechem. Postanowiła, że przygotuje czarno-białe powiększenia kilku zdjęć i oprawi je, ale nie miała wolnych ramek.

I właśnie dlatego, chyląc czoło przed podmuchami lodowatego wiatru, zmierzała teraz żwawym krokiem w stronę sklepiu przy Maple Street, do którego skierowała ją Bunia. Wprawdzie oferował głównie towary potrzebne artystom amatorom i ramki do zdjęć z pewnością nie były jego specjalnością, ale gdy tylko Ally przekroczyła próg, zaanonsowana dzwonekami znad drzwi, i poczuła znajomą woń wywoływacza, wiedziała, że jest w domu.

– Proszę wejść i się rozejrzeć! – dobiegł z zaplecza chrapliwy, ale bez wątpienia kobiecy głos. – Zaraz przyjdę.

Ally kluczyła przez chwilę po zagraconym wnętrzu, aż wreszcie wypatrzyła stolik, na którym piętrzyły się przeróżne ramki zrobione z drewna z odzysku. Niektóre były surowe, nierówne, a inne starannie wypolerowane, ale każdą wykonano ze smakiem i artystycznym wyczuciem.

– Podoba się pani mój towar?

Ally uniosła głowę i ujrzała kobietę po siedemdziesiątce wychodzącą z zaplecza. Miała gęste siwe włosy sterczące niczym kolce oraz okulary o soczewkach grubych chyba na cal, a jej ramiona od góry do dołu pokrywały tatuaże.

– Te są piękne – odpowiedziała, unosząc jedną z wypolerowanych ramek. – Pani je zrobiła?

– Mhm – przytaknęła kobieta i dopiero teraz dostrzegła aparat, który dziewczyna trzymała

drugą ręką. – Ach, jesteś wnuczką Rity, prawda?

– Ally Gilmore – przedstawiła się, wyciągając rękę. – Peg?

– Zgadza się. – Stwardniałe od pracy palce uściśniły jej dłoń.

Gdy spod kurtki Ally wyjrzały malutkie nozdrza, oczy Peg, i tak wielkie za grubymi szklami, otworzyły się jeszcze szerzej.

– A to kto?

– Fistach. Przepraszam, powinnam spytać. Peg, nie masz nic przeciwko temu, że weszłam tu z psem?

– W tym sklepie nie obowiązuje zbyt wiele reguł. Fistach jest tu równie mile widziany jak ty.

– Peg wyciągnęła rękę, żeby psiak mógł obwąchać jej palce. – Myślisz, że pozwoli mi się potrzymać, gdy będziesz wybierała to, czego potrzebujesz?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Ally delikatnie wydobyla Fistacha z temblaka i włożyła w dłonie starszej pani pachnące chemikaliami do wywoływania zdjęć. – Masz tu ciemnię?

Peg uniosła brwi, tuląc psa do piersi.

– A mam. I możesz z niej skorzystać, jeśli chcesz. Chociaż większości dzieciaków w twoim wieku wystarczają cyfrowe zdjęcia.

– Cyfrowe to wygodna, ja lubię jedno i drugie. Nie wiem, ale gdy patrzę, jak fotografia pojawia się z wolna na papierze, wydaje mi się... bardziej prawdziwa.

Peg uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Siostrzana dusza. Nie zajmuję się zawodowo fotografią, ale czasem lubię się tak pobawić. Mój problem polega na tym, że nie umiem wytrwać zbyt długo przy jednym medium. I dlatego mam ten sklep. – Wciąż przyciskając Fistacha do piersi wytatuowanym przedramieniem, drugą ręką zatoczyła krąg wokół siebie. – Oto wszystkie moje hobby.

Ally rozejrzała się raz jeszcze. Otaczały ją przeróżne przedmioty, od obrazów, przez witraże i rzeźby z gliny oraz z drewna, aż po ozdoby z dmuchanego szkła.

– Nieprawdopodobne.

– Nie musisz mi kadzić. Wiem, że jesteś prawdziwą artystką. Rita pokazywała mi niektóre twoje prace.

– To tylko zawód, nie sztuka – zaoponowała zawstydzona.

Peg prychnęła.

– Chyba obie wiemy, że to nieprawda. Pasja to pasja. Nie myślałaś, żeby wystawić trochę swoich zdjęć na targu farmerskim? W zimie organizujemy je tylko raz w miesiącu, w świetlicy miejskiej, więc odkąd dach się zawalił, impreza się nie odbywa, ale podobno niedługo remont, więc i targ pewnie wróci. Jeśli zechcesz się wystawić na moim straganie, dam ci zniżkę na ramki.

– Czyli wszystkie bonusy dla mnie: nie dość, że tańsze ramki, to jeszcze miejsce na targu farmerskim na dokładkę?

– Zapominasz, że widziałam twoje prace. Z takimi zdjęciami sprzedam więcej ramek niż pustych. Poza tym ludzie będą podchodzili, żeby obejrzeć twoje fotki, więc może i moje graty ich zainteresują. Obie na tym skorzystamy. – Peg wzruszyła ramionami. – Poza tym będzie ubaw.

Ally spojrzała na nią z ukosa.

– Czy to moja babcia podsunęła ci ten pomysł?

– Rita? – Peg machnęła ręką. – A skąd. Chwali się tobą, ale nie ma za grosz żyłki do interesów. W życiu by na to nie wpadła. – Uniosła Fistacha nieco wyżej, by poczuć jego jedwabisty łebek pod brodą. – Zastanów się i daj znać, jeśli będziesz zainteresowana.

– Tak zrobię – obiecała Ally. Oferta była naprawdę dobra, więc gdyby została w Pine Hollow, na pewno by z niej skorzystała, ale czuła, że sprzedanie paru zdjęć nie rozwiąże jej finansowych problemów.

– Możesz też przyprowadzić kilku takich malców.

Ally z uśmiechem przyjęła i tę propozycję, ale jeśli miała pochwalić się psami podczas targu, najpierw musiała znaleźć sposób na utrzymanie schroniska.

– To ile ramek potrzebujesz?

Planowała wziąć trzy dla Astrid i Bena.

Kupiła dwanaście.

Wracając do domu, dźwigała pękatą płócienną torbę w jednej ręce, aparat w zgięciu drugiej, a Fistacha w temblaku pod kurtką. Była mniej więcej w połowie drogi, gdy z kieszeni dobiegł sygnał telefonu. Zatrzymała się przed piekarnią i uśmiechnęła mimowolnie na wspomnienie pierwszego spotkania z Benem, kiedy spojrział na nią wilkiem znad oblanej kawą koszuli. Zeszła na skraj chodnika, postawiła torbę i sięgnęła po aparat.

Spodziewała się SMS-a od Deenie albo od dziadków, ewentualnie od Bena, ale to była wiadomość mailowa. Już miała wsunąć telefon na powrót do kieszeni, gdy jej uwagę przykuł nagłówek.

„Rozmowa kwalifikacyjna w Spectrum Group”.

Wstrzymała oddech.

Starła się o tę robotę, zanim wyjechała z Nowego Jorku. Dobry pakiet świadczeń, wysoka płaca, a co najważniejsze – praca w zespole. Prawie jak w rodzinie. Tak twierdzili wszyscy, którzy tam pracowali. Właśnie dlatego próbowała się u nich zahaczyć. Znajome twarze każdego dnia, poczucie wspólnoty i koniec z podróżami. Koniec z nawiązywaniem kontaktów z ludźmi, których miała nigdy więcej nie zobaczyć.

Jeszcze dwa miesiące wcześniej praca w Spectrum była jej marzeniem. Nawet teraz jej serce wyraźnie przyspieszyło na myśl o spotkaniu.

Tyle że prawda dźwięczała w jej głowie niczym gong: nie łaknęła już takiego życia. Zmieniły się jej marzenia; wolała zostać w Pine Hollow. Chciała prowadzić schronisko. I pragnęła być z nim.

Kochała Bena Westa.

Jej przyszłość w miasteczku wciąż była niepewna, lecz Ally nie wyobrażała już sobie, że mogłaby stąd wyjechać.

– Czy mi się zdaje, czy pani kurtka właśnie zaskomlała?

Ally drgnęła i uniosła głowę. Zobaczyła dwie kobiety, które właśnie wyszły z piekarni. Jedna była wysoka i ciemnowłosa, a druga tuliła w ramionach uroczego małego buldoga francuskiego. Widząc psa – i być może przyszłą „mamę” dla Fistacha – dziewczyna uśmiechnęła się najprzyjaźniej, jak umiała.

– Niewykluczone – odpowiedziała i rozpięła kurtkę.

Kobiety podeszły bliżej i jak każdy, kto spotkał na swej drodze Fistacha, od razu się rozczuliły.

– To najmniejszy psiak, jakiego w życiu widziałam. Szczeniak?

– Nie, ma dziesięć lat. I czeka na adopcję, jeśli są panie zainteresowane.

Ciemnowłosa kobieta miała niesamowite jasnobrązowe, niemal złote oczy, którymi bacznie przypatrywała się Ally.

– Zatem to o pani tyle ostatnio słyszałam.

– Tak?

– Prowadzi pani schronisko, prawda? Jestem Isabelle Scott.

Uśmiechała się tak szczerze i zachęcająco, że Ally potrzebowała dobrych trzydziestu sekund, by skojarzyć imię.

– Pani...

– Byłam zaręczona z Benem Westem. Tak, to ja.

Zanim Ally zdążyła przeanalizować, co takiego ludzie opowiadają o byłej dziewczynie Bena oraz co wypada, a czego nie wypada mówić owej byłej, druga kobieta pisnęła z podniecenia.

– Zaraz, pracuje pani w schronisku? W takim razie to na pewno pani porobiła te śliczne zdjęcia w ramach akcji „Na Święta przytul psa”? Te z biuletynu? Uwielbiam je.

– Dziękuję. – Ally uniosła nieco swój aparat. – Tak, sama je zrobiłam.

– Wielkie nieba, skarbie, ależ ty masz talent. Jestem Kaitlyn Murray, a to Romeo. – Mówiąc to, pokazała pulchnego francuza w swoich ramionach. Pies parsknął, jakby chciał osobiście przywitać się

z Ally. – Robię mu zdjęcia na jego konto instagramowe, ale nigdy nie wychodzą mi takie ładne jak twoje. Ile bierzesz? Chociaż to nieważne, i tak zapłacę.

Ally spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

– Ile biorę?

– Kaitlyn ma obsesję na punkcie Romea – wtrąciła kpiąco Isabelle z wesołym błyskiem w oczach.

– Romeo jest *influencerem* – odparła z godnością Kaitlyn, a potem spojrzała znowu na Ally.

– Masz tu swoje studio? A może robisz też zdjęcia w plenerze? O tej porze roku na pewno masz tłumy klientów, wszyscy chcą drukować kartki świąteczne z podobiznami swoich dzieci... To takie cudowne, że znajdujesz czas na dobroczynność, na pomoc dla schroniska. Pewnie i po Świątach nie masz już wolnych terminów, ale gdybyś tylko mogła gdzieś nas wcisnąć, oczywiście odpowiednio otagujemy zdjęcia. Na pewno masz konto na Instagramie, prawda?

Ally była kompletnie zaskoczona, ale szybko się pozbierała i odpowiedziała z uśmiechem:

– Wiesz, Kaitlyn, dopiero rozkręcam biznes tu, w Pine Hollow. Ostatnich kilka lat pracowałam w Nowym Jorku, a tutaj jestem od niedawna. Zdjęcia dla „Kosmatych Przyjaciół” wydały mi się dobrym sposobem na promocję schroniska – to taki zbożny cel! – a przy okazji mogę pokazać ludziom, co potrafię.

– Rety. – Kaitlyn promieniała. – Jak mądrze to wymyśliłaś. Powinam się domyślić, że to robota zawodowca i że chcesz tu rozkręcić interes. Bo te twoje zdjęcia... no boskie!

– Zatem się przeprowadzasz? – spytała Isabelle. – Bo słyszałam różne sprzeczne doniesienia.

Ally się zarumieniła, wszak rozmawia z byłą dziewczyną Bena. Co gorsza, nie wiedziała dokładnie, w jakich okolicznościach doszło do rozstania. Słyszała tylko, że zbiegło się ono w czasie z otrzymaniem przez Bena prawa do opieki nad Astrid. Czy Isabelle chciała go odzyskać? Czy dlatego znowu się tu pojawiła? Ben był królem niejednoznaczności, czy to możliwe, że skrycie pragnął jej powrotu?

– Nie wiem, co słyszałaś, Isabelle, ale Ben i ja nie...

– Ależ nie, skarbie. Nie jestem zazdrosna. To historia sprzed dwóch lat i pewnie dobrze się stało, że właśnie wtedy odkryliśmy tę niezgodność charakterów. Nie powiem, byłam na niego wściekła przez pewien czas, ale teraz życzę mu szczęścia. A jeśli to ty mu je przyniesiesz – jeśli ci na to pozwoli – to chwala ci za to.

Ally nie była pewna, jak ma zareagować na błogosławieństwo dla jej związku z mężczyzną, który być może wcale tego związku nie pragnął. Jasne, coś do niego czuła, ale czy z wzajemnością?

– Jesteśmy przyjaciółmi – zaoponowała. Na razie. – Rozumiem, że wróciłaś do Pine Hollow...

– Tylko na Święta. Moja rodzina nadal tu mieszka i nigdy nie odpuszczam takich okazji. Zobaczymy się jutro na przedstawieniu?

– Tak? – Miała to być odpowiedź twierdząca, ale z jakiegoś powodu zabrzmiała bardziej jak pytanie.

Isabelle się uśmiechnęła.

– Świetnie – powiedziała i szturchnęła Kaitlyn. – Musimy się zbierać. Moje rodzeństwo czeka na ciastka – wyjaśniła, unosząc wyżej pudełko, które trzymała w rękach – więc jeśli zaraz nie wrócę, będzie wojna.

Kaitlyn wyjęła z torebki wizytówkę z pomarszczoną mordką Romea.

– Tu znajdziesz wszystkie dane. Pamiętaj: gdy tylko zdołasz nas wcisnąć.

Ally przyjęła wizytówkę, starając się pohamować wielce nieprofesjonalny uśmiech.

– Zajrzę do terminarza.

Poczuła się tak, jakby wkrótce miały się przed nią otworzyć nowe drzwi – oczywiście pod warunkiem że zdąży urządzić porządne studio, bo zdjęcia psów powstały w prowizorycznych warunkach. Miała do dyspozycji pusty magazyn w schronisku. A może mogłaby zająć któryś z wolnych pokoi gościnnych w domu?

– Wesołych Świąt! – zawołały na odchodnym Kaitlyn i Isabelle.

Ally odpowiedziała im z zapałem, przygryzając jednocześnie wargę i powstrzymując się, by nie zacząć skakać z radości.

Rozejrzawszy się, zauważyła kilka osób, które obserwowały tę scenę. Była pewna, że jeszcze przed zachodem słońca relacje o jej spotkaniu z byłą narzeczoną Bena obiegną całe miasteczko, ale jakoś się tym nie przejmowała. Nareszcie miała plan.

To mogło się udać. Mając studio, mogłaby fotografować nie tylko psy, ale i ludzi. Rodzinne portrety, zdjęcia do portfolio potrzebne miejscowym aktorom czy modelkom... możliwości były ogromne.

Być może Kaitlyn była tą samą kobietą, która zamieszczała na Instagramie zdjęcia lunchów swoich dzieci ze szkoły Astrid, ale Ally nie zamierzała mieć jej tego za złe. Ten, kto sprowadził na nią najprawdziwsze objawienie, zasługiwał na wdzięczność.

Znowu zobaczyła znak. Wszechświat podpowiadał jej, że jednak może zostać w Pine Hollow. Z dziadkami, z nowymi przyjaciółmi... i z Benem.

Przyspieszyła kroku, niesiona podnieceniem, i nie przestawała intensywnie rozmyślać.

Dlaczego miałyby się ograniczać do fotografii?

A co by było, gdyby schronisko przestało być tylko schroniskiem? Gdyby nie musiało polegać na dotacjach z miejskiej kasy, bo czerpałoby wystarczające zyski z fotografowania przez nią zwierzaków, a także ze szkoleń dla psów? Wczoraj Elinor skarżyła się, że musi szukać instruktora aż w Burlington. A gdyby Ally sprowadzała go raz w tygodniu do schroniska, żeby prowadził zajęcia dla miejscowych właścicieli psów? A może zdałby egzamin hotel dla czworonogów, gdyby klatki i wybiegi nie były pełne bezdomnych psiaków?

Nie miała odwagi, by od razu powiedzieć o tym wszystkim dziadkom. Nie chciała rozbudzać w nich nadziei, zanim dopracuje szczegóły, ale była pełna dobrych przeczuc.

I czuła, że musi pogadać z Benem.

Wyszedłszy zza węgła, omal nie wpadła na spacerującą niespiesznie parę z dwójką spokojnych psów.

– Państwo Johnsonowie!

– Proszę, proszę, panna Gilmore.

Ally uśmiechnęła się i przykucnęła niezgrabnie ze swą torbą i aparatem, żeby przywitać się z Fredem i Ginger.

– A to ci niespodzianka. Jak się państwu mieszka z nowymi podopiecznymi?

– Są cudowni – odrzekła z uśmiechem pani Johnson. – Właśnie rozmawialiśmy o tym, co moglibyśmy ofiarować schronisku w ramach podziękowania.

– Nie wyobrażam sobie lepszego dowodu wdzięczności niż ciepły dom dla tej parki. – Wstając, dziewczyna zauważyła, że Johnsonowie i tym razem trzymają się za ręce.

– A gdzie się dziś podziewa twój młodzieniec? – spytał pan Johnson.

– On nie jest mój – odparła Ally cała w pąsach. Ale chciała, żeby był jej. Nie mogła oderwać wzroku od tych splecionych dłoni. – Skąd państwo wiedzieli, że pragną spędzić razem całe życie?

Pan Johnson uśmiechnął się pogodnie.

– Ja czułem raczej, że wygrałem los na loterii. A może nawet jakbym oszukał los, gdy trafiła mi się Verna.

– Tak, tak to było. Tylko że to ja byłem szczęściarą.

– Możliwe, że na tym to polega: żeby każde z dwójga ludzi myślało, że trafiło główną wygraną – dodał pan Johnson. – I nie mogło uwierzyć w swoje szczęście.

– Choć oczywiście i dziś mam czasem ochotę go udusić, bo jest starym marudą i notorycznie siada na własnych okularach, a to nie są tanie rzeczy – dodała prędko pani Johnson, a jej mąż tylko się uśmiechnął.

– Pytasz à propos swojego młodzieńca? – spytał domyślnie.

– My się tylko przyjaźnimy – odpowiedziała prędko.

Pani Johnson znowu promieniała.

– Jeśli się zakochać, to tylko w przyjacielu – oznajmiła.

Jej mąż mrugnął porozumiewawczo do Ally.

– Takie tam nieproszone rady od pary wścibskich staruszków.

Dziewczyna odprowadziła ich wzrokiem, niespokojna i podniecona zarazem. Ben niejedną raz zaciągał hamulec. Nie chciał, żeby całe miasto o nich plotkowało. Nie chciał, żeby Astrid angażowała się uczuciowo. Jednakże nigdy nie powiedział, że nie chce tego związku.

Nigdy nie umiała wyobrazić sobie przyszłości z Matthew, za to teraz, gdy przymykała oczy i marzyła o ganku oraz psach, widziała wyłącznie sceny z udziałem Bena i Astrid. On byłby dla niej partnerem. Trzymałby ją za rękę, nawet gdy oboje będą po dziewięćdziesiątce, a ona pewnie do tego czasu oślepie...

A teraz miała też plan. Sposób na przeobrażenie marzeń w rzeczywistość. Nigdy dotąd tak naprawdę nie podążała za swoimi pragnieniami, bo po prostu nie umiała ich rozpoznać, ale teraz...

Czy Boże Narodzenie to nie najlepszy czas na to, by powalczyć o to, czego pragnie się najbardziej na świecie? Czy nie jest to czas cudów? Ally odnalazła swoje miejsce w tym miasteczku, ale chciała więcej. Pragnęła Bena.

Rozsadzała ją energia. I dobrze, bo zbliżała się próba przedstawienia.

ROZDZIAŁ 32



Kulisy teatru miejskiego w Pine Hollow były istnym labiryntem zagraconym rekwizytami z przeróżnych spektakli. Astrid powitała Ally przy tylnych drzwiach i zabrała Bażanta z Fistachem prosto do reżyserów przedstawienia, a także do aktorów, którzy mieli pojawić się z psami na scenie. Deenie była już na miejscu z Maximusem, którego Connor do tej pory nie odebrał. Jak oznajmiła, jest świetnym kandydatem na osła w bożonarodzeniowej szopce. Maximus, nie Connor.

Ben podobno został zwerbowany do pomocy przy oświetleniu, które oczywiście musiało odmówić posłuszeństwa. Ally jeszcze się z nim nie widziała. Gdzieś na scenie słyszała głosy wykonawców ćwiczących okazywanie świątecznego entuzjazmu, ale lawirując wśród dekoracji zgromadzonych na zapleczu, niewiele widziała poza stołami pełnymi rekwizytów, kurtynami oraz czymś, co wyglądało jak połączany tron, ale muśnięte palcami zdradziło prawdę: było ledwie pomalowaną bryłą styropianu.

– Ben? – zawołała cicho. Odsloniła ciężką aksamitną kotarę i ujrzała za nią... kolejną ciężką aksamitną kotarę.

Gdzieś spoza dworskich dekoracji dobiegło stłumione przekleństwo. Dziewczyna obeszła jeszcze jedną stertę krzeseł i wreszcie go dostrzegła: stał zgarbiony przed tablicą rozdzielczą, z latarką w zębach.

– Widzę, że zaprzęgli cię do pracy.

Ben się wyprostował, wyjął latarkę z ust i skrzywił się z niechęcią.

– Właśnie dlatego wiele lat temu nauczyłem się unikać jasełek za wszelką cenę. Coś zawsze nawala w ostatniej chwili i nagle się okazuje, że tylko ja mogę to naprawić.

Podeszła bliżej i zmarszczyła brwi, spojrzawszy na tablicę.

– Znasz się na oświetleniu teatralnym?

– Ani trochę. Ale najwyraźniej wszystkim się wydaje, że „specjalista IT” to ktoś, kto zna na wylot każdy sprzęt, w którym płynie prąd.

– To wszechstronny jesteś.

– Niestety zdaje się, że znalazłem usterkę, a jako że udało mi się ją usunąć, jedynie umocnię ludzi w przekonaniu, że potrafię naprawić wszystko. – Ben zamknął klapkę na panelu, wyłączył latarkę i schował ją do kieszeni. – Psy już tu są? Astrid chodziła po ścianach, nie mogąc się was doczekać.

– Nie mogłam znaleźć miejsca na parkingu. – Tego popołudnia teatr miejski w Pine Hollow przypominał pod tym względem nowojorski dworzec Grand Central. – Ale Bażant i Fistach są już z nią.

– Po Bażanta nadal nikt się nie zgłosił? – Ben zebrał z podłogi narzędzia, których Ally nawet nie zauważyła.

– Też się dziwię. – Podtrzymywała trywialną rozmowę, choć nie po to go szukała. Gdy ruszył w stronę sceny, wyciągnęła rękę. – Ben...

Zatrzymał się, unosząc brwi. Panował półmrok, ale dostrzegła jego pytające spojrzenie.

– Tak?

– Ja... – Pragnęła mu powiedzieć tysiąc słów, ale wszystkie kotłowały się jej w głowie, nie chciały ułożyć się w nic sensownego.

– Wszystko w porządku?

– Widzisz, ja... – Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Cierpliwie czekał na odpowiedź. Kolędnicy na scenie zaczęli śpiewać *We Wish You a Merry Christmas*, domagając się natychmiast „figowego puddingu” – bodaj w żadnej kolędzie na świecie nie ma równie nieuprzejmych słów – a ona

nagle poczuła, że doskonale rozumie tę ich niecierpliwość. – Szaleję za tobą – wypaliła, a potem już nie mogła powstrzymać potoku wyznań. – I za Astrid. Wiem, umówiliśmy się, że będziemy tylko przyjaciółmi, ale i tak wszyscy uważają nas za parę, a ja mam dość mówienia im, że są w błędzie. Chcę mówić, że mają rację. Chcę tu zostać. Chcę być z tobą. Mam nawet plan: będę fotografować psy i oferować ich szkolenie, a jednocześnie pracować w schronisku, tak żeby nie musiało pobierać dotacji z miejskiej kasy. Jeszcze nie dopracowałam wszystkich szczegółów, ale chcę spróbować, a ty nic nie mówisz i coraz bardziej się denerwuję, ale może poczujesz się tak szczęśliwy jak ja w tej chwili, bo chciałabym zobaczyć cię u mego boku na ganku... – Nie umiała przestać. Powódź słów wypowiedzianych bez zastanowienia płynęła prosto z jej umysłu i serca.

Na szczęście Ben wiedział, jak ją zatamować.

Zrobił krok, skrócił dystans i ujął w dłonie twarz Ally, a potem lekko ją przechylił i perfekcyjnie wylądował wargami na jej ustach. Chwyliła go za przedramiona, stając na palcach i czując przede wszystkim przemożną ulgę.

A potem zamknęły się wokół niej jego ramiona, przycisnął ją mocno i uniósł nad podłogę. Wtuliła się w niego całym ciałem i nagle owa ulga, od której aż kręciło jej się w głowie, zmieniła się w coś nowego: falę gorąca. Ben pochylił głowę i jeszcze mocniej przywarł do niej ustami.

Tak. Koniec z albo-albo. Będą razem. Naprawdę to zrobią. O rety, jak oni to zrobią.

Ally wpiła się palcami w jego sweter, czując ciepło męskiego ciała. Język Bena muskał jej język i plątał się z nim, a ona całym swym jestestwem czuła, że to właśnie to, że tak powinno być. Jakby trybik, który przez lata był niedopasowany, nagle wskoczył na swoje miejsce w maszynie. Czuła w duszy niepohamowaną satysfakcję. Rodzina, społeczność, miłość, wszystkie elementy pasowały do siebie idealnie w tej cudownej przedświątecznej chwili.

– Wujku Benie? – rozległ się gdzieś blisko niepewny głos.

Ben oderwał się gwałtownie od jej ust, obrócił na pięcie i postawił Ally na podłodze. W tej samej sekundzie przed jej nosem pojawiła się jedna z miękkich ciężkich kotar.

– Już idę, Astrid! – zawołał Ben po drugiej stronie.

Ally w oszołomieniu wpatrywała się w gruby bordowy aksamit. Czy on naprawdę właśnie wepchnął ją za kotarę?

– Ach, tu jesteś – odezwała się znowu dziewczynka. Ściana grubej tkaniny tłumiała jej głos.

– Widziałeś może Ally?

– Naprawiałem światła – odpowiedział prędko Ben, unikając odpowiedzi na pytanie. – Chyba będą działać. Muszę tylko sprawdzić jeszcze jedną rzecz i zaraz wracam.

– Dobrze.

Kroki Astrid ucichły po chwili, ale Ally prawie ich nie słyszała. Była zbyt zajęta odtwarzaniem w pamięci ostatnich trzydziestu sekund.

Powiedziała Benowi, że pragnie z nim być, on zaczął ją całować, a potem dosłownie wepchnął ją za zasłonę, żeby Astrid nie zobaczyła ich razem. Nie chodziło mu o to, żeby nie widziała, jak się całują; on wręcz spanikował na samą myśl o tym, że siostrzenica zobaczy ich stojących obok siebie. Zareagował w najprostszy sposób: pozbył się dowodu. Pozbył się Ally.

Nie tego się spodziewała po dziko zakochanym mężczyźnie. Poczowała w sercu najpierw niepewność, a potem coś bardziej mrocznego.

Mocne szarpnięcie odsunęło kotarę i ujrzała Bena, który przeczesywał włosy palcami.

– Niewiele brakowało.

Otworzyła usta, ale nie mogła wykrztusić ani słowa. Nie umiała mu nawet wyjaśnić, jak bardzo niewłaściwe było to, co rozegrało się w ostatnich dwóch minutach. Zresztą wszystko wydało jej się nagle niewłaściwe, jakby coś obmierzłego wpęzło jej nieoczekiwanie pod skórę.

– Tak po prostu mnie schowałeś?

– Astrid była blisko. Zadziałał instynkt.

– Który nakazał ci mnie schować. Ukryłeś mnie instynktownie.

Ben zmarszczył brwi.

– To chyba oczywiste, że nie chcemy, żeby zobaczyła nas w takiej sytuacji?

– Oczywiście... – powtórzyła, choć wcale tak nie uważała. Chodziło mu o publiczne okazywanie uczuć? A może chciał ukryć przed Astrid znacznie więcej?

Odpowiedział na jej pytanie, zanim zdążyła je zadać.

– Przepraszam cię. Myślałem, że dobrze się rozumiemy. Nadal musimy uważać...

Tym razem to Ally zmarszczyła brwi. Sądziła, że pokonali ostatnią przeszkodę, gdy oświadczyła mu, że postanowiła zostać. Myślała, że już po wszystkim. Spojrzała mu głęboko w oczy. Może nie wziął jej deklaracji na serio? Może jej nie zrozumiał?

– Dziś rano dostałam mail z zaproszeniem na rozmowę kwalifikacyjną – powiedziała.

– W sprawie pracy, na której mi zależało. Jeszcze miesiąc temu nie wyobrażałam sobie lepszego zajęcia...

Rysy Bena stężyły i choć ani drgnął, miała wrażenie, że jakoś się oddalił.

– Przyjmiesz ofertę?

– Właśnie o to chodzi, że nie. Nawet się nad nią nie zastanawiam, w ogóle nie otworzyłam wiadomości... Bo już wiem, czego chcę. Nie Nowego Jorku. Chcę Pine Hollow, ciebie i Astrid. Ale i ty musisz chcieć.

– I chcę – odparł z emfazą. – Wolałbym tylko, żeby Astrid nie angażowała się zbyt mocno, dopóki sami nie wiemy, co z tego wyjdzie. Muszę być ostrożny.

Ally pokiwała głową, choć nie była pewna, czy się z nim zgadza. Jej myśli wciąż wirowały.

Gdy jej chłopakiem był Matthew, zawsze pozwalała mu rządzić. Godziła się na jego życzenia. Nigdy nie prosiła o to, na czym jej zależało, bo tak naprawdę nawet nie wiedziała, czego chce. Tym razem było inaczej. I bolało.

Szukała partnera, mężczyzny, który wytrwałby przy niej przez kolejne sześćdziesiąt pięć lat i wciąż pragnął trzymać ją za rękę, a Ben ukrył ją za kotarą. Minimalizował ryzyko. Wiedziała lepiej niż większość ludzi, że nie ma czegoś takiego jak gwarancja na przyszłość, ale pragnęła mieć przy sobie kogoś, kto przynajmniej gotów był spróbować. Trybik znowu wyskoczył z mechanizmu, a może i pękł pod naciskiem.

– Znów jestem sama w związku? – wyszeptęła. Ben nie szukał partnerki. Zawsze chciał wszystko robić sam. A ona znowu popełniła ten błąd. Była samotna, zdesperowana, więc przyłgnęła do kogoś, kto wcale nie pragnął tego co ona. I nie chciał jej. – Wcale nie zamierzałeś dopuścić mnie bliżej.



Ben przeczesywał palcami włosy, zastanawiając się, jakim cudem w ciągu niespełna pięciu minut przeszli od najlepszego pocałunku w całym jego życiu do tej fatalnej rozmowy, która popychała ich w niewiadomym kierunku.

– Nie o to chodzi – zaoponował. Zabrzmiało to ostrzej, niż chciał, bo jej oskarżenie wydało mu się niesprawiedliwe. Przecież już się przed nią otworzył. Wpuścił ją do swego życia głębiej niż kogokolwiek innego. – Chodzi tylko o Astrid.

– Nie. – Ally wciąż kręciła głową. – Nie zwalaj winy na nią. To ty wbiłeś sobie do głowy nierealny wizerunek tego, kim powinieneś dla niej być. I to ty się boisz, że pojawi się w twoim życiu coś, nad czym nie będziesz miał kontroli. Tylko że tym sposobem umyka ci samo życie. Nie potrzebujesz wielkiego ogrodu, żeby mieć psa. Nie potrzebujesz też gwarancji, że przetrwamy razem wieczność, zanim pozwolisz sobie na randkę. Astrid jest bystra. Wiele rozumie. A jeśli nam się nie uda, to owszem, na pewno będzie rozczarowana, ale pocałunek to nie kontrakt na wieczyste użytkowanie i ona niewątpliwie to pojmuje. – Ally ciasno splotła ramiona na piersi. – To ty dokonujesz takiego wyboru.

– Nie dokonuję żadnego wyboru. Po prostu uważam, że ostrożność nie zawadzi. – Słuchając go, Ally pomyślała, że gdyby zrezygnowała dla niego z wymarzonej posady, a związek nie przetrwałby

próby czasu, chyba do końca życia miałyby do niego żal. – I może jednak powinnaś pojechać na tę rozmowę do Nowego Jorku.

– Nie tego chcę – odparowała ostro. – Nie słuchałeś mnie?

– Oczywiście, że słuchałem...

Ale ona już nie chciała go słuchać.

– Chcę prowadzić schronisko. Czuć, że robię coś dobrego, opiekując się psami i szukając dla nich domów. Pragnę widzieć, że dzięki mnie ludzie są nieco mniej samotni. Powiedziałam ci o tej rozmowie kwalifikacyjnej tylko po to, żebyś zrozumiał, że chcę tego, co dzieje się tutaj, więc dlaczego tak się starasz mnie odepchnąć?

– Nic podobnego...

– Potrzebuję partnera. Kogoś, kto wejdzie w ten związek w stu procentach, ale ty jeszcze nigdy tego nie dokonałeś. Miotasz się, chroniąc przede wszystkim siebie. Wymyślasz niezliczone powody, dla których pewnego dnia moglibyśmy się rozstać, i analizujesz, jakie by to było okropne, ale nigdy nawet nie spróbowałeś być ze mną. Lepiej jest kochać i stracić, to stara prawda, ale ty sobie nie pozwolisz na takie ryzyko.

Ben poczuł gniew. W jej oczach był egoistą, a przecież nie robił nic innego, tylko starał się zaspokajać potrzeby wszystkich dookoła.

– Stawiam Astrid na pierwszym miejscu – stwierdził sucho. – Jej potrzeby są ważniejsze niż moje, a tym, czego potrzebuje najbardziej, jest stabilizacja. Musi być otoczona ludźmi, na których może polegać.

– A na mnie nie może? W czym ją zawiodłam? A może nie zrobiłam wszystkiego, żeby ci pokazać, jak mi na was zależy? I że chcę tego, co tu mam? Ale ty nie potrafisz mnie przyjąć, prawda? Astrid to twoja wymówka, ale to nie ona otacza się murem, nie ona musi wszystko sama. To, że potrzebujesz innych, nie czyni cię słabym, Ben. Nie czyni cię mniej męskim. Za to czyni cię bardziej ludzkim. I może trochę zmniejsza prawdopodobieństwo, że przedwcześnie wpędzisz się do grobu. Nie zrobisz wszystkiego sam. Nikt tego nie potrafi. Nawet jeśli ci się zdaje, że wypełniasz wolę siostry.

– Nie mieszaj jej do tego.

– Ona już w tym tkwi. Jest duchem minionych Świąt Bożego Narodzenia, Ebenezerze. A ty odchodzisz od zmysłów, próbując doścignąć ten idealny wizerunek, który sobie stworzyłeś: być tym, kim ona by była, gdyby żyła.

– Bezsensowna metafora...

– Wiem! – W bezsilnej złości Ally przycisnęła pięści do skroni. – Ja po prostu... cię kocham, Ben.

Jej słowa uderzyły go jak potężny podmuch arktycznego wiatru i przeraziły do szpiku kości. Lecz Ally jeszcze nie skończyła.

Opuściła rękę, otworzyła dłoń.

– Szaleję za tobą i za Astrid tak, że sama w to nie wierzę. Pragnę tego, rozumiesz? Przez lata mówiłam sobie, że sama nie wiem, czego chcę, bo bałam się, że nigdy tego nie dostanę. Pragnęłam mieć dom. Należać do jakiegoś miejsca, należeć do kogoś. I chcę, żebyś to był ty. Ale czego ty pragniesz? Nie mów mi, że tego, co najlepsze dla Astrid. Nie mów mi, co jeszcze musisz zrobić, czego powinienęś pragnąć. Powiedz mi, czego *chcesz*.

– Nie wiem! – wypalił sfrustrowany tą bezpośrednią prośbą. – I nie ma to żadnego znaczenia!

– A właśnie, że ma! Bo ja mam już dość związków, w których tkwi się tylko ze strachu przed samotnością. Nie będę twoją tajemnicą. Nie możesz zamknąć mnie w jednym pudełku, a Astrid i cała reszta twojego życia w innym. Nie możesz chować mnie za kotarą, gdy staję się niewygodna. Potrzebny mi ktoś, kto poczuje się szczęśliwym tylko dlatego, że mnie ma. A jeśli nie mogę mieć kogoś takiego... to chyba nie ma sensu.

– Ally...

– Przykro mi. Muszę... muszę już iść.

– Ally.

Ben wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, ale już kluczyła w pośpiechu między rekwizytami, byle dalej od niego. Mógł jedynie bezradnie odprowadzić ją wzrokiem, lecz nie pobiec za nią, bo przecież ktoś mógłby zobaczyć. Na przykład Astrid. I tak mieli szczęście, że jeszcze nikt ich tu nie znalazł.

Czego ona właściwie chce...

Była nierozsądna. Prosiła o coś, czego nie mógł jej dać.

Postawiła sprawę tak, jakby mógł dokonać wyboru, a przecież musiał myśleć o Astrid. Musiał ją chronić. A jeśli miało to polegać na tym, że siebie odgradzał murem, to trudno. Ostatnie dwa lata odmieniły całą jego życiową drogę i nie było już odwrotu.

ROZDZIAŁ 33



Ally niemal biegła do wyjścia, czując w żołądku mdlący smak koktajlu z frustracji zaprawionej upokorzeniem. Postawiła wszystko na jedną kartę. Ujawniła, co czuje, a jego twarz pozostała jak kamienna maska, gdy tak patrzył na nią z góry, coraz dalszy, coraz bardziej zamknięty.

Gdy znalazła wreszcie krótkie schodki prowadzące w dół, w kierunku czerwonego światła nad wyjściem, na scenie trwał numer taneczny w wykonaniu amatorów z miasteczka. Dzięki Bogu Astrid jej nie zauważyła.

Wybiegła z teatru na niewielki parking i przystanąła, oślepią blaskiem słońca na śniegu. Nie spędziła wiele czasu w półmroku, a jednak zdążyła zapomnieć, że na zewnątrz jest jeszcze jasno.

– Hej, Ally! – Kilka kroków od niej stała Deenie z Bażantem, który akurat przykucnął na tylnych łapach i zamarł.

Oto i pies równie beznadziejnie zakochany w Benie jak ja, pomyślała gorzko. Nieźle skończyłam: porównuję moje nieodwzajemnione uczucia do emocji buldoga składającego się w dziewięćdziesięciu procentach ze śliny. Coś pięknego.

– Co nowego? – spytała Deenie, ruszając z powrotem do drzwi, gdy tylko Bażant skończył to, co robił. – Potrzebują nas tam?

– Powiedziałam mu, co do niego czuję.

– Benowi? – Deenie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Czas najwyższy! Już zaczynałam podejrzewać, że potrzebny wam jakiś podręcznik, żebyście wiedzieli, jak się zabrać do rzeczy. – Zauważyła, że Ally nie podziela jej radości, i w jednej chwili zrzęła jej mina. – O nie...

Ally zacisnęła usta, wdzięczna, że nie musi niczego wyjaśniać.

– Muszę stąd na chwilę wyjść. Mogłabyś popilnować psów?

– Chcesz, żebym po próbie odwiozła je do schroniska? – spytała dziewczyna, jak zwykle gotowa zrobić więcej, niż oczekiwano.

– Nie mogę prosić, żebyś poświęciła całe popołudnie...

– Żartujesz? Przecież i tak tu zostaję. Widziałas tę ich charakteryzatornię? Ile brokatu!

– Dziękuję – szepnęła Ally, chwytając Deenie za rękę.

Brokatowa królowna otworzyła usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, lecz w tym momencie za plecami Ally otworzyły się drzwi i ktoś zawołał, że są gotowi do sceny z Bażantem. Deenie odwzajemniła więc tylko uścisk dłoni, a potem znowu się uśmiechnęła i poprowadziła buldoga do środka.

Parking był tak mały, że Ally przemierzyła go błyskawicznie – tylko po to, by się przekonać, że jej samochód został zastawiony. Oczywiście nie mogło być inaczej! Teatr mieścił się daleko od schroniska, na przeciwległym krańcu miasteczka, ale popołudnie było tak piękne, że Ally prawie nie czuła chłodu. Gnana frustracją i rozczarowaniem ruszyła przed siebie szybkim i coraz szybszym marszem.

Wszyscy ją ostrzegali przed Benem, twierdzili, że on nikogo do siebie nie dopuszcza. Że więcej ma w sobie ze Scrooge'a niż z George'a Baileya. Znała prawdę, a mimo to była przekonana, że z nią będzie inaczej. Boże, cóż za romantyczny banał, pomyślała.

Od samego początku była w błędzie. W każdej z tych chwil, w których, jak sądziła, mówili tym samym językiem, on w myślach kupował jej bilet na pociąg do Nowego Jorku, zachowując bezpieczny dystans.

Ally wiedziała, że sama zaczyna się nakręcać, a jej myśli z każdą sekundą odfruwają dalej od logiki, ale nie mogła przestać przeżywać owej chwili, w której odepchnął ją bezceremonialnie i ukrył

przed Astrid. Nie, nie marzyła o tym, żeby dziewczynka nakryła ją pod sztuczną latarnią w namiętym uścisku z wujkiem Benem, ale czy nie mógł przynajmniej trzymać jej za rękę? Czy zbyt wiele oczekiwała? Nie miała prawa do mężczyzny, który miałby odwagę trzymać ją za rękę?

Była tak wzburzona, że dwudziestopięciominutowy spacer dobiegł końca, zanim się zorientowała. Wkroczyła na podjazd dziadków, kierując się prosto do domu – schronisko było już przecież puste.

Wbiegła po stopniach na ganek i niemal nie zwalniając kroku, przekroczyła próg, żeby w pośpiechu zrzucić kurtkę i buty. Babcia w milczeniu obserwowała jej nerwowe ruchy, nie przerywając pakowania prezentów na kuchennym stole. Dziadek sapnął cicho, ocknąwszy się w fotelu.

– Tak szybko wróciłaś? – zapytała w końcu Bunia. – Wygląda na to, że komitet organizacyjny nareszcie zareagował na skargi dotyczące ośmiogodzinnych prób do jasełek.

– Próba jeszcze trwa, zostawiłam psy pod opieką Deenie. – I samochód, dodała w duchu. Samochód też zostawiłam. Muszę po niego wrócić. I po psy przy okazji. Jezu, co ja sobie myślałam? Najwyraźniej nic. Musiałam po prostu uciec.

– Coś się stało? – spytał dziadek.

Czy coś się stało? Powiedziałam Benowi, że go kocham. Pocałowałam go. A on ukrył mnie za kotarą. Boże, czy ja naprawdę to zrobiłam? Własne słowa zaczynały zacierać się jej w pamięci. Może jednak nie wyznała mu miłości? Miała wrażenie, że dopiero zaczyna wracać do rzeczywistości i w pełni pojmować, co tak naprawdę zaszło w ciągu ostatniej godziny.

– Ja... – Co się stało? – Pokłóciłam się z Benem.

– O nie. – Bunia odłożyła nożyczki i wyszła z za stołu. – O co poszło?

– Powiedziałam mu, że dostałam zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną w Nowym Jorku, chodzi o moją wymarzoną pracę, ale się tam nie wybieram, bo zmieniły mi się priorytety. Że chcę tu zostać i razem z wami prowadzić schronisko. Może zaoferować usługi fotograficzne, może szkolenie psów, tak żeby „Kosmaci Przyjaciele” stali się mekką dla wszystkich miłośników czworonogów z Pine Hollow. A Ben po prostu by wołał, żebym wróciła do Nowego Jorku.

– Och, skarbie... – Dziadkowie wymienili nieprzeniknione spojrzenia. – Może więc powinnaś pojechać na tę rozmowę?

Ally znieruchomiała z jedną ręką na wieszaku, na którym właśnie zawiesiła kurtkę.

– Co? Dlaczego... – Odpowiedź nagle zaciążyła jej w piersi jak wielki kamień. – Wy też tylko czekacie, aż wyjadę?

– Ależ skąd, kochanie. Nie czekamy. Jesteśmy przeszczęśliwi, że cię tu mamy.

Ale te dziwne spojrzenia... Ally poczuła nagle, że pośrodku tej układanki brakuje najważniejszego, wielkiego elementu.

– O czym mi nie powiedzieliście?

Dziadek wyprostował się w fotelu, opuściwszy podnózek.

– Chcemy, żebyś została z nami tak długo, jak potrzebujesz, żeby stanąć na nogi.

Johnsonowie wspomnieli, że dziadkowie mają się w przyszłym roku przenieść do Summerland, ale uznała, że starsi państwo się mylą. Bunia przecież powtarzała wielokrotnie, że prędzej umrze, niż przeprowadzi się do jakiegoś domu starców. Johnsonowie musieli być w błędzie. Źle zinterpretowali to, że dziadkowie pojawiali się na osiedlu emerytów nader często, odwiedzając przyjaciół. Prawie tam mieszkali.

Prawie tam mieszkali...

– Przenosicie się na osiedle, prawda?

Znowu spojrzeli po sobie w milczeniu. Miedziak zeskoczył na podłogę, gdy tylko wyczuł, że dziadek zaczyna wstawać, podpierając ręką plecy.

– Wpłaciliśmy zaliczkę na jeden z apartamentów, jeszcze zanim nas zawiadomiłaś, że przyjedziesz.

Ally w bezbrzeżnym zdumieniu obróciła się ku Buni.

– Przecież mówiłaś, że nigdy nie zamieszkacie w takim miejscu. Gdy państwo Kennedy się tam

przenieśli, powiedziałaś, że ciebie będzie trzeba zabrać z tego domu prosto na cmentarz. Że wolałabyś umrzeć, niż zamieszkać tam, gdzie ktoś będzie kroił ci jedzenie.

– Wiesz, tak naprawdę wcale tego nie robią. Jest tam... całkiem sympatycznie. Nie miałam pojęcia, ile atrakcji oferują... A dziadek uwielbia te swoje pokerowe turnieje. Już wszyscy jego przyjaciele z Elks są w Summerland.

– I chcieliście sprzedać dom?

– Najpierw odremontować. Darleen, która prowadzi biuro nieruchomości, powiedziała, że dostaniemy lepszą cenę, jeśli to i owo odnowimy, ale na pewno nie zamierzaliśmy rozgrzebywać chałupy przed wyprowadzką. Lilian z kolei zasugerowała, żebyśmy się zgłosili do programu *Cudotwórcy*. Może pomogliby nam odpicować dom.

Lilian. Darleen. Johnsonowie. Wszyscy wiedzieli. Wszyscy oprócz niej.

Kolejny element układanki wskoczył na miejsce.

– To dlatego obcięli nam dotację. Wiedzieli, że i tak sprzedamy schronisko. Całe miasto wiedziało...

– No, nie. Nie całe – zaproponował dziadek. – Powiedzieliśmy tylko paru osobom.

A plotka się rozeszła, jak zawsze w Pine Hollow. I tylko ona, Ally Gilmore, była poza obiegiem informacji. Bo tak naprawdę wcale nie należała do tej społeczności. Była jedynie turystką. Intruzem.

– Kiedy się przeprowadzacie?

– O, właśnie w tym rzecz – ożywiła się Bunia. – Będą trzymali dla nas miejsce tak długo, jak zechcemy, więc nie musisz się spieszyć. Jak powiedział dziadek, masz czas, żeby stanąć na nogi. Nie chcemy, żebyś czuła, że cię popędzamy. Naprawdę jesteśmy szczęśliwi, że z nami mieszkasz, Ally.

A jednak się nie domyślili, że chciałyby tu zostać.

– Sądziłam... Nigdy nawet nie wspominaliście o moim powrocie do Nowego Jorku.

– Jasne, że nie. Po co mielibyśmy to robić? Żebyś poczuła się niemile widziana albo wmówiła sobie, że namawiamy cię do powrotu, choć nie jesteś gotowa? Uznaliśmy, że sama podejmiesz decyzję, gdy uznasz, że nadszedł czas. Na przykład po Świętach.

Ally bez słowa spojrzała babci w oczy.

Przez cały czas wierzyła, że im pomaga, a oni tylko czekali, aż wyjedzie, żeby sprzedać wszystko i zrealizować swoje plany. Była pewna, że jej potrzebują.

– Muszę... muszę to przemyśleć. – Sięgnęła po kurtkę i wsunęła stopy w ciepłe buty.

– Ally? – Głos Buni łamał się z niepokoju.

– Wszystko gra – zapewniła ją wnuczka, choć czuła, że już dawno nie mijają się z prawdą tak dalece. Wszystko wokół niej rozpadało się na kawałki. Wszystko to, co nareszcie miało się poukładać.

I już żadne znaki nie wskazywały jej drogi do Pine Hollow.

To nie był jej dom. Nie należała do tej społeczności, była tylko pasożytem. Relacje, które – jak się jej wydawało – zbudowała w ciągu tych paru tygodni, okazały się śmiesznie wątłe, a ich osnową byli dziadkowie, Ben oraz schronisko. I co teraz będzie? Czy kiedy znikną stąd ostatnie psy, Deenie jeszcze tu zajrzy? Dziadkowie chcą sprzedać dom. Gdzie miałyby mieszkać?

– Przepraszam – dodała, wkładając czapkę i szalik. – Przepraszam za wszystko.

– Ally...

Zaciekawiony Colby uniósł łeb, gdy dziadek zawołał ją po imieniu, ale ona była już za progiem, gdzie czekało na nią zimne, grudniowe popołudnie.

Przyjechała tu, żeby uciec przed samotnością, a teraz czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej. Dawniej miała przynajmniej swoje marzenie – wizję ganku gdzieś w dalekiej przyszłości – a teraz i ono wymykało się jej z rąk. Jakby przez lata tylko się oszukiwała, że może je spełnić, a teraz nadszedł czas zderzenia z rzeczywistością.

ROZDZIAŁ 34



Ben nie był w świątecznym nastroju. Gdy tylko wrócił z zaplecza, dał sygnał komitetowi organizacyjnemu, że można wypróbować oświetlenie. Chwilę później cała scena rozbłysła jak słońce, ale on nawet się nie uśmiechnął, gdy zebrani nagrodzili go gromkimi wiwatami. Rozejrzał się, szukając Astrid. Zastanawiał się, jak szybko będą mogli stąd wyjść.

Nie dostrzegł nigdzie siostrzenicy, za to został namierzony przez Bażanta. Buldog natychmiast zaczął holować za sobą Deenie środkowym przejściem między krzeselkami, ze wszystkich sił ciągnąc smycz. Deenie tylko spojrzała przeciągle na Bena i bodaj pierwszy raz w dziejach nie powitała go uśmiechem.

Ona wie.

Poczuł, że narasta w nim poczucie wstydu, choć przecież nie zrobił nic złego. Nie zwodził Ally. Od początku powtarzał, że najważniejsza jest dla niego Astrid. Robił to, co należało, do cholery.

Lecz to nie wyjaśniało, dlaczego poczuł się jak ameba, gdy Deenie odwróciła się od niego i mruknęła:

– Idziemy, Bażant. – Buldog zaskomlał i niechętnie usłuchał.

– Gdzie Ally?

– Jezu, Astrid! – Ben przycisnął dłoń do piersi i obrócił się do siostrzenicy, która zakradła się doń niepostrzeżenie.

Stała u jego boku, tuląc w ramionach Fistacha.

– Ciocia Elinor mówi, że jesteś taki płochliwy, bo za mocno się spinasz i może gdybyś się trochę wyluzował, to by ci pomogło.

– Ciocia Elinor jak zwykle bardzo pomocna – wymamrotał Ben.

– Widziałeś Ally? – ponowiła pytanie dziewczynka. – Wszyscy mówią, że szuka ciebie, ale nikt jej nie widział.

– Nie wiem, gdzie jest – odparł, starannie unikając wyznania, że się z nią widział. I że się z nią całował. I że wepchnął ją za kotarę, żeby Astrid jej nie zobaczyła. – Może już poszła.

– Bez psów? – Mała spojrzała na niego zdziwiona.

– Na pewno po nie wróci.

Astrid wciąż na niego patrzyła i najwyraźniej widziała więcej, niż sobie życzył.

– Powinieneś ją pocałować wtedy pod jemiolą, gdy miałeś okazję.

Ben omal nie udławił się językiem.

– Słucham?

– Pod jemiolą. W altanie na rynku – wyjaśniła cierpliwie dziewczynka. – Pomyślałam, że gdybyś pocałował Ally, nie byłbyś ciągle taki zestresowany. I może moglibyśmy mieć pieska. Dlatego ustawiłam to wszystko z Kimber.

Ben spoglądał na nią z otwartymi ustami. Podejrzewał, że Astrid ma nadzieję na jego związek z Ally, ale nie przyszło mu na myśl, że aktywnie działa w tym kierunku.

– Naprawdę chciałaś, żebym się związał z Ally tylko po to, żebyś mogła dostać psa?

– Nie. Najbardziej zależało mi na tym, żebyście po prostu byli razem, bo bardzo lubię Ally. A ty chyba nie jesteś szczęśliwy.

Jej słowa były jak cios prosto w żołądek.

– Astrid, ależ ja jestem szczęśliwy. Kocham cię i jestem bardzo szczęśliwy.

– Jesteś, odkąd poznaliśmy Ally – zauważyła. – Wcześniej Kimber nawet nie chciała do nas przychodzić, bo wiecznie byłeś w złym humorze. Mówiłam jej, że tak naprawdę nie jesteś zły, że tylko

czasem tak wygładasz, ale i tak się bała.

Jezu. Był przekonany, że Elinor przesadza, mówiąc mu, że jest postrachem dzieci, a teraz się okazało, że najlepsza przyjaciółka Astrid bała się ją odwiedzać.

– Wybacz mi. Będę się bardziej starał.

– Świetnie sobie radzisz, wujku Benie. – Wyciągnęła rękę, żeby poklepać go po ramieniu jak jeden z mieszkańców Summerland. – Bardzo bym chciała, żebyś był szczęśliwy.

– I jestem. Daję słowo, mała. Jestem szczęśliwy.

– Ale nie widziałeś się z Ally?

Znowu poczuł mrowienie na karku.

– W ciągu ostatnich paru minut nie.

Astrid skinęła głową i odeszła, zapewne by kontynuować poszukiwania Ally. Ben rozejrzał się raz jeszcze w tym samym celu. Nie wiedział, co jej powiedzieć, ale czuł, że musi ją zobaczyć, choćby po to, żeby się przekonać, że już jej przeszło, że wybaczy mu ten idiotyczny manewr za kulisami.

– Benjaminie West.

Jakby za mało mi było niezręcznych chwil, jęknął w duchu Ben, bo natychmiast rozpoznał ten głos. Odwrócił się, by stawić czoło kobiecie, z którą niegdyś chciał się ożenić.

– Isabelle. Wesołych Świąt.

– Wesołych Świąt – powtórzyła i otworzyła ramiona, żeby go uściskać, choć tak naprawdę bardziej przypominało to klepanie po plecach niż czuły gest. Dobrze, że żadne z nas nie ma zamiaru rozpalać na nowo dawnych uczuć w bożonarodzeniowym klimacie, pomyślał. – Poznałam dziś rano dziewczynę, z którą się spotykasz – dodała, cofając się o krok, by utrzymać komfortowy dystans.

– Nie spotykam się z nią – odparł z naciskiem Ben, nie po raz pierwszy o wiele ostrzej, niż zamierzał.

Isabelle spojrzała na niego przenikliwie, na chwilę przymknęła powieki i jęknęła:

– Och, Ben.

– Co? – warknął. Niestrudzeni kolędnicy rozpoczęli właśnie kolejną próbę odśpiewania *We Wish You a Merry Christmas*. – Zamierzasz mi mówić, jak mam żyć? Bo niby osiągnęłaś takie moralne wyżyny? Zmyłaś się, gdy tylko pojawiły się kłopoty.

– Rany. Popołudniowa porcja rewizjonizmu historycznego – odparowała Isabelle. O dziwo, Ben poczuł dziwną satysfakcję, słysząc jej drwiący ton. – Wytrzymałam miesiącami. Byłam przy tobie w czasie pogrzebu i później, w trakcie formalności związanych z realizacją testamentu, a ty przez cały czas zachowywałeś się jak palant za każdym razem, gdy próbowałam ci pomóc. Jakbyś za wszelką cenę bronił swojego terytorium. Ilekroć chciałam zrobić coś dla Astrid, musiałam się nagimnastykować, żebyś w ogóle pozwolił mi do niej dotrzeć.

– To nie...

– Dostałeś szału, gdy odebrałam ją ze szkoły.

– Nie informując mnie o tym!

– Bo padł ci telefon! Wysłałam SMS-a! – odrzyknęła Isabelle i w tym momencie kilka głów zwróciło się w ich stronę, ale nawet tego nie zauważyła, a może była tak zirytowana, że było jej wszystko jedno. – Nie moja wina, że nie naładowałeś tego cholernego aparatu...

– Martwiłem się. Nie wiedziałem, gdzie jest Astrid...

– Przez całe dwie sekundy! Bo zaraz ktoś ci powiedział, że ją odebrałam, ale najwidoczniej dopuściłam się zbrodni przeciwko ludzkości. Moja wina! Wszystko było moją winą! Za każdym razem, gdy próbowałam pomóc, obwiniałeś mnie. – Urwała, dostrzegłszy poniewczasie, że kolędnicy umilkli. – Przepraszam – dodała ciszej. – Sądziłam, że już mi przeszło, ale widzę, że nadal jestem na ciebie wściekła.

– Nie wiedziałem, że się tak czułaś – przyznał po krótkim namyśle. Był wtedy zbyt pogrążony w żalu; postanowił robić wyłącznie to, co najlepsze dla Astrid, a sam był ledwie żywy.

Isabelle zaśmiała się smutno.

– Wydawało ci się, że tylko ty cierpisz? Jakoś mnie to nie dziwi. Jesteś świetnym facetem, Ben,

ale naprawdę nie ułatwiasz życia tym, którzy próbują się o siebie zatroszczyć.

– Nigdy nie chciałem...

– Wiem. – Westchnęła, rozglądając się po sali, w której wszyscy bardzo się starali udawać, że nie podsłuchują. – Kochałam i ciebie, i Astrid. Wytrzymałam dłużej, niż należało, bo wciąż wierzyłam, że przejrzysz na oczy. Że dostrzeżesz w końcu moje dobre chęci i dopuścisz mnie bliżej. Ale ty wciąż mnie odpychałeś i upierałeś się, że wszystko zrobisz sam. Zawsze taki byłeś. Staraleś się być okazem siły i nie pozwalałeś, by ktokolwiek przyszedł ci z pomocą. Miałam nadzieję, że będzie lepiej, gdy się pobierzemy, ale sytuacja zdecydowanie się pogorszyła, gdy Katie... – Isabelle nie dokończyła. – Żałuję, że już jej nie ma – szepnęła po chwili zduszonym głosem.

– Ja też. – Ben odchrząknął, czując dziwny ucisk w gardle. – I przykro mi, że tak... zamknąłem cię w pudełku.

Zaskoczona uniosła brwi.

– Całkiem nieźle to ująłeś.

– A co u ciebie? W porządku?

– Jak najlepszym – zapewniła go. – Powiedziałybym nawet, że jest wspaniale. Pracuję w Bostonie. Uwielbiam to miasto. Ruch jest okropny, za to parki niesamowite. Mimo to miło wpaść do domu na Święta. – Uśmiechnęła się do własnych wspomnień. – I miło cię spotkać, Ben. Wybacz, że tak na ciebie naskoczyłam – dodała, poważniejąc.

– Chyba dobrze mi to zrobiło. Chociaż wolę nie myśleć, jakie plotki rozejdą się jutro po mieście.

Isabelle skrzywiła się nieznacznie.

– Tak, tego akurat mi nie brakuje. – Spojrzała na scenę, gdzie koordynatorzy przedstawienia usiłowali ustawić chór. – Przepraszam, że podniosłam głos.

– Niepotrzebnie. Zasłużyłem na każdy decybel.

Zwłaszcza że jeszcze nigdy nie wyszedł dobrze na ukrywaniu życia osobistego przed mieszkańcami miasta. Zdawało mu się, że jakoś sobie radzi, a tymczasem Elinor i Astrid wymieniały poglądy na temat jego gburowatości oraz tego, że od dawna jest postrachem jej przyjaciółek. Tak bardzo chciał zachować dla siebie uczucia, którymi darzył Ally, a wszyscy już o nich wiedzieli. Ukrył ją za kotarą, żeby Astrid nie zobaczyła ich razem, nie wiedząc o tym, że to ona zaaranżowała ich spotkanie pod jemiolą. Nagle zdał sobie sprawę, że walczy z wiatrakami: fala plotek, które rozchodziły się po Pine Hollow lotem błyskawicy, miała moc klęski żywiołowej. Nie miał szans.

– Bella! Mój szalik! – zawołał młody, niecierpliwy głos.

Isabelle uśmiechnęła się lekko.

– Czas na mnie. Minnie statystuje w tym roku, więc robię za jej garderobianą – wyjaśniła, ruchem głowy wskazując na scenę i swą wyraźnie zirytowaną najmłodszą siostrę.

– Ależ wyrosła.

– Prawda? Wystarczy, że nie ma mnie miesiąc, a ona rośnie trzy cale. Do zobaczenia, Ben. Wesółych Świąt.

Odprowadził ją wzrokiem, rozważając wszystko, co mu powiedziała. Padło niewiele słów, ale to wystarczyło: dostrzegał teraz przeszłość w nowym świetle. Może rzeczywiście zbyt chciał nad wszystkim panować – nad wszystkim, na co w ogóle miał wpływ, a nie było tego wiele. Być może...

– Ben! Tu jesteś! Mógłbyś rzucić okiem na nagłośnienie? Chyba znowu szlag trafił kabel...

Ben odsunął na bok wspomnienia i skupił się na teraźniejszości. Kolejna jasełkowa minikatastrofa była dobrym pretekstem, żeby nie myśleć o spięciu z Ally. Oskarżyła go, że zamknął ją w pudełku – rzeczywiście to zrobił, bo tylko w taki sposób potrafił sobie radzić ze sprawami, które trudno mu było ogarnąć. Tymczasem więc dorzucił myśli o niej do wymyślanego pudełka i zabrał się do pracy.

ROZDZIAŁ 35



Maszerując w stronę teatru, Ally napisała wiadomość, więc Deenie już na nią czekała z psami i pomogła załadować je do samochodu, na szczęście ani słowem nie wspominając o Benie. Ona z kolei nawet nie szukała wzrokiem jego wozu; wystarczyło, że jej już nie był zablokowany i mogła stąd za chwilę uciec.

Była jednak w błędzie, jeśli sądziła, że wszyscy dookoła będą milczeć. Gdy zamknęła Maximusa w klatce u „Kosmatych Przyjaciół” i wróciła do samochodu po Bażanta i Fistacha, na podjazd skręcił szaroniebieski garbus należący do Deenie. Colby ocknął się z drzemki na ganku i podreptał, by przywitać nowo przybyłe w osobach Deenie i Elinor oraz suczki od niedawna zwanej Dorą.

– Nadciągam z posiłkami – oznajmiła Deenie.

– Czyli z ajerkoniakiem – sprecyzowała Elinor, unosząc termos.

– Naprawdę nie musicie tego robić, dziewczyny – zaprotestowała Ally, wyjmując z tylnego siedzenia miękko wyściełaną klatkę z Fistachem.

– Ależ musimy – odparła Deenie, odbierając jej z rąk psiaka.

Dora/Harry powlokła tymczasem swą panią w stronę stodoły, najwyraźniej stęskniona za swym dawnym domem i ciekawa nowych zapachów. Elinor pozwoliła jej na to, ale zanim otworzyła drzwi schroniska, kazała Dorze usiąść, a gdy suka usłuchała, dała jej sygnał klikerem, który nosiła na nadgarstku.

– Oglądałam w sieci filmiki o szkoleniu psów – wyjaśniła. – Od najbliższego kursu w Burlington dzielą nas tygodnie.

Ally drgnęła mimowolnie, wspomniawszy swoje ambitne plany związane ze schroniskiem.

– Może zbierzecie grupę i uda wam się sprowadzić trenera do Pine Hollow.

Deenie spojrzała na nią z błyskiem w oku.

– A wiesz, że to niezły pomysł? Zajęcia mogłyby się odbywać tutaj...

– Nie, raczej nie. Chodźcie – dodała Ally, otwierając drzwi biura.

Pokoik był zbyt ciasny dla trzech kobiet i kilku psów, ale poza domem tylko tu można było w spokoju usiąść. Ally nie chciała, by dziadkowie słyszeli tę rozmowę. Bunia już poprzedniego dnia zabrała do domu Dolce i szczeniaki, twierdząc, że suczce na pewno jest smutno w niemal pustym schronisku.

Elinor wyjęła z torby komplet składanych kubków kempingowych. Deenie postawiła na podłodze klatkę z Fistachem i wypuściła go, żeby sobie pobiegał, Dora zaś wskoczyła na wąską kanapkę, aby być blisko swej pani. Ally zajęła miejsce za biurkiem i przyjęła od Elinor kubek ajerkoniaku. Bażant ułożył się na jej stopie, a Colby podszedł, by złożyć na jej kolanach swój wielki łeb. Pogłaskała jego jedwabiste uszy i westchnęła, rozglądając się po biurze. Czuła, że będzie jej brakować tego miejsca.

Spróbowała trunku i omal się nie udławiła. Zakaszłała, zaciskając dłonie na kubku.

– Wybacz, mogłam cię ostrzec – powiedziała Elinor. – Ajerkoniak od Magdy ma moc paliwa raketowego. Dlatego pomyślałam, że dobrze nam zrobi.

– To dlaczego nie możemy zorganizować tu zajęć? – spytała Deenie, przysiadając na podłokietniku kanapki. – Moim zdaniem to świetny pomysł. Jest miejsce na tor przeszkód, wystarczy sprowadzić specjalistę...

– Jeszcze dziś rano myślałam o tym samym – przyznała Ally. Naprawdę dziś rano? Miała wrażenie, że minęła wieczność. – Planowałam ocalić „Kosmatych Przyjaciół”, otwierając zakład

fotograficzny dla psów, może także hotelik dla nich, ale jak się okazało, tylko mnie zależy na uratowaniu schroniska. Dziadkowie chcą wszystko sprzedać i wyprowadzić się na osiedle emerytów. Nie stać mnie na zakup domu z taką działką, a zresztą, skoro nie będzie tu psów, a oni nie będą mnie potrzebować, po co miałabym tu zostawać? W dodatku dostałam zaproszenie na wymarzoną rozmowę kwalifikacyjną w Nowym Jorku. Sytuacja jest oczywista: wszechświat mi podpowiada, że powinnam wrócić.

– Przemawiają przez ciebie stres i strach – oceniła Elinor, kręcąc głową.

– Raczej zmysł praktyczny – sprostowała dziewczyna. – Ja tu nie należę. Być może nigdy nie należałam.

Deenie poruszyła się nieznacznie na podłokietniku.

– Chodzi o Bena?

– Nie. – Bo przecież nie tylko o niego. – O moich dziadków. O schronisko. I o... moich rodziców. – Ally zapatrzyła się w kremową głębię ajerkoniaku, jakby mogła w niej znaleźć rozwiązanie swych problemów. Szukała poczucia wspólnoty, przynależności do rodziny, odkąd straciła najbliższych. Przerażała ją myśl o samotności, o utracie kontaktu z ostatnimi żyjącymi krewnymi, lecz mimo to pozostanie w Pine Hollow nie wchodziło w rachubę. – Sprawa z Benem... to tylko jeden z powodów. Jeszcze jeden argument przemawiający za tym, że powinnam wyjechać. Co mi tu pozostało?

– Ja – odparła Deenie.

– I ja – dorzuciła Elinor.

Colby zaszczekał w odpowiedzi.

– Jemu chyba też się tu podoba – stwierdziła z uśmiechem Deenie. – Moim zdaniem to trzy bardzo dobre powody, żeby tu zostać.

– Ale ty tu nie zagrzejesz miejsca, prawda?

Deenie zawahała się i westchnęła.

– Raczej nie – przyznała. – A w każdym razie nie zostanę tu na zawsze. Nie chcesz może uciec do Rzymu? Ja zawsze tak robię, gdy sprawy mi się nie układają.

Elinor spojrzała na nią z ukosa.

– Czasem mam wrażenie, że jesteś stuknięta, ale kiedy mówisz coś takiego, zastanawiam się, czy to nie ja jestem wariatką. Powinnyśmy wszystkie zwać do Rzymu.

Ally się uśmiechnęła, nie bardzo wiedząc, czy mówią serio.

– Sama nie wiem, co robić. Przyjechałam tu, żeby jakoś uporządkować swoje życie, a teraz mam większy mętlik w głowie niż kiedykolwiek.

– Ben to idiota – oznajmiła Elinor – ale jestem przekonana, że zależy mu na tobie. Jeszcze nigdy nie patrzył na nikogo tak jak na ciebie.

– A czy ma znaczenie, co on czuje, skoro nie chce wpuścić mnie do swojego życia?

Umilkły na chwilę. Zagadka była dla nich zbyt trudna.

– Chciałam, żeby pragnął tego samego co ja – stwierdziła Ally – ale on nigdy się na to nie otworzył.

– Mam nadzieję, że jednak zostaniesz – odezwała się wreszcie Elinor. – Jest tu dla ciebie miejsce, Ally Gilmore.

Chciała w to wierzyć, ale czuła, że jest to miejsce jedynie na chwilę.



Zanim Ben zdołał zabrać Astrid i w końcu wyrwać się z próby, dopadł go ból głowy, jakiego chyba nigdy jeszcze nie doświadczył. Wcześniej omal nie pogryzł ze złości kilku ochotników z miasteczka i niewątpliwie umocnił co najmniej dziesięciokrotnie swą opinię lokalnego Scrooge'a, ale tym, co naprawdę go gryzło, było echo rozmowy z Ally.

Przez całe popołudnie miał poczucie, że znowu coś schrząnił. Poczucie, które znał o wiele za dobrze: znowu kogoś zawiódł. Dlaczego Ally musi domagać się od niego więcej, niż może jej dać? Czy nie widziała, że chce z nią być, ale nie może sobie pozwolić na szybkie postępy? Znają się ledwie kilka tygodni. Musi najpierw uporządkować własne życie, by znaleźć w nim miejsce dla drugiej osoby. Ma plan, więc gdyby tylko zechciała go wysłuchać... ale nie zechciała. I dlatego jadąc do domu, patrzył wilkiem na malownicze Pine Hollow.

– Możemy obejrzyć *Opowieść wigilijną Muppetów*? – spytała Astrid, wysiadając z samochodu. Najwyraźniej nie była świadoma bólu, który rozsadzał mu czaszkę.

– Po kolacji.

Zdjęli buty i kurtki, a potem przywitali się w kuchni z jego rodzicami. Ben zaszedł do pomieszczenia gospodarczego, żeby zostawić narzędzia, które przezornie zabrał ze sobą na próbę, i... stanął jak wryty, spoglądając na to, co stało w miejscu jego popsutej pralki.

Obudowa była biała i lśniła nowością, a ponadto ozdobiła ją wielka czerwona kokarda.

Przez chwilę patrzył na nową pralkę, czując, jak wzbiera w nim irracjonalny gniew.

– Co wyście tu zrobili? – warknął do siebie.

W tej samej chwili usłyszał kroki bliskich w korytarzu i się odwrócił.

– Wesołych Świąt! – zawołali radośnie rodzice.

– Gdzie nasza pralka? – spytał. – Zamierzałem dać ją do naprawy.

– A my postanowiliśmy zrobić ci prezent. – Ojciec podszedł bliżej, nie przestając się uśmiechać.

– Tata naprawił też ten nierówny stopień – dorzuciła w najlepszej wierze matka.

Ben najeżył się jeszcze bardziej.

Próbowali mu pomóc. Wiedział, że się starają, lecz mimo to wrócił ów cichy głos w jego głowie szepczący mu, że znowu zawiódł, że zaniedbał obowiązki. I dlatego Ben nie potrafił zapanować nad złością, gdy odpowiedział:

– Sam bym to zrobił.

Nie potrzebował, żeby ktoś mieszał się do jego życia i go wyręczał. Sam naprawiłby wszystko, co było w tym domu do naprawienia. Udowodniłby wszystkim. Zawsze miał przecież tyle do udowodnienia.

– Wiemy. – Matka patrzyła teraz na niego dość niepewnie.

Zachowywał się jak osioł. W pamięci zadźwięczały mu słowa Ally, że przyjęcie pomocy nie jest oznaką słabości. I że tylko on uważa, iż musi coś wiecznie udowadniać. Pamiętał je, a mimo to wróciło przykre uczucie, że sprawia zawód Katie i Paulowi, a w dodatku wszyscy to widzą.

– Wujku Benie?

Spojrzał w dół na zatroskaną buzię Astrid i zmusił się do głębokiego oddechu.

– Dziękuję.

Nie przyszło mu to łatwo, ale matka i tak się uśmiechnęła.

– Nie ma za co. Chodź, Astrid. Widziałam pod choinką nowe prezenty dla ciebie.

Dziewczynka pobiegła do salonu, a Ben z ojcem zostali.

– Dobrze się czujesz? – spytał ojciec, jak zawsze zbyt spostrzegawczy.

– Widziałem się dziś z Isabelle – odparł Ben po chwili, bo łatwiej mu było wspomnieć o tym, niż się przyznać, że schrząnił sprawę z Ally i żal trawi go na wylot.

– Naprawdę? – zdziwił się tata.

Ben spojrzał mu w oczy.

– Powiedziała, że utrudniam ludziom okazywanie mi troski.

Ojciec się uśmiechnął.

– To akurat żaden sekret. Katie była jedyną osobą, która mogła ci czasem pomagać.

Ben popatrzył na nową pralkę. Nigdy nie chodziło mu o to, żeby kogoś od siebie odepchnąć albo coś komuś utrudnić. Po prostu znał swoje obowiązki. Wiedział, że pewne rzeczy zależą wyłącznie od niego, i nie zamierzał ich zrzucić na niczyje barki. Musiał tylko bardziej się starać, żeby zrobić, co

do niego należy. Ale z Katie...

Nie wiedział nawet, dlaczego tak łatwo było na chwilę oddać jej wodze, ale tak właśnie się działo. Może dlatego, że odkąd sięgał pamięcią, po prostu brała sprawy w swoje ręce? Była starszą siostrą. To było jej zadanie. Nigdy nie pozwoliła, żeby ją odepchnął, próbował robić coś samodzielnie, gdy chciała mu pomóc. Po prostu przy nim była. Boże, jak mu tego brakowało. Brakowało mu jej. Brakowało mu tego, jak bez wysiłku wślizgiwała się do jego życia i rozśmieszała go nawet wtedy, gdy chciał się na nią wściekać. Wiedział, że nie będzie w jego życiu ani jednego dnia, w którym nie będzie czuł tej wyrwy tam, gdzie dawniej było miejsce jego siostry. A jednak musiał pozwolić, by ktoś inny je zajął. Dopuścić do siebie kogoś poza Astrid. Ona przecież nie mogła odegrać tej roli. Potrzebował...

Potrzebował partnerki.

A przed oczami miał tylko obraz Ally.

– Nie wiem, czy to pomoże, ale wiedz, że robisz postępy – powiedział ojciec. – Rozmawialiśmy o tym z mamą. O tym, jak poprosiłeś nas, żebyśmy coś zrobili, a potem wyszedłeś, żeby pożyczyć odsnieżarkę od Connora. Astrid mówiła, że w ostatnich tygodniach nawet kilka razy poprosiłeś Elinor, żeby jej popilnowała.

Dla Ally. Wszystko to zrobił dla Ally. Astrid chciała, żeby był szczęśliwy, i uważała, że jest mu lepiej, odkąd poznał Ally. Rodzice oczekiwali, że nauczy się przyjmować pomoc – i nauczył się, odkąd poznał Ally. Całe miasto chciało, żeby w końcu przestał być takim ponurakiem, miejscowym Scrooge'em... i pojawiła się Ally.

Prześladujące go poczucie, że tonie, ustąpiło, dopiero gdy Ally wkroczyła śmiało w jego życie. W ciągu paru tygodni weszła do grona jego najbliższych przyjaciół, ale stała się też kimś więcej. Zmieniła go. Skruszyła zwapniały pancerz wokół jego serca i wpuściła do środka światło. Od dwóch lat okopywał się coraz głębiej, budował wokół siebie mur i stawał coraz bardziej podobny do Ebenezera Scrooge'a. Ally użyła siły i to zmieniła.

Zbyt długo już grał tak ostrożnie, próbując zawsze kontrolować sytuację, precyzyjnie zarządzać własnym życiem, wypełniać obowiązki – nie pragnął już niczego nowego. Ale życie to nie tylko ostrożność. Prawdziwe życie zaczyna się wtedy, gdy człowiek puszcza na chwilę wodze, skacze na głęboką wodę. Mógłby tego spróbować, gdyby na przykład pozwolił Astrid mieć psa, nawet ze świadomością, że mała nie zawsze będzie pamiętała o tym, żeby go nakarmić. I że czasem znajdzie gdzieś w kącie pogryzione kaptcie.

Albo gdyby pokochał Ally.

Starał się wszystko kontrolować, porządkować, aż w końcu prawie ją stracił – a może nawet już stracił. Powiedział jej przecież, żeby wróciła do Nowego Jorku i przyjęła tę ofertę pracy.

Ben spojrzał ojcowi w oczy, czując, że musi się bardzo spieszyć.

– Tato, muszę iść. Czy moglibyście...?

Zrozumiał od razu.

– Naturalnie.

– Dzięki.

Teraz musiał już tylko znaleźć te właściwe słowa.



Gdy zatrzymał wóz na podjeździe, dom i schronisko tonęły już w mroku. Znowu przyszło mu na myśl, że należało najpierw zadzwonić albo wysłać wiadomość. Przetawiał manetkę na tryb postojowy, wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz, próbując dobrać właściwe słowa. Do tej pory jakimś magicznym sposobem Ally zawsze się pojawiała, gdy tu przyjeżdżał – może był to jeden z tych jej znaków od wszechświata? – lecz tym razem drzwi domu pozostały zamknięte.

W końcu napisał „Możemy porozmawiać?” i wysłał wiadomość.

Na ekranie pojawiły się trzy kropki. Zniknęły. I znowu się pojawiły.

Po chwili stracił cierpliwość. „Jestem na podjeździe”.

Kropki zniknęły.

Za to otworzyły się drzwi domu.

Ben wysiadł prędko z samochodu i pobiegł w stronę schodków. Ally została za progiem, za uchylonymi drzwiami. Nie dała mu żadnego sygnału, który mógłby uznać za zaproszenie. Reszta domu była cicha i milcząca.

– Powinienem przywieźć kawę. To nasz tradycyjny dar pokoju, prawda?

Ally się nie uśmiechnęła.

– Ben...

– Wybacz mi. Nie chcę, żebyś wróciła do Nowego Jorku. – W końcu to powiedział. Miał nadzieję, że tyle wystarczy.

Ally westchnęła, ale nie tak, jak wzdychają romantycznie zakochani, tylko z autentycznym znużeniem.

– To na nic. Dziadkowie sprzedają wszystko i przenoszą się na osiedle emerytów. Nie stać mnie na utrzymanie schroniska, a poza tym nie jestem tu potrzebna.

Coś w jego sercu znieruchomiało. Nie spodziewał się, że Ally naprawdę wyjedzie. Ani razu, nawet w najczarniejszych wizjach, nie wydawało mu się to możliwe.

– Ależ całe miasto cię potrzebuje. – *Ja cię potrzebuję.*

– Nieprawda. Większość ludzi nawet mnie nie zna. To nie jest moje miejsce. Jestem tylko turystką z wielkim aparatem, jak sam powiedziałeś tego dnia, gdy się poznaliśmy.

– Ally...

– To była jedynie krótka przerwa w moim codziennym życiu. Okazja, żeby się przekonać, jak żyje druga połowa ludzkości. A teraz znaki wskazują mi nowy kierunek: wracam do Nowego Jorku.

– Znaki co najwyżej dają ci pozwolenie na to, co sama chcesz zrobić – przypomniał jej. – Jesteś pewna, że pragniesz uciec?

W jej oczach błysnęły ogniki, jeszcze jedno wspomnienie pierwszego spotkania.

– Chcę kogoś, kto nie boi się pocałować mnie pośrodku rynku. I na pewno nie znajdę tu nikogo takiego, prawda?

Jej ciemne oczy spoglądały na niego surowo, a słowa, które powinien teraz wymówić, uwięzły mu w krtani. Chciała, żeby to powiedział. Pytała go wcześniej, czego chce, a on odpowiedział, że to nie ma znaczenia. Bo łatwiej było tak zrobić, niż ujawnić swoje pragnienia i przekonać się, że nie zostaną zaspokojone. Łatwiej było nie ryzykować.

Przeżył ostatnie dwa lata w poczuciu, że wszelkie życiowe wybory już się dokonały – bez jego udziału. Że może tylko starać się jak najlepiej zagrać kartami, które dał mu los. Nie był już nawet pewny, czy potrafiłby funkcjonować inaczej. Jak zmienić nawyki ukształtowane przez całe życie? Jak pokazać Ally, czego naprawdę pragnie?

Wahał się zbyt długo. Na jej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

– Nieważne. To i tak niczego by nie zmieniło. Dobranoc, Ben. Wesołych Świąt.

Zatrzasnęła drzwi, a Ben wpatrywał się w nie jeszcze przez minutę, zanim wrócił do samochodu.

Nie pamiętał, jak dojechał do domu, tak głęboko był zatopiony w myślach. Zanim uświadomił sobie, że siedzi za kierownicą, już parkował na ciasnym podjeździe. Wyłączył silnik i przez kilka chwil słuchał nierytmicznego cykania stygnącej maszyny.

Znowu schrzanił sprawę. Musiał pokazać Ally, ile znaczy dla niego i dla całego miasteczka. Musiał nareszcie jej *udowodnić*, że jest gotów zaangażować się na sto procent. Musiał skoczyć, nie oglądając się na to, czy siatka zabezpieczy go przed bolesnym upadkiem. Musiał *pokazać* Ally to wszystko, czego nie potrafił jej powiedzieć.

Wysiadając z samochodu, energicznym ruchem sięgnął po telefon.

Wiedział, że ma sporo do zrobienia.

I że będzie potrzebował niemałej pomocy.

ROZDZIAŁ 36



Rankiem, dzień przed Bożym Narodzeniem, Ally zeszła na parter, skrzypiąc na stopniach gumowymi podeszwami. Wypuściła na ganek Colby’ego z Bażantem i parząc kawę, przez okno przytulnej kuchni przyglądała się, jak obwążują podwórko. Zwykle dziadkowie wstawali wcześniej, zawsze byli rannymi ptaszkami, ale ostatnio zrobili z tego nawyku coś w rodzaju sportu wyczynowego: gotowi byli położyć się o dwudziestej pierwszej, a wstać o czwartej trzydzieści.

Jednakże tego ranka najwyraźniej zaspali, bo była w kuchni sama. Patrzyła, jak śnieg spływa z dachu grubymi kroplami, a wraz z nim z każdą sekundą topnieje nadzieja na białe Święta. Ocieplenie nadeszło w nocy, na zewnątrz było teraz 4,5 stopnia, więc na podjeździe zaczęły się pojawiać pierwsze brązowe plamy mokrego żwiru.

Zza drzwi dobiegło sapanie Colby’ego, więc wpuściła go do środka; Bażant podążył posłusznie za nim. Nie miała serca odsyłać go do klatki po wczorajszym wieczorze. Choć był dorosłym psem, spoglądał na nią smętnie ślepiami wielkiego szczeniaka i nie mogła mu się oprzeć. Z dnia na dzień wszystkie surowe zasady, które wyznawała – choćby ta, że nie należy się przywiązywać do podopiecznych – straciły znaczenie. Schronisko miało przestać istnieć, a ona wyruszała wkrótce w drogę, by zostać kto-wie-kim i kto-wie-co zrobić ze swoim życiem. A może powinna adoptować Bażanta? Ale znalezienie mieszkania w Nowym Jorku, w którym mogłaby trzymać więcej niż jednego psa, nie byłoby łatwe.

Colby przywykł do rytmu życia „Kosmatych Przyjaciół”. Dawniej, gdy musiała wyjechać na dłużej, zostawiała go u dziadków, ale i to musiało się zmienić: był za duży, żeby mogli się nim opiekować w Summerland. To oznaczało, że nie będzie mogła już sobie pozwolić na częste podróże. Innymi słowy, naprawdę potrzebowała tej pracy w Spectrum. Tylko dlaczego jakoś nie napawała jej entuzjazmem ta perspektywa? I nie pomagała świadomość, że to właściwy, rozsądny krok.

Wieczorna wizyta Bena, jego wyznanie, że nie chce, by wyjechała do Nowego Jorku, ale jednocześnie brak jednoznacznej deklaracji, że chciałby z nią być... wszystko to utwierdziło ją w przekonaniu, że powinna opuścić Pine Hollow. Facet był zaiste królem niejednoznacznych przekazów, ale i tak łatwo byłoby znowu wpuścić go do serca. Tyle że nie miała tu żadnej przyszłości.

Ally napełniła kubek kawą, szczerze doprawiła ją śmietanką i cukrem, po czym zajrzała do salonu, żeby włączyć lampki na choince. W pozostałych pokojach na parterze panował jeszcze mrok. Usadowiła się na kanapie, grzejąc dłonie gorącym kubkiem, a stopy ciepłymi ciałami psów, które nie odstępowały jej na krok.

Siedząc tak, straciła poczucie czasu. Wpatrywała się w choinkę, bo każda z wiszących na niej ozdób wiązała się ze wspomnieniem. Jednorożec należał do mamy; dostała go podczas wycieczki do huty szkła w Corning. Mikołaj pod palmą był pamiątką z Bożego Narodzenia na Bahamach – Święta bez choinki, w hotelowym pokoju... to nie było to samo. A były i starsze ozdoby; pamiętała je jeszcze z dzieciństwa, a tata opowiadał jej czasem, że kiedyś wieszał je ze swymi rodzicami.

Jej mama i tata wciąż tu byli, w tych czterech ścianach. Może właśnie dlatego tak trudno jej było przyjąć do wiadomości, że dziadkowie chcą sprzedać dom i przenieść się na osiedle. Te stare, skrzypiące ściany były pełne wspomnień. Tu wychował się jej ojciec. Tu przyjeżdżali na każde Święto Dziękczynienia i niemal każde Boże Narodzenie. Skoro to miejsce miało przestać być jej domem, to czy mogła mieć nadzieję, że znajdzie gdzieś inny?

Skrzypnęły schody. Babcia, spragniona kawy, schodziła na dół nader sennym krokiem.

– Dzień dobry, skarbie.

– Dzień dobry, Buniu.

Stąpając cicho po drewnianej podłodze, babcia weszła do kuchni, muskając po drodze palcami blat stołu. Jej kubek stał jak zawsze tam, gdzie zostawiła go po umyciu, więc napełniła go ostrożnie, na wszelki wypadek opierając o brzeg dzióbek dzbanka z kawą.

Ally przyglądała się temu ze ściśniętym sercem. Zawsze tak się o nich martwiła, z takim bólem obserwowała nieuchronnie postępującą starość, z wielkim strachem odliczała czas do chwili, w której zabraknie babci i dziadka. Wiedziała, że wtedy prócz niej już nikt nie będzie pamiętał świątecznych tradycji tego domu.

Bunia weszła do salonu, postawiła kubek na stoliku i z cichym westchnieniem zapadła się w fotel. Ally jeszcze przez dłuższą chwilę nie śmiała zakłócić ciszy. Przyglądała się, jak babcia pomału siorbie gorący napój, zapatrzona w choinkę, ale w końcu nie wytrzymała.

– Przepraszam, wczoraj trochę przesadziłam.

Babcia spojrzała na nią łagodnie.

– Nie jestem tego taka pewna. Rozmawiałam z dziadkiem i doszliśmy do wniosku, że trzeba było od razu cię uprzedzić o naszej przeprowadzce. Nie zrobiliśmy tego, bo nie chcieliśmy, żebyś czuła presję i wyjechała stąd przedwcześnie tylko przez wzgląd na nas.

– Ja też powinnam być z wami bardziej szczerą – przyznała Ally. – W Nowym Jorku czułam się samotna i chyba jakąś część duszy chciałam wpasować się w to miejsce jak brakujący kawałek układanki. Z jednej strony mogłabym spędzać z wami więcej czasu, a z drugiej odciążyć was, przejmując obowiązki związane z prowadzeniem schroniska.

– Zatem wszystkim nam trzeba było popracować nad komunikacją. – Bunia spojrzała na Ally znad kubka z kawą. – Czułaś się samotna?

– Nie cały czas, ale owszem. Był taki dzień, chyba najgorszy ze wszystkich... Nic mi się wtedy nie układało. Nie pamiętam już szczegółów, ale wiem, że mój pociąg nie jechał i musiałam maszerować w deszczu, a potem zepsuła mi się parasolka, więc marzyłam tylko o tym, żeby wreszcie wrócić do domu, wyprowadzić Colby'ego i wziąć gorący prysznic. Tak się spieszyłam, że gdy dotarłam na miejsce, zabrałam Colby'ego na krótki spacer i dopiero gdy stanęliśmy na powrót u drzwi mieszkania, zdałam sobie sprawę, że klucze zostały w środku. Mieszkałam sama, dozorca nigdy z niczym się nie spieszył, a na domiar złego nawet nie znałam sąsiadów, bo przecież nigdy nie było mnie w domu. Do nikogo nie mogłam zadzwonić, bo nikt nie miał zapasowego klucza do mojego mieszkania. Nikt też nie mógł mnie przechować do czasu, aż będę mogła wrócić do siebie. Utknęłam i właśnie wtedy, gdy tak siedzieliśmy z Colbym mokrzy i zmarznięci, pojęłam, że nie mam absolutnie nikogo. A Pine Hollow tak bardzo się różni od Nowego Jorku. Pomyślałam... Zapragnęłam, żeby stało się tym miejscem, do którego nareszcie będę pasować. Ale wy absolutnie nie powinniście trzymać się kurczowo tego domu tylko dlatego, że wasza wnuczka czuje się samotna. – Umilkła, wzruszona, i przez dłuższy czas spoglądała na leniwie pulsujące lampki choinkowe.

– Wiem, że się o nas martwisz – odezwała się łagodnie Bunia, przerywając ciszę. – Ale i my martwimy się o ciebie. Gdy twoi rodzice... gdy ich straciliśmy, widziałam jak na dłoni, że się oddalasz, chowasz za tym swoim aparatem. Z początku nawet mnie cieszyło, że znalazłaś w czymś pociechę, ale potem zauważyłam, że to tylko bariera, którą chcesz się oddzielić od wszystkiego, co mogłoby zadać ci ból. Że wolisz obserwować, niż dotknąć. Tak się cieszyliśmy, że w tym roku spędzisz z nami Święta. I tak nam było dobrze, tak radośnie, bo wreszcie odłożyłaś aparat i byłaś z nami. Tylko nie wiedziałam, że łączy cię z Benem... coś romantycznego – dodała babcia po krótkiej pauzie.

– Nie wiedziałaś? – Zdziwiona Ally się zaśmiała. I dobrze się stało, bo śmiech pomógł jej zapanować nad emocjami, które zaczynały ją dławić. – Chyba ty jedna w całym mieście.

– To dobry chłopak – zauważyła Bunia.

– Schował mnie za kotarą. Dosłownie. Nie można budować związku, udając, że on nie istnieje.

– Nie – zgodziła się babcia. – Mogę jednak zrozumieć, dlaczego chciał zachować coś dla siebie. Zwłaszcza że ty sama wcale nie byłaś pewna swojej przyszłości. Gdy ostatnim razem rozpadł mu się związek, całe miasteczko spekulowało, co będzie dalej. Może więc spróbujesz potraktować go ulgowo?

Babcia miała rację. Ben działał z bardzo przekonujących pobudek, ale jego postawa i tak ją

zabolą.

– On cały czas próbuje trzymać mnie na dystans.

– Być może – przyznała Bunia. – A może to ty tak się bałaś, że cię nie zechce, że wmówiłaś sobie to całe trzymanie na dystans? – Na schodach zaklekotały pazurki Miedziaka, a to oznaczało, że za chwilę pojawi się dziadek. I rzeczywiście, sekundę później usłyszały kroki na pierwszym piętrze. Ally chciała wstać, żeby wypuścić Miedziaka na ganek, ale Bunia zatrzymała ją gestem, po czym poczłapała do kuchni, by otworzyć boczne drzwi. – Tu nadal może być twoje miejsce na ziemi, Ally, jeśli naprawdę tego chcesz. I nie ma to nic wspólnego z Benem Westem. Dom to nie żadne magiczne miejsce. To kwestia wyboru.

Ładnie to brzmiało, ale Ally musiała trzeźwo oceniać fakty: dziadkowie pozbywali się domu i schroniska, przeprowadzali się na osiedle, a ona nie miała tu ani pracy, ani dachu nad głową. Nie miała też szczególnych perspektyw, jeśli nie liczyć obiecanego miejsca na straganie podczas targu farmerów, który i tak nie mógł się odbyć do czasu naprawy dachu świetlicy. Bez schroniska nie mogła też marzyć o stworzeniu owej psiej mekki, która jeszcze niedawno była kluczowym elementem jej wizji.

Bunia miała jednak rację w jednej sprawie: to, czy jej miejscem na ziemi jest Pine Hollow, nie miało nic wspólnego z osobą Bena Westa.

– Powinam zacząć przygotowywać psy do wieczornego przedstawienia. – Ally wstała w chwili, gdy na schodach pokazał się dziadek. Bażant zerwał się natychmiast i stanął przy niej, spoglądając jej z miłością w oczy. – I spróbujemy znaleźć dla ciebie dom, co, Bażant? Choć może powinnam cię zatrzymać. Co ty na to? Chciałbyś być mój?

– Och, skarbie, zapomniałam ci powiedzieć – zawołała Bunia z kuchni, gdzie nalewała dziadkowi kawę. – Dostaliśmy wniosek o adopcję Bażanta.

– Naprawdę? – Ally zostawiła telefon na górze, przy ładowarce, ale wcześniej sprawdziła pocztę i na koncie schroniska nie było nowych wiadomości. Nie było też więcej SMS-ów od Bena.

– Przyszedł wczoraj wieczorem, na moją skrzynkę.

– To ty masz swój e-mail?

– No, takie tekstowe coś. W telefonie.

Ally zmarszczyła brwi, jeszcze bardziej zdziwiona.

– Ktoś przesłał ci aplikację SMS-em?

– Już ja się nią zajmę – zapewniła babcia. – Tak jak zajmowaliśmy się aplikacjami przez dwadzieścia lat, zanim tu przyjechałaś.

– W porządku – mruknęła. Znowu zbierało jej się na płacz.

Tak głupio uczepliła się myśli, że to Ben w końcu zdecyduje się adoptować Bażanta. Widziała, jak ukradkiem podrzucał mu smakołyki. Wiedziała, że ma do tego obślinionego buldoga zwyczajną słabość. Niestety, jak wiele innych rzeczy, których pragnęła w te Święta, ta także miała pozostać niespełnionym życzeniem.

Gdy przechodziła obok kredensu, zatrzymała spojrzenie na spakowanych już prezentach dla Bena i Astrid. Nadal chciała, żeby dostali te zdjęcia i zachowali wspomnienia, ale czy nie byłoby dziwnie, gdyby je im wręczyła po tym, co zaszło?

Wciąż w samej piżamie wsunęła stopy w zimowe buty i włożyła kurtkę, a potem wypuściła Colby'ego i Bażanta i ruszyła za nimi w stronę stodoły. Jak co rano musiała się przywitać z ostatnimi mieszkańcami schroniska, nawet jeśli miało to zabrzmieć bardziej jak pożegnanie.

ROZDZIAŁ 37



Zorganizowanie porządnej zrzutki w mniej niż dwadzieścia cztery godziny okazało się – zgodnie z przewidywaniami – niebywale trudnym zadaniem. Ben stał za kulisami, po raz ostatni w skupieniu sprawdzając listę zadań, a gwar za kurtyną narastał, w miarę jak przybywało publiczności na widowni. Był już prawie pewny, że jego plan polegający na zmobilizowaniu mieszkańców Pine Hollow do stworzenia funduszu na rzecz ratowania schroniska jednak wypali. Pozostała jedna niewiadoma, która budziła jego największy niepokój: jak zareaguje Ally?

Zwykle nie angażował się w sprawy, nad którymi nie miał pełnej kontroli, ale właśnie miał zamiar to zmienić.

Astrid przysiadła w pobliżu z Bażantem, który wyglądał idiotycznie w cylindrze i muszce, niemniej był z siebie ewidentnie bardzo dumny. Ben złożył aplikację adopcyjną poprzedniego wieczoru – przez panią Gilmore, żeby zrobić Ally niespodziankę – lecz teraz, gdy zbliżała się wielka chwila, zastanawiał się z coraz większym niepokojem, czy działanie z zaskoczenia to aby najszcześniejszy pomysł. Wczoraj był przekonany, że publiczna scena będzie należytą deklaracją jego zaangażowania i dowodem na to, że wcale nie chce zamknąć jej w żadnym pudełku. Teraz zaczynał podejrzewać, że będzie przede wszystkim świetnym sposobem na pokazanie całemu miasteczku, jak dostaje kosza. Całkiem zasłużonego, nawiasem mówiąc.

Astrid jeszcze nie wiedziała, że wkrótce adoptują Bażanta. Ben chciał, żeby pies był jej prezentem z okazji Świąt... lecz tak naprawdę wcale nie był pewny, czy aplikacja zostanie rozpatrzona pozytywnie. Było w niej znacznie więcej szczegółowych pytań, niż się spodziewał. Zmusiła go do przemyślenia, czy aby na pewno podoła wszystkim obowiązkom właściciela psa. Na szczęście nie poczuł się przytłoczony; przeciwnie, widząc gotową listę zadań, czuł, że da się to wszystko ogarnąć.

Gdyby tylko do wszystkiego w życiu dało się sporządzić taką listę...

– Ben? Już czas.

Przełknął ślinę, zdjęty nagłą tremą. *Teraz albo nigdy*. Skinął głową w stronę Gayle Danvers, głównej organizatorki jasełek, która nie przestawała się uśmiechać, odkąd poprosił ją o pomoc w przygotowaniach do romantycznej niespodzianki – jakby zapomniała, że ledwie kilka tygodni wcześniej nazwała go Grincem na samym środku piekarni.

– Dziękuję, pani Danvers. Wiem, że nie musiała pani tego robić.

Jej śnieżnobiałe brwi wygięły się w łuk.

– Żartujesz? Nie wiem, co to miasto by zrobiło bez ciebie. Dobrze, że chociaż tak możemy się odwdziżyć.

Zatrzepotał powiekami, zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć, a tymczasem Gayle zniknęła za kotarą.

Astrid podała mu smycz Bażanta i uniosła dwa kciuki.

– Powodzenia – szepnęła.

Za kurtyną pomału zapadała cisza; zapewne właśnie przygasły światła. Ben stanął pośrodku sceny, a Bażant swoim zwyczajem przysiadł na jego stopie, parszcząc z cicha.

Zza kurtyny dobiegł stukot obcasów Gayle. Wstrzymał oddech, słuchając jej zapowiedzi.

– Witam was, drodzy współobywatele Pine Hollow, na dwudziestym drugim rocznym przedstawieniu bożonarodzeniowym! Wesołych Świąt! – Odpowiedziały jej dość anemiczne oklaski oraz pojedyncze okrzyki „Wesołych Świąt!”. – Z satysfakcją donoszę, że tegoroczne jasełka będą jeszcze piękniejsze i ciekawsze niż kiedykolwiek wcześniej, ale zanim zaczniemy, wysłuchajmy obwieszczenia jednego z naszych radnych, Bena Westa! Wielkie brawa dla Bena!

Tym razem aplauz był znacznie donośniejszy. Kurtyna odjechała na bok, a reflektor skierował się wprost na Bena, który skrzywił się, słysząc głośne brawa, i zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem. Wiedział, rzecz jasna, że będzie występował przed niemal całym miastem, ale jakoś nie dotarło do niego wcześniej, że wszyscy zgromadzeni będą klaskać, słuchać oraz *patrzeć*.

– Powiedz coś – syknęła gdzieś z boku Astrid i uświadomił sobie, że stanowczo za długo stoi w milczeniu.

W powrocie do rzeczywistości pomógł mu też Bażant, który właśnie uznał, że siedzenie jest zbyt męczące, i zwałił się na deski, opierając pulchne ciało o jego golenie.

Ben uniósł mikrofon.

– Wesółych Świąt – zaczął. – Jak wielu z was już wie, potrzebne były środki na remont dachu świetlicy, więc rada miasta musiała obciąć dotację dla schroniska dla zwierząt „Kosmaci Przyjaciele”. W następstwie tej decyzji wielu mieszkańców Pine Hollow zaangażowało się w akcję poszukiwania nowych domów dla psów ze schroniska. – Ben odchrząknął cicho. – Całkiem niedawno uświadomiłem sobie jednak, jak ważni są „Kosmaci Przyjaciele” dla naszej społeczności i jak wielką stratą dla miasta – oraz dla mnie – byłoby zamknięcie tego przybytku na dobre. – Zmrużył oczy jeszcze bardziej i dostrzegł w pierwszym rzędzie kilka twarzy wpatrzonych w niego w niemym wyczekiwaniu. Przeniósł wzrok nieco dalej i w trzecim rzędzie ujrzał Ally. Wyglądała na zdezorientowaną. Ben wyciągnął rękę. – Ally, mogłabyś tu podejść?

Spojrzała pytająco na dziadków, którzy siedzieli obok. Zachęcona przez nich wstała i przecisnęła się do przejścia pośrodku widowni.

– Wiem, że w ostatnich tygodniach wielu z was miało okazję poznać Ally Gilmore i przekonać się, jak cennym jest nabytkiem dla naszej małej wspólnoty – ciągnął Ben, gdy wspinała się po schodkach na scenę. – Pomyślałem więc, że jeśli pomożemy jej utrzymać schronisko, będzie to najskromniejszy gest wdzięczności z naszej strony. – To rzekłszy, ruszył na spotkanie Ally. Bażant naturalnie poczłapał za nim. – I dlatego spotykamy się dziś nie tylko po to, by obejrzyć jasełka. Witam was na dwudziestym drugim dorocznym przedstawieniu bożonarodzeniowym połączonym ze zbiórką pieniędzy na rzecz „Kosmatych Przyjaciół”.

Ally zamarła, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Chwycił ją za rękę, żeby nie uciekła. Na widowni rozległy się szept.

– Już za chwilę dzięki szczodrości miejscowych firm na stronie internetowej miasta pojawi się wyjątkowa oferta. Powiedziałbym, że to przekrój największych atrakcji Pine Hollow. Lokal Cup proponuje imprezę z pełnym wyżywieniem. Piekarnia Magdy oferuje trzypiętrowy tort. Deenie Mitchell urządzi przyjęcie z królewnami. Ponadto prywatne lekcje jazdy na nartach, roczny abonament na odśnieżanie i wiele innych niespodzianek. Wybierajcie, licytujcie, a pieniędzy nie żałujcie. Chcemy, żeby „Kosmaci Przyjaciele” zostali z nami tak długo, jak się da, więc korzystajcie z okazji: ten jeden, jedyny raz nikt nie będzie miał za złe korzystania z telefonu w samym środku bożonarodzeniowego przedstawienia. – Publiczność wybuchnęła śmiechem. – Niektórzy z czcigodnych sponsorów są dziś wśród nas i przez cały wieczór będą informowali o atrakcjach, które możecie wylicytować. Aukcje dobiegną końca o północy.

Ben pochylił głowę i spojrzał na dłoń Ally, którą wciąż ścisnął. Teraz najtrudniejsze, pomyślał.

W gruncie rzeczy mógł już zejść ze sceny. Mógł poprowadzić Ally za kulisy i tam powiedzieć to, co miał do powiedzenia, lecz tym razem miał też coś do udowodnienia. Wiedział, że wszyscy na niego patrzą, ale on patrzył już tylko na Ally. Odchrząknął nerwowo wprost do mikrofonu, którego kurczowo się trzymał.

– Od kilku tygodni... – Urwał i po chwili zaczął od nowa. – Wiem, że nie jestem najłatwiejszy w... Cholera. – W głowie wielokrotnie przećwiczył tę mowę. Słowa wciąż miał przed oczami, ale jakoś nie chciały się ułożyć we właściwej kolejności.

– Co ty wyrabiasz? – spytała szeptem.

Cudownie się prezentowała. Ciemne loki upięte na czubku głowy sprawiły, że wyglądała tak samo jak tego dnia, gdy wkroczyła do ratusza. Czerwona, bardzo świąteczna sukienka świetnie

podkreślała krągłości jej ciała, ale naprawdę zabójcze były jej oczy. Dwie ciemnobrązowe otchłanie przyglądały mu się nieufnie, jakby znowu miał ją zranić, a przecież nie chciał już nigdy powtórzyć tego błędu.

– Kocham cię – wypalił prosto do mikrofonu.

Od strony widowni dobiegło zbiorowe westchnienie. Ally wstrzymała oddech, a z ust Bena nareszcie popłynęły słowa.

– Przy tobie wszystko, co mnie przytłacza, wydaje się błahe, bo wiem, że razem możemy temu sprostać, ale nie dlatego tak cię pragnę. Nie chodzi o to, żeby było mi łatwiej... Psiakrew, znowu wszystko mi się miesza... Chcę z tobą dzielić... wszystko. Z tobą, Ally. – Zmusił się do głębokiego oddechu. Czuł, że twarz zaczyna mu puchnąć. Czy można dostać szoku anafilaktycznego ze zdenerwowania? – To wszystko jest dla ciebie, bo tu jest twoje miejsce. Ze mną czy beze mnie, choć oczywiście podoba mi się ta pierwsza opcja. Przepraszam. Wybacz mi... wszystko, co mówiłem. Wiem, żaden ze mnie gorący towar. Wiem, że z nas dwojga to ja byłbym prawdziwym szczęściarzem, a ty w gruncie rzeczy nie masz powodu... – Czuł, że za chwilę się udusi. Albo zemdleje z przerażenia. Z godnością oczywiście.

– Ben – szepnęła.

Spojrzał jej w oczy. Ciepło i radosne błyski, które w nich zobaczył, utrzymały go przy życiu.

– Znowu wszystko psuję – odszepnął. – Ratuuj.



Ally stała z zadartą głową, wpatrzona w mężczyznę swoich marzeń, ze wszystkich sił próbując powstrzymać śmiech, gdy z wdziękiem buldożera starał się przebrnąć przez tę wyjątkową, romantyczną chwilę, której mimo wszystko nie zamieniłaby na żadną inną. Ben zawsze chciał, żeby świat oglądał jego idealną wersję, dopracowaną w każdym szczególe. Drażniły go własne niedoskonałości, słabe punkty. Tym razem jednak odsłaniał się całkowicie i przed nią, i przed całym miastem.

Czuła, że spoczywają na nich wszystkie spojrzenia. Jego rodziców, jej dziadków, Deenie, Connora, Elinor, nawet pani burmistrz i jej żony. Całe Pine Hollow zgromadziło się pod tym dachem. A on chwycił ją za rękę pośrodku sceny, w najbardziej publicznym miejscu, jakie mogła sobie wyobrazić. I nie poprzestał na tym. Ben West nie uznawał półśrodków.

Jego twarz właśnie przybierała interesujący, acz niepokojący odcień purpury.

Ally zbliżyła się o krok. Nie marzyła o tym, by jej ukochany zemdlał na oczach wszystkich.

– To ja jestem szczęściarą. Szaleję za tobą, Ebenezerze West – odpowiedziała. Stała na tyle blisko, że mikrofon wychwycił jej słowa, więc wszyscy znajomi i nieznajomi westchnęli ze wzruszenia.

Rozpromienił się i spojrzał na jej usta...

– Wujku Benie!

Znieruchomiał, usłyszawszy syk zza kulis. Jak na komendę obrócili się w stronę Astrid, która właśnie wymachiwała długim kijem. Ally zmarszczyła brwi, ale Ben tylko się uśmiechnął.

– Racja. Przepraszam. No chodź. – Skinął głową i Astrid wkroczyła na scenę z tyczką, na której zatknięta była gałązka jemioli. Uśmiechając się, nachyliła ją tak, żeby zielone liście zawisły tuż nad ich głowami. – Raz już się wygłupiłem pod jemiolą – dodał, po czym spojrzał na Ally i uśmiechnął się krzywo. – Spróbujemy ponownie?

Uśmiech na jej ustach musiał być jaśniejszy od blasku teatralnych reflektorów. Czuła, że promienieje, jakby każda komórka jej ciała emanowała czystym szczęściem. Chwyciła Bena za klapy, przyciągnęła ku sobie i wspięła się na palce.

– Koniecznie.

Ben objął ją i mocno przytulił. Z uśmiechem słuchał przez chwilę zachęcających okrzyków

publiczności, wśród których, jak mu się zdawało, wyłapał głos Deenie. Ally też się uśmiechała i wcale nie była pewna, czy będzie w stanie przestać choć na chwilę, żeby go pocałować. Ben jakby się zawahał, gdy ich usta dzielił najwyżej cal. Wolnym ruchem dłoni musnął jej policzek i wsunął palce we włosy, a potem świat gdzieś odpłynął. Zostali sami pod gałązką jemioli. Ben nie mógł oderwać oczu od warg Ally, które właśnie zwilżyła koniuszkiem języka. I wtedy pokonał ostatni cal.

Wstrzymała oddech, gdy zetknęły się ich usta. Nareszcie była w domu.

Chóry w jej głowie zaintonowały *I'll Be Home for Christmas* i minęło kilka chwil, zanim Ben uniósł głowę, a ona uświadomiła sobie, że w realnym świecie też słyhać śpiew. Zatem naprawdę była w domu. Mieszkańcy Pine Hollow głośno wiwatowali.

– Najlepsze jasełka w dziejach świata! – zawołała pani burmistrz.

– Nie zapomnij zalicytować! – odkrzyknął Ben.

A potem znowu się pocałowali, słuchając ulubionej piosenki jej matki.

Ally nie miała wątpliwości. To najlepsze Boże Narodzenie w jej życiu.

ROZDZIAŁ 38



Bażant?! – Pisk zachwytu poniósł się echem aż pod krokwie, gdy Astrid rzuciła mu się na szyję. – O Boże, dziękuję, wujku Benie! Dziękuję, dziękuję, dziękuję! Jesteś najlepszym wujkiem w dziejach... wujostwa! I Ally! – przypomniała sobie Astrid, po czym odkleiła się od Bena, żeby przytulić Ally. – Dziękuję ci! Wiem, że to twoja sprawka!

– Nic podobnego. To wyłącznie zasługa twojego wujka – zaprotestowała dziewczyna, ale Astrid nawet jej nie słyszała, zbyt podniecona i zajęta przemierzaniem pokoju w dzikich podskokach.

– Dziadku! Dziadku! Będziemy mieli psa!

– Zdaje się, że prezent jej się podoba – oceniła Ally, z uśmiechem przytulając się do Bena w rogu kanapy.

Świąteczny poranek trwał w najlepsze. Gilmore'owie przyjechali przed świtem – co może nie jest wielkim wyczynem na północy stanu Vermont o tej porze roku – więc za oknami było jeszcze ciemno, gdy Astrid zapędziła wszystkich do salonu, praktycznie w biegu witając Colby'ego, Bażanta i Miedziaka. Potem w zachwycie przekopała się przez górę prezentów, raz po raz piszcząc z uciechy, i dopiero gdy prawie skończyła, dowiedziała się, że spełni się też jej największe marzenie: Bażant miał zostać w jej domu na dobre.

Ben osobiście zapakował pudełko z liścikiem do Astrid, bo wydawało mu się to nieco bezpieczniejszym rozwiązaniem niż pakowanie do kartonu obślinionego buldoga. Teraz zaś ze wzruszeniem się przyglądał, jak mała tuli Bażanta, i przyszło mu na myśl, że trudno byłoby stanąć na drodze takiego szczęścia. Wiedział jednak, że czeka go sporo pracy, bo nie mógł dopuścić, by Astrid adoptowała całą menażerię, a było więcej niż pewne, że pokocha jeszcze niejednego psa, skoro „Kosmaci Przyjaciele” mieli istnieć.

Nagle usłyszał motyw ze *Szczęk* dobiegający z kieszeni. Sięgnął po telefon. Akurat tej wiadomości w miejskiej skrzynce pocztowej nie musiał się obawiać.

– Oo – jęknęła Ally, nachylając się ku niemu. – Co znowu? Mamy Boże Narodzenie, więc lepiej niech to będzie dobra wiadomość. Czyżby Święty Mikołaj popsuł kolejny dach i potrzeba pieniędzy na remont?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Przechylił telefon, żeby Ally mogła zobaczyć wyświetlacz.

– Connor podał mi ostateczny wynik wczorajszej zbiórki pieniędzy.

Ally przeczytała wiadomość i jej oczy nagle stały się bardzo okrągłe.

– Ben...

– Co ty na to? Masz ochotę zostać tu na trochę i poprowadzić schronisko?

Ally spojrzała mu w oczy jak przez mgłę.

– Przecież wiesz, że donikąd się nie wybieram.

Ostatniej nocy rozmawiali przez długie godziny. Krótco po tym, jak popisał się na scenie podczas bożonarodzeniowego przedstawienia, wymknęli się za kulisy i znaleźli sobie kotarę, za którą mogli pobyć sami.

I właśnie tam opracowali plan, który bardzo się spodobał jej dziadkom, gdy po jasełkach usiedli razem, żeby porozmawiać i napić się ajerkoniaku. Pieniądze ze zbiórki miały pozwolić na utrzymanie schroniska do czasu, aż Ally zrealizuje swój plan przemiany „Kosmatych Przyjaciół” w psią mekkę. Jednocześnie mogłaby wynająć dom od swych dziadków, żeby było ich stać na natychmiastową przeprowadzkę do Summerland. Deenie zastanawiała się jeszcze, czy nie zrezygnować z mieszkania i przenieść się tymczasowo do Ally.

A być może w przyszłości, gdyby Ben w końcu odnowił swój dom i nadal szukał z Astrid

czegoś przestronniejszego... cóż. W domu Gilmore'ów i wokół niego nie brakowało miejsca. Tak dalekosiężnych planów woleli jednak nie snuć.

Delia i jej żona, Margaret, odwiedziły ich po przedstawieniu, żeby zadeklarować chęć adopcji Fistacha, a to oznaczało, że w schronisku została już tylko ona ze szczeniakami. Skoro jednak zbiórka pieniędzy okazała się takim sukcesem, „Kosmaci Przyjaciele” mieli przed sobą jeszcze wiele miesięcy spokojnego działania, więc nie tylko ona, ale i wiele innych psów mogło liczyć na dobrą opiekę.

Ally opowiedziała też o swoich planach sprzedawania zdjęć na targu farmerów, a wiele wskazywało na to, że mogłyby się one okazać prawdziwym hitem. Fotografie, które oprawiła i podarowała Benowi i Astrid, stały już na regale tuż obok zdjęcia Katie i Paula. Ben nie bardzo rozumiał, jaką różnicę mogą sprawić, a jednak gdy je tam zobaczył, wszystko zagrało tak, jak powinno – poczuł się bardziej jak w domu. Pomyślał tylko, że byłoby idealnie, gdyby na zdjęciach towarzyszyła im Ally.

Tego dnia nie dostał już lepszego prezentu, choć pewne drugie miejsce musiał przyznać nowemu ekspresowi „od Astrid”, niewątpliwie przy finansowym wsparciu dziadków.

Gdy Astrid wciąż podskakiwała w salonie, Ally wstała, by sięgnąć pod choinkę po starannie zapakowany prezent wielkości książki, po czym wróciła na kanapę.

– Co to?

– Jeszcze jeden prezent dla ciebie – zamruczała na tyle cicho, żeby nikt inny nie okazał zainteresowania.

Ben spojrzał na nią zdziwiony.

– Dostałem już zdjęcia. Próbujesz przebić mój kubek?

Jego prezent wypadł dość blado w porównaniu z tym, co dostał od Ally. Kupił jej zwykły biały kubek do kawy z konturem stanu Vermont narysowanym czarną kreską oraz serduszkami z napisem „dom” pośrodku. Wydawało mu się, że to uroczy pomysł, skoro to kawa ich połączyła, ale to było, zanim rozpakował pięknie oprawione fotografie.

– Kubek bardzo mi się podoba – odpowiedziała stanowczo. – Poza tym to nie zawody. A nawet gdyby było inaczej, tobyś wygrał, bo udało ci się uratować schronisko. – Wsunęła mu prezent do ręki.

– Otwieraj, Scrooge.

Roześmiał się i rozdarł papier, ale gdy ujrzał to, co się pod nim kryło, bardzo się zdziwił. Było to niewielkie zdjęcie w ramce, lecz nie umiał odgadnąć, dlaczego Ally uznała, że warto oprawić rozmazaną fotkę przedstawiającą fragment dachu i sam czubek drzewa. Czyżby się pomyliła? Spojrzał na nią i zobaczył wesołe błyski w jej oczach.

– Pamiętasz, jak robiłam zdjęcia na rynku? Przypadkiem zderzyłam się wtedy z pewnym marudnym Scrooge'em i oblałam go kawą. Okazało się, że w tej samej chwili niechcący nacisnęłam spust migawki. A to – dodała, wskazując na fotografię – jest ta chwila, w której się poznaliśmy.

Wzruszony Ben się roześmiał i przyciągnął Ally do siebie.

– To najlepszy prezent.

– Ja czy zdjęcie?

– Zgadnij – zaproponował, tuląc ją jeszcze mocniej.

Ally była mocno zarumieniona, gdy wreszcie uwolnił ją z uścisku. Wtuliła się w niego z przyjemnością, spoglądając na Astrid, która właśnie tarzała się z Bażantem po podłodze.

– A teraz, skoro już uratowałeś schronisko, uszczęśliwiłeś Astrid, sprawiając jej psa, naprawiłeś dach świetlicy i zapewniłeś mieszkańcom Pine Hollow przedstawienie, o którym będą gadali przez Bóg wie ile lat, jaką sztukę zostawiłeś sobie jeszcze w zanadrzu?

– Może się zdrzemnę?

Ally uniosła brew.

– Czyli nadal nie planujesz powalczyć o fotel burmistrza?

Ben jęknął.

– Widzę, że Delia cię nakręciła.

– Ona ma rację, Ben. Byłbyś świetny.

– Mam dość zajęć, ledwo nad wszystkim panuję.

Ally przewróciła oczami.

– A cóż to za przyjemność tak sobie panować? Nauczę cię kochać chaos, mój Ebenezerze.

– Taki jak ratowanie psów i organizowanie świątecznych przedstawień?

– Jak najbardziej.

Cztery tygodnie wcześniej pewnie by zaprotestował. Ba, walczyłby kłami i pazurami przeciwko takiej wizji przyszłości. Chaos był jego koszmarem. Lecz teraz...

Ze wszystkich stron otaczał ich bożonarodzeniowy rozgardiasz. Ally tuliła się do niego. Colby spał u ich stóp, a Miedziak warczał, bawiąc się kawałkiem wstążki. Rodzice zaśmiewali się, słuchając opowieści Buni, która gestykulowała z ożywieniem. Był to poranek świątecznego chaosu – i na tym polegała jego doskonałość.

– No, zobaczymy – mruknął. Musiał przecież strzec swej reputacji lokalnego Scrooge’a. Nie mógł się poddać bez walki, nawet jeśli w tajemnicy przed wszystkimi wypełnił już papiery i oficjalnie był kandydatem na burmistrza Pine Hollow.

Astrid przebiegła obok nich, żeby zanurkować pod choinką w poszukiwaniu kolejnych podarków.

– Skoro już masz psa, chyba nie muszę już nigdy dawać ci prezentów, prawda? – spytał kpiąco Ben. – Bo jakoś tak mgliście pamiętam, co mówiłaś: że jeśli dostaniesz psa, już nigdy nie poprosisz o nic innego.

– No, nie wiem – odpowiedziała Astrid z podłogi, spoglądając z ukosa na Ally. – Przydałby mi się jeszcze braciszek.

Ben jęknął, a Ally wybuchnęła śmiechem.

– Wolnego, mała – poradził siostrzenicy. – Ciesz się tym, co masz.

Kiedy jednak Astrid znowu znikła pod gałęziami choinki, spojrzał prosto w błyszczące, szczęśliwe oczy Ally. Coś ścisnęło go za serce, bo nagle uświadomił sobie, że i dziecko nie byłoby takim złym pomysłem. Więcej chaosu. Więcej obowiązków. Więcej zadań, na które i tak brakowało mu dnia.

Więcej radości. Więcej śmiechu. Więcej powodów, dla których tak rosło mu serce.

Uśmiechnął się.

– Może na następne Boże Narodzenie – powiedział tak cicho, żeby tylko Ally go usłyszała.

Roześmiała się, ale gdy spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że to nie żart.

– Może – odszepnęła.

Mieli jeszcze czas, by o tym pomyśleć, lecz teraz, gdy siedzieli na kanapie w jego domu, Bażant turlał się po podłodze, skomlał z uciechy, Colby głośno chrapał, rodzice Bena śmiali się do rozpuku, dziadek Ally drzemał w fotelu i Paul z Katie uśmiechali się do nich ze zdjęcia... były to niemal idealne Święta.

Ben nachylił się i pocałował Ally.

Teraz były idealne.

PODZIĘKOWANIA



Pisarstwo to samotna wyprawa, lecz żadna książka nie przychodzi na świat bez wysiłku zespołu ludzi, a w przypadku tej powieści jest to szczególnie prawdziwe. Na największe podziękowania zasługuje moja niesamowita redaktorka, Leah Hultenschmidt. To ona wpadła na pomysł świątecznej opowieści o małomiasteczkowym schronisku dla psów, a potem opatrzyła bezcennymi notatkami pierwszą wersję mojego tekstu. Poza tym obie lubimy Davida Tennanta. Dzięki, Leah, za tę cudowną przygodę. Dziękuję też wszystkim z redakcji Forever Books za to, że przyjęli mnie do swej rodziny.

Wdzięczna jestem także mojej agentce, Michelle Grajkowski, bez której nigdy nie miałabym szansy stworzyć serii poświęconej Pine Hollow. Dzięki, że we mnie uwierzyłaś.

Szczerze podziękowania otrzymują też moi czytelnicy-testerzy – Kali, Kris i oczywiście moja mama – którzy chłoną wszystko, co napiszę, i w bezcenny sposób reagują na każdą kolejną wersję tekstu. (I jeszcze mój tata, który słucha, choć nie ma pojęcia, o czym mówię). Jesteście święci. Wszyscy.

Dziękuję przyjaciółkom po piórze, które pomogły mi załatać dziury w fabule, a zwłaszcza Kim Law. Jeśli chodzi o burze mózgów, jesteś niezrównaną partnerką i lepszej nie mogłabym sobie wymarzyć. A jeśli czasem zbaczaliśmy z tematu, żeby pogadać o *Kawalerze do wzięcia*, to tylko dlatego, że to ważna część naszego „procesu twórczego”.

Wypada mi też okazać wdzięczność licznym pracownikom schronisk dla psów, wolontariuszom i opiekunom, którzy tak szczerze podzielili się ze mną swymi doświadczeniami, gdy przygotowywałam się do napisania tej powieści – mam na myśli przede wszystkim tych ze „Speak for the Unspoken”. Tak wiele psów potrzebuje dobrych domów, a wszyscy ci ludzie nieustrudzenie pracują, żeby je znaleźć. Są moimi bohaterami.

I wreszcie pragnę podziękować moim psim inspiracjom – dawnym i obecnym kosmatym dzieciom, które miałam i mam szczęście kochać, a są to: Darby, Brady, Byron, Bruno, Stinker, Tok, Shadow, Lani, Biscuit, Jelly, Mia, Brianna oraz Gracie. Oby każdy z nas miał szczęście spotkać szczeniaka, który trafi prosto do naszego serca i zostanie w nim na zawsze.